

LISTY POLSKICH MISJONARZY Z BURUNDI

Wybrał, opracował i wstępem opatrzył
O. CZESŁAW GIL OCD

1979

WYDAWNICTWO OO. KARMELITÓW BOSYCH
31-510 KRAKÓW, UL. RAKOWICKA 18

Redaktor książki:
O. SEBASTIAN RUSZCZYCKI OCD

Okładkę projektowała:
BARBARA SZCZERBIŃSKA

IMPRIMI POTES
O. OTTO FILEK OCD

Prowincjał
Warszawa, dnia 6 września 1975r.

IMPRIMATUR
Nr 1455/76

+ JOANNES PIETRASZKO
Vie. Gen.
(L.S.)
Kraków, dnia 22 maja 1976r.

KS. STEFAN MARSZOWSKI
w-kanclerz

Spis treści:

Przedmowa.

Wstęp:

1. Karmelici Zakonem Misyjnym.
2. Karmelici Bosi w Afryce.
3. Przeszłość misyjna Prowincji Polskiej.
4. Misja w Burundi.

I. Kościół w Burundi:

1. Rys historyczny.
2. Kościół w Burundi dzisiaj.
3. Zadania Kościoła w Burundi na najbliższą przyszłość.

II. Poznań żegna misjonarzy:

III. Listy Misjonarzy:

O. Teofil Kapusta.

O. Jan Kanty Stasiński.

O. Eliaż Trybała.

Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus.

PRZEDMOWA

List jest posłańcem przynoszącym wiadomości dobre lub złe. Jakże często jest gościem oczekiwanym, jest częścią swojego autora, częścią tego, czym on żyje i co pragnie przekazać drugiej osobie.

Oddajemy do rąk Czytelników wybór listów Misjonarzy Kościoła Chrystusowego, Kościoła Powszechnego, którzy osobiście stali się posłańcami Dobrej Nowiny w Afryce. I właśnie stamtąd pisali do nas swoje listy. Pisali je z różnym talentem. Ale nie o dzieła literackie tutaj chodzi. Celem tych listów było zainteresowanie polskich Adresatów pracą misjonarza, podzielenie się przeżyciami, przemyśleniami mniej lub więcej głębokimi, wrażeniami ze spotkania się z ludźmi o zupełnie innej mentalności, kulturze, zwyczajach i wierzeniach.

Kiedy zdecydowali się na wyjazd do Burundi, niewiele wiedzieli o wybranym kraju i o jego mieszkańcach. Dlatego spotkanie z tym krajem było przygodą. Przygodą każdego z nich. Dzięki ich listom możemy w tej przygodzie brać udział. I jesteśmy nieco „mądrzejsi” od samych autorów, bo patrzymy na wydarzenia z perspektywy, bo mamy możliwość porównania sądów kilku autorów o tych samych wydarzeniach.

Wspomnieliśmy, że misjonarze, jadąc do Burundi, mało znali ten kraj. Przypuszczalnie, niektórzy z nich dopiero właśnie dzięki planowanemu wyjazdowi o nim usłyszeli i z trudem odnajdywali go na mapie. Wiedzieli jednak co innego – i to było ważniejsze, wiedzieli, po co tam jadą. Powiedział to pięknie jeden z nich w homilii na Boże Narodzenie, pierwsze Boże Narodzenie w Burundi:

„Dziecię nam się narodziło. Imię Jego Emanuel – Bóg z nami. Rzeczywiście wielka tajemnica! Bóg z nami! Chciał być z nami. Jest z nami. Jeżeli znaleźliśmy się daleko od swoich bliskich, znajomych, których wspominamy dzisiaj we Mszy świętej, to znaleźliśmy się po to, by przez nas Bóg był z innymi. Aby był z tymi, którzy Go jeszcze nie znają.”

Chcemy jeszcze wytłumaczyć się przed Czytelnikami, dlaczego wybór listów misjonarzy karmelitańskich z Burundi został poprzedzony szczegółowym opracowaniem o narodzinach idei misyjnej w Zakonie karmelitańskim oraz o udziale polskiej Prowincji Karmelitów Bosych w dziele misyjnym Zakonu. Tego bowiem wymagała prawda. To z tamtych tradycji, może niebogaty, ale pięknych i cennych, zrodziła się misja w Burundi. Dlatego trzeba było o tym wspomnieć. Trzeba było, tym bardziej, że misje karmelitańskie zaczęły się właśnie w Afryce.

Każdy misjonarz otrzymuje na drogę krzyż i Pismo św. Bez tych dwóch rzeczy nie ma misjonarza katolickiego. Pierwsi misjonarze karmelitańscy wzięli ze sobą do Afryki ponadto obraz Matki Bożej i wnieśli go uroczyście do stolicy Konga. Nasi współbracia otrzymali od Prymasa Polski, ks. kard. Stefana Wyszyńskiego, obraz „Czarnej Madonny”, który poświęcił na specjalnej audiencji Papież Paweł VI, i zbudowali mu ołtarz w swoim kościele w Mpindze. Chcą dawać ludziom Chrystusa za pośrednictwem Jego Matki. Ks. Prymas wręczając obraz powiedział: „Jestem głęboko przekonany, że wasi Bracia, których będziecie prowadzili do Chrystusa, gorąco Ją pokochają i zrozumieją. Jest przecież do nich podobna.” Ten fakt także łączy przeszłość z dniem dzisiejszym.

Burundi jest małym krajem. W języku polskim nie ma o nim książki. Ta będzie pierwszą. I z radością możemy stwierdzić, że jest to książka pisana przyjaźnią, pisana nie tylko przez autorów listów, ale także przez tych wszystkich, którzy współpracują z nimi w dziele misyjnym, które jest również dziełem szerzenia braterstwa i współpracy między odległymi nawet narodami.

WSTĘP:

1. KARMELICI ZAKONEM MISYJNYM.

Kiedy w roku 1971 duża grupa misjonarzy karmelitańskich opuściła Polskę, aby podjąć działalność ewangelizacyjną w Afryce, dla wielu było to zaskoczeniem. Zaskoczenie to wynikało z nieporozumienia oraz z braku znajomości tradycji karmelitańskich. Zbyt wielu

katolików przeciwstawia sobie modlitwę i działanie, także działanie apostołskie. A przecież każda działalność chrześcijańska powinna być ożywiona modlitwą, zaś apostołska zakłada modlitwę, jako warunek jej skuteczności. Każda zaś modlitwa z natury swojej jest apostołska, czyli jest błaganiem o rozwój Królestwa Bożego na ziemi, według wzoru podanego nam przez Chrystusa w Modlitwie Pańskiej: „...święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje...” Dlatego nie powinno budzić zdziwienia, że Zakon, który zawsze uważał „rozważanie rzeczy Bożych” za swoje główne zadanie, równocześnie w ciągu swoich dziejów podejmował różnorakie prace apostołskie, ceniąc szczególnie wysoko głoszenie Ewangelii tym, którzy jej nie znali.

Każdy Zakon jest dziełem własnej epoki. Również Zakon Karmelitów Bosych, powstały w wyniku Reformy Terezańskiej, nosi na sobie piętno epoki, w której powstał¹. A druga połowa XVI w. nie należała do spokojnych ani w Europie, ani w Hiszpanii. Rozwój reformacji w wielu krajach europejskich, ostre ścieranie się różnorodnych postaw światopoglądowych, walka o reformę życia kościelnego, zapoczątkowana przez Sobór Trydencki, konflikty polityczne, powiązane z konfliktami społecznymi i religijnymi, kolonizacja Nowego Świata, a także pewnych obszarów Afryki i Azji – oto zestaw problemów, którymi żyła społeczność europejska. Społeczność ta częściowo lub całkowicie identyfikowała się z Kościołem. Ktokolwiek więc był zainteresowany sprawami Kościoła, nie mógł być obojętny na to, co się działo współcześnie w Europie i poza nią. Nie mógł być obojętny nawet wówczas, gdy – jak św. Teresa z Avila – zamknął się w klasztorze o ścisłej klauzurze.

W 1562r. św. Teresa założyła pierwszy klasztor Karmelitanek Bosych w swoim rodzinnym mieście Avila. Sama ułożyła dla niego regułę życia. Osiągnęła to, o czym marzyła od lat: mieszkała w klasztorze o ścisłej klauzurze, którego wyłącznym zadaniem była modlitwa i pokuta w intencji Kościoła. A jednak nie była w pełni zadowolona ze swego dzieła, które zrodziło się z najgłębszych potrzeb ówczesnego chrześcijaństwa. „Otóż wobec, tych strasznych spustoszeń, jakie wszędzie czynią heretycy, wobec tego wielkiego pożaru, coraz dalej się szerzącego, którego żadna siła ludzka ugasić nie zdoła – choć próbowano, ale nadaremnie trzeba szukać innych środków przyjscia z pomocą Kościołowi, aby mógł zwyciężyć w tej walce. Nie świeckim jednak orężem, ale duchowym ma się toczyć ta walka”² Teresa była przekonana, że w Kościele jedynym źródłem czynów naprawę owocnych, jest świętość. Działalność kapłanów, prace teologów nie przyniosą owoców, jeżeli nie wesprze ich modlitwa. Im bardziej postępowała w doskonałości, im więcej otrzymywała od Boga łask i darów, tym bardziej pragnęła, aby i inne dusze cieszyły się tymi dobrami. Nie tylko te trzynaście, żyjące z nią pod jednym dachem w klasztorze św. Józefa w Avila. Chciała pomnożyć swoje „twierdze”. Była przekonana, że nie braknie dusz wspaniałomyślnych, które by zechciały poświęcić życie bez reszty sprawie Bożej.

W 1566 roku apostołski zapal Teresy otrzymał nową podniechę. Dotychczas niepokoiła się przede wszystkim losami katolicyzmu w Europie zachodniej. Teraz, po spotkaniu z Alfonsem

¹ Por. Honorat Gil OCD: Terezańska koncepcja odnowy życia zakonnego. W: Mater spiritualium. Praca zbiorowa pod redakcją O. Ottona Filka OCD. Kraków 1974, s. 331 - 363

² św. Teresa od Jezusa: Droga doskonałości, 3, 1-2

Maldonado de Buendia, franciszkaninem, który jako misjonarz pracował w Peru, jej horyzonty uległy znacznemu rozszerzeniu. Z ust misjonarza usłyszała barwną, ale równocześnie smutną opowieść o milionach dusz, nieznających Chrystusa, ponieważ nie miał im kto o Nim opowiadać. Teresa przeżyła to bardzo. Pragnęłaby pomóc tym ludziom, ale jak to zrobić? I wtedy krystalizuje się myśl zakładania coraz to nowych klasztorów, jako ośrodków modlitwy za Kościół, za jego kapłanów, misjonarzy, teologów. Przedstawiła swój plan Generałowi Zakonu. Ten, urzeczony sposobem życia, praktykowanym w klasztorze św. Józefa, poparł ją całkowicie. Doskonale rozumiał sens dzieła św. Teresy. Rozumiał i doceniał jej wielkość. W liście do karmelitanek w Medina del Campo pisał: „Ona przynosi Zakonowi więcej pożytku niż wszyscy karmelici z Hiszpanii”³

Dopóki istniał tylko jeden klasztor, łatwo było znaleźć dla niego kierowników duchownych. Powstała jednak perspektywa rozwoju reformy. Aby uniknąć trudności, aby zabezpieczyć jedność, należało pomyśleć o kierownikach duchowych, ukształtowanych na tych samych podstawach, co karmelitanki bosi. Tak zrodził się u Teresy projekt założenia klasztoru karmelitów reformowanych, którzy byliby doradcami, spowiednikami i kierownikami duchowymi jej mniszek.

Św. Teresa, podobnie jak założyciele wielu zakonów, nie miała od samego początku ustalonego planu, według którego rozwijałaby się reforma. O ile jeszcze stosunkowo łatwo przyszło jej określić cel klasztorów żeńskich, z określeniem specyfiki karmelitów reformowanych sama natrafiła na trudności, chociaż nigdy wyraźnie o tym nie pisze. Nie ulega żadnej wątpliwości, że w zamiarach św. Teresy, karmelici bosi – podobnie jak karmelitanki bosi – mieli prowadzić życie poświęcone pokucie, modlitwie i kontemplacji. Równocześnie jednak ci sami zakonnicy powinni być dobrymi teologami, kaznodziejami, misjonarzami i robić wszystko, co jest tylko możliwe dla dobra dusz. Była to synteza trudna do realizacji. Takie ustawienie zadań Zakonu było nie tylko źródłem konfliktów wewnętrznych. **Stwarzało także wielkie bogactwo możliwości form życia w ramach samego Zakonu. Bardzo często ci sami ludzie byli krzewicielami życia pustelniczego oraz entuzjastycznymi zwolennikami pracy misyjnej. Wystarczy tu przytoczyć przykład O. Tomasza od Jezusa (Diaz Sanchez Davila y Herrera, 1564 – 1627), który był inicjatorem i organizatorem życia eremickiego w Zakonie oraz znanym propagatorem idei misyjnej w Kościele. Swoją działalnością przyczynił się do powstania Kongregacji Rozkrzewiania Wiary, jako centralnego ośrodka kierowniczego misji katolickich. Utworzył ją papież Grzegorz V, dnia 6 stycznia 1622r.**⁴

Rysem charakterystycznym duchowości św. Teresy jest głęboka świadomość obecności Chrystusa w Kościele, jest przekonanie, że poprzez Kościół należy się do Chrystusa.

Z tego wynikało poczucie odpowiedzialności za losy Kościoła, czyli za zbawienie każdej duszy ludzkiej.

³ Cyt. Za Otger Steggink, O. Carm.: La reforma del Carmelo espanol. Roma 1965, s.448

⁴ Niccolo del Re: La Curia Romana, Lineamenti storicogiuridici. Wyd. 3 Roma 1970, s. 185-203; A l b e r t o de la Virgen del Carmen: Historia de la Reforma Teresiana. Madrid 1968, s. 97-102, 222-226; Josef M e t z l e r: Wegbereiter und Vorlauffer der Kongregation. W: Sacrae Congregationis de Propaganda Fide memoria rerum. Vol. I/1. Rom-Freiburg-Wien 1971, s. 38-78

„Widzę i czuję – pisała – wielkie potrzeby Kościoła i tak mi one ciążyą na sercu, że dzieciństwem mi się wydaje martwić się i trapić o co innego”⁵ Na innym miejscu napisze: „Każdy zakon, jak sądzę, i każdy zakonnik o to jedno starać się i ubiegać powinien, by za pomocą łaski Bożej dostąpił szczęścia służenia Kościołowi i bronięcia go w obecnych jego ciężkich potrzebach. Szczęśliwy, komu dano za taką sprawę życie swoje poświęcić!”⁶

Tę dyspozycyjność Teresy wobec Kościoła podkreślali wielokrotnie papieże, ostatnio zaś przypomniał ją Paweł VI przy okazji ogłoszenia Świętej Doktorem Kościoła. Ojciec św. wskazał Teresę jako wzór umiejętnego łączenia modlitwy, a nawet kontemplacji, z działaniem: „Wielkość zaś daru modlitwy i kontemplacji nie wyobcowuje nas ze spraw Królestwa Bożego i Kościoła, przeciwnie, do zajęcia się nimi przynagla i włącza. Teresa udowodniła to życiem i niezwykłymi dziełami, dokonanymi dla dobra Kościoła, pobudzona do tego pełnią życia kontemplacji, ukazała poprzez dawanie świadectwa, co uważała za fundament swego nauczania, co z radosnym i szczerym sercem potwierdziła w ostatnich słowach przed śmiercią: „Dziękuję Ci, Boże, że umieram jako córka Kościoła”⁷

Na początku tego paragrafu postawiłem pytanie: Czy Karmel terezański jest Zakonem misyjnym? Na tak przedstawione pytanie trzeba zdecydowanie odpowiedzieć: nie. Zakon nie został powołany do istnienia w celu prowadzenie działalności misyjnej, jako podstawowego zadania, i nigdy w ciągu kilku wieków swojego istnienia nie uważał misji za swoje główne zadanie. Reforma terezańska zrodziła się jednak z głębokiego odczucia potrzeb Kościoła, z chęci służby Kościołowi – i ta postawa zaradzenia w miarę możliwości potrzebom Kościoła cechowała dzieła karmelitów i karmelitanek bosych. Z tej postawy zrodziła się również posługa misyjna, uznawana zawsze za szczególnie cenne dziedzictwo po św. Teresie „córce Kościoła”. Postawa ta znajdowała wyraz zawsze w ustawodawstwie Zakonu. Ze szczególną zaś mocą została zarysowana w najnowszych aktach normatywnych, natchnionych przez Sobór Watykański II. „Powołanie nasze opiera się fundamentalnie na łasce Bożej, która wezwwała nas do świętości w braterskiej wspólnocie życia i zaprasza do ścisłego zjednoczenia z Bogiem przez taki sposób życia, w którym umiłowanie modlitwy i kontemplacji łączy się wewnątrz z apostolską służbą Kościołowi. Dlatego też mamy obowiązek podjąć się z całą usilnością służby dla Kościoła. Do istoty bowiem naszego powołania należy: intencją apostolską ożywiać modlitwę i całe życie, słowem i czynem spieszyć z pomocą służebną Kościołowi i duszom, wedle potrzeby Kościoła, tak, aby rzeczywiście działalność apostolska wypływała z wewnętrznego zjednoczenia z Chrystusem.”⁸ I aby nie było wątpliwości, o jakie apostołstwo chodzi, jeszcze dwa zdania z tegoż dokumentu: „Misje nie

⁵ Sprawozdania, s. 7

⁶ Życie, 40,15

⁷ List Apostolski „Multiformis Sapientia Dei” z 27 IX 1970 ogłaszający św. Teresę od Jezusa doktorem Kościoła. AAS 63 (1971) s. 185-192. Tłumaczenie polskie o. Emila Hebdy OCD w: Otrzymałam ducha mądrości. Praca zbiorowa pod red. O. Ottona Filka OCD. Kraków 1972, s. 11-25.

⁸ Decreta Capituli Specialis OCD 1968. Romae 1969, s. 11-13

są czymś zostawionym do woli, ale ścisłym obowiązkiem Kościoła. Należy zatem czuwać, aby działalność misyjna zawsze ożywiała Zakon”⁹

2. KARMELICI BOSI W AFRYCE.

Rozwój chrześcijaństwa w Afryce w pierwszym etapie objął północną część tego kontynentu, która w II w. przed Chrystusem znalazła się pod panowaniem rzymskim. Już w I wieku chrześcijaństwo było znane w Aleksandrii, stolicy Egiptu. W III wieku, patriarcha Aleksandrii jest drugą osobą po papieżu w Kościele Katolickim. Miasto to stało się ważnym ośrodkiem życia religijnego. Kościół północno-wschodniej Afryki wydał wielkich pisarzy i ojców Kościoła. Należą do nich m.in.: św. Atanazy i św. Cyryl Aleksandryjski. Tutaj zrodziło się również życie pustelnicze i zakonne, tutaj powstały pierwsze religijne stowarzyszenia świeckich.

Nieco młodsze było chrześcijaństwo w Afryce północno-zachodniej. Pod koniec drugiego wieku było już tam bardzo rozpowszechnione. Stolicą kościelną tej części Afryki było miasto Kartagina. W Afryce zachodniej rozwinęła się najstarsza literatura kościelna w języku łacińskim oraz powstała najstarsza forma liturgii w tymże języku. Działało tu również wielu wybitnych pisarzy i ojców Kościoła, jak Tertulian, Laktancjusz, św. Augustyn, św. Fulgencjusz z Ruspe.

Rozwój chrześcijaństwa nie odbywał się bezboleśnie. Najpierw nękały chrześcijan prześladowania cesarzy rzymskich, od III wieku herezje i schizmy, a w V wieku najazd Wandalów pod wodzą króla Genzeryka.

W VII wieku cała północna Afryka i Egipt zostały podbite przez Arabów. Początkowo tolerancyjni dla chrześcijan, z czasem, przy pomocy ograniczeń i różnego rodzaju nacisków, doprowadzili do prawie zupełnego zaniku chrześcijaństwa. Sytuacji nie zmieniły misje, podejmowane przez Zakony w XII wieku. Ich działalność praktycznie ograniczała się do opieki nad chrześcijańskimi kupcami i niewolnikami.

Drugi etap ewangelizacji Afryki rozpoczyna się i jest wewnętrznie związany z odkryciem nowych lądów na Zachodzie oraz drogi dokoła Afryki na Daleki Wschód. Hiszpanie szukali nowej drogi do Indii i Chin, płynąc na zachód, Portugalczycy zaś, opływając Afrykę. Wynikiem penetracji portugalskiej było dotarcie do dolnego biegu Konga przez Diega Cao w 1482r., gdzie istniało wówczas dobrze zorganizowane państwo o takiej samej nazwie, liczące od 2 do 3 milionów ludności¹⁰ Osiem lat później, z inicjatywy króla portugalskiego, Jana II, zorganizowano nową wyprawę do Konga pod dowództwem Gonsalva de Sousa. W skład jej wchodził misjonarzy (księża diecezjalni i zakonnicy), uzbrojeni żołnierze, chłopcy, rzemieślnicy oraz trochę kobiet.

⁹ Tamże, s. 130 i 132

¹⁰ Jerzy Prokopczuk: Historia Afryki w zarysie. Warszawa 1964, s. 45; G. Balandier: Życie codzienne w państwie Kongo XVI-XVIII w. Przełożyła Eligia Bąkowska. Warszawa 1970, s. 13-24; J. Babicz, W. Walczak: Zarys historii odkryć geograficznych. Wyd 2. Warszawa 1970, s.128-131

Portugalczykom chodziło o założenie w Kongu własnej osady, która by pośredniczyła w handlu z ludnością tubylczą. Obecność misjonarzy świadczy o tym, że zamierzano podjąć także akcję ewangelizacyjną. Karawele wyruszyły zaś do Mpingi, portu prowincji Sojo, 29 marca 1491r. W drodze zmarł na zarazę wódz wyprawy oraz kilku jej członków. Nowym dowódcą został bratanek zmarłego, Ruy de Sousa.¹¹

Naczelnik prowincji Sojo już wcześniej utrzymywał kontakty handlowe z kupcami portugalskimi. Dla niego również handel z Europejczykami był korzystny. Owocem tego zbliżenia było przyjęcie przez niego chrztu w dniu 3 kwietnia 1491r. Bezpośrednio potem karawana wyruszyła do stolicy państwa Mbanza (Kongo), gdzie została przyjęta z królewskimi honorami. Król Konga, Nzinga a Nkuwu oraz niektórzy z wysokich dostojników poprosili o chrzest. Otrzymali go, prawdopodobnie 3 maja 1491r. Król, na cześć monarchy portugalskiego, przybrał imię Joao I, królowa zaś, ochrzczona miesiąc później, otrzymała imię królowej Portugalii, Eleonory.¹²

Portugalia nie dopuszczała obcych misjonarzy na tereny przez siebie kolonizowane. Będąc zaś krajem bardzo małym, nie była w stanie dostarczyć odpowiedniej ilości kapłanów. Odbijało się to ujemnie na rozwoju chrześcijaństwa również w Kongu. Poważnym utrudnieniem były również konflikty polityczne w samym Kongu oraz nadużycia kupców i przedstawicieli króla Portugalii.

W roku 1506 zmarł Joao I, który w roku 1493 wrócił do praktyk pogańskich. Jego syn i następca, Alonso I, pozostał wierny Kościołowi. Podjął on wielką akcję unowocześnienia państwa w oparciu o chrześcijaństwo i kulturę zachodnią. Popierał rozwój szkolnictwa, wysyłał młodych ludzi na studia do Portugalii. Nawiązał bezpośrednie kontakty ze Stolicą Apostolską. Kształcono kler tubylczy. Syn króla, Don Henrique, został biskupem. Alonso I był niewątpliwie jednym z najbardziej zasłużonych władców Konga. Zmarł w 1543r.¹³

Po przeszło dwudziestoletnim okresie walk wewnętrznych, władzę w Kongu objął Alvaro I. Potrzebując pomocy Portugalczyków dla odparcia inwazji ludu Dżaka, uzależnił się od nich całkowicie. W czasie wojny z ludem Dżaka ucierpiały bardzo kościoły katolickie. Alvaro I nawiązał do polityki Alonsa I. Opowiedział się wyraźnie za chrystianizmem. Chcąc się uniezależnić od opieki portugalskiej, a następnie hiszpańskiej (w 1580r. Portugalia została przyłączona do Hiszpanii), podobnie jak jego wielki poprzednik, usiłował nawiązać bezpośrednie kontakty ze Stolicą Apostolską. Kontynuatorem tej polityki był jego syn i następca, Alvaro II (1587-1613).¹⁴ Między innymi, owocem tej polityki było utworzenie biskupstwa w Sao Salvador w 1596r. (tak nazwano stolicę państwa Mbanza Kongo). Pierwsi biskupi byli Portugalczykami. O sytuacji Kościoła kongijskiego świadczy fakt, że

¹¹ G. Balandier: dz. Cyt. s. 25

¹² Jw. s. 26; Historie universelle des missions catholiques. Praca zbiorowa pod red. S. Delacroix. T. 2. Paris 1957, s. 231

¹³ L. Jadin: L'oeuvre missionnaire en Afrique noire. W: Sacrae Congregationis de Propaganda Fide memoria rerum. Dz.cyt. Vol. I/2 s. 426-427.

¹⁴ B. Balandier, dz. Cyt. s. 46-49; Jadin, dz. Cyt. s. 428-430

diecezja Sao Salvador, obejmująca oprócz Konga również świeżo podbitą przez Portugalczyków Angolę, liczyła zaledwie dwudziestu księży. Stąd nic dziwnego, że obaj Alvarowie ślali do Hiszpanii i Rzymu posłów z prośbą o misjonarzy. Praktycznie mogli się ich spodziewać tylko z Portugalii i Hiszpanii.¹⁵

W 1582r. Lizbonę odwiedził król Hiszpanii i Portugalii Filip II. W poszukiwaniu misjonarzy dla Konga spotkał się z o. Mariano Azzaro, przeorem klasztoru Karmelitów Bosych w tymże mieście. Przed wstąpieniem do Zakonu, o. Mariano walczył w szeregach armii Filipa II i wówczas to zaprzyjaźnili się ze sobą. Król, popierając Reformę Terezjańską od wielu lat, wyraził życzenie, aby karmelici wysłali swoich misjonarzy do Konga. O. Mariano przedstawił propozycję królewską ówczesnemu prowincjałowi, o. Hieronimowi Gracian, podczas spotkania w Burgos. W Burgos była obecna również św. Teresa, w związku ze staraniami około założenia klasztoru w tymże mieście. Jest rzeczą pewną, że przed powzięciem jakiegokolwiek decyzji o. Hieronim zasięgał Jej rady. Św. Teresa poparła projekt. Zgodzili się również urzędowi doradcy prowincjała, o. Mikołaj Doria i o. Juan Roca. W ostatnich dniach lutego o. Hieronim udał się do Valladolid, aby tam głosić kazania wielkopostne. **W tymże mieście, 19 marca 1582r. podpisał oficjalny dokument (Litterae patentes) przeznaczony dla misjonarzy. Dokument ten był nie tylko urzędowym skierowaniem pięciu zakonników na misje do Konga, ale również pierwszą w zakonie karmelitańskim instrukcją dla misjonarzy:**

„Przede wszystkim powinni pielęgnować w sercu swoim pragnienie większej czci i chwały Bożej oraz rozwoju wiary katolickiej, z postanowieniem ochotnego przyjęcia śmierci, gdyby tego zaistniała potrzeba, bez przywiązywania się do żadnej rzeczy ziemskiej.

Ponieważ jadą do państwa obcego, gdzie nie byłoby wskazane wprowadzać innego rytu w odmawianiu brewiarza i odprawianiu Mszy św. niż ten, który jest przyjęty w całym Kościele Rzymskim, mają wziąć ze sobą mszały i brewiarze rzymskie i będą ich używali, mimo, że w Zakonie naszym obowiązuje ryt jerozolimski.

Każdy kapłan weźmie ze sobą Pismo św. oraz Katechizm św. Piusa V, każdy zaś z braci książkę „Oratorio espiritual” oraz inne podręczniki nauki chrześcijańskiej, według własnego uznania.

Powinni usilnie starać się zapoznać ze wszystkimi argumentami naturalnymi, skłaniającymi do przyjęcia wiary katolickiej, zwłaszcza z tymi, które wylicza Katechizm.

Odnosnie do przestrzegania prawa zakonnego w tym, co dotyczy ubrania, pożywienia i innych rzeczy nakazanych przez nasze Konstytucje, powinni postępować zgodnie z wymogami czasu i miejsca, zwracając przede wszystkim uwagę na zbawienie dusz.”¹⁶

Zasadnicze myśli i wskazania tego dokumentu do dzisiaj nie straciły na znaczeniu.

Pierwsza ekipa misjonarzy karmelitańskich składała się z pięciu zakonników, trzech ojców: Antonio de la Madre de Dios, który został mianowany przełożonym, Juan de Angeles, Francisco de la Cruz oraz diakona br. Sebastian de los Angeles i brata Laika Diego de San Bruno. Zostali oni wybrani przez prowincjała spośród wielu zgłaszających się. Odpłynęli z

¹⁵ L. Jadin, dz. Cyt. s. 429

¹⁶ Pełny tekst dokumentu w języku hiszpańskim przytacza Hipolito de la Sagrada Familia OCD: La mision de los Carmelitas Descalzas en el Congo. W: „Monte Carmelo”. Vel. 75(1967) s. 392-395

Lizbony 5 kwietnia, na małym statku „San Antonio”, wchodzącym w skład flotylli, płynącej do Afryki. Prosty przypadek spowodował, że z takim zapalem przygotowywana wyprawa nie dotarła do celu. Z winy pilota statek „San Antonio” zderzył się z innym, większym okrętem i poszedł na dno ze wszystkimi misjonarzami oraz większością załogi.¹⁷

Tragiczny finał pierwszej wyprawy misyjnej nie załamał ani prowincjała, ani podległych mu zakonników. W 1583r. wyruszyła druga grupa misjonarzy, składających się z trzech ojców (Pedro de los Apostoles, Sebastian de San Andres i Bartolome de San Miguel) oraz jednego brata laika, nieznanego z imienia. W drodze na mały statek, którym jechali, napadli korsarze angielscy. Ze szczególnym okrucieństwem znęcali się nad misjonarzami katolickimi. Umęczonych i głodnych wyrzucili na jedną z małych wysp, gdzie zmarł o. Sebastian de San Andres. Pozostali misjonarze wrócili do Portugalii w czerwcu tegoż roku.¹⁸

Niepowodzenie drugiej wyprawy misyjnej wywarło na Karmelitach Bosych wielkie wrażenie. Wielu zastanawiało się, czy też niepowodzenia te nie były znakiem, że karmelici nie powinni zajmować się misjami. Nie trwało to jednak długo i już w następnym roku, na życzenie Filipa II, 10 kwietnia wyruszyła nowa grupa misjonarzy do Konga. Składała się z trzech zakonników: o. Diego del Santisimo Sacramento, o. Diego de la Encornacion oraz brata Francisco de Jesus, zwanego „Indigno” – który w Kongu otrzymał święcenia kapłańskie¹⁹ i zasłynął z gorliwości apostołskiej.

W lipcu wylądowali na Wyspie św. Tomasza, gdzie znajdowała się rezydencja biskupa, którego jurysdykcji podlegało również Kongo, aż do czasu utworzenia odrębnej diecezji z siedzibą biskupa w stolicy kraju. Biskup Martin Olloa usiłował ich zatrzymać na wyspie. Misjonarze zostali jednak wierni pierwotnemu celowi i na początku sierpnia udali się w dalszą podróż. Dnia 14 września przybyli do miasta Luanda, w portugalskiej Angoli, skąd – przynaglani listami króla Konga, Alvara I – wyruszyli w dalszą drogę. W ostatnich dniach grudnia dotarli do Sao Salvador.

Misjonarze wieźli ze sobą obraz Matki Bożej. Otrzymaawszy pozwolenie króla, weszli z nim procesjonalnie do miasta. Procesja, w której uczestniczył lud i miejscowy kler, przeszła ulicami miasta w kierunku pałacu królewskiego, a następnie do kościoła Niepokalanego Poczęcia NMP. Zamieszkali w domu, przygotowanym dla nich na polecenie króla.

Rozpoczęła się zwyczajna praca misyjna. Przełożony misji, o. Diego del Santisimo Sacramento, pracował stale w stolicy, pozostali dwaj przemierzali w wędrówkach apostołskich całe państwo. Bardzo szybko dał im się we znaki miejscowy klimat i wszyscy trzej poważnie zachorowali. O. Diego, który był słabego zdrowia, przez cały czas pobytu w Kongu nie wrócił do pełni sił. Choroba spowodowała, że o. Diego zniechęcił się do misji, a jego relacje o pracy misyjnej są bardzo pesymistyczne. W opinii innych misjonarzy Kongijczycy byli z natury bardzo religijni. Wysoko oceniano również ich inteligencję i ciekawość wiedzy.

¹⁷ Hipolito de la Sagrada Familia, dz. Cyt. s. 395-396 Jose de Jesus Crucoficado OCD: Una expedicion misionera el Congo a traves de Angola, W: „EL Monte Carmelo”. Vol. 69(1961) s. 94-94

¹⁸ Hipolito de la. S. Familia, dz. Cyt. s. 397; Alberto de la Virgen del Carmen, dz. Cyt. S. 104-105

¹⁹ 2 lutego 1585 r.

W 1585r. przełożonym Karmelitów Bosych w Hiszpanii został o. Mikołaj Doria, przeciwny zakładaniu klasztorów karmelitańskich poza Hiszpanią, a więc również i na terenach misyjnych. Misjonarze, widząc ogrom pracy w Kongu, nie otrzymując zaś odpowiedzi na listy, w których prosili o przysłanie nowych zakonników, postanowili udać się do Hiszpanii, aby przekonać przełożonych do misji. Opuścili Afrykę w czerwcu 1586r. Do Lizbony przybyli przy końcu grudnia tegoż roku lub na początku roku następnego. Do Konga już więcej nie wrócili.²⁰

W omawianym okresie Kościół Katolicki zapuścił korzenie nie tylko w Kongu, ale również w sąsiedniej Angoli, Gwinei oraz Mozambiku. Na przeszkodzie rozwoju, oprócz trudnego klimatu, stanęła przede wszystkim postawa Portugalczyków. Dla nich Afryka była punktem wyjścia, pomostem na Daleki Wschód, bardziej bogaty i atrakcyjny, tak dla podbojów kolonialnych, jak dla samych misjonarzy.

Odrodzenie misji katolickich w Afryce nastąpiło dopiero w XIX wieku, w związku z zainteresowaniem się tym kontynentem przez podróżników i badaczy naukowych. Na rozwój misji wpłynęło również ogólne odrodzenie życia religijnego w Europie. Powstał cały szereg nowych zgromadzeń zakonnych oraz stowarzyszeń kościelnych, których celem było materialne wspieranie dzieła ewangelizacji. Do nich należy również Sodalicja św. Piotra Klawera, założona w 1894r. przez Polkę, błogosławioną Marię Teresę Ledóchowską, zwaną „Matką Afryki”.²¹

Działalność misyjna, zaniedbana przez karmelitów hiszpańskich została podjęta na początku XVII w. przez karmelitów włoskich. Zakładali oni swoje placówki misyjne przede wszystkim w krajach Bliskiego Wschodu, Persji, skąd następnie przeszli do Indii, a nawet do Chin. Rozwinęli także działalność w krajach protestanckich Europy. Powrót do Afryki nastąpił dopiero w czasach najnowszych. W 1926 r. założono klasztor w Kairze. Przy współpracy prowincji brabanckiej i flandryjskiej powstała fundacja w Buluaborg w Kongu (Zair, 1958). Klasztor ten postawił sobie za cel apostołstwo życia wewnętrznego. W 1960 r. prowincja Nawary wysłała grupę misjonarzy do republiki Malawi. W 1966 r. również z Hiszpanii (prowincja St. Kastylii) wyjechali misjonarze do Konga (Zairu).²²

W 1972 r., oprócz wyżej wymienionych, Karmelici Bosi posiadali w Afryce domy misyjne w Mozambiku, w Republice Malgaskiej, w Republice Środkowej Afryki oraz w Burundi. W sumie, w tymże roku, Zakon posiadał w Afryce 6 domów i kilkadziesiąt stacji misyjnych (oprócz Kairu), pracowało zaś w nich 61 zakonników, w tym 50 kapłanów.²³

²⁰ Hipolito de la S. Familia, dz. Cyt. s. 398-404; Jose de Jesus Crucificado, dz.cyt. vol. 70(1962) s. 155-188; L. Jadin dz. Cyt. s. 429

²¹ Ks. B. Kumor: Matka Afryki. „Tyg.Pow.” z 25 V 1975.

²² Alberto de la Virgen del Carmen, dz. Cyt. s. 567-568

²³ Conspectus Ordinis Carmelitarum Discalceatorum, Romae 1971 s. 81-86; Acta Ordinis Carmelitarum Discalceatorum 1971-1973. Romae 1974, s. 251

Znacznie liczniej na kontynencie afrykańskim są reprezentowane klasztory Karmelitanek Bosych. W roku 1971, w dwunastu państwach Afryki, istniało 19 klasztorów Karmelitanek Bosych.²⁴

Przytoczone wyżej cyfry nie są imponujące. Pamiętać jednak trzeba, że Karmelici Bosi, z różnych powodów, późno „odkryli” Afrykę. Prawie wszystkie placówki pochodzą z ostatnich lat, z czasów po drugiej wojnie światowej. Liczba misjonarzy karmelitańskich na tym kontynencie systematycznie rośnie, w czym niemały udział ma również Prowincja Polska.

3. PRZESZŁOŚĆ MISYJNA PROWINCJI POLSKIEJ.

U schyłku XVI w. doszło do nawiązania bezpośrednich kontaktów między Stolicą Apostolską, a władcą Persji, Abbasem I Wielkim (1586-1628). Abbas, prowadząc wojnę z Turcją, szukał oparcia w państwach chrześcijańskiej Europy, również zagrożonej przez imperializm turecki. Ówczesny papież Klemens VIII postanowił wykorzystać sytuację dla celów misyjnych. Król perski był władcą tolerancyjnym i żywił dla chrześcijan pewną sympatię. Oczywiście nie było mowy o nawracaniu wyznawców islamu na katolicyzm, ale w państwie perskim żyła spora grupa chrześcijańskich Ormian. Przebywali tam również kupcy oraz dyplomaci z Europy. Nad nimi to właśnie pragnął roztoczyć opiekę duszpasterską papież.

Pierwotny zamiar wysłania do Persji jezuitów z Goa nie doszedł do skutku, augustianie zaś, którzy udali się do Persji bez zgody papieża, reprezentowali tam bardziej interesy króla Hiszpanii niż Stolicy Apostolskiej. Ostatecznie Klemens VIII postanowił wysłać do Persji karmelitów bosych z Kongregacji włoskiej. Przełożony Zakonu wyznaczył do tego celu czterech zakonników: o. Pawła Rivarolę, o. Jana Roldana, o. Wincentego de Gambart oraz brata Jana Angeli. Towarzyszyć miał im również, doświadczony w sprawach wojskowych, oficer hiszpański Fransiszek Riodolid de Peralta. Misjonarze mieli zorientować się w sytuacji chrześcijańskich Ormian w państwie perskim oraz założyć tamże stałą placówkę misyjną. Cele polityczne misji były bardzo skromne: podziękowanie szachowi za wysłanie poselstwa do Rzymu, pogratulowanie sukcesów w wojnie z Turcją oraz ofiarowanie sojuszu w walce przeciw wspólnemu wrogowi. Możliwość sojuszu antytureckiego była zresztą tylko narzędziem, wykorzystanym przez papieża dla osiągnięcia celów religijnych misji.

4 lipca 1604 r. odbyła się audyencja pożegnalna misjonarzy u papieża, 5 lipca uroczysta odprawa w kościele Santa Maria de la Scala, a 6 lipca wyjazd z Rzymu. Wybrano drogę lądową, która prowadziła przez Polskę i Rosję, ponieważ Morze Śródziemne było opanowane przez Turków. Do Krakowa przybyli 25 sierpnia 1604 r. Pobyt w Polsce przedłużył się z powodu wojny domowej w Rosji między zwolennikami Borysa Godunowa i Dymitra Samozwańca, popieranego przez niektórych polskich magnatów. W czerwcu 1606 r. Dymitr został obwołany carem. 30 listopada misjonarze przekroczyli granicę rosyjską. Po półtorarocznej podróży wylądowali na wybrzeżu perskim, 27 września 1607 r.

Już w 1604 r. zaproponowano karmelitom założenie klasztoru w Krakowie. W Wilnie spotkali się z metropolitą unickim, Hipacym Pocijem, który prosił ich o pomoc w umocnieniu jedności Kościoła Unickiego z Rzymem. Namawiał karmelitów do przyjęcia obrządku

wschodniego oraz pragnął ich użyć do reformy zakonu bazylianów. Misjonarze nie byli przeciwni założeniu klasztoru w Polsce, sami jednak nie mogli o tym decydować. Odnieśli się więc do przełożonych Zakonu w Rzymie. **W maju 1605 r. zapadła w Rzymie decyzja założenia klasztoru w Krakowie lub innym mieście polskim.** Zasadniczym motywem zgody na fundację w Polsce było przyjsie z pomocą Kościołowi Unickiemu. Ponadto, klasztor w Polsce miał służyć za hospicjum dla misjonarzy, zdążających do Persji. Dnia 28 listopada zakonnicy wyznaczeni na fundację przybyli do Krakowa. **7 grudnia został otwarty klasztor pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia NMP.**²⁵

W pierwszej połowie XVII w. Zakon przeżywał na ziemiach polskich okres stosunkowo szybkiego rozwoju. Na dwadzieścia siedem klasztorów, powstałych w okresie przedrozbiorowym, czternaście założono właśnie w tym czasie. **Młody Zakon włączył się w pełni w życie współczesnego Kościoła w Polsce. Zakonnicy pracowali w konfesjonale i na ambonie, wydając kilku znakomitych kaznodziejów, prowadzili duszpasterstwo akademickie w Krakowie, propagowali kult Najświętszej Maryi Panny i św. Józefa, zakładali bractwa religijne, zwłaszcza szkaplerza karmelitańskiego i św. Józefa, brali udział w dysputach religijnych, prowadzili działalność prounijną, zajmowali się wykupem jeńców z niewoli tureckiej, prowadzili również działalność piśmienniczo-wydawniczą.**²⁶

Jak wspomniano wyżej, pierwszy klasztor Karmelitów Bosych w Polsce powstał z inicjatywy misjonarzy, zdążających przez Polskę do Persji i miał służyć m. in. jako hospicjum dla ich następców. W przyszłości rzeczywiście przez ziemie polskie wędrowali karmelitańscy misjonarze do Persji i z Persji. Prowincja polska utrzymywała żywy kontakt z klasztorem w Isfahanie, stolicy Persji. Z inicjatywy karmelitów, Władysław IV wziął misje w Persji pod swoją opiekę.²⁷

W 1623 r. zadecydowany został w Rzymie wyjazd dwóch karmelitów z Polski na misje do Persji. Jednym z nich miał być o. Andrzej Brzechwa. Okoliczności zewnętrzne przeszkodziły jednak realizacji tego zamiaru. W Prowincji Polskiej usiłowano stworzyć własne ośrodki kształcenia misjonarzy, najpierw w Berdyczowie, a następnie w Głębokiem. Projekty te nigdy jednak nie zostały zrealizowane.²⁸

Polskie seminaria misyjne miały przygotować do misji na ziemiach Rzeczypospolitej, przede wszystkim wśród ludności prawosławnej. W pierwszej połowie XVII w. wysłano kilkunastu zakonników do seminarium misyjnego w Rzymie. Zdecydowana większość z nich, na żądanie

²⁵ Czesław Gil OCD: Karmelici Bosi w Polsce 1605-1655. Nadbitka z: „Nasza Przyszłość” 48 (1977) s. 14-26; Leonard Kowalówka OCD: Z naszej przeszłości misyjnej. Rzym 1975, s. 33-88.

²⁶ Cz. Gil, dz.cyt. s. 178-208; L. Kowalówka. dz.cyt. s. 89-136

²⁷ S. Załęski: Misje w Persji w XVII i XVIII wieku pod protektorem Polski. Kraków 1882, s. 55-61

²⁸ L. Kowalówka, dz.cyt.s. 102-123. Autor twierdzi, że seminaria misyjne w tych klasztorach rzeczywiście istniały. Uważa również, że istniało trzecie seminarium misyjne w Wiśniowcu. Naszym jednak zdaniem nie przytacza na to wystarczających dowodów. Por. H. Gil: I carmelitani scilicet in Polonia. W: „Ephemerides Carmeliticae”. Vol. XXII(1971) s. 150-152

przełożonych prowincji, wracała do kraju, gdzie pełnili obowiązki lektorów w kolegiach zakonu.

Pierwszym Karmelitą Bosym z Polski, który został skierowany na misje zagraniczne, był o. **Dionizy Miliński**. Urodził się w roku 1611. Profesję złożył ok. 1635 r. w Lublinie. Prawdopodobnie w 1644 r., już po święceniach, został wysłany do seminarium misyjnego w Rzymie, skąd 17 maja 1646 r. został skierowany przez definitora generalnego do Persji.

Jak wspomniano wyżej, Karmelici Bosi przybyli do Persji w grudniu 1607 r. W lutym roku następnego otwarli w stolicy państwa klasztor i kościół. Istnienie domu w Isfahanie zależało od koniunktury politycznej i było bardzo niepewne. Dlatego szybko rozpoczęto starania w celu założenia na Wschodzie innego klasztoru, który mógłby być punktem oparcia dla Zakonu w tym rejonie.

I tak powstały m. in. placówki misyjne:

na wyspie Ormuz, w cieśninie o tej samej nazwie w 1612 r.,
w Tatta, w delcie Indusu, należącej wówczas do państwa Wielkiego Mogola – 1613r.,
w Goa na Wybrzeżu Malabarskim w Indiach -1621 r.
oraz w Basra w Mezopotamii -1623 r.

Do roku 1622 centralnym domem na Wschodzie był klasztor na wyspie Ormuz. Wyspa ta od 1514 r. należała do Portugalczyków, leżała na ważnym szlaku handlowym. Klasztor powstał z myślą opieki nad kupcami portugalskimi. Istniał w nim nowicjat. W 1622 r. wyspa została zdobyta przez Persów przy poparciu Anglików, skutkiem czego klasztor trzeba było zamknąć. Rolę centralnego ośrodka przejął dom w Goa, w stolicy posiadłości portugalskich w Indiach. Tutaj również założono nowicjat oraz dom studiów.²⁹

Władysław IV, zainteresowany wojną z Turcją, nawiązał kontakty dyplomatyczne z szachem perskim. Obecność w Isfahanie o. Dionizego, przedstawiciela kraju zaprzyjaźnionego z Persją, w trudnych chwilach mogła pomóc klasztorowi. Znajac stosunki miejscowe, mógł również służyć pomocą posłom króla polskiego, a także otoczyć ich opieką duszpasterską.

O. Dionizy udał się na Wschód z wizytatorem generalnym o. Stefano di Gesu. Droga ich prowadziła przez Morze Śródziemne i Mezopotamię. W listopadzie 1646 r. byli w Bagdadzie, na początku zaś grudnia w Basra. Wizytator generalny zmienił w drodze decyzję definitorium i zamiast odesłać o. Dionizego bezpośrednio do Isfahanu, wziął go ze sobą do Indii. Z Basra jechali statkiem do portu perskiego Kung, leżącego w pobliżu wyspy Ormuz. W listopadzie byli już w Goa. Wydaje się, że o. Dionizy przebywał tam bez przerwy do 1654r., kiedy to został mianowany przełożonym małej placówki w Tatta. Placówka ta została założona w celu duszpasterskiej opieki nad kupcami portugalskimi. W 1660 r. wybrano go delegatem misji na kapitułę generalną w 1662 r. W kapitule nie wziął jednak udziału. Najpewniej przybył do Rzymu już po kapitule. Został wówczas mianowany wikariuszem prowincjonalnym (przełożonym) misji w Persji i Indiach. Obowiązek ten sprawował do śmierci. Po kilku miesiącach pobytu w Europie wyruszył ponownie na Wschód. Jako przełożony misji stale podróżował. W 1668 r. odwiedził klasztor w Isfahanie. Zmarł w Kung, w styczniu 1673 r. Niewiele wiemy o pracy o. Dionizego jako kapłana – misjonarza. Jeden z jego towarzyszy

²⁹

Alberto de la Virgen del Carmen, dz.cyt. s. 227-242; Elisee de la Nativite: Les missions des Carmes dechausses. W: "Etudes Carmelitaines". 15(1930) s. 1-39. Tłum. Pol.: Misje OO. Karmelitów Bosych. Kraków 1937.

pracy misyjnej, napisał po śmierci o. Dionizego: „Był zakonnikiem odznaczającym się duchem apostołskim i świętym życiem. Znał dobrze język perski i portugalski; utalentowany, wykształcony, gorliwy o zbawienie dusz, dobry misjonarz i teolog.”³⁰

Następcą o. Dionizego Milińskiego na urzędzie przełożonego karmelitańskich misji wschodnich był inny Polak, [o. Hieronim Ciołek Drzewiecki](#).

O. Hieronim urodził się w Sanoku. Przed wstąpieniem do Zakonu brał udział w walkach z Tatarami; dostał się do niewoli, skąd szczęśliwie udało mu się uciec. Do Zakonu wstąpił w 1651 r., profesję złożył 22 marca 1652 r., święcenia kapłańskie otrzymał w Lublinie 1 stycznia 1659 r. Najpewniej w 1661 r. wyjechał do seminarium misyjnego w Rzymie, gdzie 18 marca 1662 r. złożył ślub pójścia na misje. 27 października tegoż roku definitorium generalne poleciło mu udać się do Goa. Był przeorem tego klasztoru w latach 1663-1666, następnie został przeorem w Isfahanie. Współcześnie o. Dionizy Miliński był wikariuszem prowincjalnym misji karmelitańskich. Na ich prośbę król polski Jan Kazimierz wystosował do szacha perskiego w 1668r. list rekomendacyjny dla klasztoru karmelitów w Isfahanie. Szach Soliman (1666-1694), uprzednio niechętny wobec misji, zmienił stanowisko, przywrócił zakonnikom dawne przywileje, pozwolił im odprawiać publicznie obrzędy religijne oraz wybudować nowy klasztor i kościół w sąsiedztwie pałacu królewskiego. O. Hieronim, znający dobrze język perski i turecki oraz języki zachodnioeuropejskie, służył często za tłumacza w kontaktach między szachem, a władcami chrześcijańskiej Europy.

Jako przełożony misji wschodnich dbał o odpowiedni poziom nauki w domu studiów zakonnych w Goa. Troszczył się, aby konwertytom z islamu zapewnić środki utrzymania i bezpieczne mieszkanie poza zasięgiem władzy króla perskiego.

W 1678 r., na usilne żądanie przełożonych Prowincji Polskiej, przełożony generalny zgodził się na powrót o. Hieronima do Polski. Już w roku 1679 został przeorem w klasztorze krakowskim. W 1682 r. na kapitule prowincjalnej w Lublinie wybrano go prowincjałem, a w roku następnym, kapituła generalna wybrała go definitorem generalnym (1688-91, 1691-94). Zmarł w klasztorze lubelskim 5 lipca 1695r. Czas wolny poświęcał tłumaczeniu i kompilowaniu traktatów ascetycznych.³¹

W połowie XVII w. jeszcze trzech karmelitów z Polski pracowało na misjach. Byli to: [o. Mikołaj Kazimierski](#), [o. Ignacy od Jezusa](#) oraz [o. Gerard Głuchowski](#).

O. Mikołaj urodził się ok. 1614r. w Bibersztynie. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1648r. Po święceniach wyjechał do seminarium misyjnego w Rzymie, gdzie 3 czerwca 1649r. złożył ślub pójścia na misje. Przypuszczalnie w 1650r. wyjechał do Goa. Był bardzo zdolny, władał dobrze językiem portugalskim, pokładano w nim duże nadzieje. Niestety, zmarł już w 1654r.³²

³⁰ L. Kowalówka, dz.cyt. s. 172-365; Herbert Chick: A chronicle of the Carmelites in Persia. Vol. 2, London 1939 s. 726 przyp. 10, s. 850-853

³¹ L. Kowalówka, dz.cyt. s.357-452; Herbert Chick; dz.cyt. s.726, 729 przyp. 11, 905-907; Robert Chabrie:Le P. Jerome de Jesuse-Marie. W: "Etudes Carmalitaines" Vol. 1-2(1925) s. 180-206

³² L. Kowalówka, dz.cyt. s. 355-356

O. Ignacy od Jezusa był również alumnem seminarium rzymskiego. Przez pewien czas pracował w Indiach. Zmarł w roku 1656.³³

O. Gerard Głuchowski urodził się w roku 1916 na Kujawach. Do zakonu wstąpił w 1641r. Po święceniach został wysłany do seminarium misyjnego, a następnie przez pewien czas pracował na misjach, nie wiemy jednak gdzie i kiedy. Był trzykrotnie prowincjałem (1664-67, 1676-79 i 1691-94) oraz wielokrotnie przeorem. Zmarł w Krakowie 26 kwietnia 1695r.³⁴

Przez długie lata na misji w Persji pracował o. Władysław Reuzner. Urodził się 19 marca 1630 r. w Turobinie w Lubelskiem. Do Zakonu wstąpił w Kolonii i należał do prowincji niemieckiej. Z tego powodu w źródłach jedni uważają go za Niemca, inni zaś za Polaka. Do pracy misyjnej przygotowywał się w kolegium misyjnym w Rzymie. W 1668 r. udał się do Persji, gdzie spędził 45 lat życia. Pracował w Isfahanie i w Shiraz. Placówka misyjna w Shiraz, między Isfahanem a Zatoką Perską, została założona w 1623 r. Jej oddziaływanie było bardzo owocne na całą pobliską okolicę. O. Władysław Reuzner zmarł w Isfahanie – „bogaty w zasługi i świętość”.³⁵

Współcześnie, na misjach w Palestynie pracował inny Karmelita Bosy tego samego imienia o. Władysław Dorosiewicz. Do Zakonu wstąpił w Krakowie w 1676 r. Pracę misyjną rozpoczął w 1685 r. Pracował wśród jeńców chrześcijańskich i chrześcijan wschodnich. Zmarł w 1725 r.³⁶

W 1679 r. przeorem nowicjatu krakowskiego został o. Hieronim Ciołek Drzewiecki, który niedługo przedtem wrócił z Persji. We wrześniu roku następnego dał habit zakonny Albertowi Laskowiczowi, synowi mieszczan bocheńskich, urodzonemu w 1660 r. Dnia 30 września 1681r. brat Rajmund od św. Michała (takie bowiem imię otrzymał w Zakonie), złożył śluby zakonne na ręce o. Hieronima. W ten sposób były przeor z Isfahanu przygotował sobie następcę. O. Rajmund wyjechał do Persji bezpośrednio z Polski w 1696 r. Pracował w Shiraz i Isfahanie. Był przeorem w Isfahanie. Dokładnych dat jego urzędowania nie znamy, ale na pewno był przeorem w 1705 i 1707 r. Zresztą przez dłuższy czas swoją obecnością w tym mieście podtrzymywał istnienie placówki misyjnej. Zmarł w Shiraz w 1715 lub 1716 r.³⁷

W XVIII wieku już tylko trzech karmelitów z Polski wyjechało na misje. Dwóch z nich: o. Ildefons Igrisz oraz o. Florencjusz Szostak pracowali w Indiach, a o. Cyryl Żurowski w Syrii.

O. Cyryl urodził się w roku 1741. Do Zakonu wstąpił w Przemyślu. Tamże złożył śluby zakonne, 24 sierpnia 1758 r. W latach 1773-1777 pracował w Aleppo. Klasztor w tym mieście został założony w 1627 r. Zakonnicy poświęcali się przede wszystkim pracy wśród

³³ Tamże, s.170-171

³⁴ Tamże, s. 169-170

³⁵ Tamże, s.453-464; Alberto de la Virgen del Carmen, dz.cyt. s.237.

³⁶ L. Kowalówka, dz.cyt. s. 465-466; W. Urbani: Akcja misyjna Kościoła Katolickiego w Polsce. W: Księga tysiąclecia katolicyzmu w Polsce. Lublin 1969. s.625.

³⁷ Elisee de la Nativite, dz.cyt. s. 35-37, 43-47.

chrześcijan odłączonych od Kościoła Katolickiego i to z widocznym skutkiem. W 1777 r. wrócił do kraju. Zmarł w Czernej 26 kwietnia 1806 r.³⁸

O. Ildefons Igrisz urodził się 1 maja 1724 r. w mieście Szakolca na Węgrzech. Matka jego była prawdopodobnie Polką, nazywała się bowiem Elżbieta Skoycowa. Przypuszczalnie fakt ten zdecydował o tym, że wstąpił do nowicjatu w Krakowie w 1747 r., 24 listopada 1748 r. złożył śluby zakonne. W latach 1756-1759 przebywał w seminarium misyjnym w Rzymie. W 1759 r. został skierowany do pracy misyjnej na Wybrzeżu Malabarskim w Indiach. W roku 1761 przybył do Verapoly.

Już na początku lat trzydziestych XVII w. karmelici z Goa zamierzali założyć placówkę misyjną na Wybrzeżu Malabarskim. Z braku funduszy nie udało się to wówczas. Przybyli tam w roku 1657, z polecenia papieża Aleksandra VII, w celu doprowadzenia do jedności z Kościołem tzw. chrześcijan św. Tomasza. Dzieło w znacznej części powiodło się. Erygowany i powierzony Karmelitom Bosym Wikariat Apostolski Malabaru stał się najpiękniejszym przykładem skuteczności pracy misyjnej Zakonu.

W 1768 r. o. Ildefons został wysłany do Rzymu, jako rzecznik misji katolickich na Wybrzeżu Malabarskim. Wziął ze sobą do Rzymu rękopisy różnych prac, powstałych w Indiach, z zamiarem wydania ich drukiem. Prace jego dotyczyły sytuacji Kościoła w tym rejonie, katechezy misyjnej oraz językoznawstwa. Opracował m.in. gramatykę języka malabarskiego. Żadna z tych prac nie ukazała się drukiem. Są przechowywane w Archiwum Zakonu w Rzymie oraz w Archiwum Kongregacji Rozkrzewiania Wiary.

31 sierpnia 1771 r. o. Ildefons został mianowany Wizytatorem Apostolskim Malabaru. Godności tej jednak nie przyjął i poprosił o pozwolenie powrotu do Polski. Zmarł 3 października 1790 r. w Mielcu.³⁹

Najbardziej zasłużonym misjonarzem polskim dla Malabaru był o. Florencjusz Szostak. O. Florencjusz, ze chrztu Mikołaj, pochodził z rodziny szlacheckiej, urodził się w roku 1711. Mając lat 16 wstąpił do nowicjatu w Głębokiem, na Litwie. Tamże, 12 października 1728 r., złożył śluby zakonne. W roku 1735 otrzymał święcenia kapłańskie w Lublinie, następnie przez pewien czas uczył filozofii. Prawdopodobnie w roku 1735 udał się do seminarium misyjnego w Rzymie. 17 sierpnia 1739 r., dekretem Kongregacji Rozkrzewiania Wiary został skierowany do pracy misyjnej na Wybrzeżu Malabarskim. Przybył tam we wrześniu następnego roku. 19 stycznia 1746 r. został mianowany przez Kongregację Krzewienia Wiary biskupem pomocniczym Wikariusza Apostolskiego Malabaru, Giovanni Battista Morteo, z prawem następstwa. W roku 1750 przyjął po nim urząd. 22 kwietnia został konsekrowany przez Wikariusza Apostolskiego Bombaju.

Sytuacja Wikariusza Apostolskiego nie była łatwa. Malabar od prawie stu lat znajdował się pod panowaniem holenderskim. Gubernator holenderski, rezydujący w Koczinie (Kochin) uważał się nie tylko za władcę w sprawach cywilnych czy wojskowych, ale również i w religijnych. Od niego praktycznie zależała nominacja proboszczów. Stwarzało to niekiedy sytuacje kłopotliwe dla Wikariusza. O. Florencjusz był jednak dobrym dyplomatą i umiał z nich wychodzić obronną ręką. W stosunkach z lokalnymi władcami narodowymi potrafił

³⁸ L. Kowalówka, dz.cyt. s. 168-169; Elisee de la Nativite, dz.cyt. s.29

³⁹ L. Kowalówka, dz.cyt. s. 689-700

zachować takt, dlatego nie miał z ich strony trudności. Co więcej, przyznano mu władzę sądowniczą nad katolikami.

Bp Szostak dużo uwagi poświęcił umocnieniu i rozwojowi lokalnego Kościoła. Przede wszystkim udało mu się w roku 1764 uzyskać zgodę Kongregacji Rozkrzewiania Wiary na otwarcie dwóch seminariów duchownych: dla kleru łacińskiego oraz syro-chaldejskiego. Kongregacja przyznała także fundusze na budowę oraz stypendia dla 10 kleryków obrządku łacińskiego i dla 12 kleryków obrzędu syro-chaldejskiego. W roku 1766 otwarto prowizoryczne seminarium obrządku syryjskiego w klasztorze karmelitów w Mangate. Przez krótki czas kierował nim o. Ildefons Igrisz. Równocześnie otwarto w Verapoly, w siedzibie Wikariusza Apostolskiego, seminarium obrządku łacińskiego. W roku 1773 oba seminaria połączono w Verapoly. Łącznie kształciło się w nim wówczas 33 kleryków.

Z czasem stało się ono bardzo ważną placówką naukową i wychowawczą. Od roku 1933 znajduje się w Alwaye, na terenie diecezji Verapoly. W roku 1959 studium teologiczne seminarium zostało afiliowane do Uniwersytetu Laterańskiego. W roku akademickim 1959/60 w seminarium uczyło się 686 studentów trzech obrządków.

O. Florencjusz szczególną opieką otoczył neofitów. Wybudował dla nich w mieście biskupim specjalny dom. Jeden ze współczesnych misjonarzy nazwał go „ojcem neofitów”. Troską duszpasterską otaczał katolików obu obrządków. Dzięki jego naleganiom Kongregacja Rozkrzewiania Wiary wydrukowała w Rzymie w roku 1773 mszał dla kapłanów obrządku syro-chaldejskiego.

W życiu osobistym, Wikariusz Apostolski był bardzo prosty i bezpośredni. Jego mieszkanie było przykładem zakonnego ubóstwa. W roku 1768 poważnie zachorował na oczy. W roku 1773 dołączyła się wodna puchlina. Zmarł po dwumiesięcznej chorobie, 26 lipca 1773 w Verapoly i tamże został pochowany w kościele św. Józefa.

4. MISJA W BURUNDI.

O. Florencjusz Szostak był ostatnim misjonarzem karmelitańskim z Polski przedrozbiorowej. Rozbiory Polski były nie tylko kresem istnienia Państwa Polskiego, ale również zapoczątkowały agonię życia zakonnego na ziemiach polskich. Po ostatnich kasatach, spowodowanych klęską powstania styczniowego, prowincja polska przestała istnieć. Uratował się tylko klasztor w Czernej koło Krzeszowic, który 15 listopada 1875 r. został przyłączony do prowincji austro-węgierskiej. W roku 1880 dokonano w nim odnowy życia zakonnego przy pomocy zakonników z innych prowincji. W roku 1892 otwarto w Wadowicach Niższe Seminarium w celu przygotowania kandydatów do Zakonu. Dzięki niemu liczba zakonników z roku na rok rosła, powstawały również nowe klasztory. To umożliwiło usamodzielnienie się klasztorów polskich w Galicji w roku 1911 oraz ponowną erekcję Prowincji Polskiej 1 maja 1920r.

Pierwszym, który nawiązał do tradycji misyjnych dawnej prowincji polskiej był o. [Ireneusz Oskwarek](#). O. Ireneusz urodził się w Trzebuni k. Myślenic. Był alumnem Niższego Seminarium w Wadowicach. Do Zakonu wstąpił w roku 1911, śluby zakonne złożył w Czernej 28 lipca 1912 r. Świecenia kapłańskie otrzymał 21 września 1919 r. Przez pewien czas pracował w Pradze czeskiej. W roku 1921 został wysłany do klasztoru na Górze Karmel w Palestynie, gdzie uczył kleryków filozofii oraz był ekonomem domu. Na prośbę

przełożonych prowincji wrócił do Polski w roku 1927. Był znanym i cenionym kaznodzieją oraz rekolekcjonistą. Zmarł w Lublinie 12 września 1947 r.

Po drugiej wojnie światowej pracę ewangelizacyjną w Izraelu podjął o. [Daniel Rufeisen](#). Urodził się 29 stycznia 1922 r. w Zadziewie koło Żywca. W roku 1945 wstąpił do nowicjatu w Czernej, gdzie 9 czerwca 1946 r. złożył śluby zakonne. Święcenia kapłańskie otrzymał w Krakowie 29 czerwca 1952 r. Wkrótce zasłynął w całej Polsce jako kaznodzieja i konferencjonista. Będąc Żydem z pochodzenia, ciągle marzył o wyjeździe do Palestyny, aby tam głosić Chrystusa. Opuścił Polskę w maju 1959 r. i zamieszkał w klasztorze na Górze Karmel. Swoją troską duszpasterską objął przede wszystkim małżeństwa mieszane, które w Izraelu są dość liczne. Z wielkim zapałem usiłuje stworzyć gminę chrześcijańską, tkwiącą głęboko w tradycji i kulturze hebrajskiej, będąc przekonanym, że jedynie na tej drodze praca ewangelizacyjna wśród Żydów może wydać owoce.

O złożonej problematyce jego pracy pisał ks. Adam Boniecki w „Tygodniku Powszechnym” z 25 I 1975 r. (art. „Swoi, którzy go przyjęli”). Oto cytowane przez autora słowa o. Daniela: „Przyszedłem tu myśląc, że przynoszę Żydom religię żydowską. Po upływie pięciu lat wiedziałem już z całą pewnością, że nie mogę nawet z nimi rozmawiać. Dopiero trzeba docierać do chrześcijańskiej myśli pregreckiej. Dostaję czasem listy z Polski. Pytają: ilu ochrzciłeś? A to nie jest problem chrzczenia. Ci, których ochrzciłem, wyjechali z Izraela. Tu mamy przed sobą długą drogę, musimy od nowa nauczyć się naszego chrześcijaństwa, chrześcijaństwa, które wyszło z tych tradycji, z tego myślenia, z tej ziemi.”

Łączność karmelitów polskich z Indiami przed samą drugą wojną światową odnowił o. [Hipolit Putek](#). O. Hipolit urodził się 21 stycznia 1910 r. w Wadowicach. Jako alumn Niższego Seminarium w Wadowicach wstąpił do nowicjatu w Czernej w roku 1925. Śluby zakonne złożył 24 stycznia 1926 r. Studia teologiczne odbył w Kolegium Międzynarodowym Karmelitów Bosych w Rzymie. Tam też otrzymał święcenia kapłańskie 2 lipca 1933 r. Następnie, w ramach przygotowań do pracy misyjnej, spędził kilka miesięcy w Lowanium (od września 1933 do marca 1934) oraz trzy miesiące w Candi na Cejlonie. Pierwszą placówką w Indiach było Niższe Seminarium w Quilon na Wybrzeżu Malabarskim. Około roku uczył tam katechizmu. Potem został przeniesiony do międzydiecezjalnego seminarium w Alwaye, gdzie był profesorem teologii moralnej i pastoralnej. W latach 1960-1972 był również ekonomem tego seminarium. Przez cały czas pobytu w Alwaye był spowiednikiem Karmelitanek Bosych oraz Franciszkanek klauzurowych. W sierpniu 1972 r. poważnie zachorował. Nie mógł już wrócić do swoich zajęć. Na zaproszenie prowincjała wrócił do Polski w kwietniu 1974 r.

W ten sposób zakończył się jakby pierwszy etap udziału Prowincji polskiej w dziele ewangelizacji. W tym okresie zakonnicy wyjeżdżali na misje pojedynczo. Prowincja jako całość nie brała na siebie odpowiedzialności za ich pracę. Nigdy dotychczas Prowincja nie miała „swojej” misji.

Sytuacja zmieniła się dopiero, gdy w czerwcu 1969 r. zebrała się w Krakowie Kapituła Prowincjalna Karmelitów Bosych w Polsce. Była to pierwsza kapituła po Nadzwyczajnej Kapitule Generalnej z roku 1968, której celem było przystosowanie prawodawstwa zakonnego do potrzeb Kościoła naszych czasów. W takim kontekście na kapitule musiał pojawić się problem misji, czy raczej problem udziału Prowincji polskiej w dziele

ewangelizacji. Owocem dyskusji, w której nawiązywano do tradycji misyjnej Zakonu i Prowincji, było podjęcie uchwały w dniu 27 czerwca: „Żądają Ojcowie, aby tradycja misyjna naszej Prowincji była kontynuowana. Dlatego należy wyznaczyć kilku odpowiednich zakonników, odznaczających się troską o zbawienie dusz, na misje zagraniczne.” Wykonanie tej decyzji należało do prowincjała i rady prowincjalnej.

Pismem z 20 lutego 1970 r. prowincjał polski, o. Remigiusz Czech zlecił o. Leonardowi Kowalówce, sekretarzowi prowincjalnemu misji, przybywającemu wówczas w Rzymie, podjęcie starań w celu wyszukania odpowiedniej, samodzielnej placówki misyjnej. Już wcześniej postanowiono, że będzie to misja w Afryce, w strefie języka francuskiego.

W 1970r. o. Leonard Kowalówka brał udział w obradach sekretarzy prowincjalnych misji karmelitańskich w Rzymie. Dnia 4 kwietnia spotkali się wszyscy z Ojcem św. Pawłem VI podczas ogólnej audiencji.

Ojciec św. zwrócił się do niech ze specjalnym pozdrowieniem i zachętą: „Czujemy się zobowiązani do specjalnego powitania Czcigodnego Przełożonego Generalnego Karmelitów Bosych oraz Sekretarzy Prowincjalnych Misji tejże Rodziny zakonnej, którzy przybyli tu do Rzymu i rozważają, jak praktycznie realizować dekrety soborowe i ich wskazania, aby Zakon mógł coraz bardziej wzrastać w duchu misyjnym. Wasze zebranie, Najmilsi Synowie, wchodzi w skład szlachetnego wysiłku odnowy, jaki Sobór Watykański II obudził w Kościele, niby wielki płomień światła i żaru. Patrzymy z radością, jak duch żarliwości misyjnej św. Teresy z Avila i św. Jana od Krzyża, których jesteście duchowymi synami, znajduje w was swój wyraz tak wspaniałomyślny i tak bardzo odpowiadający dzisiejszym wymogom, by sprostać rosnącej potrzebie działalności apostołskiej w świecie. Wiedźcie, że to wasze świadectwo miłości ku Chrystusowi i Kościołowi bardzo nas podnosi na duchu i raduje. Powiedzcie to waszym Współbraciom, którzy potrafią tak dobrze łączyć z kontemplacją rzeczy niebieskich i ascezą świętej Góry Bożej, nienasycone pragnienie zbawiania dusz. Powróciwszy do waszych Prowincji, powtarzajcie wszystkim, że Papież ich kocha, zachęca i błogosławi z ogromną miłością.”

22 maja 1970r. o. Leonard, zaopatrzony w listy polecające do Nuncjuszy apostolskich w Kongu (Zair) i Burundi oraz do biskupów w tychże krajach, wyruszył w drogę.

Podczas pobytu w Kongu doszło do bardziej szczegółowych rozmów z biskupem Wiktorem Keuppensem, ordynariuszem diecezji Kamina w Katandze. Diecezja ta odczuwała duży niedostatek misjonarzy. Biskup Keuppens nawiązał już wówczas rozmowy z franciszkanami polskimi, którzy obiecali mu przyjść z pomocą. Gotów był jednak przyjąć karmelitów, przydzielając im część swej diecezji. Proponował o. Leonardowi objęcie Małego Seminarium w Kanzenze oraz parafii w tejże miejscowości lub placówkę wśród buszu w Kafakumba, która byłaby ośrodkiem działalności w promieniu od 60 – 100 km.

W Burundi o. Leonard otrzymał dwie konkretne propozycje: od arcybiskupa Gitegi, Andrzeja Makarakiza oraz od biskupa Bururi, Józefa Martin. Abp Makarakiza ofiarował karmelitom parafię w Mbozgora, leżącą 30 km od Gitegi, liczącą ok. 40 tys. mieszkańców, w tym ok. 27 tys. katolików i ok. 3 tys. katechumenów. Zdaniem arcybiskupa, chrześcijanie w tej parafii byli gorliwi, poganie animiści łatwo nawracali się na chrześcijaństwo, władze cywilne zaś sprzyjały dziełu ewangelizacji, któremu towarzyszył wielki wysiłek dla podniesienia poziomu życia kulturalnego i społecznego.

Bp Józef Martin ofiarował karmelitom zorganizowaną już parafię w Mpindze. Dotychczas prowadzili ją Ojcowie Biali. Ogólna liczba mieszkańców parafii wynosiła ponad 57 tysięcy, z czego tylko ok. 17 tysięcy to katolicy. Mpinga jest położona w najuboższej części państwa i należy do najbardziej zaniedbanych pod względem religijnym. Stwarzało to bogate możliwości pracy misyjnej, charytatywnej i cywilizacyjnej. Praktycznie już podczas swego pobytu w Burundi o. Leonard zdecydował, że tę właśnie parafię obejmą karmelici polscy. 18 czerwca 1970r. podpisali obaj z bpem Martin projekt umowy między diecezją a Prowincją polską karmelitów. Projekt przewidywał m.in. objęcie, obok Mpingi, drugiej parafii na terenie diecezji.

W jesieni 1970r. o. Leonard wrócił do Polski. [Przedstawione wyżej propozycje zostały przedłożone Radzie Prowincjalnej, która w dniu 10 listopada postanowiła przyjąć misje w Burundi, w diecezji Bururi. 21 stycznia 1971r. prowincjał o. Remigiusz Czech wniósł do Definitorium prośbę o pozwolenie na podjęcie pracy misyjnej przez Prowincję polską. Definitorium udzieliło pozwolenia dekretem z 5 lutego 1971r. 17 lutego Rada Prowincjalna zdecydowała, że wyjedzie jedenastu misjonarzy. Wybrano ich spośród dwunastu zgłaszających się. Oto oni:](#)

[O. Leonard Kowalówka](#), ur. 3 III 1913r. w Wadowicach, szkołę średnią ukończył w Prywatnym Gimnazjum Karmelitów Bosych w Wadowicach, do Zakonu wstąpił w roku 1930, śluby zakonne złożył 4 VIII 1931r., studia teologiczne ukończył w Kolegium Międzynarodowym Karmelitów Bosych w Rzymie, święcenia kapłańskie otrzymał w Rzymie 15 V 1938r. Przed wyjazdem na misje pracował w prowincji jako wychowawca, profesor filozofii i teologii, był również rekolekcjonistą oraz przez długie lata sekretarzem prowincjalnym misji. Jest tłumaczem i autorem kilku dzieł ascetycznych. W 1970r. uzyskał na Uniwersytecie Laterańskim tytuł doktora teologii. Na misje wyjechał jako przełożony i organizator. W jesieni 1972r. opuścił Burundi udając się do Włoch, gdzie pracował w sekretariacie Kurii Generalnej Karmelitów Bosych w Rzymie. W roku 1975 wrócił do Polski.

[O. Teofil Kapusta](#), ur. 31 X 1931r. w Gierałtowickach, szkołę średnią ukończył w Niższym Seminarium w Wadowicach, do Zakonu wstąpił w roku 1949, profesję zakonną złożył 29 VII 1950r., filozofię i teologię studiował w Poznaniu i Krakowie, święcenia kapłańskie otrzymał 17 V 1958r. W roku 1970 otrzymał dyplom licencjacki z teologii na Prymasowskim Studium Życia Wewnętrznego w Warszawie. Przed wyjazdem na misje przez wiele lat był wychowawcą kleryków. W 1972r. został mianowany przełożonym misji w Burundi. W 1979 r. opuścił Burundi.

[O. Jan Kanty Stasiński](#), ur. 27 VI 1933r. w Żabikowie k. Poznania, szkołę średnią ukończył w Poznaniu, do Zakonu wstąpił w roku 1950, profesję zakonną złożył 27 VII 1951r., studia filozoficzno-teologiczne ukończył w Poznaniu i Krakowie, święcenia kapłańskie otrzymał 17 V 1958r. W roku 1962 uzyskał tytuł magistra filozofii na KUL-u . przed wyjazdem na misje był profesorem filozofii w Kolegium Filozoficznym w Poznaniu. W 1979 r. opuścił Burundi.

[O. Kasjan Dezor](#), ur. 24 XII 1932r. w Poznaniu, szkołę średnią ukończył w Poznaniu, do Zakonu wstąpił w 1950r., śluby zakonne złożył 28 VII 1951r., studia filozoficzno-teologiczne ukończył w Poznaniu i Krakowie, święcenia kapłańskie otrzymał 26 VI 1960r. Przed wyjazdem na misje pracował w duszpasterstwie, głównie jako katecheta. W roku 1973

wyjechał z Burundi do Belgii, gdzie – za pozwoleniem kompetentnych przełożonych - pracował jako ksiądz-robotnik, skąd wrócił do Polski.

[O. Klaudiusz Spyrka](#), ur. 25 II 1934 r. w Zawoi, jest alumnem Niższego Seminarium w Wadowicach, do Zakonu wstąpił w roku 1952, śluby zakonne złożył 30 VII 1953r., studia filozoficzno-teologiczne ukończył w Poznaniu i Krakowie, święcenia kapłańskie otrzymał 16 VI 1962r. Przed wyjazdem na misje pracował w duszpasterstwie, głównie jako katecheta. Opuścił Burundi w 1976 r.

[O. Edmund Wrześniński](#), ur. 3 IX 1934r. w Wierzbowicach, jest alumnem Niższego Seminarium w Wadowicach, do Zakonu wstąpił w roku 1952. Śluby zakonne złożył 17 VIII 1953r., studia filozoficzno-teologiczne ukończył w Poznaniu i Krakowie, święcenia kapłańskie otrzymał 21 VI 1963 r. Przed wyjazdem na misje pracował w duszpasterstwie. W roku 1972 wrócił do Polski.

[O. Sylwan Zieliński](#), ur. 10 IV 1941r. w Wadowicach, szkołę średnią ukończył w Wadowicach, do Zakonu wstąpił w 1956r., śluby zakonne złożył 25 IX 1957r., studia filozoficzno-teologiczne ukończył w Poznaniu i Krakowie, święcenia kapłańskie otrzymał 25 VI 1965r. Studiował liturgikę na KUL-u i na Papieskim Wydziale Teologicznym w Krakowie, gdzie w 1971r. otrzymał stopień licencjata. Przed wyjazdem na misje pracował w duszpasterstwie oraz był wychowawcą młodzieży zakonnej.

[O. Kamil Ratajczak](#), ur. 30 VI 1942r. w Poznaniu, jest alumnem Niższego Seminarium w Wadowicach, do Zakonu wstąpił w roku 1961, śluby zakonne złożył 24 VII 1962r., studia filozoficzno-teologiczne ukończył w Poznaniu i Krakowie, święcenia kapłańskie otrzymał 24 V 1969r. Przed wyjazdem na misje pracował w duszpasterstwie.

[O. Eliaz Trybała](#), ur. 7 IV 1942r. w Zawoi, jest alumnem Niższego Seminarium w Wadowicach, do Zakonu wstąpił w roku 1962, śluby zakonne złożył 25 VII 1963r., studia filozoficzno-teologiczne ukończył w Poznaniu i Krakowie, święcenia kapłańskie otrzymał 4 IV 1971r.⁴⁰

[Brat Marcei Szłósarczyk](#), ur. 8 IX 1936r. w Brzączowicach, do Zakonu wstąpił w roku 1958, śluby zakonne złożył 4 V 1959r. Przed wyjazdem na misje pracował w różnych klasztorach, przede wszystkim jako szef kuchni.

[Brat Sylwester Szypowski](#), ur. 10 III 1944r. w Męciszowie, do Zakonu wstąpił w roku 1969, śluby zakonne złożył 26 VIII 1970r. W 1975r. wrócił do Polski.

Kilka miesięcy przed projektowanym wyjazdem misjonarze zebrali się w Poznaniu. Czas ten był poświęcony nauce języka francuskiego oraz przygotowaniem do podróży. [22 czerwca w kościele Karmelitów Bosych w Poznaniu odbyło się uroczyste pożegnanie misjonarzy. Opis tego wydarzenia zamieszczamy niżej. Nazajutrz, 23 czerwca, odjechali pociągiem z Poznania do Paryża, gdzie przez kilka tygodni kontynuowali naukę języka francuskiego. 23 sierpnia przybyli do Rzymu. W nocy z 31 sierpnia na 1 września opuścili Rzym. W samo południe, 1 września, przybyli do stolicy Burundi, Bujumbury.](#)

Uszczuplona liczebnie grupa misyjna w Burundi została wzmocniona w roku 1974. Dnia 23 października wyjechali z Polski: [o. Józef Trybała i o. Jan Ryszard Wołek](#).

⁴⁰ Ze względu na przygotowania do wyjazdu, święcenia kapłańskie O. Eliasza miały odbyć się wcześniej, niż dla pozostałych ojców z jego kursu.- od red.

O. Józef Trybała jest bratem bliźniaczym wymienionego wyżej o. Eliasza. Do Zakonu wstąpił w roku 1965, śluby zakonne złożył 23 VII 1966r., a święcenia kapłańskie otrzymał 21 VI 1974r.

O. Jan Wołek urodził się 5 sierpnia 1943r. w Krakowie, do Zakonu wstąpił w roku 1972 jako kapłan diecezji krakowskiej (święcenia kapłańskie otrzymał 3 IV 1966r.). W roku 1975 powrócił do diecezji.

Liturgiczne pożegnanie obu misjonarzy odbyło się w Kościele poznańskim Karmelitów Bosych [22 października](#). Przewodniczył ks. bp Tadeusz Etter, sufragan diecezji poznańskiej. W uroczystości wziął również udział o. Teofil Kapusta, przełożony misji karmelitańskich w Burundi.

W 1976r. wyjechali do Burundi [o. Nazariusz Kwiatkowski](#) oraz [o. Bartłomiej Kurzyniec](#).

O. Bartłomiej Kurzyniec urodził się w 1 VIII 1950r., święcenia kapłańskie otrzymał 22 V 1976r. Wraz z nim wyświęcony został i na misje wyjechał O. Nazariusz Kwiatkowski.⁴¹

Do pomocy misjonarzom włączyło się również [Zgromadzenie Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus](#). Pierwotnie nie zamierzało ono podejmować pracy na terenach misyjnych. Dopiero Kapituła Generalna zgromadzenia w 1969r. włączyła misje do zadań jemu właściwych. Konkretnie decyzje w tej sprawie zostały podjęte w 1972r. 29 lutego dwie siostry: [Julianna Jurasz](#) i [Zygmunta Kaszuba](#) wyjechały do Francji w celu opanowania języka i przygotowania się na odpowiednich kursach do pracy misyjnej.

S. Julianna Jurasz urodziła się w Cięcinie, w diecezji krakowskiej, 19 stycznia 1925r. Do zgromadzenia wstąpiła w 1945r. Śluby zakonne złożyła 19 lipca 1947r. Przed wyjazdem na misje pracowała jako wychowawczyni w przedszkolu, katecheta, była również kilkakrotnie przełożoną domu.

S. Zygmunta Kaszuba urodziła się 17 sierpnia 1939r. w Pierzchni, w diecezji sandomierskiej. Do zgromadzenia wstąpiła w 1960r. Śluby zakonne złożyła 9 maja 1962r. Najpierw pracowała jako pielęgniarka, następnie w latach 1969 do 1972 studiowała na Wydziale Teologicznym KUL. We Francji, w Lyonie ukończyła kurs medycyny tropikalnej oraz przez 9 miesięcy odbywała praktykę w przychodni chorób tropikalnych. Została mianowana pierwszą przełożoną na misjach.

Obie siostry wyjechały do Burundi w grudniu 1973r. Utorowały one drogę następnym.

*

Zasadniczym trzonem tego wydawnictwa są listy misjonarzy karmelitańskich w Burundi z lat 1971 – 1975. Ponieważ listy dwóch głównych autorów, tj. o. Teofila Kapusty i o. Jana Kantego są rodzajem pamiętnika każdego z nich, dlatego postanowiono nie niszczyć ich wewnętrznej jedności. Zasadę tę zastosowano również w stosunku do pozostałych autorów. Listy wydajemy w całości. Wszelkie opuszczenia spowodowane koniecznością (niepotrzebne powtórzenia, sprawy osobiste autorów lub adresatów itp.) zostały wykropkowane.

Czesław Gil OCD

⁴¹

Dopisek redakcji.

I. KOŚCIÓŁ W BURUNDI.

„Ogólnie misjami nazywa się specjalne przedsięwzięcie, które wysłani przez Kościół głosiciele Ewangelii, idąc na cały świat, podejmują celem wykonania zadań głoszenia Ewangelii i zakładania Kościoła wśród narodów lub grup społecznych jeszcze nie wierzących w Chrystusa. Właściwym celem tej działalności misyjnej jest przepowiadanie Ewangelii i zakładanie Kościoła wśród ludów i grup, gdzie Kościół nie zapuścił jeszcze korzeni”. Oto stwierdzenie Soboru Watykańskiego II w „Dekrecie o działalności misyjnej Kościoła” (nr 6). Tymczasem wiadomo, że Burundi to najbardziej katolicki kraj w całej Afryce, że już około 70% ludzi w Burundi to chrześcijanie, że Kościół w Burundi posiada własną hierarchię.

Czy zatem, podejmując w roku 1971 pracę misyjną w Burundi, Polska Prowincja Karmelitów Bosych wysłała swoich misjonarzy rzeczywiście na misje? Albo postawmy pytanie inaczej: Czy Kościół w Burundi jest nadal Kościołem misyjnym?

1. RYS HISTORYCZNY

1878. Rozporządzeniem Stolicy Apostolskiej zostaje założona Misja Afryki Równikowej, którą powierzono Stowarzyszeniu Misjonarzy Afryki (Ojcowie Biali), założonemu przez kard. Lavigerie. Misja to obejmowała również teren Burundi.

1879. 30 lipca czterech Ojców Białych przybywa do Burundi i zakłada pierwszą misję w Rumunge, na brzegu jeziora Tanganika.

Niestety nieznanostwo języka i ludzi sprawiła, że misjonarze nie potrafili się obronić przed zarzutem współpracy z arabskimi handlarzami czarnych niewolników. Dwóch z nich okrutnie zamordowano w 1881 r. Inni powrócili na przeciwległy brzeg jeziora.

1884 - 1891. Misjonarze próbowali kilkakrotnie osiedlić się w okolicach obecnej stolicy kraju – Bujumbury. Kończyło się jednak na próbach, gdyż handlarze niewolnikami, widząc w misjonarzach swoich groźnych przeciwników, umiejętnie nastawiali ludność przeciw zwiastunom Dobrej Nowiny.

1898 - 1912. Dopiero w 1898 r. postanowiono przedostać się do Burundi od wschodu. W tymże roku założono misję w Muyaga, której skromne budynki dwa razy doszczętnie spłonęły. Nie dano jednak za wygraną i w 1899 r. misja w Muyaga powstała z popiołów, by trwać do dzisiaj, jako symboliczna kolebka Kościoła w Burundi.

Początki pracy misyjnej nie były łatwe. Nieznajomość terenu, nieznanostwo języka i ludzi sprawiły, że misjonarze bardzo łatwo popadali w konflikt z władzami plemion lub z czarownikami. Zaraźliwe choroby, nędza, głód, walki wśród plemion powodowały, że misjonarze ginęli przedwcześnie, a misje płonęły.

Mimo wszystko do 1912 r. powstało na terenie Burundi 6 placówek misyjnych. Ziarno Słowa Bożego zostało rzucone w gorącą glebę Burundi, by obumierać i wydawać owoce.

1912 - 1922. Kongregacja Rozkrzewiania Wiary ustanawia nowy Wikariat Apostolski w Kivu, obejmujący Rwandę i Burundi.

Można już mówić o pierwszych kłosach, które pojawiły się na Bożej niwie, mimo wielkich trudności, spowodowanych przez nieustanny konflikt pomiędzy kolonizatorami niemieckimi, angielskimi i wreszcie belgijskimi.

Liczba katechumenów powoli, ale stale, wzrasta. Kiedy w roku 1912 było ich zaledwie 3 tysiące, to w roku 1922 statystyki podają już 15 tysięcy katechumenów.

1922 - 1936. W roku 1922 Kościół w Burundi tworzy własny Wikariat Apostolski, pod zarządem bpa Juliana Gorju. W tym też czasie zaczyna się prawdziwy „marsz całego narodu do Chrystusa”.

Odchodząc w roku 1936, bp Gorju pozostawił Kościół w Burundi w rozkwicie: 254 000 ochrzczonych, 80 000 katechumenów (katechumenat trwa 4 lata), 150 000 postulantów (postulat trwa 2 lata), 12 księży i 18 siostr tubylczych oraz 828 katechistów.

Jest to owoc wielkich wysiłków misjonarzy, owoc wspaniały nie tylko ze względu na liczbę, ile ze względu na jakość. Ci pierwsi katechiści, siostry i kapłani stali się prawdziwymi apostołami własnego narodu.

1936. Rządy Kościoła w Burundi obejmuje dzielny misjonarz bp Antoni Grauls. Rozumie on dobrze, że nie wystarczy chrzcić, że należy położyć nacisk na utwierdzenie wiary wśród nowo ochrzczonych. Organizuje zatem jeszcze lepiej ośrodki katechetyczne, stara się o kształcenie nowych katechistów, budzi powołania kapłańskie i zakonne.

Równocześnie zajmuje się troskliwie szkołami, organizuje ośrodki zdrowia i pomoc materialną dla najuboższych. Budzi ducha apostolskiego wśród świeckich, zakładając organizacje katolickie.

Bp Grauls dał się poznać jako roztropny duszpasterz, zatroskany o dobro powierzanej sobie owczarni, mógł zatem wydać prawo zobowiązujące w sumieniu wszystkich do udziału we Mszy św. niedzielnej, albo do udziału w niedzielnym nabożeństwie, odprawianym przez katechistę tam, gdzie brakuje kapłana. To prawo, do dzisiaj zachowywane, pozwala na ciągłe dokształcanie w wierze katolickiej w Burundi.

1949. Stolica Apostolska dzieli teren Burundi na dwa Wikariaty Apostolskie: w Gitedze i w Ngozi. Ten ostatni powierza biskupowi Józefowi Martin (Ojciec Biały).

1959. Powstaje nowy Wikariat Apostolski na terenie Burundi w Bujumburze. Kieruje nim pierwszy biskup tubylczy, ks. Michał Ntuyahaga.

1961. Na południu kraju w Burundi powstaje nowa diecezja, której rządy obejmuje biskup Józef Martin, zostawiając dobrze zorganizowaną diecezję w Ngozi drugiemu biskupowi tubylczemu, Andrzejowi Makarakiza.

1965. Konsekrowano trzeciego biskupa tubylczego, Nestora Bihonda, biskupa pomocniczego dla arcybiskupa A. Graulsa w Gitedze.

1968. Rok 1968 przynosi nowe zmiany: Odchodzi bp Grauls, arcybiskupstwo w Gitedze obejmuje bp A. Makarakiza, bp N. Bihonda obejmuje nową diecezję w Muyinga, a diecezję w Ngozi przejmuje czwarty biskup tubylczy, Stanisław Kaburungu.

1973. Powstaje szóstą diecezja w Ruyigi, której rządy obejmuje piąty biskup tubylczy, Joachim Ruhuna.

W tymże roku 1973, na własną prośbę, odchodzi z Burundi bp Józef Martin, by podjąć pracę jako prosty misjonarz w diecezji Gitega. Rządy diecezji w Burundi obejmuje szósty biskup tubylczy, Bernard Bududira.

2. KOŚCIÓŁ W BURUNDI DZISIAJ.

Dzisiaj Burundi to najbardziej chrześcijański kraj Afryki. Przeglądając sprawozdania, można stwierdzić, że katolicyzm w Burundi jest żywy, dynamiczny i dobrze zorganizowany.

Niestety – spadek powołań kapłańskich sprawia, że i tak niedostateczna liczba kapłanów w Burundi z dnia na dzień maleje. Wierzący nie mogą być obsłużeni i dlatego życie moralne często bywa zaniedbane, a także często zdarzają się nawroty do pogaństwa. Nie można się jednak dziwić, skoro skupiska wiernych liczące 3 -5, a nawet 8 tysięcy muszą się zadowolić odwiedzinami jednego kapłana i to nieraz na 5-6 dni raz na 2 lub 3 miesiące. Jeżeli się tak dużo mówi i pisze, że w Ameryce Południowej wypada 1 kapłan na 4.569 ochrzczonych, to w Burundi wypada 1 kapłan na 4.930 ochrzczonych. Gdy się pamięta, że szkolnictwo, szpitale i inne prace odciągają niektórych kapłanów od działalności ściśle duszpasterskiej, to należy stwierdzić z biskupami Burundi, że często jeden kapłan musi obsłużyć 8.000 wiernych. Jak to zrobić?

Wiadomo także, że muzułmanie, protestanci i poganie tworzą blok, liczący ponad 900.000 dusz, o które muszą się troskać serca biskupów i kapłanów. To wszystko stwarza tragiczną niemal sytuację, którą pogarsza jeszcze wciąż potęgujący się wpływ propagandy organizowanej przez masonerię i komunizm, docierający do Burundi z Chin i ze Związku Radzieckiego.

W diecezji Bururi, w której nasza Prowincja podjęła misję, sytuacja jest najgorsza w całej Burundi. Tu mieszka najbiedniejszy lud najbiedniejszego w świecie kraju. Samych trędowatych pod opieką diecezji jest ponad 3 tysiące, innych chorych około 48 tysięcy. Diecezja obejmuje obszar zamieszkały przez 472.000 ludności. Z tego ochrzczonych jest 144.000, katechumenów i postulujących 37.000 – a reszta, czyli 290.000 to animiści i nieco protestantów. Nad tymi ludźmi pracuje w 13 parafiach 50 kapłanów. Należy przy tym pamiętać, że „parafia” to kościół centralny, kilka kościołów lub kaplic i duża ilość szeroko rozsianych punktów katechetycznych.

Przełknijmy statystykę jednej z takich parafii (dane z 1969 roku), konkretnie Mpingi.

Na terenie Mpingi założonej w roku 1945 mieszka 57.500 ludności. W tym ochrzczonych - 17.500, katechumenów - 1.612, postulantów - 1.451, czyli wierzących 20.563. Reszta, – czyli 37.000, to animiści i nieco protestantów. Muzułmanów na tym terenie nie ma.

Nad tymi ludźmi pracuje jeden kapłan diecezjalny, dwóch Ojców Białych, dwie zakonnice, 44 katechistów świeckich, 34 nauczycieli i 6 nauczycielek.

Zatem trzej kapłani służą 20.563 wierzącym i troszczą się o 57.000 mieszkańców. W każdą niedzielę powinni obsłużyć 15 miejsc, w których zbierają się wierni. W ciągu roku (dane z 1969 roku) czuwają nad katechizacją 5.000 dzieci, nad przygotowaniem do I Komunii św. - 1.880 dzieci, do bierzmowania - 500 młodzieży. Udzielają ponad 400 chrztów, asystują przy przeszło 100 sakramentach małżeństwa, przy przeszło 200 pogrzebach. Obsługują chorych, prowadzą rekolekcje, czuwają nad kilkunastoma religijnymi organizacjami i spowiadają, bardzo dużo spowiadają.

Czy można się dziwić, że ci kapłani opadają z sił, że zaczyna się mówić o pewnym osłabieniu dynamizmu katolików w Burundi? Oprócz tych problemów, pojawił się kolejny, związany z wybuchem wojny domowej, 30 marca 1972r.

Bezpośrednią przyczyną wojny domowej była skrytobójcza śmierć króla Burundi – Mtare, którego po powrocie do kraju więziono, a potem w tajemniczych okolicznościach zgładzono, rzekomo przy próbie ucieczki z więzienia.

Zwolennicy króla, którzy rekrutowali się przeważnie z plemienia Hutu, popadli w niełaskę prezydenta. Zostali nie tylko zwolnieni z zajmowanych stanowisk, (zresztą byli oni nieliczni, gdyż grupą panującą jest plemię Tutsi), co wywołało krwawe zajścia; liczba ofiar według oficjalnych dzienników rządowych wynosi 50.000. La Monde podaje 120.000. O rozmiarze rzezi świadczy liczba uchodźców do ościennych krajów Zairu i Tanzanii. Według danych poza granicami kraju przebywa ponad 200.000 uchodźców. Zorganizowano dla nich obozy przejściowe. „Caritas Internationalis” i Światowa Rada Kościołów nawiązały współpracę z miejscowymi kościołami i władzami tych krajów.

Episkopat Burundi wydał specjalny list pasterski, w którym wzywa do wzajemnego pojednania. Najpierw Joseph Martin, bp Bururi (jedyne Europejczyk wśród 6 biskupów Burundi) ogłosił 17 czerwca br. list pasterski pt. „Nie zabijaj”, w którym przypominając przykazanie boskie, zwrócił się zwłaszcza przeciw praktyce mordowania ludzi niewinnych, żon, dzieci i krewnych powstańców, emigrantów, czy tych, którzy uciekli oraz – przeciw mordowaniu ludzi w celu zagarnięcia ich własności. W kilka dni później, 21 czerwca br., wszyscy biskupi Burundi ogłosili zbiorowy list pasterski, skierowany już nie tylko do mieszkańców kraju, ale do chrześcijan całego świata. W liście tym biskupi stwierdzają, że powierzchowna, fałszywa analiza socjalno-polityczna utożsamia Hutu z chłopami, zaś Tutsi z inteligencją i kadrami, zaś przyczyn trudności społeczno-ekonomicznych dopatruje się w nieodpowiednich proporcjach etnicznych. Tymczasem prawdziwą przyczyną trudności kraju jest niedorozwój ekonomiczny, społeczny i kulturalny, wynikający z niesprawiedliwych struktur, ekonomii kontrolowanej i eksploatowanej przez kapitał zagraniczny. Podsycanie walk plemiennych odwraca uwagę od prawdziwych problemów kraju. Istnieje cały program zmiany proporcji etnicznych kraju drogą eksterminacji, program ideowy i operacyjny. Program ten jest realizowany przez podsycanie nienawiści, podział ludności, którą wzywa się do pogłębienia poczucia odrębności etnicznej i do rozwijania refleksów systematycznej opozycji wobec innej grupy. „W obecnym stadium – mówią biskupi – jesteśmy świadkami

regresji cywilizacyjnej, od narodu spadamy z powrotem w wiek plemienny”. Co więcej – twierdzą biskupi – ten proces jest podsycany przez ośrodki zagraniczne, pragnące go wyzyskać, czy to dla zwycięstwa swych koncepcji ideologicznych, czy zwiększenia swych wpływów, czy też nawet, by łatwiej sprzedać broń. Odrzucamy alternatywę: albo Hutu, albo Tutsi. Poza większościami i mniejszościami widzimy tylko osoby ludzkie, których prawa do rozwoju, a zwłaszcza do życia mogą być zanegowane, jeśli będzie utrzymany klimat wzajemnych podejrzeń”.

Wzywając wszystkich mieszkańców Burundi do zaniechania aktów gwałtu i do wzniesienia się ponad spory plemienne, biskupi apelują do wszystkich chrześcijan i wszystkich ludzi dobrej woli – zwłaszcza w krajach sąsiednich – by pomogli ludom Burundi odnaleźć drogi pojednania i jedności narodowej.

3.ZADANIA KOŚCIOŁA W BURUNDI NA NAJBLIŻSZĄ PRZYSZŁOŚĆ.

Ks. bp Joachim Ruhuna, biskup Ruyigi (Burundi) pisze o swoim Kościele i pracy polskich misjonarzy:

„Pierwsi misjonarze przybyli do Burundi w 1896 roku, a obecnie ponad 65% spośród 3.500.000 Burundczyków to ludzie ochrzczeni. Głównym zadaniem jest teraz pogłębienie wiary w sercach ochrzczonych, do czego niezbędni są księża, w tym także misjonarze. Formacja księży miejscowego pochodzenia to proces długotrwały. Jest wielu ochrzczonych, lecz stan nauczania nie jest jeszcze zadowalający, w związku z czym liczba młodzieży, która mogłaby studiować w wyższym seminarium duchownym, jest dość mała.

Burundi i Rwanda są krajami o gęstym zaludnieniu (150 na 1 km²). Wierzimy, że Kościół katolicki w Burundi będzie miał liczne powołania i będzie nieść wiarę innym ludom Afryki. Zasadniczym problemem dla nas jest pogłębienie wiary, aby Ewangelia była przeżywana na co dzień. My, biskupi Burundi, podjęliśmy akcję uczulenia wszystkich chrześcijan w parafiach i w szkołach katolickich, na potrzebę głębszego przeżywania wartości otrzymanych na chrzcie św. Wydaje się, że akcja ta przyczyni się do powstania małych wspólnot modlitwy, wspólnot refleksji ewangelicznej i wspólnot czynnego świadectwa.

Jeśli idzie o potrzeby mojej diecezji, to interesuje mnie najbardziej budzenie powołań kapłańskich i pogłębienie chrześcijańskiej formacji katechetów świeckich, działaczy zaangażowanych w ruch Akcji Katolickiej.

Jak już wspominałem, misjonarze przybyli do nas w 1896 roku. Byli oni członkami zgromadzenia Misjonarzy Afryki kardynała Lavigerie. Od tamtej pory dziesiątki misjonarzy różnych narodowości niosło naszemu ludowi posłannictwo Chrystusowe.

Od 1971 r. mamy radość gościć pośród nas Ojców z Polski ze Zgromadzenia Karmelitów Bosych. W mojej diecezji dwie duże parafie Mpinga (13 tys. ochrzczonych) i Musongati (11.400 ochrzczonych) - znajdują się pod ich troskliwą opieką. Od 1974 roku działają także siostry karmelitanki.

Księża i siostry zakonne stawiają odważnie czoło trudnościom, opanowując nie tylko język ludności miejscowej, ale także i język francuski. Gratuluję im tego zapału.

Ewangelizacji nie można oddzielać od spraw rozwoju, bowiem udział w rozwoju jest, z jednej strony, wyrazem sprawiedliwości i miłości wobec Boga, z drugiej zaś rozwój człowieka, będący wyrazem postępu, pozwala na głębsze przeżywanie Ewangelii.

W parafiach istnieją szkoły podstawowe, ogniska społeczne, niekiedy ośrodki zdrowia, odbywają się kursy z zakresu zapobiegania wypadkom i opieki nad chorymi. W parafii Musongati polscy karmelici prowadzą wiejskie przychodnie zdrowia i biorą czynny udział w działalności ośrodków duchowego kształcenia dziewcząt i kobiet.”

II. POZNAŃ ŻEGNA MISJONARZY.⁴²

We wtorek, 22 czerwca w popołudniowych godzinach, można było zauważyć na ulicach Poznania grupy ludzi, zmierzających przy deszczowej pogodzie z różnych stron w jednym kierunku: na Wzgórze św. Wojciecha, do Kościoła OO. Karmelitów. Spieszył tam każdy, kto był zainteresowany sprawami misyjnymi. Tego dnia, jak ogłoszono z ambon poprzedniej niedzieli, miało się tu odbyć uroczyste nabożeństwo pożegnalne karmelitów, udających się na pracę misyjną do Burundi w Afryce.

O godz. 18.00 z bramy klasztornej wyszła, zmierzając ku kościołowi, osobliwa procesja: długi szereg karmelitów miejscowych i gości, przedstawiciele wszystkich klasztorów w kraju, a wśród nich i sam Generał Zakonu O. Michał Anioł Batiz, bawiący wówczas w Polsce. Wszyscy ubrani w białe płaszcze, prowadzili do ołtarza na spełnienie Najświętszej Ofiary grupę Misjonarzy, którzy w tym dniu wraz z Chrystusem mieli złożyć swoją własną ofiarę. Na końcu długiego szeregu, czterech Misjonarzy niosło na swoich barkach obraz Matki Boskiej, wierną kopię Cudownego Obrazu Jasnogórskiego, przekazany im uroczyście w kaplicy prymasowskiej w Warszawie przez Ks. Kardynała Wyszyńskiego, w imieniu całego Episkopatu i Tysiącletniego Kościoła Polski, dla młodego Kościoła w Burundi. Za obrazem postępował Ks. Bp Wosiński, Dyrektor Krajowy Papieskich Dzieł Misyjnych w Polsce w asyście O. Remigiusza, Prowincjała OO. Karmelitów Bosych w naszym kraju i O. Leonarda, kierownika całej grupy misjonarskiej. Przy biciu dzwonów wprowadzono Misjonarzy i obraz Matki Bożej do szczelnie wypełnionego kościoła. Podczas gdy celebrans, koncelebrans, O. Generał, zakonnicy i księża zajmowali miejsca w prezbiterium, obraz Matki Najświętszej umieszczono na specjalnie przygotowanym tronie i zapalono przed nim 11 świec, symbol jedenastu, płonących wiarą, ufnością i miłością, serc misjonarskich, gotowych na spalenie w ofierze aż do końca.

Rozpoczęła się Msza św. z modlitwami o rozkrzewienie wiary, koncelebrewana przez Ks. Bpa Wosińskiego, O. Prowincjała i 9 Ojców Misjonarzy w asyście dwóch Braci Misjonarzy.

Na samym wstępie główny celebrans podkreślił wagę chwili: „Uczestniczymy we Mszy św. w momencie skrzyżowania dróg. Bóg doprowadził nas do tego ołtarza, a z tego miejsca rozpocznie się dla jedenastu z nas nowa droga ku przyszłości. Lud Boży polskiej ziemi składa dar Kościołowi, ofiarując dziś Bogu tych Misjonarzy”.

Po kazaniu Misjonarze, klękawszy przed O. Generałem, zwrócili się do niego i do innych przełożonych z prośbą o pozwolenie udania się na misję, a otrzymawszy je, odnowili wieczyste śluby zakonne. Był to akt nawiązujący do Ofiarowania, które za chwilę miało się rozpocząć. Misjonarze, w ten sposób oddawali siebie Bogu i wyrażali gotowość do całkowitej

ofiary ze swojego życia dla Boga i Jego zbawczego dzieła. Podczas przygotowania darów ofiarnych wierni, wpatrzeni w ołtarz i Misjonarzy, oddawali ich Bogu w opiekę, śpiewając z głębi serca „Pod Twą obronę, Ojciec na niebie, grono Twych dzieci swój powierza los”.

W głębokiej ciszy rozległy się słowa konsekracji: „To jest Ciało Moje, które za Was będzie wydane”. W tej chwili również i sami Misjonarze stawali się żertwą ofiarną. Oto spełniła się „Wielka Tajemnica Wiary”, w tej chwili – przede wszystkim ich wiary.

Wzruszająca była chwila, gdy wszyscy Misjonarze, po słowach celebransa: „Pokój Pański niech będzie zawsze z wami”, podchodzili kolejno do swych braci zakonnych, a także księży obecnych w chórze i wymieniali z nimi uścisk pokoju. Ostatni raz we wspólnej Ofierze przekazywali nam pokój i to już jako prawdziwi Misjonarze, jako ci, których zadaniem będzie odtąd zanosić wszędzie pokój Boży.

Przy końcu Mszy św. Misjonarze otrzymali szczególny podarunek – krzyże misyjne. Pobłogosławił je i wręczył każdemu z osobna Ks. Bp Wosiński. Krzyż ten stanie się odtąd ich znakiem, orężem, kompasem na drogach misyjnej pracy, zapowiedzią zwycięstw i obietnicą nagrody. Teraz Ks. Bp Wosiński zaintonował hymn uwielbienia: „Ciebie Boga wysławiamy”, a Lud Boży podjął tę potężną pieśń, dając w niej upust wezbranym uczuciom czci i wdzięczności, namaszczenia i wesela z głęboko przeżywanych tajemnic wiary. Do tego zaś głosu serc ludzkich dołączył się jeszcze głos przyrody: Oto poprzez potężny śpiew i dźwięk organów, wypełniający kościół cały, kilkakrotnie przedarł się huk grzmotu. Przyroda jakby na swój sposób dawała wyraz radości z tego, co działo się w tej chwili w Domu Bożym i w sercach ludzkich.

Gdy umilkł śpiew, głos zabrał O. Generał. Przemawiał po łacinie. Wyraził najpierw swoje głębokie wzruszenie z przeżywanych uroczystości, a wspominając św. Teresę, Matkę Karmelu, nadmienił, że zapewne raduje się w niebie, gdy widzi, że duch misyjny, którym sama tak bardzo płonęła, ożywia dzisiejszy Karmel, skoro tak liczna grupa, odebrawszy przed chwilą znak krzyża św., udaje się na misje. „Synowie najmiłsi – mówił dalej, zwracając się do Misjonarzy – dziękuję Wam z głębi serca za Waszą gotowość podjęcia pracy misyjnej. Idźcie i głoscie Ewangelię Chrystusa. Proszę Boga, aby Wam błogosławił. Zapewniam Was, jako długoletni misjonarz (14 lat pracy w Indiach), że w trudzie swoim doznacie największych radości życia. Bądźcie silni. Niech będzie z Wami Bóg, Najświętsza Maryja, Królowa Karmelu, Królowa Polski i św. Matka Teresa.”

Zwróciwszy się następnie do Ks. Biskupa, wyraził szczególną wdzięczność dla Episkopatu, że przez swego Reprezentanta bierze udział nie tylko w samej uroczystości pożegnania misjonarzy, lecz także w całym ich dziele misyjnym. W dalszym ciągu O. Generał dziękował polskiemu Ludowi Bożemu i Rodzicom Misjonarzy za tak cenny owoc, dany wprawdzie Karmelowi, a dziś całemu Kościołowi.

Przemawiał także O. Leonard. Pierwsze słowa skierował do O. Generała, polecając cały zespół Misjonarzy jego ojcowskiej tropie i dziękując mu za jego udział w uroczystości oraz za to, że był inspiratorem obecnej wyprawy misyjnej do Burundi. On to bowiem zachęcił Misjonarzy, aby tam się udali. Wyraziwszy następnie wdzięczność Bogu za łaskę powołania misyjnego, prosił Go jako kierownik odpowiedzialny za powierzoną sobie grupę o jedno: „Ojciec, uświęć tych, których mi dałeś”. Serdecznie dziękował Ks. Bp Wosińskiemu za życzliwe i troskliwe poparcie, jakie okazał temu dziełu misijnemu, gdy tylko dowiedział się o nim. Poleciał je też opiece Ks. Biskupa i całemu Episkopatowi Polskiemu. Dziękował Ojcu

Prowincjałowi. Doprowadzenie zamiarów misyjnych aż do obecnej chwili jest wynikiem jego nieustannej pracy i zapobiegliwości. Dziękował wszystkim przełożonym Karmelu, którzy ze swej strony nie szczędzili wydatnej pomocy, Siostrom Karmelitankom za ich ofiary, mieszkańcom Poznania i wreszcie wszystkim przyjaciółom Karmelu. „Ostatnio – kończył O. Leonard – furta klasztorna nie zamykała się prawie, tak często przychodzili ludzie z różnych stron Polski, pragnąc nas wesprzeć swoją ofiarą i tym samym wziąć udział w misyjnym dziele Kościoła. Zapewniamy wszystkich, że dołożymy starań, by lud w Burundi przez Maryję stał się jak najbardziej Ludem Bożym”.

Po przemówieniu O. Leonarda Ks. Biskup udzieli błogosławieństwa.

Skończyła się Msza św., ale Misjonarzy pragnęli pożegnać jeszcze wierni. Pięknie przemówił przedstawiciel młodzieży: „ W obecnej chwili nie chcemy myśleć, że to już pożegnanie, myślimy o tym, że duch Karmelu w pełni żyje i wnosi swój potencjał wewnętrzny w szeroki świat. Potężnego echa Chrystusowych słów: ... Idźcie! ... głoscie!... nauczajcie!... nie zagłuszył hałas techniki XX wieku. Dano wam wiele – czego byliśmy świadkami i doświadczaliśmy przez tyle lat przebywając z Wami – i dziś nie chcecie Bożych skarbów gromadzić w spichlerzach, gdy na świecie głód. Głód prawdy, dobroci, miłości, łaski i chleba. Dlatego dziś dziękujemy Wam za Waszą postawę. Niech łaska Ducha Świętego umacnia Wasz trud. Jesteśmy i będziemy z Wami”.

Apelem Maryjnym i pieśnią „Boże, coś Polskę” zakończyła się głęboko wzruszająca uroczystość.

Nazajutrz, 23 czerwca, Misjonarze, żegnani na dworcu przez swych braci zakonnych i licznie zebranych wiernych, wyruszyli o godz. 17.12 z Poznania, udając się w pierwszym etapie swojej drogi do Paryża.

III. LISTY MISJONARZY:

LISTY O. TEOFILA KAPUSTY OCD

ROK 1971

1. „ Drogi przed nami stają otworem.”

Paryż, 6 sierpnia 1971r.

Do Naszych Drogich Przyjaciół w Polsce!

Chociaż nie napisaliśmy zaraz, nie znaczy wcale, że zapomnieliśmy. Czyż zresztą można zapomnieć?! Zbyt wiele wzruszającej serdeczności okazaliście nam 22 czerwca przy pożegnaniu przy ul. Działowej w Poznaniu oraz 23 czerwca przy odjeździe z Poznania do Paryża. Wprawdzie zbyt wielkie powstało zamieszanie na peronie, ale widzieliśmy Waszą życzliwość i łyzy. Takich chwil nie zapomina się!

Po sprawnym załatwieniu odprawy celnej żegnaliśmy Ojczyznę w blaskach zachodzącego słońca. Mijaliśmy miasteczka, wioski, kościoły, lasy i pola. Na granicy w Kunowicach o godz. 20.55 rzuciliśmy symboliczne biało-czerwone kwiaty. Reszta kwiatów towarzyszyła nam aż do Paryża, gdzie przybyliśmy około godz. 15.00. Trochę już zmęczeni podróżą, odbywaliśmy jeszcze „krzyżową drogę” z naszymi bagażami, które wypadło nam nieść dosyć daleko. Po koncelebrewanej Mszy św. i kolacji odżyliśmy nieco. Zostało nam kilka dni na przygotowanie się do egzaminu wstępnego na letni kurs języka francuskiego i na pobieżne zwiedzanie miasta.

Od 30 czerwca zamieszkaliśmy w Wyższym Seminarium Duchownym w Paryżu, gdzie na szczęście mogliśmy spokojnie prowadzić nasze karmelitańskie życie: codzienna Msza św. koncelebrewana, brewiarz, modlitwa myślna. Zaraz też po zdaniu egzaminów, 1 lipca rozpoczęliśmy bardzo pracowite wakacje. Kurs języka francuskiego dla obcokrajowców na Instytucie Katolickim w Paryżu prowadzony był dosyć intensywnie: wykłady i ćwiczenia od 9.00 do 12.00 i od 17.00 do 19.00. Z Seminarium na Instytut chodziliśmy pieszo (25 minut), trochę dla oszczędności, a trochę z potrzeby ruchu. Bardzo dużo dawały te spotkania z ludźmi z 69 krajów ze wszystkich kontynentów świata. Szkoda tylko, że wymiana myśli nie mogła być swobodna z powodu słabej jeszcze znajomości języka. Atmosfera jednak wytworzyła się bardzo miła, niemal rodzinna.

Aż dziwne, że w tak krótkim czasie ludzie różnych ras, języków i wyznań potrafili się tak zaprzyjaźnić. Kiedy pod koniec lipca żegnaliśmy się, niektórzy mieli łzy w oczach. Mimo niesamowitych upałów skorzystaliśmy wiele.

Od początku sierpnia rozpoczęliśmy nowy kurs na Alliance Francaise. Tu atmosfera jeszcze bardziej międzynarodowa, ale mniej okazji do wzajemnego poznania się i zaprzyjaźnienia. Trochę mniej zajęć na uczelni, ale za to więcej ćwiczeń w domu. Nasi Bracia zostali przyjęci przez Ojców Karmelitów z Avon, gdzie zaprawiają się do francuskiej mowy, przebywając z samymi Francuzami. Z wydarzeń wakacyjnych w Paryżu mile wspominamy odwiedzin naszego ks. biskupa Józefa Martin, który wciąż ze wzruszeniem wspomina swoją „pielgrzymkę do Polski.” Nie było jednak czasu na samo wspomnianie. Myśli nasze i rozmowy wybiegały ku przyszłości, ku czekającej nas pracy. Ks. biskup maluje rzeczywiście szerokie perspektywy. Możemy wołać za św. Pawłem: „drogi przed nami stoją otworem, serca szeroko otwarte!” Czekają na nas w Burundi liczni wierni, czekają poganie. Księża i zakonnice spodziewają się, że na tamtejszy grunt przeniesiemy świeżość wiary polskiego Kościoła, że przeszczepimy ducha karmelitańskiej modlitwy, że założymy dom rekolekcyjny, że ... aż „niepokój” ogarnia nasze serca; czy nie zawiedziemy tych nadziei? Czy potrafimy im przybliżyć skarby Bożej miłości? Sami przecież ciągle jeszcze musimy doszukiwać się Boga, a przy tym ta ciągle jeszcze niedostateczna, znajomość języka.

Ufamy Maryi, naszej Częstochowskiej Królowej, której wierną kopię – dar Ks. Prymasa Polski – wieziemy ze sobą i bardzo liczymy na Wasze, Drodzy Przyjaciele, modlitwy! W licznych spotkaniach z Dostojnikami tutejszego Kościoła – a było okazji wiele, bo trzeba było szukać pomocy w utrzymaniu naszej licznej grupy – dostrzegłem wielki podziw dla Kościoła w Polsce, który „aż tylu misjonarzy może posłać!” Zdumienie, że w Polsce mamy jeszcze tak liczne powołania. Oczy i serca pełne nadziei zwracają się ku Polsce. Nadzieja, że właśnie z Polski może przyjść wielka pomoc dla Kościoła w krajach misyjnych. Wyjazd naszej licznej karmelitańskiej grupy nazywają wprost symbolem, znakiem. Spodziewają się, że za nami

pójdą do pracy misyjnej inni kapłani i zakonnice, że także wśród katolickiego laikatu znajdują się osoby gotowe do bezinteresownej pracy na terenach misyjnych.

W czasie naszej pielgrzymki do Lisieux (14 VIII), gdzie powierzaliśmy w opiekę naszą młodą misję Patronce Misji, świętej Teresie od Dzieciątka Jezus, modliliśmy się także gorąco o to, by nadzieje Kościoła nie były próżne, by Kościół w Polsce, po tysiącleciu wiary, rzeczywiście owocował licznymi powołaniami misyjnymi. Samo Lisieux zrobiło na nas duże wrażenie.

Niemal odczuwa się tu obecność Świętej Karmelitanki. Wiele pozostało po niej pamiątek.

Miejsca, gdzie żyła: dom rodzinny Buissonnet, katedra w Lisieux; miejsce, gdzie dojrzewała jej świętość. Karmel w Lisieux – zachowały całą swoją wymowę i świeżość. Umocnieni łaską spotkania z naszą św. Patronką Misji, wyruszamy 23 sierpnia do Rzymu, gdzie mamy nadzieję otrzymać błogosławieństwo Ojca św. na trud pracy misyjnej w jednym z najbiedniejszych krajów świata.

Do Burundi wyruszamy 30 sierpnia, by w pierwszych dniach września rozpocząć kurs języka kirundi.

Jeszcze raz gorąco polecamy się Waszym modlitwom i serdecznie pozdrawiając zapewniamy o modlitwie.

W imieniu polskich Karmelitów Bosych misjonarzy

o. Teofil Kapusta OCD

2. Pierwsze wrażenia z Burundi.

Mpinga, 10 września 1971r.

Do naszych Przyjaciół i Dobroczyńców w Kraju!

Bardzo serdeczne pozdrowienia w Panu przesyłam z afrykańskiej ziemi. Piszę ten list nie tylko dlatego, że zlecono mi informowanie naszych Przyjaciół w kraju o naszych dziejach, ale także z potrzeby serca.

Co u nas? – Z Paryża do Rzymu wyjechaliśmy 23 sierpnia o godz. 18.20 żegnani przez grupę polskich księży, sióstr i znajomych. Na dworcu „Termini” w Rzymie (godz. 9.30) czeka na nas sekretarz generalny Zakonu do Spraw Misji oraz o. Michał Machejek i o. Efrem Bielecki. Po Mszy św. koncelebrowanej i po obiedzie skierowaliśmy nasze kroki ku Bazylice św. Piotra na Watykanie. Tu każdy w gorącej modlitwie polecał naszą misyjną wyprawę Świętym Apostołom. Szczególnie gorąco modlono się przy grobie Piusa X i przy grobie Jana XXIII. Głęboko także przeżyliśmy następne dni, spotkanie z miejscami męczeństwa pierwszych chrześcijan: Koloseum, katakumby. Dzięki życzliwości sekretarza generalnego, mogliśmy także pojechać do drogiego sercu Polaka Monte Cassino, oraz w drodze powrotnej do Nettuno i Ferriere, gdzie w miejscu śmierci i przy grobie św. Marii Goretti polecaliśmy Bogu losy naszej polskiej młodzieży.

W środę, 25 sierpnia, mieliśmy być na ogólnej audiencji u Ojca św. Skoro jednak papież dowiedział się o grupie polskich misjonarzy, postanowił nas przyjąć osobno, na specjalnej audiencji o godz. 12.20. Weszliśmy ubrani w białe, karmelitańskie płaszcze, niosąc kopię Jasnogórskiego Obrazu (dar Ks. Prymasa Polski dla naszej misji). Skoro Ojciec św. zobaczył nas i obraz Królowej Polski, uśmiechnął się i powitał nas po polsku słowami: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Odpowiedzieliśmy: Na wieki wieków! Dalej rozmowa toczyła

się po francusku. Ojciec św. wyciągając ręce do obrazu zaznaczył, że codziennie w Castel Gandolfo modli się przed obrazem Królowej Polski w swojej kaplicy. Ponieważ Ojciec św. był bardzo zmęczony, zaniechano uroczystych przemówień na rzecz serdecznej pogawędki. Paweł VI z wielkim zainteresowaniem dopytywał się o nasze zamiary, o kraj, o diecezję, do której jedziemy. Jako znak swej łączności z nami podarował osobiście każdemu różaniec. Następnie poświęcił Jasnogórski obraz i odmówił z nami Zdrowaś Maryjo. Wreszcie udzielił szczególnego błogosławieństwa nam, naszym rodzinom, bliskim, przyjaciółom, dobrodziejom, oraz ludziom w Burundi. To spotkanie z Następcą św. Piotra, błogosławiącym nam na radości, na troski, na trudy pracy misyjnej, napełniło nas wielką radością i otuchą.

Wszędzie w Rzymie nasza grupa budzi duże zainteresowanie. 30 sierpnia zostaliśmy przyjęci w Kongregacji Rozkrzewiania Wiary przez sekretarza tejże Kongregacji, arcybiskupa Bernarda Gantina, który ma pod opieką misje w Afryce. Okazał wielki podziw dla Kościoła w Polsce, który wysyła tak liczną grupę misjonarzy. Gdy następnego dnia był na pożegnalnym obiedzie w naszym Międzynarodowym Kolegium w Rzymie, w serdecznym przemówieniu życzył nam wszelkich łask Bożych, dodawał otuchy i wyrażał dużo radości, że jedziemy do jego czarnych braci z Dobrą Nowiną o Bożej miłości oraz z czynem miłości. Również pierwszy definitor generalny w pożegnalnym przemówieniu wyraził dużo radości z faktu, że polska Prowincja, zgodnie z tradycją Zakonu, jest „w sercu Kościoła”, zna jego troski i potrzeby i spieszy wielkodusznie z pomocą. Jak zaznaczył – dla nich, dla innych Prowincji, dla Zachodu, nasz wyjazd to jakiś symbol, jakiś znak wielki, znak, że Kościół w Polsce posiada żywą wiarę zdolną do czynów miłości.

Także i ks. bp Rubin, sekretarz generalny Synodu, przyjął nas 31 sierpnia i w serdecznej rozmowie życzył dużo dobrego.

Ta życzliwość, te błogosławieństwa, a także zapewnienie modlitw karmelitanek rzymskich, u których koncelebrowaliśmy Mszę św., napełnia nas otuchą i budzi nadzieję, że pole pracy misyjnej będzie dobrze użyźnione łaską.

31 sierpnia o godz. 21.00 cała misyjna grupa odjeżdża na lotnisko. Tu nadanie bagażu, załatwienie koniecznych formalności, w czym pomagają nam dzielnie sekretarz generalny o. Aureliusz oraz o. Michał, o. Efrem i brat Bolesław. Mimo późnej godziny na lotnisku dużo ludzi. Ubrani już w białe habity budzimy u wszystkich żywe zainteresowanie. Samolot miał odlecieć o godz. 23.45, ale nastąpiło opóźnienie i dopiero 1 września o godz. 0.27 komfortowy samolot „Raptim”, pełen misjonarzy i misjonek, szybko wzbija się w górę i kieruje w stronę Afryki. Jest noc. Częstują nas zimnymi napojami, co przyjmujemy z wdzięcznością, bo jesteśmy bardzo zmęczeni Rzymem, sprawami, które w nim wypadało załatwić, a także niesamowitym upałem. Pogaszono światła. Wszyscy pogrążają się w drzemkę. Nad ranem podziwialiśmy piękny wschód słońca, które wspaniale koloruje nisko pod nami przelewające się chmury.

Godz. 6.30 – lądujemy w Ugandzie. Pierwsze zetknięcie się z Czarnym Lądem. Wiadomo, że to nie księżyc, ale jakoś ostrożnie stawiamy nogi na tym nowym kontynencie. Jest pochmurno, trochę duszno. Krajobraz nie różni się od naszego polskiego, nawet palm nie widać. Tylko czarnoskórzy funkcjonariusze lotniska przypominają, że to Afryka. Dobrze, że tu czeka na nas brat ze Zgromadzenia Ojców Białych. On pomaga nam załatwić konieczne formalności.

Po dwóch godzinach, mniejszym samolotem odlatujemy w stronę Burundi. Bardzo żałujemy wspaniałego odrzutowca, bo ten niesamowicie trzęsie, ale za to leci nisko i możemy obserwować góryste tereny od Jeziora Wiktorii do Tanganiki. Jakże inne od europejskich. Jeszcze dwa lądowania w Rwandzie i o godz. 11.30 przelatujemy nad granicą „ziemi obiecanej” – Burundi.

O godz. 11.50 samolot ląduje w Bujumburze. Tu czeka na nas bp Józef Martin i kilku Ojców Białych. Radosne powitania, gorliwie przeprowadzona odprawa celna i wreszcie odjeżdżamy do klasztoru Ojców Białych.

Stolica Bujumbura bardzo się różni od europejskich. Wprawdzie drogi dobre, ale wielkiego miasta wcale się nie widzi. Niskie domki szeroko rozrzucone, ludzie nędznie ubrani, bosi, pełno suchych traw i kurzu. Po obiedzie, o godz. 14.30 wyruszamy do Bururi. Droga nad jeziorem Tanganika raczej dobra, obsadzona palmami. Z jednej strony wspaniałe jezioro, z drugiej dosyć gęsto ukryte w drzewach bananowych osiedla. Widoki łącznie afrykańskie.

Wnet jednak kierujemy się w góry. Jadę w samochodzie z ks. biskupem i o. Leonardem. Kiedy jesteśmy na karkołomnym zboczu, wśród wyschniętych terenów i rozrzuconych na nich osiedli, z których wyziera niesamowita nędza, powiadam do o. Leonarda: „Podziwiam Ojca, że widząc to wszystko, miał odwagę przywieźć mnie tutaj”. W duchu jednak dziękuję Bogu, że wprowadza mnie w nową przygodę życia, w nowy rodzaj przygody miłości.

Bururi. Podobno to miasto, ale przejeżdżamy tylko obok diecezjalnego szpitala, obok kilku domów, by wreszcie po trzech godzinach jazdy zatrzymać się przy stacji misyjnej biskupa Bururi. Położona wśród lasu katedra, dom biskupa, dom sióstr zakonnych, szkoły, warsztaty. Wszystko dobrze zagospodarowane, bardzo się różni od dwóch stacji misyjnych, które zobaczyliśmy po drodze. Msza św. w kaplicy biskupa, kolacja i spotkanie w sali przy zapalonym kominku. Okazuje się bowiem, że w Bururi wieczory są chłodne, ok. 13C. Tu dowiadujemy się, że właśnie zmarł w Bujumbura młody misjonarz (33 lata), o. Michał Sury; ukąszony przez muchę tse-tse, nie wytrzymał kuracji.

Na drugi dzień rano ks. biskup oprowadza nas po misji, rozdając każdemu Nowy Testament w języku kirundi, oraz mszał i gramatykę. Pilnie uczymy się języka kirundi, bo w niedzielę czeka nas wielka uroczystość dziesięciolecia diecezji i przedstawienie ludowi nowych misjonarzy. W niedzielę o godz. 10.30 koncelebrujemy Mszę św. razem z bp. Martin, z bp. Ngozi oraz kilkoma księżmi. Znowu padają słowa podziwu dla Kościoła w Polsce, mówi się, że dla nich nasze przybycie to znak, że Chrystus jest żywy, że dzisiaj działa, że dzisiaj miłość Chrystusowa przynagla.

Po Mszy św. udajemy się na miejscowy stadion (okazuje się, że jest tu i stadion). Tu liczna organizacja kościelna, a także i młodzież defiluje na cześć biskupa Martina. Następują przemówienia, tańce regionalne. Minister szkolnictwa w imieniu rządu wyraża wiele uznania dla pracy biskupa, który tu nie tylko szerzy wiarę, ale również rozwinął szkolnictwo, założył szpital i wiele dzieł dobroczynnych, który przez 10 lat tak znacznie podniósł gospodarkę tego uboższego terenu. Wyraża też radość z powodu naszego przybycia, wypowiada słowa uznania dla przyjaźni narodu polskiego, który przez nas chce nieść Burundi nie tylko wiarę, ale również kulturę i wszelką pomoc. Zrywają się oklaski wszystkich zgromadzonych. Stoimy trochę zażenowani wśród tego czarnego, barwnie ubranego ludu, który patrzy na nas szeroko otwartymi oczami i jeszcze raz oklaskuje w czasie przemówienia biskupa Martin. W

uroczystości bierze udział jeszcze drugi minister i wszystkie władze miasta i okolicy. Obiad na dziedzińcu biskupstwa kończy dzisiejsze uroczystości.

6 września w Bururi zjazd wszystkich księży diecezji. Na ogólnym zebraniu biskup przedstawia nas i zapoznaje z księżmi i siostrami. Mówi o swej podróży po Polsce, o Jasnej Górze, o pełnych seminariach, w których spodziewa się znaleźć wielu misjonarzy. Bardzo serdeczne spotkanie kończy się obiadem na dziedzińcu biskupstwa.

I wreszcie, 7 września o godz. 8.00, siedmiu ojców wyrusza do Centrum języka kirundi w Muyange. Niestety, tylko siedmiu, bo zabrakło miejsca, a diecezja Bururi i tak już wiele zajęła. Dlatego też o. Kanty odjechał do Mabandy, brat Sylwester do Martyazo, brat Marcelli został w Bururi, a ja wyruszyłem do Mpingi. Czekać na kurs drugi, który zacznie się w lutym, bracia będą dokształcać się w zawodach potrzebnych na misjach, a o. Jan Kanty i ja będziemy już zapoznawać się z pracą misjonarzy i życiem w buszu. Tak więc na razie ułożyły się nasze losy.

Bardzo polecamy się Waszym, Drodzy Przyjaciele, modlitwom i pamięci, abyśmy dobrze przygotowali się do zadań, jakie nas czekają.

Zadań tych widzę wiele, właśnie tu w Mpindze, która to misja ma być naszym terenem pracy. Stacja misyjna położona wysoko w górach (około 2.000 m), wysunięta daleko na wschód diecezji, sięga granic Tanzanii. Obszar rozległy, bardzo ubogi, najbardziej jeszcze w Burundi pogański. Sama stacja misyjna pięknie położona na skraju wioski, wchodząca zabudowaniami w las, składa się z kościoła, domu księży, domu sióstr, trzech budynków szkolnych, dawnego kościoła, zamienionego na sale katechetyczne i budynku mieszczącego różne pracownie. Wszystko to skromne, niskie i ubogie.

Tylko kościół nieco wyższy. Do tej stacji należy 12 kaplic pomocniczych w promieniu do 60 km. Drogi tu niesamowicie trudne, kamieniste, często mozolnie wykuwane w zboczu górskim. Dlatego też, choć w Mpindze jest trzech kapłanów, (2 Ojców Białych i jeden ksiądz Murzyn) zazwyczaj w domu jest tylko jeden, bo dwóch zawsze w terenie. Tylko jeden tydzień w miesiącu są razem w domu.

Oprócz głoszenia Dobrej Nowiny narzuca się konieczność założenia na tym rozległym terenie drugiej stacji misyjnej, zbudowanie choćby małego szpitala dla chorych, może także leprozorium dla 200 trędowatych znajdujących się w parafii, a szczególnie konieczność wspomagania ubogich, głodnych.

Z Bogiem!

o. Teofil Kapusta

3. Śmierć małej Angeliki.

Mpinga, 15 października 1971r.

Do naszych Drogich Przyjaciół w Kraju!

W uroczystość św. Teresy od Jezusa, Doktora Kościoła, która błogosławiła pierwszych misjonarzy Reformowanego Karmelu odjeżdżających do Afryki, właśnie z afrykańskiej ziemi przesyłam serdeczne pozdrowienia w Panu.

Wzrusza nas do głębi serdeczne zainteresowanie, z jakim śledzicie nasze pierwsze kroki misyjne. Różne stawiacie pytania w swoich listach. Za listy bardzo dziękuję! Są one

dowodem, że jesteście z nami. Trudno na wszystkie odpisać osobno. Dziękuję więc wszystkim wspólnie: „Bóg zapłać” za każde dobre słowo, za imieninowe życzenia, za modlitwy, a także za gałązki polskiego wrzосу.

Jeszcze trudniej odpisywać na wszystkie listy ojcom, którzy są na kursie języka kirundi w Muyange. Donoszą mi, że nie jest łatwo nadążyć za programem. Codziennie 4 lekcje języka i jedna lekcja geografii kraju. Później dojdzie zapewne psychologia i pastoralna. Poznanie języka, poznanie człowieka i poznanie terenu pracy – to pierwszy trud każdego misjonarza. Język trudny, zbudowany na odmiennych, niż nasze europejskie, zasadach. Skoro jednak nauczyło się wielu, nauczymy się i my.

Język, mowa, łaska mowy! Na nowo uświadamiam sobie tę łaskę. Ileż to razy wypada mi stanąć wśród ludzi, którzy czekają na słowo, którzy stawiają pytania, a ja nie znam języka! Nauczyłem się odprowadzać w kirundi Mszę św. Wprawdzie przygotowanie codzienne mszalnych modlitw i czytań zabiera mi sporo czasu, dla chcę to zrobić, by któryś z tutejszych księży mógł pojechać do kaplic pomocniczych. Trzech księży na 20 000 wiernych i 37 000 niewierzących i to w parafii rozległej do 60 km, to naprawdę za mało. Bardzo są zapracowani, ale rozradowani radością płynącą z ofiary, z poświęcenia i miłości. Nie czekając na kurs, uczę się mówić. Każde nowe słowo, które zapamiętam, sprawia ludziom w Mpindze dużo radości. To zachęca do wysiłków.

Modlitwa, uczenie się języka i „uczenie się” tutejszego człowieka, poznawanie warunków jego życia – to na razie moje przygotowanie do misyjnej pracy. Poza tym mogę się dużo uśmiechać i zapewniać: „chcę zostać z wami, chcę dzielić z wami trudne warunki bytowania, chcę razem z wami pracować nad ich poprawą!” Często pytają, czy zostają? Odpowiedź twierdzącą przyjmują z niekłamana radością. Widać, że to dla nich dużo, że odczytują to, jako nowe zbliżenie się do Boga, jako cień tego, co stało się w Betlejem: „A Słowo stało się Ciałem i mieszkało między nami”. To jest ta mowa, którą się tu – jak zresztą wszędzie – dobrze rozumie, mowa miłości. Czekają na nią bardzo. Ale uczę się i kirundi oraz – jak wspomniałem – uczę się tutejszego człowieka, tutejszego kraju.

Uczyć się trzeba, bo to nie tak łatwo zmienić europejskie myślenie. Kiedyś np. jedziemy z jednym z tutejszych misjonarzy poprzez busz. Wysokie trawy, krzewy, skały i wśród nich wijąca się droga. Ale jaka?! Wydeptane przez ludzi ścieżki i ślady, że przez te kamienie lub piaski ktoś kiedyś jechał. Już miałem postawić pytanie: „No dobrze, ale jak odnaleźć taką drogę, gdy spadnie śnieg, gdy powstaną zasp?” Dobrze, że na czas przyszła refleksja: „Coś ty, niepoważny? Przecież tu nigdy nie będzie śniegu ani zasp!” Trzeba się uczyć, bo wiele rzeczy zaskakuje, nieraz wprost wstrząsa. Tak na przykład 21 września przed godz. 12.00 przybiegła do naszej stacji kobieta. Rozmawia z księdzem Murzynem. On mi wyjaśnia o co chodzi. Jakieś dziecko spadło, może już nie żyje, ale gdy chcę, możemy pójść zobaczyć. Oczywiście, że chciałem. Na motorze, ścieżkami wydeptanymi w buszu, pędzimy we wskazanym kierunku. W czasie drogi ksiądz pyta, czy umiem pływać. Nie rozumiałem, dlaczego o to pyta.

Dopiero, gdy zostawiwszy motor, kamienistym zboczem zbiegliśmy w dolinę, gdzie nad wodą stoi gromadka ludzi, zrozumiałem: to dziecko wpadło do wody. Ale dlaczego nie ratują? Przecież to tylko mały zastaw na strumyku! „Oni się boją.” – wyjaśnia ksiądz. Rzuciłem więc habit i skoczyłem do wody. Z łatwością odnalazłem i wydobyłem ciało dwunastoletniej dziewczynki.

Zaczęliśmy z księdzem ratować. Długo nie było widać skutku. Posłałem więc księdza po tutejszego infirmariusza (protestanta). Przyznaję, że kiedy zostałem sam z ciałem dziecka wśród gromady ludzi, których języka nie znam, a którzy śledzą każdy mój ruch, czułem się trochę dziwnie. Nie było jednak czasu na refleksje. Próbowiałem nadal ratować. Czasem wydawało się, że serce zaczyna działać. Ale próżna radość, to tylko złudzenie. Wreszcie jest infirmariusz. Zastrzyki, ratowanie. Niestety było już za późno. Mała Angelika nie żyła. Przybiegła babka dziecka i ciotka. Matki dziecka już nie miało, a ojciec właśnie wyjechał do Tanzanii. Lamenty, płacz! Wreszcie zabrano ciało i poniesiono w kierunku misji. Z księdzem wróciliśmy na obiad. Dziwny miał smak.

Po obiedzie, ksiądz bierze książkę z modlitwami za zmarłych i udaje się do kościoła. Idę za nim. Na posadzce, owinięte w słomianą matę, leży ciało Angeliki. Z maty wystają bose nogi. W kościele kilku mężczyzn i kilka kobiet. Modlitwy, pokropienie święconą wodą i zabierają ciało. Z ciekawością wychodzę za nimi... Zdumienie moje! Idą w kierunku cmentarza. Czyżby pogrzeb?! Od szkoły dołącza się jakieś 300 dzieci pod kierunkiem sióstr zakonnych i nauczycieli. Idą w absolutnym milczeniu. Na cmentarzu pogłębiają nieco jeden z dwu dawniej już wykopanych grobów. Tymczasem siostry z dziećmi odmawiają „Mwaramutse Mariya – Zdrowaś Maryjo” i śpiewają jakąś pieśń. Wnet ciało dziecka przysypuje suchy, afrykański piasek. Długo stoją mi w oczach bose nogi, zasypywane piaskiem, nogi dziecka, które przed trzema godzinami wydobyłem z wody. Na cmentarzu nie widzę nawet tej płaczącej babci. Za to kozy, szukające daremnie wśród grobów trawy, pobekiwały żałośnie. Pierwszy pogrzeb jaki widziałem w Afryce był dla mnie wstrząsający. Stało się to tak nagle! Zdumiewające też było to ścisłe milczenie 300 dzieci. Aż do powrotu do szkoły nie usłyszałem żadnego słowa. Żadnego szeptu. Że też potrafią tak się opanować!

Kiedy później dzieliłem się wrażeniami z misjonarzami, mówią mi, że nic nadzwyczajnego, że tu z powodu ciepłego klimatu grzebie się zaraz. Pisałem do kogoś, że na cmentarzu czekają zawsze dwa wykopane groby, ale gdy w ostatnią niedzielę wracałem z jednym misjonarzem od chorych, zobaczyłem na cmentarzu więcej niż 10 świeżo wykopanych grobów. „Umrze ktoś o 8.00 rano – powiada ksiądz – a o 11.00 jest już po pogrzebie. To zwyczajne”.

(...) Nie chcę już zanudzać, ale można bez końca opowiadać o tych „zwyczajnościach”. To na przykład zwyczajne, że po wioskach spotyka się nagie dzieci, które z braku ubioru nie chodzą do szkoły. To tak zwyczajne, że one już się nie kryją, nie uciekają.

To zwyczajne, że dzieci przynoszą do szkoły w bananowych liściach po kilkanaście ziarenek gotowanego grochu lub trochę manioku na drugie śniadanie. Dla wielu jest to pierwsze śniadanie, bo widzę, że przed godziną 8.00 gromadnie przystępują do Komunii św. Spotykam też dzieci, które do godziny 14.00 nic jeszcze w ustach nie miały i dlatego po szkole prędko wracają do domu, gdzie na podwórku gotuje się w garnku śniadanie, obiad i wieczerza zarazem – czyli trochę grochu lub zupa z sorgo. To zwyczajne, że wielu jada raz dziennie, zwłaszcza teraz, w okresie suszy.

Misja, jak widzę, rozdaje wiele najuboższym, ale czy starczy na przedłużający się w tym roku okres suszy?

Tak, to zwyczajne, że choruje się bez lekarza i lekarstw. To zwyczajne.

Ale dość już tych „zwyczajności”, do których musi się przyzwyczaić misjonarz w Burundi.

Bardzo proszę, Kochani, módlcie się gorąco, żebyśmy się prędko przyzwyczaili.

Tak po cichu przyznam się szczerze, że modłę się za Was wszystkich w kraju, żeby Wam nigdy nie brakowało nic z potrzeb duszy i ciała, i aby w sercach Waszych owocowało zwyczajne chrześcijańskie miłosierdzie, bez którego byłoby nam trudno przemieniać tutejszą „zwyczajność”.

Łączę wiele serdeczności i uśmiechów!

o. Teofil Kapusta, k. b.

4. Gitara, małpy i mucha tse-tse.

Mpinga, 6 listopada 1971r.

Drogi Bracie Bronisławie et Consortes!

Bardzo ucieszyłem się listem. Dla nas tu każdy list jest miły, bo przecież jeszcze niezupełnie przeszczepiliśmy się na nowy grunt, jeszcze myślimy i śnimy po polsku. Chociaż, gdy wczoraj byłem w Mabandzie, to często w rozmowach z o. Kantym łapaliśmy się na wtrącanych mimo woli słowach francuskich. Czasami też zaczynamy myśleć po francusku, a to, jak mówią, dobry znak w opanowaniu języka. Niestety, jeszcze daleko do doskonałości, o ile w ogóle kiedyś ona nadejdzie. Cóż, trzeba przecież zacząć mówić w kirundi.

W ostatnim tygodniu trochę podróżowałem. Odwiedziłem brata Marcelego w małym seminarium w Buta, gdzie uczy się z seminarzystami francuskiego. Zrobił rzeczywiście duże postępy, tak że nasz biskup jest bardzo zadowolony. Małe seminarium w Buta bardzo miłe i urządzone dobrze na zewnątrz. Około 130 chłopców, ale powołań niestety bardzo mało. W Buta spotkałem też brata Sylwestra, który przeniósł się do Rutovu, gdzie będzie się uczył francuskiego. Razem z dwoma braćmi z Bururi pojechaliliśmy 1 listopada do jeziora Tanganika i popływaliśmy razem z hipopotamami. Woda ciepła i bardzo czysta. Potem trochę czekałem na okazję do Mpingi, która miała być z dnia na dzień, ale to Afryka, więc dopiero dzisiaj razem z biskupem, przez Makambę, dotarłem do Mabandy.

O. Jan Kanty czuje się dobrze, dniami i nocami uczy się francuskiego i kirundi. Jest u starego profesora i autora gramatyki, więc postępy robi. Nawet już raz chrzczył w kirundi. Na małpy z gitarą raczej nie poluje, bo je tam trudno w buszu odnaleźć, ale gitara jego staje się sławna w okolicy. Nawet nocami na niej gra. Zresztą małpy nie są takie łase na gitarę. A po drugie jest ich mało. Dopiero dwie widziałem. Innych stworów afrykańskich też nie widać, bo tu nie ma za dużo lasów. Trudno im wyrosnąć, bo busz często płonie. Co do muchy tse-tse, to wszyscy tu twierdzą, że w Burundi jej nie ma. Jest blisko za granicą Ruandy w parku narodowym. Ponieważ ostatnio było kilka wypadków śmiertelnych, ostrzegają, aby tam nie chodzić.

Chociaż doskonale sobie zdajemy sprawę, że fotografie są potrzebne, trudno się na nie zdobyć, a tu zwyczajne wywołanie filmu bardzo drogo kosztuje. Nasze paki nadeszły i czekają w magazynie w Bururi, więc o. Jan Kanty ma nadzieję, że z nich wydobędzie jakieś kwasy i wywoła filmy. No, ale jak będzie z ich przesłaniem, to na razie nie wiem. U nas tu wszystko idzie *buhoro buhoro*, czyli *doucement*. W Burundi czas się tak nie liczy jak w Europie.

Za pozdrowienia, życzenia, modlitwy bardzo serdecznie dziękuję. Modlitwy bardzo nam potrzebne, coś bowiem możemy zrobić bez Bożej pomocy, więc módlcie się za nas dużo, abyśmy umieli poznać i chętnie wypełniać zamiary Bożej miłości.

Co do paczek, to trzeba wam wiedzieć, że do nas na razie nie można ich z Polski wysłać, a jeżeli można – to przyda się wszystko, dosłownie wszystko! Wiadomo, że można posłać książki i prasę, więc jeżeli coś dobrego się ukaże, bardzo się ucieszymy, jeżeli się z nami podzielicie. Na listy pełne wieści także będziemy czekać. Od 1 XI podnieśli pocztową opłatę. Takie nasze szczęście. Byliśmy w Paryżu, akurat podnieśli opłatę, przyjechaliśmy tu – i spotykamy się z tym samym; widocznie chcą na nas zarobić.

Łączę bardzo serdeczne pozdrowienia dla Wszystkich Braci Kleryków, dla Czcigodnego Ojca Magistra, bardzo nisko kłaniam się Wszystkim Ojcom i Braciom. Serdeczności dla chorych z Zielnej. W modlitwie pamiętam i wzajemnie siebie i Współbraci polecam! Łaska Boża, miłość, radość niech będą zawsze z Wami.

z uśmiechem br. Teofil OCD

5. Dzieci z Polski dla dzieci z Burundi.

Mpinga, 3 grudnia 1971r.

Do Drogich i Dobrych Dzieci z Sosnowca!

Z dalekiego Burundi bardzo serdeczne pozdrowienia w Panu przesyłam. Mało się jeszcze znamy, zaledwie pewnie słyszałyście, Kochane Dzieci, o misjonarzu w dalekiej Afryce. Może Siostra Edmunda pokazywała Wam zdjęcia. Szkoda, że zdjęcie nie może się uśmiechać, bo bardzo bym chciał uśmiechnąć się do Was serdecznie, a następnie bardzo, bardzo Wam podziękować za wszystkie dobre rzeczy, które złożyłyście w ofierze dla naszych biednych afrykańskich dzieci. Jeszcze te rzeczy nie doszły do nas, a już bardzo się raduję, bo już widzę, ile radości będzie wśród naszych dzieci.

Otwierać będą szeroko oczy i pewnie wszystkie zawołają: „Joooo!!!” Powiem im wtedy, że to są dary od polskich dzieci ze Sosnowca, które mają bardzo dobre serca. Będziemy się wtedy modlić z tutejszymi dziećmi, aby serca Wasze ciągle wzrastały w dobroci, abyście wyrosły na dobrych ludzi, abyście byli pociechą Rodziców, pociechą Bliskich, pociechą Ojczyzny i chwałą Boga.

Może niejednemu lub niejednej z Was da Bóg wielką łaskę powołania misyjnego i przyjedziecie kiedyś jako misjonarze i misjonarki do dalekiego Burundi. Jakaż wtedy będzie radość ze spotkania z tymi dziećmi, którym teraz pomagacie. Z całego serca Wam życzę takiego powołania, bo to wielka przygoda jechać tu i pomagać ludziom.

A trzeba pomagać, bo kraj tu jest jeszcze bardzo ubogi. Dużo tu dzieci, które nie mają się w co ubrać, dzieci, które muszą bardzo daleko chodzić do szkoły. Dla wielu dzieci wcale nie ma miejsca w szkołach.

Nasze dzieci w Burundi, choć bardzo biedne, są jednak dobre, serdeczne. Już dzisiaj z daleka uśmiechają się do Was i z serca mówią: „*Urakoze cane* – co znaczy: bardzo dziękujemy”.

Zanim zakończę te kilka słów podziękowania, pragnę na zbliżające się Święta Wam, Waszym Rodzicom i Bliskim przesłać bardzo serdeczne życzenia. Niech Boże Dzieciątko uśmiecha się do Was, niech wam przyniesie wiele łask, aby radość Wasza była pełna, aby dużo radości towarzyszyło wam wszędzie: w szkole, w domu i we własnym sercu.

Przy żłobku Bożego Dzieciątka będę o Was pamiętał w modlitwie. Proszę też bardzo o Waszą modlitwę. Pamiętajcie o mnie, o innych misjonarzach, pamiętajcie o naszych dzieciach, módlcie się o nowych misjonarzy dla nas.

Wiem, że te moje słowa są bardzo bezradne wobec tego, co czuje serce i nie potrafię, tak jak bym chciał, wyrazić mojej wdzięczności, ale bardzo, bardzo Wam za wszystko dziękuję.

Łączę uśmiech poprzez moją dość już długą misjonarską brodę i z serca błogosławię.

o. Teofil Kapusta, karmelita bosy

6. Jeszcze o śmierci Angeliki i poznaniu parafii.

Mpinga, grudzień 1971r.

Drodzy Przyjaciele!

Wypada mi wrócić do poprzedniego listu, wielu bowiem pyta, dlaczego ludzie stali nad wodą i nie ratowali dziecka, które utonęło? Przecież sam instynkt każe w takim wypadku rzucić się do wody.

Chociaż nad jeziorem Tanganika widziałem dzieci doskonale pływające, a nawet w głębokiej wodzie rękami łapiące ryby, to jednak w naszych górach ludzie nie znają sztuki pływania i boją się wody. „Boją się wody” także z innego powodu. Nawet w duszy dawno już ochrzczonych pozostaje coś z zakorzenionych od wieków przekonań. Wierzone tu w jednego, Najwyższego Boga, źródło wszelkiego życia, ale ten Bóg wydawał się bardzo daleki i mało interesujący się losem człowieka. Blisko natomiast były różne duchy. To one mogą pomagać lub szkodzić. Mało więc troszczono się o wielkiego, lecz dalekiego Boga. Wielu natomiast dokładano starań, by nie urazić duchów, by je sobie pozyskać. Przede wszystkim bardzo blisko żyją duchy zmarłych przodków. Może żyją właśnie w wodzie, w drzewach. Stąd dla tutejszych ludzi wszystko jest jakoś ożywione, bardziej ożywione niż dla nas. Także woda jest niemal jak „ktoś”. Skoro „porwała” to dziecko (a tyle razy kapały się i nic się nie stało), to widocznie jest o coś rozgniewana. Mogłaby więc porwać także tego śmiałka, który odważyłby się teraz wejść do niej. Dlatego na moje pytanie: „dlaczego nie ratują?”, ksiądz odpowiedział prostym: „Oni się boją”. Dlatego też w milczeniu patrzyli z podziwem, że odważyłem się wejść po to dziecko. Ale ... po rozmowie z rodziną – która na drugi dzień przysłała się dowiedzieć, jak to dokładnie było – ksiądz mi powiada: „Oni nie byli zadowoleni.” Jak to!? Sądziłem, że powinni mi podziękować. Tymczasem, oni nie byli zadowoleni, że wydostałem to dziecko (może woda oddałaby je sama) i tak się bowiem nie uratowało, a woda - woda może się mścić teraz, że odebrano jej ofiarę.

Można się dziwić, spotykając się z jednym z maleńkich rysów animizmu, z tą żywą wiarą w życie pozagrobowe, przepełnioną niestety, strachem. Kiedy wiara w Chrystusa usunie strach, ich wiara w „świętych obcowanie” staje się daleko żywsza niż nasza.

Drugie pytanie, powtarzające się w listach, dotyka tutejszej nędzy. „Dlaczego tak żyją? Dlaczego nie zabiorą się do jakiejś pracy? Widocznie są leniwi? Dlaczego sobie wzajemnie nie pomagają?”

Kochani! Wydaje mi się, że ludzie zapadający się w bagno, nie wyciągną się z niego, choćby bardzo mocno ciągnęli się wzajemnie za włosy. Trzeba im podać pomocną dłoń. Oni, chwyciwszy tę dłoń, powinni dołożyć wszelkich wysiłków, aby wydostać się z topieli. Pomoc

nie może i nie powinna zastępować własnych wysiłków. To wcale nie byłoby dobrze, gdyby tutejszy Kościół opierał się tylko na pomocy z zewnątrz. Trzeba dążyć do tego, aby potrafił utrzymać się samodzielnie. Zanim jednak stanie na nogi i pójdzie o własnych siłach, potrzebuje pomocy.

Może i są regiony w Afryce, w których sprawdza się opinia o lenistwie Afrykańczyków. Obserwując jednak tutejszych ludzi muszę stwierdzić, że nie sprawdza się ona w Burundi. Komunię św. przyjmują tu na rękę. Mam więc doskonałą okazję dobrze przyglądać się tutejszym dłoniom. Każda ręka, od dziecka do starca, jest tu bardzo spracowana. Białą Hostię składałam ze wzruszeniem na odcisku.

Powodem nędzy jest raczej klimat, jest ogólne ubóstwo kraju. Bardzo brakuje szkół, brakuje lekarzy, brakuje środków na rozpoczęcie jakiegoś opłacającego się przemysłu, a więc brakuje pracy. Mówię „opłacającego się przemysłu”, nie każdy bowiem może się opłacać. Opłacałby się na pewno przemysł rzeczy drobnych i drogich, np. precyzyjne maszyny, zegarki, radioodbiorniki, telewizory. Takie bowiem wyroby można by łatwiej i z korzyścią przewozić na dalekie rynki zbytu. (...)

Powtórzyło się także pytanie o egzotykę. Ktoś nawet rzuca myśl, że wielu misjonarzy jedzie do Afryki właśnie dla egzotyki, dla przyrody.

Możliwe. Dużo tu bowiem egzotyki i przyrody. Inny klimat, inna roślinność, inne zwierzęta, inne ptaki, a przede wszystkim inny człowiek o czarnym kolorze skóry, ubrany barwnie, często ubrany w łachmany, albo ubrany w piękny strój nędzy: nagość. To wszystko egzotyka! Stwierdzam jednak, bez jakiegoś narodowego szowinizmu, że nasze polskie góry, jeziora, morze, że nasza polska roślinność, nasz klimat z wiosną, latem, złotą jesienią i śnieżną zimą, choć inne – okazują się o wiele bogatsze.

A przygoda? Okazji do przygód tu wiele. Noc spędzona w buszu, bo zepsuł się motor, to rzeczywiście przygoda. Słyszysz wyraźnie nocne życie buszu. W głębokiej ciemności nawołują się zwierzęta i ptaki, szumią górskie potoki. Gdzieś w oddali błyskawice i grzmoty. W innej znów stronie całe zbocze w ogniu – to płonie busz. Wreszcie świtanie wschodzącego słońca...

Owszem, taka noc w buszu to rzeczywiście przygoda!

Sądzę jednak, że dla takich przygód można by sobie jedynie wakacje urządzić w buszu i to niezbyt długie.

Jeżeli tu misjonarze trwają i pracują całymi latami, to dla innej egzotyki i dla innej przygody – dla wewnętrznej, o wiele bardziej porywającej.

Idzie np. misjonarz wiele kilometrów ścieżkami wydeptanymi w buszu, nie dojedzie bowiem, gdyż w porze deszczowej droga stała się rozmokłą, lepiącą się gliną. Idzie więc, niosąc pożywienie, odzienie, niosąc ciężary. Idzie... bo naprawdę słyszy: „Idźcie na cały świat... Oto Ja was posyłam”. Idzie, a siłę mu daje świadomość, że właśnie na tej drodze spotyka się z Tym, który „wyszedł niosąc krzyż” dla zbawienia świata, że właśnie na tej drodze zbawia. O tym się głośno nie mówi. Tylko czasem wyrwie się jakieś wiele mówiące słowo. Przepraszam więc, że odkrywam tu rąbek tajemnicy, wewnętrznej przygody, którą tu spotykam. To ona pozwala misjonarzowi ściągnąć z uśmiechem buty z nóg i usuwać skupiska afrykańskich pcheł, których larwy rozwijają się głęboko pod skórą, powodując swoiste pieczenie. „O, jak piękne są nogi głoszących Ewangelię” – śpiewano kiedyś przy ceremonii wysyłania misjonarzy.

To piękno dzisiaj odkrywa misjonarz, całując bowiem stopy Ukrzyżowanego, może z radością dostrzegać podobieństwo... i to jest wielka, rzeczywista przygoda, tak rzeczywista, że rano misjonarz ubiera spokojnie buty i idzie do chorych, do biednych, przedeptuje ścieżki miłości. Wreszcie pyta, Kochani, co nowego u nas? Ze wzruszeniem przyjmujemy to z troską o nas, to zainteresowanie. Cieszy nas, że sercem jesteście z nami. To dla nas wiele. Chcecie wiedzieć wszystko. Trudno jednak opisać wszystko.

Z kursu języka donoszą o wytężonej pracy. Myślami wybiegają także do tej pracy, która ich czeka na różnych placówkach misyjnych w czasie stażu. Zanim bowiem rozpoczną samodzielną pracę, trzeba przejść staż pod kierunkiem doświadczonych misjonarzy.

My w buszu, tj. bracia, o. Jan Kanty i ja, także powoli wtajemniczamy się w zawile prawa gramatyki kirundi oraz zapoznajemy się z pracą misyjną. Zapewne o. Jan Kanty informuje o swoich przygodach, więc tylko łączę kilka wrażeń z terenu Mpingi.

Poznaję nadal naszą parafię, która okazuje się bardzo ciekawą, bo bardzo zróżnicowaną. Np. ludzie od biednych do najbiedniejszych. Do tych ostatnich zaliczam pierwotnych mieszkańców Burundi, których kilka osad mamy na terenie parafii, a którzy pozostali na bardzo prymitywnej stopie życia. Żyją na wpół dziko, nie kontaktują się z ludźmi, posiadają swój własny język, swoje obyczaje. Wyprawa do nich to prawdziwa egzotyka, która jednak zasiewa w duszy nową troskę: jak zaradzić, choć nieco, ich niesamowitej nędzy?

Bardzo biedni są także mieszkańcy naszych dolin, porośniętych buszem. Prawie odcięci od świata, bez szkoły, bez jakiejkolwiek pracy. Owszem, pracują dużo na swoich biednych polach. Skarżą się jednak, że plonów muszą troskliwie pilnować, niszczą je bowiem dziki lub małpy. W niedzielę 14 listopada towarzyszyłem misjonarzowi w wyprawie do nich. Jak taka wyprawa wygląda? Wczesnym rankiem wyjeżdżamy samochodem. Po godzinie jazdy samochód zostaje pod drzewem, a my wraz z przewodnikiem schodzimy stromym zboczem w dolinę. Po drodze spotykamy się z dużym stadem małp, małp większych od dorosłego człowieka. Okazały duże zdziwienie, że ktoś wtargnął na ich teren. Następnie przedzieramy się przez bambusowy las. Trzcina rzeczywiście okazała. Po dwóch godzinach drogi pojawia się busz. Przewodnik doskonale wybiera ścieżki w wysokiej trawie, ścieżki prowadzące do misyjnej „katedry”. Podobno są tu i ludzkie osiedla, ale niewiele widać poprzez wysokie ściany traw. Nie mogę też dostrzec kaplicy, ale wreszcie się zjawia. I to jaka! Cała z bambusowej trzciny, pokryta słomą. Zupełnie podobna do tych z dawnych zdjęć misyjnych. Nie przypuszczałem, że jeszcze takie istnieją, nawet tu w Afryce. Trzeba się mocno schylić przy wejściu. Tu czeka gromadka wiernych i katechumenów. Chwila pogawędki z misjonarzem i zaczyna się spowiedź. Dawno nie było tu takiej okazji. Wreszcie Msza św. na bambusowym ołtarzu. Ponieważ zaczyna padać deszcz, kaplica zapełnia się po brzegi. Na wpół nagi lud modli się żarliwie. Nagle dzieci z braku miejsca wciskają się nawet pod ołtarz. Bardzo to urocze. Po Mszy św. długo jeszcze śpiewamy w kaplicy. Następnie misjonarz załatwia „urzędowe sprawy”, egzaminuje katechumenów, sprawdza stan katolickich rodzin, udziela rad, pomocy. Tymczasem „gaworzę” z ludźmi przed kaplicą. Mamy karmią swoje nagie pociechy. Starsze dzieci, także nagie, kopią piłkę splecioną z bambusowych liści. Wreszcie o godz. 13.30 odprowadzeni przez ludzi, zaczynamy prawdziwie górką wspinaczkę. Dobrze, że chmury przesłaniają słońce. Przyznaję szczerze, że pod koniec jestem już mocno zmęczony. Z jakąś ulgą wsiedam do naszego mocno sfatygowanego wozu. Po kamienistej drodze spieszymy na obiad, któremu towarzyszą obrazy oglądanej dziś nędzy.

Uparcie powtarza się w duszy: „byłem głodny, byłem nagi, byłem chory, byłem... a nie ...”. Bolesnie doskwiera bezradność.

W następną niedzielę, 21 listopada, święto Chrystusa Króla. Znów mam okazję do poznawania tutejszego Królestwa Chrystusa. Robimy na motorze przeszło 120 km. Celebруем Mszę św. w dwóch misjach katolickich, podczas których mój przewodnik i towarzyszy o. Hauzeur spowiada. Później trzecia Msza św. i odwiedziny „wiosek” w buszu. Kaplica bardzo prosta, budowana z suszonej na słońcu cegły. Ludzi także nie zbiera się zbyt dużo, bo tereny odwiedzane są jeszcze w większości pogańskie. Chrystus Król jawi się tu jako Król wielce Ubogi. To na razie tyle, bo i tak zbyt się rozgadałem.

Jeszcze raz bardzo serdecznie dziękuję za zapewnienie o pamięci w Waszych modlitwach. W naszych także pamiętamy o Wszystkich, którzy sercem są z nami.

Nie mam wielkiej nadziei, by nowy mój list dotarł do Was, Drodzy Przyjaciele, przed Świętami Bożego Narodzenia, więc już dzisiaj z całego serca życzę w pełni szczęśliwych i radosnych Świąt, nowego zbliżenia się Boga do Waszych serc, do Waszych Rodzin.

Z serdecznością, z uśmiechem i błogosławieństwem.

o. Teofil Kapusta, Karm. Bosy

PS. Bardzo serdecznie dziękuję komuś, kto bardzo dyskretnie, bez podania swego adresu, przesyła mi polskie czasopisma. Szczere „Bóg zapłać!”

ROK 1972

7. Jak staje się misjonarzem. Pierwsza Wigilia w Afryce.

Mpinga, styczeń 1972r.

Ukochani!

Znów ten list potraktuję jako odpowiedź na postawione w Waszych listach pytania, na poruszone w nich zagadnienia. Listów w okresie Bożego Narodzenia przyszło wiele. Chciałbym na każdy odpisać z osobna, ale skoro okazuje się, że to ponad miarę moich możliwości, przyjmijcie, Kochani, odpowiedź w tym wspólnym liście.

Za wszystkie listy z gałązkami polskiej jodełki czy świerka, z opłatkiem, a zwłaszcza z sercem życzliwym bardzo, bardzo serdecznie dziękuję. „Bóg zapłać!”

Może nie tyle pytanie, ile powtarzający się w listach podziw dla naszej decyzji wyjazdu na misję, zmusza mnie do poruszenia tego tematu.

Kiedyś, było to rzeczywiście dawno, już wiatr rozwiął lub zasypał piaskiem ślady stóp Człowieka, który nad palestyńskimi jeziorami jednym zawołaniem: „Pójdź za Mną”, zmienił zupełnie kierunek ludzkiego życia. Było to dawno i niektórzy powiadają: mit, legenda... Karty Ewangelii twierdzą jednak uparcie, że do prostych rybaków, do celnika powiedział: „Pójdź za Mną”, a później: „Oto was posyłam..., będziecie Mi świadkami aż po krańce ziemi”. Stwierdzamy naukowo historyczność Ewangelii, która przekazuje słowa Pana: „Oto Ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata.” Ale dla wielu, także wierzących, ta obecność jest jakaś daleka, odległa. Tymczasem dzisiaj, w XX wieku, do

człowieka z krwi i kości, jakoś tak niespodziewanie, jak kiedyś na palestyńskich ścieżkach, mówi Pan: „Oto Ja was posyłam...”

Różnymi drogami ten Jego głos dochodzi, ale przecież człowiek wie, że to jest Jego głos: cichy, ale mocny, i nieraz zaskakujący. Przyznaję szczerze, że mnie zaskoczył i wiem także, że któremuś z naszej grupy przy tym wezwaniu Pana mocno ugięły się nogi w kolanach, stały się niemal jak z waty... Tak, Kochani, to nie tylko kiedyś, ale dzisiaj Chrystus jest żywy i realny, i jak kiedyś, tak dzisiaj wysyła swoich świadków. Wybiera ich, jak kiedyś, spośród biednych i słabych, aby okazać moc swoją. Na własnej skórze – jak się to mówi – odczułem to Jego powołanie, bo „posłał mnie, abym ubogim niósł Dobrą Nowinę”. Równocześnie z powołaniem swoim daje Chrystus człowiekowi słabemu taką moc, że choć może rozdziera się serce, to jednak zostawia ukochanych Rodziców, rodzinę, przyjaciół, zostawia kraj, by pójść w nieznane, na pracę trudną, misyjną...

Dla mnie, choć już byłem kapłanem, powołanie misyjne stało się nowym, zaskakującym spotkaniem z żywym Chrystusem, z Jego dziś działającą mocą, stało się łaską, która mnie słabego tak mocno dotknęła. Zazwyczaj nie mówi się o tych sprawach, choć nie wiem czy słusznie? Jeżeli dzielę się z Wami łaską mojego misyjnego powołania, to dlatego, że bardzo pragnę, byście w spotkaniu (choćby przez listy) z nami, którzy mimo naszej nędzy i słabości nosimy szczytne miano misjonarzy, czyli posłanych przez Pana, odczytali właśnie ten moment, tę rzeczywistość, wzywającego Boga i tę moc Jego, dziś działającą.

Wtedy nie nam będziecie oddawać chwałę, ale Panu, nie nas podziwiać, ale Jego, bo to On „uczynił nam wielkie rzeczy.” – jak śpiewała kiedyś Maryja – dzisiaj uczynił!

Stad też – jak ufam – nabierzecie jakiegoś wielkiego zaufania do tej Chrystusowej mocy, która dziś działa i może wesprzeć duchową i fizyczną słabość człowieka, niemoc każdego człowieka. Tak, Chrystus naprawdę, „ten sam – wczoraj i dziś”, jak pisał św. Paweł. Mam też nadzieję, że razem z nami dziękować będziecie Panu za wszystkie wielkie rzeczy, które nam uczynił.

Bardzo często pytanie Waszych listów brzmi: „Jak pomóc?” Z serdeczną, pełną wzruszenia radością przyjmujemy to Wasze z troskowanie. To pomaga ufać, że choć odrobinę potrafimy, wspólnie z Wami, zaradzić nędzy tutejszej ludności. „Nakarmić umierającego z głodu, bo jeśli nie nakarmiłeś go, to go zabiłeś” – te słowa jednego z dawnych pisarzy kościelnych, przypomniał nam Sobór Watykański II.⁴³ Mocno one doskwierają w duszy, gdy patrzę na tutejszych głodujących biedaków, na głodne dzieci. Tym więc większa radość, że chcecie pomóc... Jak? Mam nadzieję, że z Poznania będzie można nadal przysyłać do nas paczki. Po informacje proszę łaskawie zgłaszać się na adres: Sekretarz Misji, Poznań, ul. Działowa 25. Sądzę bowiem, że nie opłaci się wysyłać mniejszych paczek, ale wspólnie większe. Można też na ręce wspomnianego sekretarza przysyłać grosze, za które będzie można zakupić najpotrzebniejsze w danej chwili rzeczy.

Ale najpoważniejsza dla nas pomoc, to pomoc modlitwy i ofiarowanych za nas trudów i cierpień. Nie macie pojęcia, z jakim wzruszeniem czytaliśmy wiadomość, że chorzy z Zakładu dla przewlekłe chorych na różnego rodzaju reumatyzmy w Śremie, zebrali dla nas ofiarę pieniężną, a równocześnie wielu z nich ofiarowało w naszej intencji swoje przewlekłe i

często nieuleczalne już cierpienia. To jest dla nas dar ponad miarę wszelkiej ceny. Zawsze byłem przeświadczony, że zbawia się na drodze Krzyża. Dziś odczuwam to jakoś szczególnie. To prawda, że całym swoim życiem zbawił nas Chrystus, ale jego Męka Krzyżowa ma szczególną zbawczą wagę.

Wielu ze swoich uczniów zaprosił do tej bolesnej, krzyżowej zbawczej roli. Z wieloma podzielił swoją krzyżową postawę. Dziś trudno nam ocenić i pojąć ile zbawczych owoców przynoszą cierpienia, znoszone cierpliwie z Chrystusem. Kiedyś to poznamy i będziemy wielbić Boga. Dziś często na widok cierpienia pytamy: dlaczego? Dlaczego tyle i tak straszliwych cierpień? Jedno jest pewne, że musi być jakiś sens, jakiś wielki sens, skoro On sam podjął tak bolesne cierpienie i jedno jest jasne: Krzyżowa męka zbawia!

Rośnie więc nasza nadzieja, że praca nasza będzie wydawać owoce zbawienia, skoro towarzyszy jej ofiara krzyżowa naszych Kochanych Braci i Sióstr – tych ze Śremu i innych z Polski, o których wiem dobrze, że ofiarowali swoje cierpienia za naszą pracę. Zapewne jest jeszcze wielu, o których nie wiem. Wszystkim ze łzami w oczach składam najserdeczniejsze „Bóg zapłać”.

Wszyscy też pytacie o nasze pierwsze w Afryce Święta Bożego Narodzenia. Spędziliśmy je w dwóch grupach. Jedni w Muyange, bo nie można było sobie pozwolić na przyjazd do Mpingi. Mpinga bowiem w języku kirundi znaczy tyle, co kraina odległa, daleka. Taki przyjazd więc byłby zbyt kosztowny. Zjawili się jednak ci z pobliza: o. Jan Kanty, br. Marceli i nieco później br. Sylwester. Ubraliśmy choinkę, taką trochę afrykańską, bo nie ma tu świerków, a tym bardziej jodły, i przy zapalanej świeczce łamaliśmy się opłatkiem i składali dużo dobrych życzeń, które obejmowały wszystkich nam Bliskich.

Łez nie widziałem. Po kolacji – takiej zwyczajnej, bo Belgowie nie znają naszej tradycji Wieczery Wigilijnej – było „ognisko” prowadzone przez tutejsze parafialne organizacje młodzieżowe. Różne „występy” i dużo pieśni, związanych z Bożym Narodzeniem. Szczególne wrażenie zrobiła na mnie chwila uroczystej modlitewnej ciszy po przemówieniu księdza. Ognisko już przygasało, za to obficie ugwieżdżone niebo zdawało się nisko nachylać nad skupionym tłumem (samej młodzieży z organizacji było około 500). Od czasu do czasu padały, przeważnie z ust mężczyzn, intencje modlitwy. Nie wszystko rozumiałem, ale wiem, że modlitwą i sercem obejmowano wszystkie potrzeby, troski i radości świata. Było pewne, że w tej chwili ta zagubiona w afrykańskim buszu parafia nie tylko sama poczuła się zjednoczona w Chrystusowej miłości, ale poczuła się „jedno” z całym światem, nad którym w tę Noc Świętą miłościwie nachylał się Bóg. O północy, „Wśród nocnej ciszy”, w naszej kaplicy była polska Pasterka z polskimi kolędami i modlitwami, obejmującymi wszystkich naszych Kochanych w Kraju. Bardzo nastrojowo (ale łez nie widziałem) brzmiała kolęda „Podnieś rączkę..., Ojczyznę miłą..., dom nasz...”

Po Pasterce wyszliśmy na spacer. Noc była cicha, ciepła, szczególna. Sercami byliśmy z „Naszymi”, którzy właśnie w tej chwili (zegary idą u nas o godzinę wcześniej) zebrani w kościołach, uczestniczyli w cudzie Bożej Miłości w dalekiej Ojczyźnie. Następnie trochę snu, bo już o godzinie czwartej dzwonienie na Pasterkę, która według tutejszego zwyczaju odbywa się o godzinie piątej. Ma to także swoistą wymowę. Zaczyna się w ciemną noc a kończy się wschodem słońca: w mrok ziemi wdziera się światłość nieba. Chrystus - Światłością świata. Koncelebrowaliśmy, bo w tutejszej parafii księża w Boże Narodzenie nie jadą na wioski.

To ludzie przychodzą do parafialnego kościoła. Ludzi było rzeczywiście dużo, zwłaszcza na sumie, także koncelebrewanej, w czasie której pierwszą Komunię św. przyjęło 270 dzieci. Porównywałbym tę pierwszą Komunię św. z tymi urządzanymi w Polsce. Tu tylko dwie dziewczynki były ubrane na biało, reszta jak na co dzień. Tylko różańce, zawieszane na szyi, stanowiły ozdobę, zresztą nie u wszystkich, bo nie wszyscy rodzice mogli sobie pozwolić na taki wydatek z okazji pierwszej Komunii św. dziecka. Było jednak uroczyste, a przejęcie dzieci wielkie. Po sumie znowu „występy” młodzieży z tańcami i pieśniami ku czci Bożego Dzieciątka. W następny dzień, 26 grudnia, księża pojechali do wiosek. W Mpindze „rozrabiali” Polacy i gitara o. Jana Kantego.

Urządziliśmy też 27 XII międzynarodową wyprawę (byli z nami Belg i Niemiec – księża) do małp. Chcieliśmy zobaczyć, jak one „świętują”. Spotkaliśmy duże stado, całe rodziny z dziećmi, od większych do malutkich. Najpociesniejsze były mamy karmiące swoje pociechy. Mnie jednak najbardziej podobał się nasz Niemiec – mężczyzna wysoki, prawie 2 metry, barczysty jak goryl, a oglądając figle małp, śmiał się i skakał jak mały chłopczyk. Jedno co się nie udało na Święta, to poczta. Były jakieś rozbieżności w dostawie i w Wigilię nasz „kurier” nie przyniósł ani jednego listu. Rozczarowanie było wielkie, bo się spodziewałem. Na pociechę przyszedł duży list lotniczy. Rozpakowaliśmy go szybko, szybko ... z wielką ciekawością, co też tam będzie? I znaleźliśmy – globus. Autentyczny globus przysłany z Polski. Bardzo miły i sympatyczny dar! To jakby Bóg, nachylając się w Świętą Noc nad światem, mówił: pochyl się i ty! Teraz stoi polski globus w sali i podziwia go wielu. Mówię wielu, bo jednak do naszej odludnej Mpingi w czasie Świąt zawitali różni goście. O. Jan Kanty i Bracia odjechali 28 grudnia po południu. Jednak 30 grudnia zjawił się o. Jan Kanty jeszcze raz wraz z ks. biskupem i o. Leonardem, który wykorzystując okres świąteczny, zwiedzał placówki, na których nasi ojcowie będą odbywać staż pracy. Właśnie o. Leonard przywiózł mi smutną wiadomość o śmierci przeora poznańskiego – o. Makarego.

To tyle o Świętach, bo trudno przecież wszystko opisać. Były trochę inne niż w Polsce. Były pełne wspomnień w rozmowach i modlitwie. Wspomnień o Was, Kochani.

Jeszcze, choć krótko, jedna sprawa. Niektórzy wyrażają zdziwienie, że listy misjonarzy z Afryki (nawet te z Burundi) są różne, że jedni piszą o głodzie i nagości, a drudzy o wspaniałych strojach i zjadaniu bananów i ananasów. Musimy Kochani pamiętać, że Afryka jest bardzo rozległa i rzeczywiście bardzo zróżnicowana. Są w Afryce wspaniałe miasta, są bogate, pełne rozkwitu kraje, ale są też kraje tak ubogie, że naprawdę wierzyć się nie chce, iż coś podobnego może jeszcze istnieć w XX wieku. Jednym z najbiedniejszych krajów świata jest Burundi. Ale i w tym małym kraju różnice są wielkie. Kiedy np. o. Jan Kanty zobaczył naszych ludzi z parafii Mpinga w czasie Świąt, to z pewnym zdumieniem stwierdził: u nas w Mabandzie lepiej ubrani chodzą na co dzień. Z drugiej jednak strony powiedział, że w Mpindze o wiele lepiej i czystiej mają utrzymane zagrody niż w Mabandzie. A przecież to jedna diecezja. Tak, w naszym małym kraju można spotkać wszystko: od nędzy, brudu, nagości, choroby i trądu – do znośnego dobrobytu, zdrowia, sytości. Zależy, na co autor listu zwróci w danej chwili uwagę, tak nam się na podstawie jego listu przedstawi Afryka. Gdy ktoś np. opíše tutejsze barwne stroje i egzotyczne tańce w cieniu palm – to komuś może się jawić Afryka jako roztańczony, beztroski, słoneczny kraj. Z innego listu może się jawić jako świat ponurej nędzy, trądu, głodu, zabobonów. Tymczasem jest tu jedno i drugie. Dopiero wiele listów może dać jaki taki obraz tego, co tu widzimy i przeżywamy. (...)

W listach odbija się także aktualne usposobienie autora. Czasem duszę ogarnia jakiś czarny pesymizm, czasem czarny w pomarańczowe kropki. Czasem znowu ogarnia ją słoneczny optymizm i cały świat widzi się na różowo. Czasem list pisze gaduła i list jest długi, jak właśnie ten mój, który jeszcze na dodatek jest nudny. Radzę czytać na raty.

Kończąc, wszystkim Drogim Przyjaciołom naszej polskiej i karmelitańskiej misji w Burundi przesyłam serdeczne pozdrowienia i uśmiechy poprzez różowe gałązki brzoskwini, która właśnie kwitnie przed moim oknem.

Na wzajemną pamięć w modlitwie liczymy. I ci, którzy zaczynają staż pracy i my, którzy zaczynamy kurs, tzn. o. Jan Kanty i ja.

Z Bogiem!

br. Teofil Kapusta OCD

8. Troski misjonarza.

Muyange, 28 lutego 1972r.

Drodzy Przyjaciele!

(...) Może już w ostatnim liście odpowiedziałem na pytania dotyczące naszej obecnej sytuacji, ale nie pamiętam, więc w skrócie donoszę uprzejmie, że w. o. Leonard i o. Eliaz odbywają staż pracy misyjnej w Rutanie, o. Edmund w Butwe, o. Kasjan w Rumezie, o. Sylwan w Makambie i o. Kamil w Mpindze. Te parafie znajdują się na terenie diecezji w Bururi. Tylko o. Klaudiusz został w Bukinasazi na terenie diecezji Gitega, ale i on ma o wiele bliżej do Mpingi niż do Muyange, gdzie o. Kanty i ja uczymy się języka. Brat Marcelli nadal uczy się francuskiego w seminarium w Buta, a brat Sylwester w Rutovu.

Jak tu dochodzą wieści, wszyscy ojcowie odbywający staż pracy, zaczynają spowiadać i głosić kazania. Nie jest to jeszcze dla nich łatwe, ale tutejsi ludzie są wyrozumiali i nie śmieją się nawet, gdy kaznodzieja zamiast *umushatsi* powie *ivyatsi*. Ewangeliczne zdanie: „włosy na głowie waszej wszystkie są policzone” brzmi wtedy: trawy na głowie waszej... Ale nie śmieją się, choć to już poważny błąd. Mniejsze błędy polegają na błędnym akcentowaniu słów. Gdy np. ktoś chce powiedzieć: „spotkali się na drodze”, czyli *barahurira mw-ibarabara*, a powie: *barahurira mw-ibarabara*, to ludzie rozumieją: „ryczeli na drodze”, a gdy powie: *barahurira mw-ibarabara*, to ludzie rozumieją, że „byli ofiarą alergii na drogę”. To jeszcze nie takie wielkie pomyłki. O wielu przygodach językowych opowiadają tu misjonarze. Jeden stary misjonarz opowiadał mi kiedyś, jak to w początkach swej pracy misyjnej zasiadł do konfesjonału i między innymi usłyszał: ukradłem *umwana* w' *ibitoke* sąsiada. Wiedział dobrze, że *umwana* znaczy tyle, co dziecko i wiedział dobrze, że *ibitoke* to sad bananowy. Zrozumiał więc: ukradłem dziecko w sadzie bananowym sąsiada. Zdumiony zapytał: „a dlaczegoś je ukradł?” „Żeby zjeść” – padła odpowiedź. „Naprawdę je zjadłeś?” – pyta misjonarz. „Naprawdę, ojciec, zjadłem z moją rodziną” – odpowiedział skruszony penitent. To jednak prawda, że jeszcze istnieje ludożerstwo – pomyślał spowiednik. Skarcił bardzo surowo penitenta i nałożył bardzo dużą pokutę. Potem przypadkowo wyczytał w słowniku, że w' *ibitoke* to po prostu zwyczajny owoc bananów. Ale dosyć tych językowych wywodów, bo myślę, że już widzicie, z jakimi trudnościami spotykamy się na kursie i w pracy. Prawdę mówiąc, to język ten jest łatwiejszy od polskiego, bo niemal nie ma wyjątków. Wszystko

mieści się w gramatycznych regułach. Trudność tylko w tym, że tych reguł jest bardzo, bardzo dużo.

Poznajemy je teraz z o. Janem Kantym na kursie w Muyange. Nie tylko my, bo na kursie jest nas 28 osób z 9 krajów: księża, zakonnicy, siostry zakonne i kilka osób świeckich, w tym dwie protestantki ze Szwecji. Wszyscy zapracowani, bo codziennie jest 5 wykładów, a nadto praktyczne ćwiczenia w rozmowach z tutejszymi dziećmi i ludźmi. Bardzo to jeszcze idzie koślawo, ale już jakoś idzie. Chcemy, żeby szło dobrze, dlatego pracujemy dużo. Mimo tego zapracowania atmosfera w Muyange wytworzyła się miła i radosna. Od czasu do czasu wieczorem pod naszym domem, przy dźwiękach gitary o. Kantego i jednego naszego kolegi Hiszpana, rozlegają się melodie piosenek włoskich, hiszpańskich i francuskich. Słysząc też melodie z Kanady, Szwecji i oczywiście z Polski. Te ostatnie, śpiewane z pomocą Słowian z Jugosławii, bo mamy na kursie jednego salezjanina i jedną szarytkę z tego właśnie kraju.

Czasem słysząc też melodie z Majorki, bo ta mała wyspa posyła tu od czasu do czasu po kilku kapłanów.

Jeżeli mamy szczerze się dzielić naszą sytuacją, to wypada jeszcze napisać, że ostatnio doskwiera nam trochę troska o pomoc materialną dla naszej misji. Okazuje się bowiem, że są różne trudności, że wiele obietnic pozostaje dotychczas tylko obietnicami. Nie chodzi o nas osobiście, bo mam nadzieję, że wyżyjemy i to dobrze, ale spodziewaliśmy się, że z pomocą naszych Braci z kraju i zza granicy, pomożemy coś biednym ludziom. Nadziei jednak nie tracimy, bo może to tylko takie chwilowe trudności. W tej sytuacji cieszy to, że Wy Kochani, tam w kraju jesteście z nami modlitwą i życzliwym sercem.

Może dziwić Was to „zatroskanie”. Czyżby misjonarze zapomnieli, że Pan powiedział: „Niech nie ogarnia was niepokój przewidywań...?”; że upomniał: „Nie troszczcie się...?” Nie zapomnieliśmy, ale jesteśmy ludźmi i nie przychodzi łatwo wyzbyć się „przewidywań” i „zatroskania”, zwłaszcza, gdy na każdym kroku widzi się tyle nędzy. Czasem te przewidywania są jakieś jaśniejsze. Marzy się w nich ewangeliczne rozmnożenie chleba, marzy się żywe świadectwo wiary starych chrześcijańskich krajów, wiary wypowiadającej się uczynkami miłości, miłości takiej, jakiej przykład dał nam Pan. Czasem jednak przewidywania stają się nieco ciemniejsze, zwłaszcza gdy dochodzą wieści z innych afrykańskich krajów. Ma wiele trudności Kościół w Kongu, wyrzucają misjonarzy z innych krajów. Może coś podobnego spotkać i tutejszy Kościół. Księży tutejszych jest tu bardzo mało, byłaby więc sytuacja beznadziejna. Podobno przed kilku laty już był wypisany dekret, zmuszający wszystkich białych, w więc i misjonarzy, do opuszczenia Burundi. Tylko obecny prezydent uratował sprawę. Trudno się dziwić. Burundi to jeszcze bardzo młody kraj, dopiero co wyzwolił się spod jarzma kolonializmu. Trudno nawet powiedzieć, że wyzwolił się całkowicie, istnieje jeszcze duża zależność gospodarcza. Tak sobie nieraz porównuję obecne czasy Burundi z czasami Bolesława Chrobrego, Krzywoustego i jego synów... Wszystko to podobnie nieokrępe, jeszcze żywiołowe, jeszcze niedojrzałe. Niektórym władza jawi się jako coś bardzo pożądanego. Ci przy władzy czują się bardzo niepewni. Trudno więc dziwić się, że w takim kraju zapadają czasem jakieś skrajne, żywiołowe decyzje. Pod koniec stycznia i z początkiem lutego zapadły takie nagłe decyzje. Skazano na śmierć dziewięciu ludzi i kilku na dożywocie. Podejrzani o spisek przeciw rządowi. Wyrok zapadł niemal doraźnie, bo niektórzy ze skazanych na śmierć jeszcze kilka dni przedtem byli na wolności. Sytuacja stała się groźna, bo wielu było przekonanych o niewinności skazanych. Wnet też wyszedł dekret,

zabraniający surowo krytykować pociągnięcia rządu. Obawialiśmy się nawet, że ten dekret został wymierzony przeciw tutejszym biskupom, którzy wezwali rząd do rozważy i prosili Ojca św. o interwencję. Na wypadek wykonania wyroku gotowały się rozruchy na dużą skalę. Na szczęście prezydent złagodził wyrok i to jak!? Niektórzy ze skazanych na dożywocie otrzymali kilka miesięcy więzienia, a nawet któryś tylko 12 dni. Kilku ze skazanych na śmierć ułaskawiono na dożywocie, inni otrzymali karę kilku lat, a nawet niektórzy tylko kilka miesięcy. Ponieważ zaliczono im miesiące spędzone w więzieniu, ludzie przed kilku dniami skazani na śmierć chodzą swobodnie po kraju. Świadczy to o wielkiej jeszcze niedojrzałości tutejszego świata. Nie piszę tych zdań, żeby krytykować, ale po prostu, aby Wam pokazać jak jeszcze u nas jest, aby pokazać, co czasami barwi na czarno nasze przewidywania.

Niełatwo mi opisać sytuację materialną tutejszego kraju i człowieka, jak o to prosicie. Trochę już na ten temat możecie wyczytać w poprzednich listach, więc tylko kilka zdań. Cóż, sytuacja nie jest łatwa, bo w Burundi nie odkryto jeszcze bogactw naturalnych, takich jak złoto, ropa naftowa, czy choćby węgiel. Prawie też jeszcze nie ma przemysłu, bo brakuje funduszy na rozpoczęcie. Za tym idzie brak pracy. Łatwo sobie zatem wyobrazić, że sytuacja ludzi jest trudna. Oczywiście, że dużo tu zależy od okolicy. Trochę lepiej jest w stolicy, a prawie beznadziejnie w dalekim buszu.

Może dobrze będzie zrobić taką małą panoramę cen. Ziemniaki, np. w buszu kosztują około 7 franków (frank tutejszy równa się prawie naszemu złotemu, za dolara otrzymujemy 90-100 fr.), a w stolicy około 20 fr. W buszu nieraz proszą rolnicy, aby od nich kupić, tymczasem w stolicy nie zawsze można dostać. Prosta sprawa, powiecie, trzeba je wozić do stolicy. Dla naszych rolników jednak nie takie to proste, bo nie ma dróg. Jeżeli zaś są drogi, to transport kosztuje bardzo dużo. Dla przykładu: za 1 km taksówkarz (jest kilku w kraju) bierze 10 fr. To dużo, jeżeli się pamięta, że przeciętny robotnik zarabia na dzień od 20-30 fr. Ale wcale nie tak dużo, jeżeli się pamięta, że zwyczajna teczka na papiery, kosztująca w Polsce 1,50 zł, tu kosztuje 24 fr., że tubka pasty do zębów kosztuje 70 fr., że garstka ciemnej soli kosztuje 5 fr., że jedno piwo kosztuje 32 fr., a paczka papierosów 20 fr. Jeżeli jeszcze dodać, że np. zwyczajny rower kosztuje 6.000 fr., to mam nadzieję, że ta maleńka panorama cen porównana z zarobkami przybliży Wam obraz sytuacji tutejszego człowieka. Trochę lepsza jest sytuacja tych w stolicy, bo nieco więcej zarabiają. Nie mówię w tej chwili o białych, różnych profesorach, inżynierach, dyrektorach, urzędnikach, handlowcach. Na pewno w Europie nie mieliby więcej, tyle że mieliby lepsze drogi i telewizor.

To na razie tyle w tej sprawie, bo nie chcę zanudzać jednym tematem, skoro jeszcze pozostaje wiele. Mogliby też niektórzy mieć mi za złe, że na jedne pytania odpowiadam szeroko, a inne pomijam.

Jedno z tych pytań dotyczy rozwoju tutejszego Kościoła. Trochę wieści na ten temat posłałem już do kraju, więc czuję się zwolniony z obszernej odpowiedzi. Cieszy jednak bardzo, że troskacie się o Kościół w Burundi.

Jeżeli spojrzeć od strony organizacji, to Kościół tutejszy jest dosyć dobrze postawiony. W naszym małym przecież kraju mamy już 5 diecezji, a w tej chwili myśli się już o szóstej. Widziałem mury nowej katedry już wysoko podciągnięte.

W każdej diecezji jest po kilkanaście parafii. W diecezji Bururi np. jest ich trzynaście. Niektóre parafie są rozległe, ale podzielone są na okręgi z kaplicami pomocniczymi, których bywa w jednej parafii do 15. Jest już dużo szkół parafialnych, jest wyższe seminarium i kilka

niższych. Tu i ówdzie zaczyna się organizować szpitale i przychodnie. Dosyć żywotne są organizacje kościelne, zwłaszcza Legion Maryi.

Jednak spojrzenie od innej strony ukazuje Kościół jeszcze słaby, dopiero się rozwijający. Jeżeli np. o dojrzałości Kościoła lokalnego świadczy jego zaangażowanie misyjne, to Kościół w Burundi jeszcze nawet nie marzy o wysyłaniu misjonarzy, bo sam nie może sobie poradzić z własną sytuacją. Zamiast np. myśleć o powiększeniu liczby katechistów, wciąż myśli jakby ją zmniejszyć, bo nie ma czym płacić za ich pracę. Tymczasem jeszcze istnieją parafie, w których na 20 tys. chrześcijan pozostaje 40 tys. nieochrzczonych. Trzeba oczywiście pamiętać o spotykanych tu różnicach. Sam widziałem parafię, gdzie na 33 tys. ochrzczonych pozostaje tylko 3 tys. nieochrzczonych. Tu na północy jest pod tym względem dużo lepiej niż na południu. W tej właśnie parafii pracuje tylko 2 księży, którzy poza udzielaniem sakramentów i głoszeniem słowa Bożego, mają jeszcze tysiące spraw na głowie. To jest nowy problem tutejszego Kościoła. W takiej sytuacji trudno przecież marzyć o żywym życiu sakramentalnym, o podnoszeniu się poziomu życia moralnego, o rozwoju życia wewnętrznego. Bez pełnego zjednoczenia parafii przy stole eucharystycznym, trudno marzyć o nowych powołaniach kapłańskich. Od 1925 roku (kiedy to wyświęcono pierwszego kapłana tubylczego) do roku 1971 mieliśmy w Burundi 160 święceń kapłańskich. Jeżeli ilość powołań świadczy o dojrzałości parafii, o dojrzałości Kościoła lokalnego, to sytuacja Kościoła w Burundi jest bardzo wymowna. Te kilka słów o naszym Kościele w Burundi zakończę serdeczną prośbą o modlitwę w intencji powołań kapłańskich, w intencji powołań misyjnych. List się już przedłuża, ale jeszcze choć krótko pragnę uspokoić tych, którzy nie mogą uwierzyć, że w naszej Afryce wcale a wcale nie jest upalnie. Wciąż się martwicie, jak my znosimy gorąco, a tymczasem nieraz się nam marzy cieplejsza pogoda. Wprawdzie w dzień mamy tu 20 C, ale w noc temperatura spada do 15C, a nawet 14 C. W Burundi spada czasem do zera. Nie upieczemy się zatem. Raczej obawa, że zmarzniemy. Teraz mamy już okres deszczów, który ma trwać do maja. Codziennie około godz. 17.00 pada deszcz. Czasem od 17.00 pada, pada, pada do rana. Przy takich deszczach nawet na polach położonych na zboczach górskich jest mokro, coś dopiero na tych w dolinach. Ludzie tu jednak do takiej sytuacji przyzwyczajeni, tak po prostu jak my w Polsce do zimy i śniegu.

Pragnę uspokoić także tych, którzy nie mogą spać po nocach, bo śnią im się straszliwe zwierzęta napadające na misjonarzy. Te sny chyba stąd, że widujecie dzikie zwierzęta na znaczkach z Burundi. Szczerze mówiąc, to i my widujemy je tylko na znaczkach. Jeżeli bowiem jeszcze stosunkowo łatwo spotkać małpy, zwłaszcza w okolicy Mpingi, to już trudniej o spotkanie z wężem. Hipopotama czy krokodyla też trzeba dobrze szukać. Zresztą ludzie wiedzą, gdzie one przebywają i nie pozwoliliby misjonarzowi niepokoić tych pięknych okazów fauny afrykańskiej. A lwy? Prawdę mówiąc, to więcej lwów jest w Polsce, może nawet w jednej Warszawie, niż w całej Burundi. Tu niestety nie ma ogrodów zoologicznych, a spotkać lwa na wolności nie jest łatwo. Już od wieków nie słyszano, żeby lew misjonarza pożarł. Śpijcie więc spokojnie i niech Wam się śnią baranki.

A malaria? Ta malaria, co tak pożerała biedną Nel z „W pustyni i w puszczy”? Podobno wszyscy jesteśmy ukąszeni przez komara, a nie wszyscy tak delikatni i tak wymęczeni jak Nel. Zresztą wystarczy od czasu do czasu wziąć jakąś tabletkę przeciw malarii, a nie zachoruje się. Tak przynajmniej jest w Burundi. O ile wiem, to żaden z nas poważnie na malarię nie chorował. W górach zazwyczaj komarów się nie spotyka, a nad jeziorem na noc

są moskitiery, zaś na dzień ręce. Gdy komar zaczyna nakłuwać skórę, to się go zabija jednym klapssem, zupełnie jak w Polsce. Trzeba tylko ręce mieć wolne. O to nie ma obawy. Tutejsi ludzie wszystko naszą na głowie. No, nie wszystko, bo dzieci nosi się na plecach. Ręce są więc wolne. Jest czym zabijać komary.

Ale co przejmować się komarami, skoro w tej chwili niebo jest bajecznie kolorowe, skoro w pobliskim lesie rozśpiewały się ptaki, skoro ziemia uśmiecha się tysiącem kwiatów. Aż wierzyć się nie chce, że w Polsce dzisiaj może być zimno i śnieżno. Prawdę mówiąc, to jeszcze czasem chciałoby się zobaczyć śnieg ze śladami zajęcy i gawronów, ze śladami saneczek dziecięcych. Nie mamy śniegu, ale za to mamy kwiaty. Jeżeli już doszliśmy do kwiatów, to pragnę pytającym o to odpowiedzieć, że dużo tu kwiatów takich afrykańskich, ale przy misjach kwitną przeważnie rosną te sprowadzane z Europy, któż zresztą wie, może do Europy zostały sprowadzone z Afryki. W każdym razie z mojego okna widzę róże, goździki, lewkonie, hortensje i czerwoną jak krew szalwią. Z tych tutejszych to między kaktusami i palmami kwitną takie różowe kobierce. Kwitną też pnące się wysoko na mury pomarańczowe dzwonki. O nazwę nie pytajcie. Może na starość wezmę się do biologii, to je opiszę. Na razie lubię kwiaty – bez pytania o nazwę.

Ale już kończę, bo jak słyszę o. Jan Kanty też zamierza napisać długi list, bajecznie kolorowy, to mielibyście za dużo czytania. Powodowany więc litością, kończę.

Jeszcze tylko bardzo serdeczne życzenia Wielkanocne dla wszystkich naszych Drogich Przyjaciół przesyłam. Sądzę, że do wielu list nie dotrze wcześniej niż na Święta. Zresztą do Świąt już nie tak daleko, skoro czasem – tak w duszy – słyszymy jak Polska cała śpiewa „Gorzkie Żale”. Niech więc Jezus Zmartwychwstały darzy Was mocą i nowym życiem, życiem pełnej miłości, pokoju i radości...

W modlitwie pamiętam. Także o Braciach i Siostrach z Kazimierza Wielkopolskiego i Gubina, gdzie przed rokiem głosiłem rekolekcje wielkopostne. Ciekaw jestem czy i Oni jeszcze pamiętają?

Modlitwom Waszym bardzo się wszyscy polecamy!

Niestety, list ten wypadł bardzo niepokładany, ale pocieszam się, że nie jest to list do druku, tylko taki prosty, bezpośredni list do Przyjaciół, którym jeszcze raz ślę wiele uśmiechów i serdeczności!

Wasz brat o. Teofil k. d.

9. Fajka dla czarownika.

Muyange, 10 marca 1972r.

Drogi Mistrzu Franciszku!

Korzystam z okazji, że Kanty pozwolił mi pół strony do listu dołączyć i piszę słów kilka serdecznego podziękowania za list, który otrzymałem 6 marca i za taśmę, która nadeszła wczoraj. Słuchaliśmy wczoraj w nocy i dzisiaj w dzień. Bardzo miła! Dziękuję!!! Także Braciom Klerykom! Miłe wspomnienia z obozu. Myślę, że Bartek czułby się tu wyśmienicie, bo krów w Burundi bardzo dużo i jakie dorodne! Może doszły do Was przeźrocza, to mimo uszkodzeń coś zobaczycie. Powoli przekonujemy się, że u nas na lotnicze przesyłki nie ma cła. Jeżeli u Was zbyt dużo nie kosztuje, możecie nam przesłać coś filmów – to zrobimy

przeźrocza. U nas jeden film kosztuje około 500 fr., więc nas nie stać na kupno, raczej mamy nadzieję sprzedać. Kolorowy kosztuje 570 fr.

Piszę o głupstwach, a przecież chciałem Ci przesłać wyrazy serdecznego współczucia z powodu śmierci Twojego Ojca. W modlitwie pamiętam.

Chciałbym też serdecznie podziękować za zajęcie się dostarczaniem naszych listów ogólnych do Rodzin. Przy okazji prosba. Gdybyście przepisywali z Hanią listy, to bądźcie tak dobrzy i poślijcie je jeszcze na jeden adres: Eugenia i Tadeusz Górecy, 8622 Dennison, Detroit 10, Mich. 48210, USA. – to jest moja bliska znajoma, która wyszła za mego kuzyna. Interesuje się moim losem i chce pomóc, a trudno mi do niej wprost wysyłać listy, bo to kosztuje za każdym razem ponad 30 fr. Bóg zapłać!!!

Jeżeli już prosby, to może Czcigodny Ojciec Przeor pozwoli na kupienie jednej lub dwóch fajek, niezbyt wymyślnych, ale dobrych i przesłanie ich lotniczo do Muyange. Można dołączyć także worek na tytoń i ze dwie paczki tytoniu do fajek. Tu palą fajki, ale mają takie zwyczajne, nędznie dłubane w drzewie.

Chciałbym zaprzyjaźnić się z jakimś czarownikiem, a podarowanie fajki to bardzo mile widziany dar, zwłaszcza gdy jest dobra. Oczywiście, że to tylko taka prosba. Wyślijcie lotniczo, a nie jakieś polecone czy ekspresy, bo tu się nie liczy nic innego tylko *par avion*, ta nalepka żeby była koniecznie, bo chciałem to otrzymać już w kwietniu.

Spróbuję jeszcze kilka słów na drugiej stronie, bo Kanty nie pozwala na więcej niż jedyne pół kartki. Może jakoś odczytasz.

Co do nas, to żyjemy, jak możemy. W Muyange daje się w kość język, już mi się zaczynają śnić różne prefiksy i augmenty. Dziś do tego czuję się zupełnie do niczego. Ale myślę, że jakoś do śmierci dożyję.

Ze stażu dochodzą wieści, że też się mordują z pierwszymi kazaniami i spowiedziami, mam jednak nadzieję, że humoru nie tracą, choć nasz szef podobno się rozbił i to naszym autem, które przed miesiącem zostało kupione za krwawo zaoszczędzone pieniądze. Było konieczne, bo tu inaczej nie da się myśleć o skutecznym apostołowaniu. Szef podobno jeszcze żyje, ale auto? Może uda się naprawić. Na Święta będziemy mieć dwa tygodnie wolnego, ponieważ teraz nadrabiamy trzy dni, więc może uda się wpaść do diecezji Bururi i dowiedzieć się, co się u naszych dzieje.

Przy okazji wiele, wiele serdeczności dla Drogiego Ojca Przeora (list wkrótce napiszę), dla wszystkich Drogich Ojców i Braci, także osobne serdeczności dla wszystkich Braci Kleryków. Miło było usłyszeć ich głosy.

Łączę też wiele serdeczności dla naszych wspólnych Przyjaciół i Znajomych, tych z Jeżyc i tych z pobliza Klasztoru – a także tych ze studium w Warszawie. Ciekaw jestem co porabia Wenancjusz, co słysząc u Bogumiła? Aha – a co z Ferdynandem? A inni do wojska nie idą? A jak rozwiązała się sprawa z Maksymilianem?

Wprawdzie mam nadzieję, że jeszcze przed wakacjami wymienimy listy, ale już życzę dobrych wyników na końcu roku i miłych wakacji, mogą być z obozem, na którym dobrze się zaprawiajcie do trudów życia misyjnego, hartujcie zdrowie, zdobywajcie różne umiejętności, tężyznę ducha i jedność braterską w pogodnej radości.

Na Święta wiele owoców Zmartwychwstania z serca życzę.

br. Teofil OCD

10. Bezradność wobec choroby.

Mpinga, 30 marca 1972r.

Droga Haniu!

Mimo wakacji nie będzie mnie stać na tak długi, serdeczny i dobry list jak ten Twój, który otrzymałem 13 marca i za który bardzo serdecznie dziękuję.

Na Święta mieliśmy zostać w Muyange. Już nawet z o. Kantym planowaliśmy zwiedzanie północy kraju aż do jezior, ale okazało się, że ks. biskup chce nas wrócić do „pierwszej miłości”, tzn. o. Kantego do Mabandy, a mnie do Mpingi. W niedzielę więc Palmową, po poświęceniu palm i odprawieniu dwóch Mszy św. na jednej wiosce, ruszyliśmy do stolicy. Tu czekaliśmy przez poniedziałek na okazję do Bururi – trochę przy okazji zwiedziliśmy naszą stolicę. We wtorek w południe znaleźliśmy się w Bururi. Zaraz po obiedzie miałem okazję do Mpingi. Kanty został w Bururi. Nie wiem kiedy zdobędzie okazję do swej parafii.

Tu trochę odpoczywam i odrabiam długi w korespondencji. W tej chwili o. Kamil spowiada dzieci. Mszę św. Wieczery Pańskiej będziemy mieć po południu. W sobotę chrzest dużej grupy katechumenów, w Wielkanoc jubileusz 25 lat kapłaństwa jednego z tutejszych misjonarzy. Będzie więc dosyć przeżyć, choć szczególne to spotkania ze znajomymi dziećmi i ludźmi (...)

Bardzo serdecznie dziękuję Ci za przepisywanie listów. Bardzo się w Rodzinie ucieszyli, bo choć tam znów nic zbyt ciekawego nie ma, to przecież zrozumiałe, że chcieliby znać wszystko, co piszę.

Dziękuję też bardzo za przesłane karteczki i znaczki. Co do naszych znaczków to niestety musimy oszczędzać. Już nawet pisał o. Kanty do kraju o informację, czy u nas można dostać tzw. międzynarodowe kupony pocztowe. Ciekawe też, ile one by kosztowały? Może by się opłaciło przesyłać je do nas. Za taki kupon dostalibyśmy tu znaczki na list lotniczy do Polski. Jeżeli więc ktoś przysłałby kupon, moglibyśmy z czystym sumieniem posłać mu osobny list z tutejszymi znaczkami. Inaczej mamy trochę wyrzuty sumienia, że okradamy tutejszych biedaków i dlatego tak kombinujemy listy, aby za jedną opłatą więcej przesłać. Gdybyś więc poinformowała się na pocztce i napisała, bylibyśmy bardzo wdzięczni. Na razie nikt na ten temat nie odpisał. A może odpisał w liście zwyczajnym, który przyjdzie za cztery miesiące.

Ostatnio u nas nic szczególnego. To prawda, że nam teraz na kursie łatwiej, ale chcemy jak najwięcej język opanować, bo przecież tyle pracy czeka. Gdy się tak coraz bardziej poznaje sytuację w kraju, to widać, ile tu jeszcze do zrobienia, i to na każdym polu. Na pewno już wiele zrobiono, ale jakże wiele jeszcze trzeba zrobić, żeby ludzie jako tako żyli.

Oczywiście, wcale nam się nie marzy jakiś zachodni dobrobyt. Nie! To nie byłoby dobre dla tutejszego człowieka, ale marzą się szkoły, by nie 25% ale 100% chodziło do nich, marzą się jakieś takie szpitale, bo chorzy tu bardzo biedni. Na głód można coś jeszcze znaleźć do zjedzenia. Nagość nie jest tak dokuczliwa, bo ostatecznie ciepło, ale na chorobę nie ma rady, nie ma szpitali, nie ma lekarstw. Te nasze uskładane i zabrane z Polski już dawno się rozeszły. Ostatnio otrzymałem z Krakowa takie 3 paczuszki do kilograma. Szkoda tylko, że nie załączyli więcej chininy, novalginy. Bardzo by się też przydały jakieś uspokajające, jak veramon, czy tym podobne, bo gdy ktoś cierpi bardzo, to choć na chwilę by sobie ulżył. Ale na razie trzeba być bezradnym. Potrzebne są również antybiotyki. Czasem coś tu i tam dam,

gdy już nie mogę patrzeć. Choć i to niełatwe, bo gdy dasz jednemu, to za chwilę ustawia się kolejka chorych. Tak zresztą jest nie tylko z lekarstwami. Gdy kiedyś przyjedziecie, to sami zobaczycie.

No, ale wypisuję cuda! To po prostu odbija się moje zatroskanie. Ale proszę nie myśleć, że nasze życie – to jedynie zatroskanie. Nie! Jest też dużo radości, takiej prawdziwej, pełnej, choćby płynącej ze świadomości, że jest się tu tak bardzo potrzebnym.

To na razie tyle. Zapewniam o serdecznej pamięci nie tylko dzisiaj, nie tylko w tych dniach Wielkich tajemnic Bożej Miłości, ale stale.

Łączę też wiele uśmiechów i serdeczności dla Twej Rodziny z małym dobrym Norbertem i Marzeną na czele, dla Państwa Neumannów, Narożnych, dla Halinki, dla „Naszej Pani”, dla Lisów, Grygierów i wszystkich dzieci, które w czasie Adoracji wspomną o nas. Na tę pamięć w modlitwach bardzo liczę.

Łaska i pokój Pański niech zawsze będą z Wami!

Niech ciągłą wiosnę sprawują w Sercach Waszych!

Twój br. Teofil k. b.

11. Nawet w chorobie „jesteśmy w ręku Boga.”

Muyange, 22 kwietnia 1972r.

Drodzy Przyjaciele!

Chociaż na Wasze listy nie odpisujemy zaraz, a często nie odpisujemy osobiście, to przecież listami Waszymi cieszymy się bardzo. Mogłem to stwierdzić w czasie Świąt Wielkanocnych w spotkaniu z wszystkimi naszymi Ojcami i Braćmi. Wiele radości sprawiają wszystkie modlitwy, Wasze dobre słowa, Wasze serdeczne zatroskanie. Odpisywać nam trudno, wszyscy odbywają staż pracy, księży jest mało, a pracy wiele (jak zresztą w całym kraju), trzeba się więc do tej pracy włączyć na całego, a to nie takie proste, skoro wciąż trzeba jeszcze doskonalić język. Podejmowane prace cieszą jednak bardzo, zwłaszcza, że wszędzie przyjmowane są życzliwie i wdzięcznym sercem.

O naszym zagonieniu na kursie już nawet nie wspominam. Wciąż towarzyszy nam świadomość, że do końca kursu pozostaje nam jeszcze tylko dwa miesiące, a do zrobienia wiele.

Wielu z Was, Kochani, pyta o nasze Świąta, więc choć kilka słów na ten temat.

Z okazji Świąt mieliśmy dwa tygodnie przerwy w kursie. Nasz biskup Józef M. Martin zechciał, byśmy pojechali się spotkać z „pierwszą w Burundi miłością”, tzn. o. Jan Kanty z parafią w Mabandzie, a ja z parafią w Mpindze. Trudno opisać radość tego spotkania. Jeszcze raz objawiła się wielka serdeczność tutejszych ludzi. Stwierdzamy to zresztą wszyscy, stwierdzając to także przybywający do nas z drugiej strony Tanganiki, że w Burundi ludzie są bardzo różni od innych Afrykańczyków. Przy swojej wielkiej biedzie i nędzy zachowują ducha radości, życzliwości i serdeczności, wypowiadającego się w wielkiej szczerości i prostocie... Nigdy tu człowiek koło człowieka nie przejdzie obojętnie, a już wobec kapłana to zupełnie niemożliwe. Nie tylko zawsze padnie zwyczajowe: *Bwakeye* – dzień dobry, ale zaraz dalsze: *Urakomeye* – jak się masz? Pytanie nie stawiane tylko zdawkowo, ale na serio! Należy wtedy zapytać wzajemnie o samopoczucie całej rodziny spotkanego, należy okazać radość,

jeżeli wszystko idzie dobrze, a współczucie, jeśli są jakieś trudności. Spora chwila upłynie, zanim zaczniesz się dziękować za zatrzymanie się, za wymianę tych kilku zdań, zanim zaczniesz się żegnać wieloma zwrotami, zawierającymi wiele życzeń. Ta chwila często wystarcza, by zebrała się gromada dzieci, matek z dziećmi na rękę i starszych, gotowych do serdecznej pogawędki. Tu ludzie nie muszą się bardzo spieszyć. Tu nie ucieknie pociąg czy autobus, a na nogach można zawsze do domu zdążyć. W domu nie czeka ciekawy program telewizyjny, dla którego należałoby szybko żegnać spotkanego człowieka, brata. Dlatego też tu dopiero zaczynam lepiej rozumieć radę Chrystusa daną wysyłanym Apostołom: „Nikogo na drodze nie pozdrawiajcie...” Straciliby na te pozdrowienia wiele czasu i nie dotarliby z Dobrą Nowiną do wszystkich narodów. Z drugiej strony ta serdeczna otwartość tutejszego człowieka daje misjonarzowi sposobność do wielu także rozmów o sprawach Bożych.

Ale miałem mówić o Świętach. W Mpindze zastałem o. Kamila i br. Sylwestra. Reszta ojców została na swoich placówkach, bo Święta Wielkanocne to przecież okres wytężonej pracy dla każdego kapłana, a coś dopiero dla misjonarza.

W każdej parafii w Wielką Sobotę odbywał się chrzest dorosłych katechumenów, chrzest zaś dzieci odłożono do niedzieli po Wielkanocy. W Mpindze chrzest przyjęło 117 katechumenów. Nie jest to wiele, jak na rozległą parafię, ale radość całej parafialnej rodziny była wielka. Trzeba pamiętać, że chrztu św. całej grupy katechumenów, po czteroletnim przygotowaniu, udziela się nie tylko na Wielkanoc.

Liturgia Wielkiego Tygodnia sprawowana była z pobożnym uczestnictwem licznych rzesz ludu. Z odległych wiosek przybyły organizacje młodzieży, które pozostały na Święta w parafii. Młodzież ta nocowała w naszych szkolnych budynkach. Tam też przygotowywała rzetelnie śpiewy liturgiczne i adoracje, które odbywała całymi grupami. Skupienie i milczenie przed Panem było przeplatane pieśniami i modlitwami, którym przewodniczył kierownik każdej grupy. Nie ma tu zwyczaju budowania okazałych „Grobów Pańskich”. Chrystusa adoruje się w tabernakulum na ołtarzu obficie przystrojonym palmami i kwieciami. Prócz młodzieży widać było na adoracji wielu starszych, tak mężczyzn jak i kobiet.

Pytali niektórzy o święcenie potraw. Nie ma tu tego zwyczaju. Raz dlatego, że zapracowani misjonarze nie mieliby na to czasu, a po drugie, że ludzie nie mają bardzo co święcić. Przecież i w czasie Świąt pożywieniem jest kukurydza i fasola.

Wieczorem w W. Sobotę nasza młodzież urządziła ognisko z pieśniami i tańcami na cześć Zmartwychwstałego Pana. Misjonarze biorą w tym udział obowiązkowo. Kiedy zbliżamy się do dużego placu szkolnego, gdzie miało być ognisko, oczom naszym przedstawił się niezwykle widok. Na trawie w grupach po około 20 osób siedziała młodzież przy płonących latarniach.

Panowało niemal uroczyste milczenie. Cóż to miało być? – pytałem w duchu. Dopiero z bliska spostrzegłem, że to nasza młodzież spożywa uroczystą wielkanocną wieczerzę: kukurydzę pieczoną w ogniu. W niedzielę rano widziałem, że zabierano z misji kosz fasoli, by ją ugotować na obiad dla młodzieży. Mój Boże – a nam się zachciewa chrzanu i dodatków do niego, bo Belgowie, którzy są gospodarzami misji, nie zmieniają wiele pokarmów z okazji Świąt. Nie było też wielkanocnej babki. Za to nasze siostry przygotowały niemal biskoptowe ciasto z jakąś tortową masą. Trochę dziwnie to smakowało, bo u nas masło jest często obficie solone, by się nie psuło. Wypadł też biskopt z bardzo słoną przyprawą. Inne przysmaki były bardzo dobre.

Ale ja o pokarmach zamiast o Świętach. Przepraszam.

Jeżeli wspominaliśmy polskie święcone i naszych Bliskich zebranych przy świątecznych stołach, to brakowało też wielkanocnych bazi i uroczystej wielkanocnej procesji rezurekcyjnej z uroczystym „Wesoły nam dzień dziś nastał”. Wprawdzie mieliśmy w Mpindze dosyć uroczysty pochód przed sumą, bo jeden z naszych misjonarzy obchodził 25-lecie kapłaństwa, więc wprowadzono go uroczystie do kościoła, ale to nie była polska rezurekcja.

Na tę jubileuszową sumę koncelebrowaną, zebrały się imponujące masy ludzi. Kościół okazał się za mały. Po obiedzie znowu odbywały się występy i życzenia dla jubilata. Trwały długo, bo jak wspomniałem, ludzie mają tu czas. „Wczoraj ognisko niemal do północy, a dzisiaj znowu wiele tych samych tańców i pieśni.” – powtarzał o. Kamil. Na to jubilat z uśmiechem: „Misjonarz musi posiadać wiele cierpliwości. Ja np. takie występy oglądałem już przeszło 20 lat”.

Miało być tylko kilka słów o Świętach, a tymczasem tak się rozgadałem. Przepraszam. Jeszcze tylko dodam, że nie ma tu zwyczaju polewania się wodą w poświęcony poniedziałek.

Jeżeli już tyle, to jeszcze dodam, że od wtorku do niedzieli odwiedzałem naszych ojców na placówkach misyjnych. Bardzo miłe były te spotkania, a dla mnie też wielce pouczające, bo były okazją do zobaczenia pracy w różnych parafiach. Potem wróciliśmy z o. Janem Kantym do naszej szkoły języka kirundi.

List się przedłuża, a jeszcze chciałem koniecznie choć kilka słów napisać o stanie naszej służby zdrowia, bo wielu o to pyta. Otóż u nas jeden lekarz wypada na 60 tys. ludzi. Mamy dobrze wyposażony szpital w Bujumburze i drugi mniejszy w Gitedze. Jest jeszcze kilka mniejszych, ale w nich często i rentgena nie ma. W niektórych parafiach zorganizowano też po kilka sal dla matek rodzących. Tu i tam prowadzi się tzw. dyspensoria, gdzie w razie ciężkiego wypadku udziela się pierwszej pomocy i opatruje ciężkie rany. I to byłoby wszystko. Trochę w zdobywaniu lekarstw pomaga tutejszy Czerwony Krzyż, ale lekarstw ciągle brakuje, jak również opatrunków i sprzętu lekarskiego. Dlatego też stan chorych w naszym kraju wydaje mi się najtrudniejszy. Jak już bodaj do kogoś pisałem, na głód można jeszcze coś znaleźć, nagość, choć jakoś upokarza człowieka, nie jest w ciepłym klimacie tak dokuczliwa, ale na chorobę nie ma rady. Trzeba chorować bez lekarza i bez lekarstw. A niestety, choroba u nas nie jest rzadkością. Wielu choruje na malarię. Bywają okolice pełne tyfusu, roznoszonego przez wszy, które, jak wiadomo, powszechnie towarzyszą nędzy. Spotyka się wiele matek zupełnie bezradnych wobec choroby dziecka. Cóż mają począć? O lekarzu trudno marzyć, bo do niego zbyt daleko, albo leczenie zbyt kosztowne, żeby na nie mogły sobie pozwolić rodziny, które prawie nic nie posiadają. Pozostaje jeszcze miejscowy uzdrowiciel, znający się na różnych uzdrawiających ziołach, ale przecież i on musi żyć, a więc każe sobie płacić, tyle że u niego można prędzej zapłacić w naturze. Przychodzą też takie matki często do misjonarza. Ale coż on biedny może pomóc? To co mnie uderza u ludzi dotkniętych nieszczęściem choroby: „*Turi inyeu gu ya Mungu* – Jesteśmy w ręku Boga” – powtarzają.

Już przed 10 laty obliczono w naszym kraju ponad 10 tys. trędowatych. Dziś zapewne trzeba liczyć około 20 tys. Mowa o trędowatych jakoś zarejestrowanych przy parafiach, a iluż jest takich, o których się wcale nie wie? Niestety, u nas nic się prawie jeszcze nie robi. W diecezji Bururi jest np. tylko jedna siostra, zajmująca się trędowatymi. Ale coż ona może sama zrobić?

Zjawia się w parafii w wyznaczonym dniu i opatruje raz na miesiąc albo i raz na półtora miesiąca naszych chorych. Poczyna sobie dzielnie, heroicznie, ale do chorych, którzy już nie mogą chodzić, albo których nie ma kto przynieść, nie ma już czasu dotrzeć.

W różnych opowieściach o krajach, gdzie panuje ta choroba, trędowaci jawili się jako ludzie napiętnowani, dający z daleka znać kołatką o swoim zbliżeniu. Jakże inaczej jest u nas. Spotykamy ich na co dzień, żyją w swoich rodzinach. Gdy już choroba bardzo szpeci, zasłaniają twarz przepaską z płótna i tylko przy rozdzielaniu Komunii św. można dostrzec jak daleko choroba posunęła swe niszczycielskie dzieło. Dziś już wiemy, że trąd nie jest tak bardzo zaraźliwy jak dawniej sądzono. Na pewno jest mniej zaraźliwy od naszej np. gruźlicy. Zawsze jednak spotkanie z tymi ludźmi czyni na człowieku duże wrażenie. Bardzo boli świadomość, że jeszcze tak bezradni jesteśmy wobec nich, a przecież ktoś znający problem powiedział, że wystarczyłoby, aby kraje bogate dały na rok tylko tyle, ile kosztuje jeden samolot bombowy, by los trędowatych na całym świecie znacznie się poprawił, a po kilku latach można by się całkowicie z trądem uporać. Ale jeszcze widocznie nie dorośliśmy do tego, by takie problemy rozwiązywać na miarę światową.

Wobec takich problemów i takich sytuacji, rozumiecie Kochani, że nam się ciągle marzy pomoc Polskiej Służby Zdrowia, że marzymy o jakimś małym chociaż szpitaliku na terenie parafii w Mpindze, tak przecież oddalonej od stolicy.

Módlcie się gorąco, aby te marzenia choć po kilku latach stały się rzeczywistością.

Rozwojowi różnych chorób u starszych, a zwłaszcza u dzieci, sprzyja niedożywienie. Wspomniałem już kiedyś o tym. Ostatnio mówił mi o. Kasjan z wielkim przejęciem, że dyskretnie badał sytuację i przekonał się, że nawet w bogatszych rodzinach jada się tylko raz dziennie, pod wieczór. I jakie te racje żywnościowe! Kukurydza, fasola, groch i trochę owoców. Mięso pojawia się wtedy tylko, gdy padnie krowa i mięsa nie można sprzedać. Nic dziwnego, że chodzą głodni. Jak już bodaj w ostatnim liście wspomniałem, mam tu dwóch chłopców, którzy pomagają mi w kirundi. Kiedyś prosili o cukierki. Właśnie udało mi się sprzedać kilka znaczków za 20 fr. (te od ciebie Kasiu S.). postanowiłem więc sprawić radość gorliwie pracującym małym nauczycielom. Rozmawiając, poszliśmy na targ tutejszy. Dałem im po 10 fr. Okazało się jednak, że nie ma innych cukierków jak tylko te w celofanowych torebkach po 40 fr. jedna. Postanowili, że kupią sobie jutro przy szkole, gdzie ktoś sprzedawał luzem po 1 fr. za cukierka. Kiedy jednak zobaczyli sprzedawcę bułek, bez chwili wahania pobiegli i kupili bułki (2 fr. sztuka) i zjedli z wielkim apetytem, choć bułki były źle upieczone i suche. Była godz. 17.30. Przyznali się, że jeszcze dzisiaj nic w ustach nie mieli. Wydaje mi się, że to jest dostatecznie wymowne, prawda?

Głódowa sytuacja jest dzisiaj i nie ma nadziei, że za kilka lat będzie lepiej. Raczej należy się spodziewać pogorszenia, bo ludzi przybędzie, a nasza ziemia nie może już więcej wydać pożywienia. W roku 1950 było w Burundi 1 800 000 ludzi. W roku 1970 już 3 500 000. Jak obliczają znawcy zagadnienia, na rok 1985 należy spodziewać się 4 800 000. Rozwiązaniem problemu będzie emigracja do krajów, gdzie zagęszczenie ludności jest jeszcze małe. Wiadomo jednak, że te kraje nie przyjmują ludzi chorych, należy zatem przypuszczać, że procent chorych w naszym kraju jeszcze się powiększy, bo chorzy muszą zostać.

Inne zagadnienia, wiążące się ze spodziewaną emigracją, to potrzeba głębokiego katolickiego uformowania tych ludzi, by mogli nieść z sobą „Dobrą Nowinę”. To potrzeba tubylczego kleru, by mógł iść ze swoim ludem na emigrację. Ale już dość, bo zawracam Wam głowę

naszymi afrykańskimi problemami, kiedy macie swoich dosyć. Myślę jednak, że prawdziwy uczeń Jezusa Chrystusa nie może się zamykać w kręgu własnych tylko zagadnień, że katolickość to także otwartość serca na problemy całego Kościoła, owszem, całego świata. Dlatego też ośmielam się ten list wysłać w nadziei, że modlić się będziecie gorąco w naszych intencjach.

Kończąc, raz jeszcze bardzo serdecznie dziękuję za okazywane nam życzliwe serca i wzajemną pamięć w modlitwie przyrzekam.

Z uśmiechem

Wasz br. Teofil Kapusta

12. Początek trwogi.

Muyange, 30 kwietnia 1972r.

Droga Siostró!

Pragnę przede wszystkim podziękować serdecznie za przesłany list, pełen dobrych życzeń. Dziękuję także bardzo za zaproszenie na wszystkie jubileusze, na pewno będę obecny – sercem.

Już po napisaniu listów do M. Generalnej i innych Sióstr sprawdziły się wieści, więc Siostrze napiszę, co się u nas dzieje. Wczoraj wieczorem zaczęły się rozruchy, związane z decyzją naszego prezydenta, który wczoraj odwołał wszystkich ministrów oraz wielu z władz terenowych, chcąc zreorganizować rząd. Jak podaje radio – wmieszała się także partia promonarchiczna.⁴⁴ Dawny król bodaj przed dwoma miesiącami wrócił do kraju. Wczoraj w rozruchach został zabity. Jest także wielu innych zabitych w różnych stronach kraju. Na razie nie podają liczby. Od godz. 18.00 do 6.00 rano jest godzina policyjna. Trzeba siedzieć w domu. Drogi są strzeżone przez wojsko, które objęło władzę w terenie i w stolicy. Jak mówią, wielu było za dawnymi ministrami, więc opowiedzieli się przeciw zmianom i stąd rozruchy w różnych stronach kraju. Zobaczymy, jak dalej będzie się sytuacja układać. Szkoda, że tak. Przed 10 laty prezydent dokonał rewolucji bez przelewu krwi. Po prostu zawiadomił króla, przebywającego na uroczystościach w Kongu, by nie wracał do kraju, bo już nie jest królem, a Burundi jest republiką. Tymczasem teraz połała się krew, choć wcale tego się nie spodziewaliśmy. No cóż, żyjemy w Afryce, żyjemy w kraju – jak bodaj kiedyś pisałem – bardzo jeszcze nieokrzepłym.

⁴⁴ W 1972r. Burundi przechodziło gwałtowne wstrząsy polityczne i społeczne, będące wynikiem sprzeczności etnicznych i stałej rywalizacji o władzę dwóch głównych plemion: Bahutu, warstwy chłopskiej (86%) i Watussi, najbogatszej grupy ludności (13%). 25 stycznia 1972r. trybunał wojskowy skazał na karę śmierci 9 osób oskarżonych o przygotowanie spisku przeciw rządowi. 5 lutego, obawiając się rozruchów politycznych, prezydent Micombero ułaskawił wszystkich skazanych. 29 kwietnia przeciwnicy prezydenta podjęli nieudaną próbę zamachu stanu. W maju i czerwcu doszło do krwawej wojny domowej. Według różnych szacunków zginęło 50-250 tysięcy osób, głównie Bahutu, a 40 tysięcy zbiegło za granicę. Wojna domowa wpłynęła bardzo ujemnie na rozwój gospodarczy kraju, pogłębiając równocześnie przepaść między Bahutu i Watussi. Ze względu na wzrost Watussi noszą przydomek „długich” (średnio ok. 2 m) a Bahutu (Hutu) „krótkich” (są niskiego wzrostu). Trzecią grupę plemienną stanowią Pigmeje (1%), będący grupą najbardziej upośledzoną.

Jeśli poczta będzie normalnie kursować, to ten list dotrze do Siostry i sprawi, że nie tylko Siostra, ale także wielu innych zanieśnie gorące modły do nieba, by do nędzy, głodu, chorób i innych trosk nie doszła szarpanina polityczna, bo tak przecież nie przyniesie to szczęścia biednemu ludowi i nie zapewni pomyślnego rozwoju kraju.

To tyle. Dalsze wieści w innych listach. Może zresztą i Wasza rozgłośnia radiowa poda wieści z naszego kraju.

Co do nas, to żyjemy i uczymy się gorliwie kirundi. Często też wspominamy – wiadomo, na starość żyje się wspomnieniami! Ale nie tylko wspomnienia nam towarzyszą. Owszem, marzymy też o przyszłości, o gorliwie prowadzonej pracy misyjnej, o skutecznym pomaganiu naszym biednym ludziom. Bardzo nas wzrusza ofiarność naszych Kochanych Rodaków. Pojawiają się też drobne lotnicze przesyłki – a w nich różności; ostatnio nawet lizaki przyszły. Cieszymy się bardzo, bo choć to nieraz drobiazgi – to przecież świadczą o sercu ofiarodawcy. A my te paczuszki otrzymujemy bez cła. O. Kanty robi spis przydatnych rzeczy, więc może kiedyś prześle.

Ale już dosyć, bo zanudziłbym Cię tym czarno-afrykańskim bajdurzeniem! Trudno! – przy lampie naftowej tak się dziko myśli i pisze.

Idę więc spać, ponieważ jutro o 5.30 wyruszmy na turystyczno-misyjną wyprawę na jedną z tutejszych gór. Jutro bowiem mamy dzień wolny od nauki.

Trudno mi naprzód opisać przygody, ale wiadomo, że będzie wspaniale, byle nas tylko żołnierze nie zatrzymali i byle za mocno deszcz nie padał, boć to jeszcze pora deszczowa. W tej chwili pięknie roziskrzone gwiazdami niebo, ale dzisiaj od czasu do czasu padała.

Na miesiąc maj z serca życzę, by Matka Boża wprowadziła Siostrę coraz pełniej w radość Chrystusowej Miłości – radość płynącą z miłości, oddającej się w ofierze i przyjmującej nieskończone Boże oddanie!

Na dalszą wzajemną pamięć bardzo liczę.

Serdeczności dla Wszystkich Drogich Sióstr ze Sosnowca.

Twój brat Teofil k. b.

13. Troska o nowych kapłanów.

Bururi, 14 listopada 1972r.

Przewielebny i Drogi N. O. Prowincjale!

Nie ma tak ważnych spraw, ale chcę bardzo serdecznie podziękować za list, który od N. Ojca otrzymałem 28.10 br. Bóg zapłać za wszystko (...)

W odpowiedzi na list donoszę, że trochę mnie zmartwiło, iż N. Ojciec teraz wspomina tylko o dwu przygotowujących się, by nas wspomóc. Tu już rozgłaszano, że zjawi się czterech. To na podstawie listu pisanego jeszcze do o. Leonarda. Szkoda, bo bardzo będziemy potrzebować pomocy.

Tak, po rozważeniu wielu spraw, wydaje się jednak słuszniejsze podjęcie pracy w Bukirasazi. Sąsiedni kraj będzie trzeba odłożyć na dalszy plan. Choć będzie trzeba zapewne i o tym pomyśleć.

Jesteśmy w Bukirasazi z tego względu, że to tylko godzina drogi samochodem od Mpingi, będzie więc można sobie wzajemnie pomagać w pracy, a to tutaj dużo znaczy. Dom w

sąsiednim kraju byłby, praktycznie mówiąc, odizolowany, tym bardziej, że w obecnej sytuacji kontakty między obu krajami nie są zbyt przyjazne.

Rozmawiałem z arcybiskupem. Jest całym sercem za przyjęciem nas. To zresztą zrozumiałe, bo na skutek ostatnich zająć stracił 18 księży, czyli 6 parafii po trzech księży. Na razie nie podjąłem żadnych zobowiązujących kroków, tym bardziej, że w Bukirasazi nie za wesoło. Na skutek różnych zarzutów został usunięty proboszcz, a inni dla protestu wyjechali. Został Sylwan sam na 40 000 ludzi. Byłem go odwiedzić. Sprawuje się dzielnie. Mam nadzieję, że dodadzą mu pomoc, a od stycznia mam zamiar posłać mu o. Jana Kantego. Zobaczymy.

Co do nowicjatu, to podobno o. Leonard miał już dwu kandydatów, ale mi ich nie przekazał. Jest jeszcze jeden młody katechista, który już się formalnie zgłosił. Myśleliśmy nawet o przesłaniu do Czernej, ale... Po poradzeniu się innych, zwłaszcza prowincjała Ojców Białych, doszliśmy do przekonania, że to na razie nie jest możliwe. Raz dlatego, że to „krótki”, który w zająciach cudownie ocalał, więc staranie o wyjazd byłby źle widziane. Po drugie, mówią nam, że gdybyśmy wysłali nowicjusza do Polski, to mielibyśmy zgłoszeń wiele. Zobaczymy, może do września zrobiłby nowicjat, a potem studiowałby w seminarium, zaś tylko wolne chwile spędzał z nami. A może zaistnieje jakaś możliwość wysłania go do Rzymu czy Francji, bo nie bardzo sobie wyobrażam wykłady w Polsce po francusku, a trudno go zmuszać do pełnego opanowania polskiego. Zresztą to wszystko jeszcze w powietrzu.

Z innych spraw. Cała Afryka wybiera jednego Delegata na Kapitułę Generalną. Nie spodziewamy się, żeby to był ktoś z naszych. Dziś dokonaliśmy wyboru naszego przedstawiciela na te wybory, którym został o. Jan Kanty. Gdzie i kiedy będą te wybory, jeszcze nie wiemy (...)

To na razie, bo pracy bardzo dużo, jako, że wyjeżdżamy często do odległych wiosek.

Serdeczności dla Wszystkich!

Całym sercem oddany

br. Teofil k. b.

14. Duch misyjny rodzi się u Żłóbka. Dziecię i dzieci.

Bururi, grudzień 1972r.

Ukochani!

Zdaję sobie sprawę, że nie zdążę przesłać życzeń świątecznych moim osobistym Przyjaciołom i Przyjaciołom naszej misji w Burundi, więc skierowałem kilka słów na ręce naszego sekretarza w Polsce, o. Bogusława Woźnickiego z nadzieją, że je prześle Wszystkim. Obiecałem jednak dłuższy list. Niestety, z powodu ciągłego braku czasu nie udaje się spełnić obietnicy. Teraz jednak niebo przemawia Słowem, które stało się Ciałem. Nic więc dziwnego, że i ludzkie serca odczuwają potrzebę porozmawiania.

Z tej więc potrzeby serca kieruję do Was te kilka zdań.

Nie ma u nas adwentowego nastroju Rorat, nie skrzypi śnieg pod nogami, raczej powiewają palmy, ciepłym wiatrem kołysane. Jest jednak wiele betlejemskich stajenek, bo niemal wszystkie nasze kaplice swoim ubóstwem przypominają tamtą, w której Słowo stało się Ciałem. Jest także dużo ogólnego wyczekiwania na radosną nowinę: „Dzisiaj narodził się wam Zbawiciel świata”.

Tu, na terenach misyjnych, właśnie ta treść radosnej nowiny jest nam szczególnie bliska: Zbawiciel świata, Jezus, przyszedł zbawić wszystkich ludzi. Wciąż także marzy się nam spełnienie wizji Proroka: „Wszystkie narody idą do Twego światła, wszyscy się gromadzą i idą do Ciebie.”

To prawda, że narody Afryki idą do Chrystusa. Można nawet powiedzieć: idą gromadnie! Stale powstają nowe diecezje, powierzane afrykańskim biskupom. Nie możemy jednak zapomnieć, że przy tym wszystkim, tylko 11% Afrykańczyków kroczy w świetle Chrystusowego Kościoła. Reszta wyciąga ręce ku światłości, ale wciąż brakuje misjonarzy niosących tę światłość. A na całym świecie? Na 3 509 290 000 mieszkańców ziemi tylko 690 442 000 to katolicy, czyli około 20%. Jakże więc śpiewać całym sercem radość, kiedy jeszcze daleko do spełnienia się wizji Proroka? Jeszcze nie wszystkie narody zgromadziły się wokół Chrystusa...

„Oto zwiastuję wam radość wielką... dziś wam się narodził Zbawiciel”. Prości pasterze betlejemscy nie zachowali radosnej nowiny wyłącznie dla siebie, zamykając ją egoistycznie w sercu. Ewangelia zaznacza: „Znaleźli Maryję, Józefa i Niemowlę, leżące w żłobie. Gdy Je ujrzeli, opowiadali o tym, co im zostało objawione o tym Dzieciątku”.

Oto duch misyjny rodzący się u Żłóbka. Kto prawdziwie „znajdzie” Maryję, Józefa, Niemowlę leżące w żłobie, kto Je ujrzy w modlitwie, ten musi „opowiedzieć” słowem i świadectwem życia o tym, co mu zostało objawione.

„A wszyscy, którzy to słyszeli, dziwili się temu, co im pasterze opowiadali”.

Kochani, kiedy tu widzę szeroko otwarte ze zdziwienia oczy naszych prostych ludzi, kiedy widzę otwarte i chłoneące prawdę serca, to jakże bliska staje się radość pasterzy, którzy „wracali, wielbiąc i wysławiając Boga za wszystko”.

To prawda, że nie wszystkim jest dana łaska wyjazdu do krajów misyjnych, ale wszyscy możemy się nachylić w modlitwie nad Betlejemskim Cudem Miłości, a później świadczyć o tym cudzie w naszym otoczeniu, przeżywając radość z faktu, że tu i tam otwierają się ze zdziwienia oczy i serca. Wszyscy także możemy się przyczynić do tego, by radosna nowina była opowiadana coraz to dalej, coraz to szerzej w krajach misyjnych.

Gorliwa modlitwa za misjonarzy, modlitwa za lud, któremu oni głoszą Ewangelię miłości, modlitwa o powołania misyjne, budzenie zainteresowań misyjnych, to rzeczywisty udział w przepowiadaniu radosnej nowiny. Może tym owocniejszy, że nie przeżywa się radości oglądania szeroko otwartych za zdziwienia oczu. Udziałem jest także ofiarowanie cierpienia i trudu codziennej pracy. Jak już kiedyś wspominałem, bardzo to sobie cenimy i bardzo na to liczymy.

My, którzy z pełnego radości serca, ale także z wielką troską, możemy wołać: „posłał mnie bym, ubogim niósł Dobrą Nowinę”, doceniamy bardzo każdy grosz składany przez Was na misję. Za to także pragnę Wam wyrazić szczerą wdzięczność właśnie z okazji Bożego Narodzenia, które jest szczególnie świętem składania darów.

„Dziecię się nam narodziło” – oto prawdziwy wielki dar Nieba. Słowo stało się Ciałem, Bóg narodził się Człowiekiem, aby nam dać udział w swoim Bóstwie.

Złożyć dar przyjacielowi, to jeszcze mocniej zacieśnić więzy przyjaźni. Bóg, oddający się nam w darze miłości, zachęca nas jednak nie tylko do podtrzymania istniejących już przyjaźni, lecz do nawiązywania nowych, aż w Chrystusie Jezusie wszyscy staną się braćmi, dziećmi jednego Ojca.

Właśnie dary przychodzące z dalekiej ojczyzny misjonarza lub jego rodaków rozproszonych po wszystkich krajach, pozwalają misjonarzowi nawiązać więzy przyjaźni w Jezusie Chrystusie. Nie chodzi tu wcale o jakieś kupowanie dusz. Chodzi o coś wiele głębszego. Ofiara, którą składacie jest znakiem. Nasi ludzie dobrze wyczuwają sercem, że wiara w jednego Ojca jest wielką rzeczywistością, skoro o nich, zagubionych w buszu afrykańskim, myślą z troską ludzie w dalekich, bogatych krajach dzieląc się z nimi bezinteresownie swoimi dobrami. To także naszych ludzi otwiera na miłość braterską, wyrażającą się w darze przyjaźni. To prawda, że naszych ludzi nie stać jeszcze na inny dar, poza szczerą modlitwą za Was. Ale też ten dar składają ochotnym sercem. Mogę Was o tym szczerze zapewnić.

Składają też dary misjonarzowi. Piszę te słowa nad brzegiem jeziora Tanganika w cichy wieczór. Jestem znów w oddalonych od misji wioskach, rozrzuconych wśród malowniczych gór. Wędrując tu widziałem, że groch na ubogich polach, zawieszonych na zboczach gór, dopiero kwitnie. Z jakimże więc wzruszeniem odbierałem dzisiaj przyniesione dla misjonarza miseczki grochu. Przecież to dosłownie resztki, które im jeszcze zostały z poprzedniego zbioru. Od ust sobie i dzieciom odejmują, „byle misjonarz nie był głodny, by miał siły do pracy”.

Pracy jest rzeczywiście wiele, bo pojawienie się księdza w odległych od misji wioskach to wielkie rekolekcje dla całej okolicy. Czekali już długo na księdza, niektórzy w tym roku aż od kwietnia. Przychodzą więc gromadnie na Mszę św., spowiadają się niemal cały dzień, przynoszą dzieci do chrztu św. Zostają długo na modlitwie w swej biednej kaplicy, bo przecież długo tu nie mieli obecności Chrystusa w Eucharystii.

Dziś kilku starców zostało na noc. Trzeba było długo wspinać się stromymi zboczami, by dotrzeć do kaplicy. Nie mają sił, by wracać codziennie, a chcą być na Mszy św. Wieczorem długo gawędziliśmy o ich życiu. Biedne ono i trudne, ale przecież umieją w nim wyszukiwać wiele momentów, za które szczerze i radośnie dziękują Bogu. Pamiętają dobrze te czasy, kiedy w ich okolicy jeszcze się nie mówiło o Chrystusie. Jakże wiele się zmieniło. Za ich dziecięcych i młodzieńczych lat chodziło się na naukę do Rumezy, oddalonej o przeszło 4 godziny drogi. Misjonarz jednak opowiadał Dobrą Nowinę o Bogu, mówił ciekawe rzeczy o świecie, pomagał, leczył... Chodzili więc chętnie i po dwa razy w tygodniu. Potem opowiadali innym, stając się pierwszymi misjonarzami tej okolicy. Dzisiaj mają już swoją kaplicę, z której są dumni. To prawda, że gdybyście ją zobaczyli, to nikt z Was nie chciałby mieć takiej stajni dla bydła. Ale przecież Bóg nie pogardził betlejemską stajnią. Mają swoją kaplicę, i dzisiaj już do nich przyjeżdża misjonarz. Jeszcze biały misjonarz, ale przecież mają już swoich czarnych księży. W ich młodości nawet na myśl im nie przychodziła taka możliwość. Zresztą, czy tylko w ich młodości?

Mój proboszcz z Bururi, młodszy ode mnie, opowiadał, że kiedy niedługo przed wstąpieniem do seminarium zobaczył pierwszy raz czarnego księdza, to nie chciał wierzyć – że to ksiądz, „bo dlaczego nie zbiegał?” Byłem przekonany – ciągnął dalej – że przy święceniach człowiek bieleje. Nie widziało się przecież w naszej okolicy innych białych ludzi, tylko misjonarzy, tylko księży. Wprawdzie opowiadali o swojej rodzinie, o swoim kraju, ale i tam ludzie jawili się im w czarnej skórze. Śmiejemy się z tego, że wstępował do seminarium, bo chciał zbieleć. Gdy słucham opowiadań moich starców, to rodzi się pytanie: jakie też będą wspomnienia tutejszych dzieci, dla których wiele rzeczy to wielka „nowość”. Nawet rzeczy i sprawy tak bardzo dla nas zwyczajne. Pamiętam, że na początku września pojawiło się w Bururi 5

dziewczynek wędrujących z Mpingi do 7 klasy w Rumezie. Zmęczone, wychudłe, bo to bodaj trzeci dzień wędrówki, jako że z Mpingi do Bururi to „tylko” 120 km górskiej drogi. Jutro mają do pokonania tylko 30 km. Ofiarowano im nocleg na naszej misji. Trzeba jednak nakarmić. Nakroiliśmy więc chleba, postawili masło, dżem, banany. Sięgnęły po banany, bo reszta...? „Co to jest i jak się to je”? jeszcze nigdy nie widziały chleba. Wprawdzie słyszały, że Jezus powiedział: „*Nd’umukate w’ubuzima* – Ja jestem chlebem życia”, ale dla nich chleb, to ten opłatek, który otrzymują podczas Mszy św. Normalnego chleba jeszcze nie jadły.

Słusznie więc misjonarze, tłumacząc na kirundi „Ojciec nasz” nie wspominają o chlebie. Prosimy tylko: „*Uduhe ivyokurya bidukwiye uyu musi* – daj nam pożywienia, wystarczającego na dzień dzisiejszy”. Dopiero dzisiaj zobaczyły chleb! A ileż innych nowości! Biskupstwo, katedry, szkoły... „To wszystko takie wielkie i ile samochodów?” obiecano je jutro powieźć samochodem do Rumezy. Nie wiem, czy spały tej nocy, bo „jutro pojedą pierwszy raz samochodem”! Do spania ułożono je w łózkach. Co za nowość. W domu śpią na rozścielonej na ziemi macie. Chyba tylko zmęczenie sklepiło powieki „zdziwionych oczu”.

Ale i mnie zebrało się na wspomnienia. Już nawet nie pamiętam, od czego zacząłem. Będę więc kończył to długie gawędzenie, bo nad jeziorem już zupełna ciemność i nawet nocne stwory się uciszają, zachęcając do spania. Jutro czeka mnie wiele spowiedzi, odwiedzenie klas, odwiedzenie katechumenów, przeprowadzenie ceremonii wstępnych chrztu św., wysłuchanie cichych skarg wciąż jeszcze krwawiących serc, bo tutejsza okolica ucierpiała wiele w maju i czerwcu. Przy tym wszystkim trzeba głosić Dobrą Nowinę, budzić nadzieję i miłość, nieść pociechę. Nie przychodzi to jeszcze łatwo, bo wciąż jeszcze brakuje słów w naszym pięknym języku kirundi.

Jak to jeszcze jest z tym językiem może Wam pozwoli zrozumieć mały przykład, choć ze spowiedzi wzięty, to jednak nie dotyczący tajemnicy spowiedzi.

Byłem właśnie w zapadłym buszu, w małej misyjnej kaplicy. Pod wieczór jeszcze dwie panny poprosiły o spowiedź. Druga wyznała, że biła rodzeństwo. No cóż, zdarza się nawet w najlepszej rodzinie. Dziewczę jednak dodało: „*yamara vyapfuye ubusa*”. Tak zakończyło wyznanie jedynej zresztą winy. To mnie zaskoczyło. Znam przecież wszystkie słowa. „*Yamara*” znaczy „lecz”, „*yapfuye*” znaczy „zmarł, zmarła, zmarło”, „*ubusa*” znaczy „na darmo”. Chcąc się upewnić proszę, by powtórzyła jeszcze raz, bo nie zrozumiałem dobrze. Dziewczę spokojnie powtarza to samo. Pytam więc dalej: „*Nu’kuri uapfuye* – rzeczywiście zmarło?” A dziewczę: „*N’kuri vyapfuye ubusa*”. Nie, nie przesłyszałem się, myślę – przecież wyraźnie powiedziała. Pytam więc dalej: „*umwana yapfuye* - dziecko zmarło, a ty mówisz to spokojnie”? Tu dziewczę wyraźnie się uśmiecha. Tym razem zgłupiałem. Wcale przecież nie wygląda na ograniczoną umysłowo, raczej inteligentna. Coś tu musi być nie tak – pomyślałem. Trzeba jednak sprawę zbadać. Na szczęście nikt nie czeka na spowiedź, można zatem spokojnie przedłużyć dialog. Zaczynam od wypróbowanego pytania: „powiedz był to grzech ciężki?” „*Oya, haba namba!* – nie, żadną miarą” – zarzeka się dziewczę żarliwie. „Chciałam tylko skarcić” – dodaje. „No dobrze, powiedziałem, chciałeś skarcić, ale przecież mówisz, że dziecko zmarło”. Dziewczę znów się uśmiech i mówi: „Wcale nie powiedziałam: *umvana yapfuye*, tylko *vyapfue ubusa*”. W końcu zrozumiał, że ją posądzono o zamordowanie braciszka czy siostrzyczki i tłumaczy mi, że dziecko czuje się dobrze.

Choć nie bardzo to wszystko pojmuję, to przecież widzę, że dziewczyna wcale na mordercę nie wygląda i tak żarliwie się zarzeka, że grzechu ciężkiego nie popełniła, więc piękną nauką

o wzajemnej miłości wśród rodzeństwa kończę spowiedź. Nie było innych spowiedzi, więc klękałam przy oknie (taka krata bez szyb) kaplicy, by pomodlić się nieco. Nic jednak nie wyszło z modlitwy, bo wnet wyszły dziewczęta i właśnie pod oknem zaczęły się głośne zwierzenia. Nie wszystko zrozumiałem, ale tak można te zwierzenia streścić: „Wiesz, ale miałam przeprawę. Powiedziałam, że biłam rodzeństwo i wyraźnie dodałam: „*Yamara vyapfuye ubusa*”, a ojciec wpierał we mnie, że dziecko zmarło i że to grzech ciężki. Długo musiałam tłumaczyć, że wcale nie ciężki, bo tylko chciałam skarcić. Wreszcie go zapewniłam, że dziecko czuje się dobrze i dopiero się uspokoił”. Odchodząc, długo jeszcze powtarzały, wyraźnie ubawione sytuacją: „*yapfuye, yapfuye* – zmarło, zmarło...” . Ojciec misjonarz rzeczywiście się uspokoił, tym bardziej, że zasłyszana rozmowa jeszcze bardziej go upewniła, że dziecko bite dla skarcenia przez siostrzyczkę wcale nie umarło. Pozostała jednak zagadka: co chciała powiedzieć powtarzając: „*yapfuye ubusa*”?

Miałem ze sobą słownik, ale nawet na myśl mi nie przyszło szukać w nim wyjaśnienia, bo przecież „wszystkie słowa znam”. Po kolacji wybrałem się na miły spacer, bo wieczór rzeczywiście był uroczy. Chciałem także odmówić cząstkę różańca. Po powrocie jakoś nie chciało się jeszcze spać, więc przy małej naftowej lampce przeglądałem komentarz do Ewangelii wg św. Marka. Pech czy szczęście, natrafiłem na zdanie, w którym autor tłumaczy, że Chrystus nigdy nie czynił cudów *vyapfuye ubusa*. Nie bardzo rozumiałem, więc sięgam po słownik, tym bardziej że jest to przecież wyrażenie mojej penitentki. Tu się dopiero wyjaśniło. „*Gupfa* – umierać”, „*yapfuye* – zmarł”. Jest jednak specjalne wyrażenie: „*Gupfa ubusa* – czynić coś bez powodu”. Ponadto też użyty przez penitentkę zwrot „*vyapfuye ubusa* – to tak bezużyteczne, to się na nic nie zdało”, albo: „to było bez powodu, bez słusznej racji”.

Rzeczywiście, moja panna miała rację. Nie mówiła przecież *yapfuye*, tylko *vyapfuye ubusa*, czyli że biła rodzeństwo bez dostatecznej przyczyny, albo że to i tak było bezużyteczne. Chodziło tylko o maleńkie „v” przed „*yapfuye*”. Tego właśnie „v” nie uchwyciło moje ucho. Zresztą gdyby uchwyciło, to pewnie i tak bym nie zrozumiał, nie zrozumiałbym całego zwrotu „*vyapfuye ubusa*”.

Ale się rozgadałem. I pomyśleć, że jeszcze ten szkic listu muszę przestukać na maszynie po powrocie do Bururi. Czy zresztą mając przy Świętach dosyć zajęć, będziecie mieli tyle cierpliwości, by ten list czytać?

Zatem pośpiesznie kończę. Dziecię Boże niech się Wam jawi jako Zbawiciel świata, niech Wam pozwoli korzystać w pełni z owoców Swego przyjścia na świat, niech przepełni Wasze serca łaską swej miłości, byście mogli świadczyć o niej wśród swego otoczenia i „aż po krańce ziemi”, przeżywając radość betlejemskich pasterzy, wielbiących i wysławiających Boga, by „wszyscy się dziwili...”. O to módlcie się przy Żłóbku dla mnie i moich Współtowarzyszy, o których pamięci przed Panem szczerze Was zapewniam.

Po powrocie do Bururi list przestukałem na maszynie. Widzę, że to niemało. Ale może starczy Wam cierpliwości do rzucenia okiem na ten dodatek. Muszę przecież choć kilka zdań skreślić o naszej obecnej sytuacji.

Rok temu marzyło się nam, że na Święta 1972r. będziemy już razem, że będzie polska Wigilia, polska pasterka i polskie kolędy pod choinką. Tymczasem tak się sytuacja układa, że w tym roku będziemy na Święta rozproszeni jeszcze bardziej niż w ubiegłym. Bardzo jeszcze potrzebni jesteśmy na poszczególnych misjach, zresztą to dobre dla naszych duszpasterskich doświadczeń. Dopiero po Wielkanocy obejmujemy dwie placówki misyjne. Nie będzie zatem

polskiej Wigilii, choinki, polskich kolęd. Będzie jednak Boże Narodzenie i radość, że u stóp Żłóbka mamy złożyć jeszcze jedną więcej ofiarę, ofiarę z naszych rodzinnych polskich zwyczajów.

Wprawdzie nie będzie to taka pełna ofiara, bo po Świątach na trzy dni zbieramy się w Mpindze, by wspólnie kolędować Bożemu Dzieciątku. Na pewno będziemy wtedy szczególnie pamiętali o Was, Kochani, którzy sercem jesteście z nami.

Z innych wieści to już pewnie wiecie, że o. Leonard odjechał do Rzymu, a o. Edmund powrócił do Polski.

Jeszcze raz bardzo serdecznie naszą wyprawę misyjną polecam Waszym gorącym modlitwom (...)

Z uśmiechem poprzez misjonarską brodę, całym sercem oddany w Panu.

br. Teofil k. b.

ROK 1973

15. Klerycy i przyszłość misji.

Bururi, 27 stycznia 1973r.

Drodzy Bracia Klerycy!

Bardzo bym chciał odpisać osobno Br. Bronisławowi, Br. Nazariuszowi, Br. Henrykowi z Poznania i Br. Piotrowi oraz Janowi z Nowicjatu, ale wciąż brakuje czasu, więc skreślę kilka słów do wszystkich Braci Kleryków, jako że wiele z listów było pisanych w imieniu wszystkich.

Bardzo więc serdecznie dziękuję za dobre życzenia, za serdeczności, za dowody pamięci. Jeżeli każdy znak pamięci, nadchodzący z kraju bardzo sobie cenimy, to przecież szczególnie drogie są znaki dochodzące od Was. To prawda, że mamy tu dosyć swoich trosk, ale przecież często wspominamy nasze Studentaty i Nowicjat. Przyznajemy szczerze, że właśnie z Wami łączą się nasze nadzieje na przyszłość. Jeżeli marzą nam się wielkie plany, to tylko dlatego, że spodziewamy się, iż wielu z Was usłyszy głos wezwania Pana do pracy misyjnej. To prawda, że w kraju także wiele jest pracy, ale u nas jest bez porównania większa potrzeba kapłanów, bo w wielu okolicach ludzie muszą czekać na pojawienie się księdza kilka miesięcy. Obecnie wiele parafii zostaje bez kapłana.

Tak się nam marzy, by każdy z młodych kapłanów naszej Prowincji mógł z pięć lat poświęcić pracy misyjnej. Nie tylko zobaczyłby małpy i inne stwory, nie tylko zobaczyłby, w jakiej jeszcze nędzy żyją ludzie na świecie, ale kontakt z innym światem, z misjonarzami z całego świata, poszerzyłby jego horyzonty i uczynił go bardziej kapłanem powszechnego Kościoła. Zmusiłoby to także do solidniejszego przyswojenia sobie francuskiego. To prawda, że wielu może myśleć, iż na kilka lat nie opłaci się przyswajać sobie kirundi, ale osobiście sądzę, że poznanie tego języka, to także wielkie wzbogacenie człowieka. Jeżeli my, „staruszkowie”, już jakoś go sobie przyswoiliśmy, to dla młodych nie byłaby to taka wielka trudność.

Ale to marzenie! Spełnienie ich w jakimś sensie będzie zależeć od Was, dlatego też nasze myśli i serca często zwracają się ku Wam. Nic zresztą w tym dziwnego, kilku z nas było

przecież związanych z życiem Studentatu jako mistrzowie czy profesorzy, a młodszy jeszcze bardzo świeży w pamięci przechowują swoje studenckie chwile. Jeżeli mówię, spełnienie naszych marzeń zależy od Was, to mówię w tym także sensie, że kiedy przygotujecie swoje serca przez solidną pracę nad sobą, to Pan chętnie posłuży się Wami, jako świadkami swojej Miłości.

Dziękując serdecznie za życzenia i wszelkie dowody braterskiej pamięci, tak po cichu Wam powiem, że bardzo byśmy się ucieszyli, gdybyśmy w Waszych listach wyczytali gotowość współpracy z nami. Wtedy moglibyśmy bardziej natarczywie nalegać na Naszego Ojca Prowincjała, by nam dosłał nowych misjonarzy i myślę, żeby nam nie odmówił. Można by objąć wiele gotowych parafii, można by zakładać nowe, można by myśleć o zorganizowaniu pomocy lekarskiej, o nakarmieniu umierających z głodu, o przyodzianiu ubogich, o zapewnieniu duchowej opieki spragnionym spotkania z Panem ludzom, można by pomyśleć o nowicjacie, bo kandydaci już się zgłaszają, ale przecież nas za mało!

Z troską myślimy o tym, jak sobie poradzimy w wielkiej parafii Mpinga i licznej w Bukirasazi, kiedy równocześnie będzie trzeba podjąć budowę choćby małego szpitala i poprawę walących się stacji misyjnych, tak w jednej jak i w drugiej parafii. Czekamy więc na Was!

Kończę te kilka słów, bo jeszcze raz muszę przeglądnąć jutrzejszą Mszę św. i kazanie, tym bardziej, że wypadło mi celebrować w katedrze, gdzie bardziej *ndater'isoni* niż w dalekim buszu, czyli bardziej wstydzę się błędów.

Uśmiechają się do Was wysokie cedry, eukaliptusy, kukurydza, piękne kwiaty i kot, spacerujący po murze przed moim oknem, oraz czekają, czekają i jeszcze raz czekają nasi czarni bracia.

Bardzo serdeczne pozdrowienia dla O. Magistra, wszystkich Drogich Ojców i Braci Konwentu w Krakowie!

W modlitwie pamiętajcie! Wzajemną przyrzekam!

Z uśmiechem poprzez siwiejącą, misjonarską brodę, sercem oddany.

br. Teofil k. b.

16. „Dajcie ludzi!”

Bururi, 1 lutego 1973r.

Drogi Honoracie!

Za obydwa listy, ten z 7 grudnia i ten z 21 stycznia, bardzo serdecznie dziękuję. Cieszę się bardzo, że wracasz do zdrowia i planujesz wiele (...)

Co do urzędowania, to chociaż bardzo mnie odrywa od pełnego misjonarzowania, to przecież nie taki straszny... jak go malują. Jakoś idzie. Następcom już pójdzie lepiej, bo będzie jakiś rozpęd. Na razie wszystko nowe!

Nie wiem, czy ja już zapomniałem jasno „po polskiemu” się wyrażać, czy Ty coś dziwnego wyczytałeś w ostatnim liście odnośnie objęcia Mpingi. Jasne, że gdy jakaś katastrofa nie nastąpi, to obejmujemy. Już wszyscy w naszym kraju o tym wiedzą. Na razie nie udało się jeszcze załatwić tzw. *representation legale*, więc nie można zawierać umowy z diecezją, ale już dużo dokumentów zebrałem. Sądzę, że przed Wielkanocą umowę spiszemy. Nie tylko

dom, ale całą górę i las dostaniemy. Kościół chyba zostawimy diecezji i szkoły także. Kiedy się porównuje warunki, jakie tu mamy, z tymi, na które trafili nasi karmelici w innych regionach Afryki, to trzeba powiedzieć, że są wyjątkowe. Tu otrzymujemy gotową misję, utrzymanie misjonarza, zwrot benzyny za wyjazdy na stacje misyjne. Oni otrzymali tylko błogosławieństwo biskupa. Takie wieści przywiózł Kanty ze spotkania w Nairobi. Także z prowincji nie mają tak wspaniałej pomocy jak my, co trochę jest zrozumiałe, bo tamte prowincje mają po kilka misji.

Następną umowę zawrzemy z diecezją Gitega, bo jednak trudno się wymówić od wzięcia Bukirasazi, jako że na jedną misję jest nas za dużo. Szczerze jednak mówiąc, na dwie za mało. Są to przecież największe parafie w Burundi. Mpinga, obszarowo, Bukirasazi ilościowo. Z Gitengą nie będzie tak łatwo, bo oni są w długach, ale może trochę naszych zasobów przeznaczymy właśnie na tamtą parafię, bo marzy się nam budowa „szpitala” i poprawa rozpadających się stacji misyjnych, a potem budowa wielkiej Góry Karmel w Ndava. Już się tutejszych misjonarzy-budowniczych popytałem i wygląda, że możemy się na to porwać, tylko, dajcie ludzi!!!

Właśnie ten brak ludzi nasunął naszemu arcybiskupowi myśl, żeby się starać o księży *Donum Fidei*, którzy mogliby z nam pracować. Ma z tym udać się do diecezji krakowskiej. Może nawet osobiście w towarzystwie któregoś z nas. Tylko nie wiadomo, czy zdąży przed wakacjami, bo teraz tworzenie nowej diecezji zabiera mu czas. Tam właśnie mamy należeć i ten nowy biskup nas ciekawi. Co do bpa Martin, to sądzę, że jednak jeszcze z rok zostanie, bo Makirasazi twierdzi, że dwóch nowych biskupów w episkopacie *a la fois*⁴⁵ to trochę za dużo. Wspominasz o nowicjacie. Kandydatów na braci już coś pięciu jest i jeden na księdza, ale!? Wszyscy twierdzą, że to zawczasu! Sami też osądziliśmy, że trzeba trochę poczekać, bo jakże formować człowieka, którego nie znamy!? Do tego jest nas rzeczywiście mało – jeżeli się zważy, że oprócz pracy duszpasterskiej, która przecież w początkach nie przychodzi łatwo, trzeba zająć się budową i przebudową. Oczywiście, że mamy Marcelego i Sylwestra, ale mimo wszystko musi się ktoś tym zająć. Marcelego nie udało się wysłać na kurs języka, bo rada Diecezji się sprzeciwiła, niby dla naszego dobra, ale szczerze mówiąc, dla swojego. Trzeba jednak walczyć. Jak sądzę, nie oddadzą go wcześniej niż 1 sierpnia – tak solennie przyrzekli, bo bardzo go potrzebują, jako że dwóch braci z Bururi po *conge*⁴⁶ nie wróciło, wszystkie więc budowy, wielka stolarnia i warsztaty zostały bez opieki białego (...)

I tak te myśli takie niepoukładane, więc jeszcze wspomnę o sąsiednim kraju. Pytasz, czy aktualne? Pewnie byłoby aktualne, ale... jedno: jest nas za mało! Drugie: warunki tak się układają, że swoboda poruszania się pomiędzy naszymi krajami obecnie nie istnieje. Rząd się boi, żeby nie organizować do odwetu tamtejszych uciekinierów. Trudno więc mówić o placówce pod jednym zarządem. Trzecie: żaden z naszych nie wrywa się tam, bo choć to język prawie taki sam, to przecież nie ten sam. Na razie więc sprawa upada, tym bardziej, że są nadzieje, że u nas się da pracować.(...)

Jeszcze – jak widzę układ personalny? Mpinga: Sylwan, Elias, Klaudiusz, Teofil, Sylwester; Bukirasazi: Kanty, Kamil, Kasjan i pewnie Marceli. Oczywiście, że musimy sobie wzajemnie

⁴⁵ Na raz (fr.)

⁴⁶ Po urlopie (fr.)

pomagać, bo w Bukirasazi będzie im za trudno, chyba że księża z *Donum Fidei* przyjadą i naszych ze czterech. To na razie, bo zbliża się kolacja, jako że już po godz. 20.00.

Serdeczności ślę bardzo wiele i dobrego zdrowia całym sercem życzę!

Z uśmiechem i uściskiem

br. Teofil k. b.

17. Misjonarz czy urzędnik?

Bururi, 3 marca 1973r.

Drogi Ojciec Efremie!

Misjonarz w afrykańskim buszu już się nauczył, że wiele spraw musi iść „*buhoro, buhoro*”, także korespondencja tylko „powoli-powoli” może być załatwiana. Przepraszam, że na Twoje dobre życzenia nie odpowiedziałem wcześniej. Niestety, zaraz po Świętach mieliśmy egzaminy naszych katechumenów przed chrztem św., a potem intensywne przygotowania do rekolekcji. Już prowadzimy je w pełnym toku. Nawet u siebie nie możemy sobie poradzić, a tu wciąż nam przypominają, że nie można zapominać o parafiach, które nie mają księdza i że tamtym ludziom trzeba też dać okazję przynajmniej do spowiedzi wielkanocnej!

W tym tygodniu jestem sam w Bururi (inni głoszą rekolekcje na misyjnych stacjach). Wygłosiłem w tym tygodniu sześć kazań i nowe cztery napisałem. To „olbrzymia praca” przy ciągłym „czuwaniu” w konfesjonale i załatwianiu innych spraw. Na szczęście, choć jutro mam trochę chrztów na sumie, to jednak nie ma kazań, bo jest list Episkopatu, więc wieczór stukam listy. Tych „urzędowych”, więcej lub mniej, już od września nazbierało się 197, jak mój dziennik korespondencji wskazuje.

No, ale Bogu dzięki, zdrowie jakoś dopisuje, bo te zwyczajne malarie i inne inności się nie liczą, jako że można je przechodzić, jak się w odpowiednim czasie weźmie lekarstwo. Bogu dzięki jeszcze żaden z nas nie zachorował. Bo choroba u nas to klęska, gdyż na każdego się liczy w planowaniu pracy, i po drugie „szukaj bratku lekarza!” Teraz chyba nawet jeden na sto tysięcy wypada. No i oczywiście większość to Murzyni, bardzo życzliwi, ale Afrykańczycy, dla których „punktualność” to coś dziwnego. Czas mierzy się słońcem, a to różnie można odczytać.(...)

Nastukałem dziś długi list z wieściami do o. Michała. Może się uda spotkać z nim i choć trochę wieści zaczerpnąć, bo trudno wszystko powtarzać. Tym bardziej, że trzeba myśleć o nowych kazaniach, a *kirundi kiragoye imisi yose na hose!* – czyli trudne wciąż!(...)

To na razie, bo już nocka i łóżko się kłania, a jutro jeszcze ciągle sam. Moi towarzysze wracają z buszu dopiero wieczorem. Będą na pewno zmęczeni, bo to niełatwo przeprowadzić u nas rekolekcje. Trzeba się ze wszystkim zmieścić od rana do mniej więcej czwartej, bo potem ludzie muszą uciekać, żeby ich czarna Afryka w drodze nie zastała. A serii rekolekcji w buszu jest także wiele i wiele spowiedzi i wszelkie uporządkowanie papierów, czyli kto zmarł, kto się rozwiódł (bo i to się zdarza), kto zamierza zawrzeć małżeństwo, kto potrzebuje wsparcia itd. I tym podobne. To wszystko się załatwia przy rekolekcjach.

Serdeczności przesyłam i na wzajemną pamięć przed Panem liczę,
sercem oddany

br. Teofil k. b.

18. Czarni ministranci.

Bururi, 4 marca 1973r.

Droga Siostró!

Dopiero dzisiaj kreślę kilka słów serdecznej podzięk za dobry list i wszystkie w nim serdeczności, także te od Piotra.

Ucieszyłem się bardzo, że Wasze dzieci i ministranci tak gorliwie współpracują z nami przez „dobre uczynki”.

Na pewno dobry Bóg policzy im to stokrotnie. Dla nas to zachęta i pomoc do gorliwej służby naszym biednym ludziom. Szkoda, że nasi ministranci nie mają takiej opieki. Może z nich wyrosłoby niejedno powołanie, bo są gorliwi. Przychodzić przecież na godz. 7.00 z odległości 4 lub 5 km, to jednak coś. A przychodzą gorliwie. Niestety, księża są zbyt zapracowani, by mogli im poświęcić czas. Sióstr także u nas mało. Kiedy nasze Siostry z Polski będą się mogły zająć także ministrantami?

Dawno już nie pisałem „katolickiego” listu i pewno nieprędko się na nowy zdobędę, bo teraz rekolekcje, rekolekcje i jeszcze raz rekolekcje. Nawet w naszej parafii musieliśmy je odłożyć na czas po Wielkanocy, a przecież są parafie bez kapłana! Jakoś jednak musi być.

Teraz czekamy na echo listów arcybiskupa Makarakizy i naszego do Matki Generalnej. Skoro odpowiedź zbyt szybko nie nadchodzi, spodziewamy się, że będzie pozytywna.

Podobno ma wpaść do nas N. O. Generał, tylko na razie nie wiemy kiedy.

Łączę wiele serdeczności dla Drogiej Siostry i wszystkich Czcigodnych Sióstr z Wielogłówn.

Na wzajemną pamięć przed Panem bardzo liczę!

Z uśmiechem i błogosławieństwem, oddany

br. Teofil k. b.

19. W Afryce wszystko buhoro buhoro, czyli powoli.

Bururi, 14 kwietnia 1973r.

Drogi O. Franciszku!

Za listy z lutego i marca bardzo serdecznie dziękuję! Za prawo jazdy, za zdjęcie, za taśmę, za żarówkę, za albumy czy raczej klasery, które wczoraj nadeszły, za teczki – któż wszystko wyliczy? – serdeczne Bóg zapłać! Także za zorganizowanie dni skupienia i spotkań misyjnych! Za wszelką troskę.

Jak słyszę, nasz Drogi Franciszku, masz teraz na całego objąć sekretarstwo naszym Misjom! Szczęść Boże! Całym sercem będziemy się modlić o Bożą pomoc! Ufamy, że potrafisz dzielnie orędować za nami! Na ostatniej Radzie Wikariusza Prowincjalnego 1 kwietnia polecono mi prosić N. O. Prowincjała, żeby Ciebie zwolnił z innych obowiązków, co też całym sercem uczyniłem. Chyba, że Ci doślemy jakiegoś pomocnika od nas!

Z wysyłką pak tak znowu nie trzeba galopować, bo my już nauczyliśmy się afrykańskiego stylu życia – wszystko *buhoro buhoro* – czyli powoli.

Dochodzą nas wieści, że już jedni na powitanie o. Kantego, inni na moje wierszyki gotują! Trzeba czytać nasze listy uważnie! I rzeczy niepewne, warunkowane – ostrożnie podawać do wiadomości i to nie całej Polsce!

Rzeczywiście, były takie plany naszego arcybiskupa, ale nadal nic nie wiadomo, tym bardziej, że pewna sprawa nam się „kielbasi” i nie wiem na razie, co z tego wyniknie. Także nowego biskupa wciąż jeszcze nie wyznaczają, więc trzeba czekać. Nie znaczy, że arcybiskup musi czekać na ułożenie się spraw w naszej diecezji. A potem? Zobaczmy! Nasza Afryka jest „gorąca”, tak w cudzysłowie, bo obecnie wcale nie za ciepło, więc nawet na 10 dni niezbyt można planować. To nas uczy takiego pełniejszego zaufania do Tego, któremu wszelkie nieznane są ZNANE.

Dawno nie pisałem i jak sądzę, inni też. Musicie jednak zrozumieć, że na misjach Wielki Post, to praca przeplatana pracą. Nieraz i siedem różnych kazań na tydzień wypadło powiedzieć, bo nie mogę się powtarzać, jako że przeważnie w naszej katedrze pracuję. Dochodzi do tego masa spowiedzi. Może w przyszłym roku już zastosują w niektórych wypadkach rozgrzeszenie publiczne. W tym roku jeszcze nie chciano, bo brak przygotowania ludzi(...)

Z tego powodu nie zdążyłem jeszcze załatwić potrzebnych dokumentów dla Drogich Sióstr, które na nasze szczęście, jednak się zdecydowały przyjechać. Wszystko dopiero po Wielkanocy. Im się spieszy, ale nie ma na to rady. My żyjemy w „Czarnej Afryce”, a tu często słyszy się słowo: *buhoro buhoro!* Więc cierpliwości! Zobaczmy, co Bóg da po Wielkanocy! Także do Mpingi przenosimy się *buhoro buhoro*, tzn. dopiero po 6 maja, gdyż po Wielkanocy odbywają się różne zjazdy księży, na których trzeba być, a potem chcę wpaść do stolicy, bo tam już czeka trochę spraw do osobistego załatwienia – i tak czas ucieka!

Pytasz o czasopisma. Więc otrzymujemy podwójne: „Tygodnik Powszechny”, „Przewodnik Katolicki”, „Panorama Polska”. Przychodziła ostatnio „Msza św.”, ale od jakiegoś czasu nie widzę. Jak sądzę list mój, w którym nasze życzenia odnośnie czasopism przedstawiłem, zaginął. Prosiłem tam, że ucieszylibyśmy się także „Znakiem” i powiedzmy „Przekrojem” – ten ostatni dla przepisów kucharskich i innych rzeczy, interesujących Braci. Jak się okazało, żadnego dziennika nie opłaca się przysyłać, bo *par bateau* trwa to ponad trzy miesiące, a *par avion* za drogo i tak samo z opóźnieniem(...)

To na razie, bo już zbiera się grupa ludzisków do spowiedzi. Wprawdzie oni potrafią cierpliwie czekać, ale niektórzy mają daleko do domów, więc trzeba im usłużyć, tym bardziej, że lada chwila może padać deszcz.

Życzenie Wielkanocne dla Ciebie i wszystkich Drogich Przyjaciół naszych Misji złożę w ręce Bożej Matki, stojącej u stóp Krzyża i tej rozradowanej w Poranek Wielkanocny, bo inaczej i tak by nie zdążyły, jako że Murzyniątka już na jutro wspaniałe palmy gotują.

W modlitwach stale pamiętamy i we Mszy św. także. Często za naszych Dobrodziejów odprawiamy, tym bardziej, że często wypada binować.

Serdeczności i życzenia pełni łask od Zmartwychwstałego Pana także dla Czcigodnego O. Przeora i wszystkich Drogich Współbraci Konwentu Poznańskiego przesyłam!

We wzajemnej modlitwie pamiętajcie! Z uśmiechem!

Uściski serdeczne

Twój br. Teofil k. b.

20. "Prosty lud jest naprawdę dobry."

Bururi, 3 maja 1973r.

(...) Bardzo przepraszam, że dopiero teraz odpisuję na listy. Niestety, w okresie Wielkiego Postu tyle było pracy, że nie można było o niczym innym myśleć. Trzeba też pamiętać, że my żyjemy w Czarnej Afryce, gdzie wszystko idzie powoli. Po Świątach jeszcze raz skoczyłem do stolicy i do arcybiskupa, który bardzo się cieszy gotowością przyjazdu Sióstr. Wczoraj zostało wysłane jego zaproszenie, które może starczy do starania się o paszporty. Myślę, że w wysłaniu bagażu dużo może pomóc o. Franciszek Ksawery.

Moim zdaniem, siostra Zygmunta już jest na tyle przygotowana, że może nawet sama prowadzić przychodnię, odsyłając trudniejsze przypadki do szpitala w Rutanie. Zorganizowałoby się także od czasu do czasu przyjazdy lekarza. Zresztą, zanim zacznie pracę, jeszcze tu na miejscu, odbędzie choćby krótką praktykę. Może wystarczy na razie tych „interesów”?

Co u nas słychać? Przeżyliśmy Wielki Post, trudny okres wytężonej pracy. W przyszłym tygodniu zbieramy się w Mpindze dla rozpoczęcia życia wspólnego. Nasze rozproszenie ciągnie się jednak dość długo. Następnym będzie lepiej.

Mamy trochę trudności w diecezji Gitega, ale wcale się temu nie dziwimy, bo to przecież Afryka. Ufamy jednak, że wszystko na dobro się obróci, bo przecież Krzyżowa Droga prowadzi do Wielkanocnego Świtu.

Zdrowi, dzięki Bogu, jesteśmy i humoru nam nie brakuje. Pracy także nie brakuje i długo brakować nie będzie, ponieważ z powołaniami w tutejszym kraju bardzo trudno. Obecna sytuacja, po zeszłorocznych wypadkach, jeszcze ten stan pogarsza. Po Bożym Narodzeniu uciekło za jezioro ok. 13 kleryków. Zresztą, dosyć dużo teraz ucieczek za granicę. Wielu nauczycieli ucieka. Już rok od „wojny”, a jeszcze odczuwamy bardzo jej skutki. Przyczyną wszystkiego są rozgrywki między tymi na stanowiskach, bo prosty lud jest naprawdę dobry. Stąd też, mimo trudności, bardzo się chce z nimi zostać i pracować dla tych biednych ludzi. Wprawdzie u niektórych misjonarzy widać trochę zniechęcenia, ale oni nie są tak zahartowani jak Polacy, więc pewnie na nas teraz kolej, by także innych podtrzymać na duchu. Wystarczy tego gawędzenia.(...)

br. Teofil k. b.

21. Co jeszcze robią misjonarze.

Mpinga, 20 lipca 1973r.

Przewielebny i Drogi Ojciec!

Dawno już wybierałem się z listem, ale taki był nawał pracy, że nie mogłem sobie pozwolić na luksus korespondencji. Nawet wiadomość przesłana przez N. O. Prowincjała, że Drogą Ojciec będzie nadal naszym Opiekunem, choć ucieszyła nas bardzo, nie pozwoliła zasiąść do maszyny.

Ostatnio pracowaliśmy na trzy zmiany. Uroczyste Komunie św., chrzest dorosłych, egzaminy katechumenów na wszystkich stacjach misyjnych. Łączyło się z tym wiele pracy biurowej, bo należało wszystko wprowadzić do ksiąg parafialnych, należało wystawić zaświadczenie

egzaminów. Trzeba się było spieszyć, bo od 1 sierpnia na nowo zaczyna się nauka w katechumenacie.

Praca z robotnikami trwała aż do 16.30. Oni kończą pracę, a my po podwieczorku zaczynaliśmy drugą zmianę. Były to prace bardziej precyzyjne, np. ostatnio zawieszanie dzwonu na dwu wysokich drzewach. Nie mogliśmy brać do tego robotników, ponieważ wymagało to wychodzenia na znaczne wysokości i budowania specjalnej konstrukcji. Trzeba też było działać szybko, żeby wiszący wysoko nie męczył się długo. Stąd potrzeba porozumiewać się w języku ojczystym. Kiedy robiło się ciemno o godz. 18.00, zaczynaliśmy nasze wieczorne modlitwy. Potem kolacja i znów trzecia zmiana. Praca w sali. Przez dłuższy czas była to praca biurowa.

Ostatnio montowaliśmy półki na książki. Wiele przy tym piłowania i skręcania, bo robimy je domowym sposobem z metalu. Już prawie na wykończeniu. Jeszcze trzeba wykonać specjalny fotel do sali.

Br. Sylwester ma wiele szycia. Sądzę, że jeszcze na długo nam pracy starczy. Przy pracy biurowej słuchało się płyt. Teraz gorzej, bo piłowanie żelaza przeszkadza. Można jednak pogwarzyć, bo przecież trzecia zmiana to nasza rekreacja.

Wspomniałem, że pracujemy z robotnikami. Cóż oni robią? Zaczęliśmy wyrabiać bloki cementowe, trzeba było do tego założyć kopalnię piasku w naszej górze. Nie jest to takie łatwe, ale mamy szczęście, że znalazła się żyła piaskowego kamienia, więc po prostu kruszy się kamień za piasek.

Zaczęliśmy także budowę zbiornika na wodę. Wyjdzie na to ok. 10 tys. cegieł, żelazo i cement. Właśnie w najbliższy poniedziałek mamy jechać z o. Klaudiuszem – naszym prokuratorem (ekonomem – „zaopatrzeniowcem”) – po zakupy. Do tego jeszcze rynny... Zamówienie już zrobione. Dół pod zbiornik wykopany – no, prawie wykopany.

Inne prace. – Wiadomo, nowy gospodarz domu, więc przebudowa. Zamurujemy drzwi, przegradzamy salę, by zyskać 5 pokoi dla gości i dla rekolektantów. Potem będzie trzeba myśleć o domu rekolekcyjnym, bo już mamy zgłoszenia.

Przez jeden tydzień była także „akcja nawóz”. Zaczęło się od tego, że br. Sylwester poprosił, by przywieziono mu do ogrodu trochę nawozu. Obiecał za to *impuzu* czyli odzież. Gdy po tygodniu rozdał przesłane z Polski koszule, nastąpiło obłężenie naszej misji przez chętnych do noszenia nawozu. Pewnego dnia przyszło ponad 300 dzieci z koszami nawozu. Porobiliśmy bilety i tak nosili przez kilka dni. Br. Sylwester i o. Klaudiusz znaczyli tylko punkty. Wydawało się, że nas zasypią. W końcu rozdaliśmy *impuzu* i na razie „wojna o nawóz” wygrana. Okazało się, że to najlepszy sposób wyszukiwania biednych. Trochę się ich wspomogło, a nasz ogród, gdy nadejdzie pora deszczowa, będzie rodził wspaniale. (...)

Obecnie czekamy na decyzję podziału naszej parafii. Ma ona zapaść z początkiem sierpnia. Właśnie o. Jan Kanty, o. Kasjan z Bukirasazi i o. Kamil z Rutany zaczęliby życie w Musongati. Br. Marceli od września ma zająć się budową domu dla Sióstr Karmelitanek i domu parafialnego w Musongati. Za ten czas zgromadzimy materiały i zrobimy plany. Oby tylko nie nastąpiła blokada portu w Dar-es-Salaam, jak o tym mówią. Wtedy byłoby gorzej z benzyną itp. Zobaczymy.

Do sierpnia mamy takie małe wakacje, tzn. na stacje misyjne wyjeżdżamy tylko w niedzielę ze Mszałami św. i spowiedzią. Właśnie w niedzielę mam zamiar pojechać w dalekie *moso*⁴⁷ by zobaczyć, co tam przy granicy słychać. Wciąż się mówi o utarczkach, ale nic pewnego nie wiadomo. Chcę też zobaczyć, jak idzie budowa jednej stacji na tamtym terenie.

To na razie tyle, bo choć przy dzisiejszym święcie św. Eliasza dano mi trochę wolnego w ramach pierwszej zmiany, to przecież trzeba wyjść na chwilę do ludzi.

Łączę wiele serdeczności, pozdrowień i uśmiechów wraz z zapewnieniem stałej pamięci przed Panem, tak o Drogim Ojcu jak i o wszystkich Drogich nam Przyjaciółach naszej misji. Proszę ich przy okazji przeprosić za nasze milczenie. Wszystkie dowody ich pamięci całym sercem przyjmujemy, ale brakuje czasu na listy.

Serdeczności dla wszystkich Drogich Ojców z Wrocławia i całej św. Prowincji! Z Bogiem!

Szczerze wdzięczny

br. Teofil k. b.

22. Na swoich śmieciach w Mpindze.

Buta, 31 lipca 1973r.

Przewielebny i Drogi Ojciec Prowincjale!

Za list z 21 czerwca, który wczoraj znalazłem w Bururi, bardzo serdecznie dziękuję. Wpadliśmy wczoraj do Bururi, odwożąc na zebranie przedstawicieli naszych stowarzyszeń religijnych. Niespodziewanie wypadło mi zostać na obradach aż do piątku, więc czas między wykładami poświęcam na takie luźne prace, jak np. listy. W domu bardzo mało czasu na pisanie.

Od dzisiaj jesteśmy już sami, choć praktycznie już od miesiąca pracowaliśmy sami, bo Ojciec Biały, który został z nami, chorował.

Jak na początek pracy jest wiele. Mieliśmy około 300 Komunii św. uroczystych, ponad 80 chrztów dorosłych, egzaminy wszystkich katechumenów itp. To wszystko należy wprowadzić w księgi, a nie mamy sekretarza. Boi się przyjść do pracy. Jakoś jednak biurową pracę zakończyliśmy. Równocześnie przebudowa i budowa. Z dwu salek robimy trzy cele, potem jeszcze dwie. Zawiesiliśmy na nowo dzwon na naszej dzwonnicy z drzew rosnących obok siebie. Teraz budujemy zbiornik na wodę. Mam nadzieję, że zmieścimy się w 150 000 franków. Budujemy też mały kościół na jednej stacji, poprawiamy i tynkujemy inny. Z dawnego internatu robimy sale dla dzieci, które nie chodzą do szkoły, tylko w ramach nauki religii uczą się trochę czytać i pisać. Robimy też sale dla stowarzyszeń. To dużo jak na raz, ale chcemy jako tako uporządkować Mpingę przed zabranieniem się do budowy nowej misji, jednak nie w sąsiednim kraju, jak to proponuje o. Leonard. Nie rozmawiałem jeszcze ze wszystkimi, ale już wiele razy była mowa na ten temat. Sądzi się, że to jednak nierealne. W obecnej sytuacji musiałaby to być zupełnie osobna misja, bo przez granicę teraz nie ma możliwości kontaktu. Nawet wspólna dla obu krajów Konferencja Episkopatu nie może się zebrać. A nie sądzę, by naszą Prowincję stać było na taką fundację, skoro my nie możemy się

⁴⁷

Od: ukumoso, obszar nizinny w płd. Wschodniej części kraju.

doczekać pomocy – myślę o pomocy personalnej. Przed rokiem mówiło się, że „nie wkłada się jajek do jednego kosza”. Rzeczywiście, w dwu mogą być bezpieczniejsze, ale czy pewne? Przecież i dwa kosze mogą upaść – zwłaszcza w Afryce. Sytuacja nie jest jasna, ale wydaje się, że coś można robić dla podtrzymania tutejszego Kościoła. Potrzeby są wielkie!

Z Bukirasazi dzisiaj przenosi się Kasjan i może nawet Kanty. W ostatni poniedziałek rozmawiałem z arcybiskupem. Na odjazd Kasjana zgodził się, ale nie chciał słyszeć o opuszczeniu Bukirasazi. Myślę jednak, że zrozumiał, iż na razie nie możemy brać tak wielkich parafii, bo jak słyszę, szuka zastępców na nasze miejsce.

W najbliższy poniedziałek mam być na zebraniu księży w nowej diecezji, zobaczymy więc, co postanowią odnośnie do podziału naszej parafii. Sądzę, że będę bardzo za tym.

W takim razie po 15 sierpnia Marceli i któryś z ojców zaczną gromadzenie materiałów i funduszy, najpierw pod dom sióstr, potem dalej. W październiku br. Marceli pójdzie na kurs kirundi. Myślę, że jakoś sobie bez niego poradzimy. Trochę gorzej z wyciągnięciem o. Kamila. Wczoraj bp Martin prosił na wszystkie świętości, by został w Rutanie, bo nie ma go kim zastąpić. Zobaczymy, może jakoś uda się go wyrwać. Dalej nie załatwiona sprawa naszego *representation legale*, ale może po zebraniu księży w Ruyigi jakoś to ruszy. Wtedy dopiero będzie można załatwić umowę z diecezją. Zapewne się dziwicie, że to tak długo. Inni już czekają dłużej, bo to przecież Afryka. Zresztą może jednak kiedyś N. Ojciec będzie mógł do nas wpaść, np. przywożąc następną grupę, to wtedy będzie mógł zobaczyć, jak tu u nas jest.

Na wieści z Prowincji bardzo czekamy. Niemal każdy tylko szczątki wieści przysyła, tłumacząc: „to Wam zapewne już inni pisali”. A tymczasem nawet z kilku listów nie można nic poskładać.

Łączę wiele serdeczności, tak dla Ojca Prowincjała jak i wszystkich Ojców i Sióstr naszej Prowincji. Na pamięć w modlitwach bardzo liczymy. Sami pamiętamy! Mimo zapracowania. Współbracia chętnie spieszą na wspólne modlitwy, z czego bardzo się cieszę, bo stwarza się przez to dobrą atmosferę w Mpindze. Położyłem na to nacisk od początku, bo gdyby się zły zwyczaj zaprowadziło, to później byłoby trudniej.

Uśmiechów ślę wiele. Po zjeździe w Ruyigi znów napiszę. O błogosławieństwo bardzo proszę.

Szczerze wdzięczny

br. Teofil k. b.

23. Przeszłość i przyszłość.

Maganahe, 25 sierpnia 1973r.

Drodzy Przyjaciele!

Aż się wierzyć nie chce, że to już tak dawno, że ostatni list „katolicki” pisałem do Was nad brzegiem Tanganiki w Adwencie ubiegłego roku! Nie, nie zapomniałem o Was ani na chwilę. Wiele razy pragnąłem z całego serca porozmawiać z Wami, podziękować przynajmniej w kilku słowach za tyle dowodów pamięci, przywiązania, za ofiary, modlitwy, cierpienia, za dobre słowa Waszych listów, za wszystko! Niestety, nie było sposobu ulżyć potrzebie serca.

Wciąż u nas powtarza się to, co działo się nad brzegiem palestyńskich jezior, a co Ewangelista zamknął w prostych słowach: „Nie mieli czasu nawet na spożycie chleba”.

Dzisiaj pragnę w kilku zdaniach skreślić historię tego niemal już całego roku.

Po Bożym Narodzeniu ekipa polskich Karmelitów Bosych, pracująca w Burundi, mogła się spotkać w Mpindze tylko na trzy dni, by wspólnie kolędować Małemu. Radość ze spotkania była wielka. Zaraz jednak trzeba było wracać do parafii, w każdej bowiem czekało wiele pracy. Należało przeprowadzić egzaminy katechumenów na wszystkich stacjach misyjnych oraz egzaminy dzieci przed uroczystą Komunią św. W Bururi zajęło to pełnych 10 dni. Następnie rekolekcje przygotowawcze do chrztu św. i Komunii św.

W tym czasie nie brakowało troski o chorych, o wdowy, o ludzi żyjących w nędzy i żałobie na skutek zeszłorocznych zająć w naszym kraju. W Bururi umierało wiele dzieci. Bywało i 6 pogrzebów na dzień. Im nie potrzeba wiele, by umrzeć. Wystarczy łada jakie przeziębienie, grypa, malaria, o co wcale nietrudno w porze deszczowej. Dzieci są słabe z powodu niedożywienia lub wprost głodu, a rodzice zupełnie bezradni wobec choroby dziecka, brak przecież opieki lekarskiej, brak lekarstw. Śmierć dziecka przyjmują jako wolę Bożą, nieraz jednak widać, jakim ciosem dla rodziców jest śmierć dziecka, które tu uważa się za prawdziwy skarb dany rodzinie przez Boga.

W tym też czasie marzyło się nam założenie nowej „Góry Karmel” w Ndawie. Chodziło o podzielenie większej parafii w Bukirasazi, o zbudowanie domu dla Drogich Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus, które właśnie zdecydowały się przyjechać do nas z pomocą. Marzyło się założenie tamże ośrodka zdrowia dla dzieci oraz zakładu dla trędowatych. Chociaż fundamenty położyć w roku 1973! Przecież to setna rocznica urodzin św. Teresy od Dzieciątka Jezus.

Zapewne w tym roku jubileuszowym nasza Siostra i Patronka Misji przyjdzie z pomocą i pośle ofiarne serca, a zatem coś zrobimy dla naszych pozbawionych opieki lekarskiej dzieci i trędowatych. To takie marzenie o jubileuszowym pomniku. W związku z tym musiałem nieco podróżować, co wcale nie było łatwe w deszczowej porze. Raz nawet z br. Marcelim mieliśmy poślizg na drodze i kamionetka stanęła czterema kołami ku niebu, jakieś 20 m od drogi. Na szczęście wpadliśmy w busz, nie było drzew obok drogi i nie było stromego zbocza. Udało się wydostać z wozu, udało się postawić go z pomocą ludzi i ruszyć dalej. Te wyjazdy i spotkania sprawiły, że nastawiliśmy się na fundację w Ndawie. Widocznie inna jeszcze była Wola Boża.

Na razie był Wielki Post, były rekolekcje, rekolekcje i jeszcze raz rekolekcje, było wiele kazań i spowiedzi. Nawet w naszych parafiach nie potrafiliśmy przeprowadzić wszystkich rekolekcji, a trzeba było myśleć o parafiach, które wcale nie mają kapłana i tamtym ludziom dać okazję do wielkanocnej spowiedzi. Taka praca wyczerpuje i sam Pan widocznie dodaje siły.

Pamiętam, że po wszystkich ceremoniach wielkotygodniowych, po chrzcie wielu dorosłych w W. Sobotę, miałem jeszcze dosyć siły, by przygotować kazanie i wyjazd w Wielkanoc do jednej ze stacji misyjnej, gdzie ludzie nie mieli rekolekcji w czasie W. Postu. Pojechałem z jednym księdzem, który z powodu choroby gardła mógł tylko spowiadać. Od godz. 7.00 rano spowiadaliśmy do 13.00. W międzyczasie odprawiłem dwie Msze św. Komunii św. było wiele i wiele prawdziwej wielkanocnej radości, bo ludzie nie spodziewali się księdza u siebie.

Do wielkopostnej pracy dołączyła się taka nasza „Krzyżowa droga”. Nie wszystko jeszcze w naszym kraju uleczone.(...)

Do końca czerwca wszystko jako tako się uspokoiło, więc zabraliśmy się do pracy. Była uroczysta Komunia św. przeszło 300 dzieci, chrzest ponad 80 katechumenów i bierzmowanie. Nie mamy sekretarza parafii, więc cała praca biurowa spadła na nas. A jest jej wiele, zwłaszcza pod koniec roku szkolnego.

W tym samym czasie zabraliśmy się do uporządkowania naszej misji. Chcąc uzyskać trzy pokoje i kilka sal dla katechizacji i zebrań naszych stowarzyszeń religijnych, zaczęliśmy przebudowę w domu i dawnym kościele. Postanowiliśmy także na nowo zawiesić dzwon na naszej naturalnej dzwonnicy, czyli na dwu wysokich drzewach obok siebie stojących. Szła też budowa kaplicy w jednej ze stacji misyjnych oraz poprawa kaplic na innej.

Przez czerwiec i lipiec pracowaliśmy na cztery zmiany. Nasz dzień wyglądał mniej więcej tak: godz. 6.00 modlitwa i brewiarz, godz. 7.00 Msza św., godz. 7.45 – śniadanie, po którym br. Sylwester i o. Klaudiusz wychodzili do robotników, zaś o. Sylwan, o. Eliasz i ja pracowaliśmy w biurze i kościele: spowiedź, zapisy małżeństw, chrztów i inne sprawy parafialne. Około godz. 10.00 i my stawaliśmy z zakasnymi rękawami do pracy, wtedy bowiem praca idzie o wiele sprawniej. O godz. 12.00 odmawiamy część brewiarza i spożywamy obiad. Dalej praca z robotnikami do godz. 16.30. Wtedy robotnicy odchodzą do domu, a my zaczynamy trzecią zmianę, czyli prace wykonywane w ekipie polskiej, prace bardziej precyzyjne, jak zawieszanie dzwonu, jak montowanie półki na książki do naszej sali. Przy takich pracach trzeba sprawnego działania, więc woleliśmy je wykonywać sami, łatwiej bowiem porozumieć się w ojczystym języku. O godz. 18.00 zapada u nas zmrok, więc godzina modlitwy, brewiarz i kolacja, po której następowała czwarta zmiana, czyli różne drobne prace wykonywane w sali pod lampą. Przez jakiś czas była to przede wszystkim praca biurowa, takie różne przepisywania, które nie wymagają większego wysiłku i przy których można swobodnie pogawędzić, wypoczywając w ten sposób po trudach dnia.

Było też trochę urozmaicenia. Ojciec Biały, pozostający z nami, zachorował ciężko, odwieźliśmy go zatem do Gitegi i później dalej do stolicy, do lekarza. Wrócił do zdrowia, ale już nie wrócił do Mpingi, bo już czekała na niego praca w Rutovu.

Na uroczystość Matki Bożej Szkaplerznej spotkaliśmy się wszyscy Karmelici Bosi z Burundi, by wspólnie koncelebrować uroczystą sumę.

Pod koniec lipca spotkałem się z arcybiskupem Makarakizą, by go powiadomić, że skoro jesteśmy „spaleni” wobec władz na terenie Bukirasazi, musimy zrezygnować z naszych planów odnośnie Ndawy, że zatem chcę zabrać ojców z jego diecezji. Zgodził się na wyjazd o. Kasjana, ale nawet słyszeć nie chciał o wyjeździe o. Jana Kantego. Rozumiem arcybiskupa, bo przecież tak bardzo mu brakuje kapłanów, a tu jeszcze karmelici chcą odejść. Objęcie dwu takich wielkich parafii jak Bukirasazi i Mpinga, to za wiele jak na nasze możliwości. Bukirasazi liczy ponad 40 tys. chrześcijan. Wprawdzie parafia bardziej skupiona niż Mpinga, która liczy ponad 20 tys. wiernych i 37 tys. pogan, ale rozciąga się na dużym terenie. W jedną stronę do stacji misyjnych musimy jechać 50 km i jeszcze kilka wędrować pieszo, w drugą stronę do stacji misyjnych 45 km.

Chcemy zatem podzielić parafie w Mpindze na dwie, by lepiej rozłożyć pracę i ułatwić ludziom żywszy kontakt z parafią. Arcybiskup rozumie, ale...

Nie wiemy, jak nasze plany przyjmie nowa diecezja. Trzeba czekać na zebranie Rady Kapłańskiej 6 sierpnia. Biskup postanowił oglądnąć stację w Musongati. Przybył też wikariusz generalny diecezji. Po zbadaniu warunków wyrazili zgodę na nasz plan. Obiecali też, że o. Jan Kanty wróci. O. Kasjan już jest w Mpindze. Z początkiem sierpnia przybył br. Marcelli. Na całego bowiem ruszyła budowa zbiornika na wodę przy naszej misji. Wprawdzie istnieje dawniej zbudowany, ale jest za mały. Tamten zbiornik był obliczony na 3 osoby, a nas jest więcej i chcemy się myć, więc przez okres suszy trwającej 5-6 miesięcy, wody nie starczy. Br. Marcelli zabrał się do pracy, także na kilka zmian. W ciągu dnia pracuje z robotnikami, wieczorem zakłada instalację wodną w trzech naszych nowych pokojach.

Trochę martwi nas sytuacja o. Kamila, bo bp Martin prosi nas na wszystkie świętości, by go zostawić w Rutanie, aż do powrotu z urlopu jednego z Ojców Białych, a tak bardzo by się przydał na fundacji w Musongati!

Tymczasem wyjeżdżamy na stacje misyjne, myślimy o pokryciu dachem kaplicy w Shembe. Budowana z cegły suszonej mogłaby się rozpląnąć, gdybyśmy nie zdążyli pokryć przed porą deszczową. Równocześnie zbieranie materiału na zbiorniki: cegła, cement, żelazo itp. Robimy także pierwsze pomiary w Musongati, by przygotować plan nowej fundacji. Jak widzicie, Kochani, życie u nas ruchliwe i zapracowane. To prawda, że czasem trzeba posiedzieć nad kazaniem, bo wciąż jeszcze trzeba zaglądać do słownika. W tym roku musieliśmy zapomnieć o wakacjach, ale Bogu dzięki, czujemy się zdrowo.

Wybaczcie Kochani, że aż tyle napisałem. Tak się złożyło, że znalazłem się na naszej misyjnej stacji w Maganahe. Trzeba do niej schodzić jakie dwie godziny po stromym zboczu. Nie ma tu za dużo ludzi, więc całe duszpasterstwo: Msza św., kazanie, spowiedź, chrzest dzieci, katechizacja i rozwiązywanie różnych problemów odbywa się w ciągu dnia. wieczorem modlitwa i właśnie trochę czasu na rozmowę z Wami. Wprawdzie gwiazdy i wieczorny chłód (w ciągu dnia jest w dolinie gorąco) wyciągają na przechadzkę. Muszę jednak zrezygnować, nie z obawy przed węzami, które tu dochodzą do pięciometrowej długości, ale dlatego, że nogi po wczorajszym chodzeniu jeszcze nie wypoczęły, a trzeba je zaoszczędzić, bo w niedzielę po sumie będzie się trzeba wspinać ku Mpindze wśród nagranych słońcem skał. Trochę niesamowicie wygląda teraz zbocze górskie. Wszystkie trawy spalone, czarne skały w szarym lub czarnym popiele. Tu i tam pokręcone drzewa bez liści. Wszystko czeka na deszcz. Tylko w dolinie nad rzeką trochę zieleni. Tam właśnie można spotkać wspaniałe węże.

Mpinga, 22 września 1973r.

Wybaczcie, Drodzy Przyjaciele, nie udało się mi i to tak długo wysłać listu napisanego w Maganahe. Po powrocie wpadłem w nowy kierat. Wracają już o. Jan Kanty i o. Kamil.

Pierwszego września jedziemy z o. Janem Kantym do Musongati, by z bpem Martin omówić plan budowy. Równocześnie staramy się przynaglić władze terenowe w Musongati, by przygotowały drogę do cegły, wypalanej w dolinie. Chcemy cegłę zwieźć jeszcze przed deszczami. Kończymy budowę zbiornika na wodę w Mpindze. Przykrywamy dachem kaplicę w Shembe. Budujemy trzy mosty na rzece. Dużo pracy parafialnej, bo obecnie okres zawierania ślubów małżeńskich. Błogosławimy 6-10 par na tydzień.

Początek roku szkolnego z nowymi troskami. Rodzice z plemienia „krótkich” nie chcą posyłać dzieci do szkoły. Rozumiemy ich rozpaczliwą decyzję. W rozruchach zginęli przede wszystkim ci, którzy umieli czytać i pisać, którzy znali coś francuskiego. Po co więc kształcić dzieci? Dla nas nowy problem z poszerzeniem katechumenatu, chcemy przecież tym dzieciom zapewnić naukę katechizmu.

Jeżeli uprosicie nam wiele łask Bożych, to dzień 13 września 1973 roku stanie się dniem pamiętnym w historii naszej misji w Burundi. W tym dniu o. Jan Kanty z br. Sylwestrem wyjechali na fundację w Musongati. Trzeba przygotować maleńki domek do tymczasowego zamieszkania na czas budowy. W poniedziałek, 17 września, pojedzie do Musongati br. Marcelli, by zacząć budowę. Może to trochę pójdzie kulawo, bo na skutek zamknięcia portu łączącego nas z Tanzanią zaczyna brakować w kraju materiałów budowlanych. Stąd szukanie na wszystkie strony. Miejmy nadzieję, że coś się uda zdobyć. Trzeba się z budową spieszyć, bo czeka wiele: budowa domu i biur dla księży, budowa domu dla Sióstr, potem budowa przychodni zdrowia, potem pewnie szkoły i wreszcie kościoła, który na razie musi zastąpić dotychczasowa kaplica. Nie obejdzie się bez budowy zbiorników na wodę itp.

Wobec fundacji nowej misji nasze plany zbudowania jeszcze w tym roku choćby małego ośrodka zdrowia dziecka i schroniska dla trędowatych muszą być odłożone na później. To były takie plany na jubileuszowy rok urodzin św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Św. Teresa nie zawiodła naszych nadziei. Już wynalazła osoby dobrej woli, które złożyły ofiarę. Może na fundamenty starczy. Do końca roku może i na ściany się uzbiera. Bóg zapłać za to, co już jest. Pracę wykonamy sami. Wprawdzie to nie takie proste przy pracy duszpasterskiej, ale musimy!

Los dzieci, los trędowatych nie daje nam spokoju. Wiosną, w czasie moich podróży po kraju, odwiedziłem istniejące schroniska dla trędowatych w innych rejonach kraju. „Schronisko” – to brzmiało wspaniale. W rzeczywistości, to kilka maleńkich chatek z trawy, gałęzi i błota, w których żyje gromada przeżartych już trędem staruszków i gromada młodych jeszcze matek z dziećmi, które czeka ten sam los. Z jakąż wdzięcznością przyjmują odwiedziny, odwiedziny człowieka, który raczył zaglądnąć do ich zagrody, zagrody nędzy i choroby. Byłem z kilku siostrami zakonnymi. Witając się z tymi ludźmi, zdecydowaliśmy się uścisnąć, ucałować, wziąć na ręce dzieci. To było dla nich wielkie wydarzenie. Wielu korzystało ze spowiedzi. Mój Boże! tak niewiele potrzeba, by ulżyć tym ludziom. A tymczasem, co dla nich robimy? Nie chodzi mi w tej chwili o skalę światową, choć boli świadomość, że cena dwu lub trzech samolotów bombowych na rok, mogłaby uratować trędowatych świata całego, a nie można tej ceny uzyskać, ale chodzi mi o własną postawę.

Co zrobiłem, co robię, by ulżyć im w strasznym losie? Jak to możliwe, że tyle lat mogłem żyć tak, jakby tych ludzi nie było na świecie? A przecież tyle się o nich słyszało, tyle czytało...

Okazuje się, że, tak w sprawach Bożych jak i ludzkich, nie wystarczy słyszeć, że trzeba koniecznie widzieć, dotknąć. Wiem, kiedy się widzi, kiedy się dotyka, to chwieje się świat. Tak mnie się wtedy zachwiał.

Bo jakaż miara cierpienia, znoszonego z poddaniem się woli Bożej, a z drugiej strony, jakaż miara obojętności naszej? Jakaż miara myślenia o sobie, o swoich wygodach, i jaka będzie kiedyś miara, gdy usłyszemy: Byłem chory, zżerany trędem... Kiedy Cię widzieliśmy Panie? No właśnie kiedy? Trzeba bowiem zobaczyć, nie wystarczy usłyszeć tylko!

Tak bardzo bym pragnął, Kochani, byście zobaczyli poprzez to moje widzenie. Może wtedy razem coś będziemy mogli zrobić dla nich. Nie na światową pewnie miarę, ale na miarę naszej miłości w Chrystusie Jezusie.

Na razie w naszej parafii zdołaliśmy osiągnąć tyle, że raz w miesiącu jedna z sióstr dojeżdża do kilku naszych stacji, by opatrywać i rozdawać lekarstwa. To tak niewiele, ale już coś.

Może mój list dojdzie do Was na dzień misyjny. Nie zapomnijcie pomodlić się za nas gorąco, byśmy wnet mogli zrobić coś więcej dla tych naszych najbiedniejszych braci. Módlcie się także, by nie zabrakło nam siły i zapału, by nie zabrakło miłości.

Z okazji Dnia Misyjnego pragnę Wam całym sercem podziękować za dotychczasowe trwanie z nami, za wszystkie znaki miłości, za ofiarne modlitwy, Msze św., za złożone na patenie cierpienia. Tak, pamiętam stale o Kochanych Chorych z całego kraju, ze Śremu, Krakowa, Poznania, z każdego niemal zakątka Polski i z wielu zakątków świata.

Pamiętam z wdzięcznością o młodzieży i dzieciach z różnych parafii, które zapewniają o współpracy przez modlitwę i ofiary – te duchowe i te materialne. Ta wasza współpraca bardzo dodaje siły. To wielka pomoc dla misjonarza, gdy w swoim trudzie pamięta, że wielu chłopców odmawia sobie przyjemności kopania piłki, że wiele dzieci odmawia sobie słodczy i lodów, że wiele dzieci gorliwie siedzi nad zeszytem i książką, by dla naszych dzieci wyprosić potrzebne łaski. To wielka nasza nadzieja. Może niejeden i niejedna z naszych obecnych współpracowników duchowych otrzyma łaskę, by podjąć kiedyś nasze dzieło ewangelizacji Czarnego Łądu.

To nasze wielkie pragnienie, to temat naszych modlitw, bo tak bardzo brakuje u nas misjonarzy.

Pamiętam stale o wszystkich moich Najbliższych, o Przyjaciółach, których listy już tak długo czekają na odpowiedź. Wybaczcie, że nie odpisuję. Niestety, tak bardzo u nas brakuje czasu. Wasze listy sprawiają mi wielką radość i bardzo na nie czekam. Niektóre wędrują do nas długo, zwłaszcza te, na których, mimo dostatecznej opłaty, nie naklejono *par avion*. Wszystkie Wasze problemy poruszane w listach są nam bardzo bliskie, polecamy je Bogu w naszych modlitwach i we Mszy św., którą często w Waszych intencjach odprawiamy.

Muszę kończyć. Wczoraj byłem w Ruyigi na konsekracji naszego biskupa, Joachima Ruhuny. Piękna uroczystość na placu obok katedry – trochę w tutejszym stylu.

Wielkie przeżycie dla tutejszego Kościoła, który obchodzi 75-lecie ewangelizacji naszego kraju i równocześnie zмага się z wielu trudnościami. Jutro niedziela, a więc kazanie i praca. Potem przygotowanie uroczystości św. Teresy od Dzieciątka Jezus, Patronki Misji, następnie przygotowanie odpustu Matki Bożej Różańcowej i wreszcie przygotowanie przyjęcia naszego biskupa, który od 24 do 28 października będzie wizytował naszą parafię. Trzeba też myśleć o wykończeniu planów budowy w Musongati.

Żegnajcie więc w Panu do nowej rozmowy. Kiedy? Zobaczymy. Chciałbym, żeby to nie było znowu za rok.

Z błogosławieństwem i uśmiechem poprzez misjonarską brodę,
szczerze wdzięczny i oddany
br. Teofil k. b.

24. Głodne dzieci.

Mpinga, grudzień 1973r.

Drodzy Przyjaciele!

Poza normalną pracą parafialną czeka nas jeszcze 10 dni wytężonej pracy, postanowiliśmy bowiem „oblecieć” nasze stacje misyjne, by przez Słowo Boże, przez spowiedź i Mszę św. przygotować naszych parafian na Boże Narodzenie. Dziesięć dni pracy i już Święta. Trzecie Święta Bożego Narodzenia w „ciepłych krajach”. Te trzecie nie będą już w rozproszeniu. Mam nadzieję, że w Wigilijny Wieczór zbierzemy się wszyscy w Mpindze, by przy wigilijnym stole, w atmosferze rodzinnej, w łączności z naszymi Bliskimi, rozsianymi po całym świecie, podzielić opłatek- chleb, znak jedności i braterstwa w Panu.

Nie zapomnimy wtedy, że przez cały rok dzieliliście z nami chleb miłości przez Waszą modlitwę, przez ofiarowane cierpienia i trudy, przez dobre słowa Waszych listów, przez przesłane ofiary i dary. To wszystko, to Wasz wielki wkład w naszą pracę. To właśnie pozwala nam dzielić chleb, podtrzymywać życie, to wchodzić w tajemnicę Jego przyjścia: „Ja przyszedłem, aby życie miały i obficie miały”. Prawda, że to przyjdzie przede wszystkim po to, aby życie wieczne miały, ale przecież każdy czyn miłości wprowadza w Miłość: „Kto trwa w miłości, w Bogu trwa, a Bóg w nim”; każdy czyn miłości wprowadza też w życie wieczne: „Byłem głodny, nakarmiliście mnie, ...wejdźcie do Królestwa”.

Dlatego też wielka nasza radość i wielka wdzięczność za to, że dzięki Waszej pomocy możemy dzielić chleb tu, gdzie to dzielenie jest szczególnie przyjmowane, gdzie to ma szczególne znaczenie.

Jest zwyczaj w Burundi, że przychodząc do kogoś, prosi się o jedzenie: „Zostało u Was coś do zjedzenia?” Domownicy odpowiadają: „Niestety, oddaliśmy już innym”. Na to gość: „Skoro było dla innych, to z pewnością znajdzie się i dla mnie”. „Proszę wejść znajdzie się choćby resztką” – zaprasza gospodarz. To zwyczaj, który mówi: ‘Ty możesz podtrzymać moje życie, wiem, że to zrobisz, choćbyś miał oddać ostatnią kruszynę, która jeszcze została w twoim domu, jesteś człowiekiem dobrym, dlatego z zaufaniem wchodzę do twojej zagrody’.

Ten zwyczaj kryje jednak często konkretną prawdę: człowiek jest głodny. Spotkana kiedyś pod kościołem dziewczyna, tutejszym zwyczajem zagadnęła o jedzenie. „Proszę wejść, chyba pozostały jeszcze jakieś resztki” – odpowiadamy. Na to ona: „Resztki?! Dla mnie resztki nie starczą, bo ja chciałam się najeść, żeby mój brzuch sięgnął aż do kościoła”. Staliśmy jakieś 15 m od kościoła. Uśmialiśmy się wspólnie z nią z tego zobrazowania jakże częstego to pragnienia: najeść się, wreszcie najeść się do syta! Była godzina 17.00, wracała po całodziennej pracy w polu, położonym o kilka a może nawet kilkanaście kilometrów drogi. Z pewnością jeszcze dzisiaj nie jadła, przecież tu jada się tylko wieczorem. Człowiek zatem jest głodny, głodny jest starzec i głodne jest dziecko.

Jesteśmy w Musongati. Po uroczystej sumie urządzono *ibikino*, czyli występy na cześć biskupa. Składają się na nie pieśni, przemówienia i czasem jakieś „przedstawienie”.

Właśnie dzieci obrazują w skeczu, że wykradanie jedzenia (główny „grzech” tutejszych dzieci) jest brzydką wadą, że zawsze zostanie wykryte i ukarane. Postawiono na ziemi miskę gotowanego grochu. „Podczas nieobecności rodziców lub wykorzystując ich nieuwagę, dzieci podkradają jedzenie, przygotowane dla całej rodziny”. Kiedy malec około 3 lat zobaczył, że dwoje dzieci zjada groch, zsunął się z kolan matki, podszedł do miski, usiadł i zabrał się do jedzenia. Było w tym dużo dziecięcej prostoty, było to wielkim symbolem. Nikt tego nie

wyreżyserował, to dziecko powiedziało jednak wiele: popatrz Biskupie, popatrzcie wszyscy, tutejsze dziecko jest głodne, jedzenie przyciąga jak magnes, przyciąga bardziej niż kolana matki, jakże zatem może się oprzeć pokusie i nie podkraść jedzenia?!

Człowiek tutejszy jest głodny. Dlatego też w każdym dzieleniu jedzenia uobecnia się Chrystus, który „wziął chleb, łamał, rozdawał... mówiąc: bierzcie i jedzcie z niego wszyscy”. Następnie dodał: „To samo czyńcie, pamiętając o Mnie!”. Spełnienie tej prośby – dzielenie i rozdawanie chleba – staje się swoistą mszą św., w której człowiek spełnia Chrystusowe misterium.

W tę tajemnicę, w to misterium wchodzić możemy dzięki Waszej, Drodzy Przyjaciele, pomocy i za to przy wigilijnym dzieleniu się chlebem pragniemy Wam z całego serca podziękować w imieniu głodnych dzieci; stoimy przecież w obliczu Dziecka z Betlejem – z Domu Chleba.

Życzeń nie myślę wypisywać, bo pisząc do tak wielu, musiałbym wypełnić wiele stron, każdy przecież człowiek ma swoje własne zapotrzebowanie na łaski, na dary Boże. Na szczęście te niedostatki każdego serca, te zawsze niezaspokojone głębie, zna dobrze Bóg. Dlatego też sam przychodzi, by wejść w naszą nędzę, by przyjąć nasze niedostatki, nasze niepokoje... przychodzi, by napęlić nas pokojem: „Pokój Mój wam daję”, - radością: „aby radość wasza była pełna” – jednością: „aby byli jedno” – uświęceniem: „aby byli uświęceni w prawdzie”. Dlatego o to jedno będziemy wspólnie prosić dla wszystkich: aby znalazł serca Wasze łaknące, przygotowane na swoje przyjście, aby wszedł w nie z całą Bożą pełnią, która jedna jedynie może napęlić serce człowieka na miarę wszystkich jego niedostatków i na miarę jego łaknień.

Wiem, że w blaskach Słowa, które stało się Ciałem, ludzkie słowa są bardzo blade, dlatego zamilknę. Dodam tylko, iż ufamy, że spotkamy się z Wami w modlitwie u stóp Żłóbka.

Módlcie się gorąco za nas, by Księżę Pokoju przyszedł na nowo do naszego kraju, który wciąż jeszcze pełen niepokoju, w którym wciąż jeszcze powtarzają się „ucieczki do Egiptu”, gdyż ludzie nie widzą przyszłości dla siebie i swoich dzieci w granicach naszego nieszczęsnego kraju. My trwamy nadal, bo jeżeli kiedyś, to teraz potrzebują tu ludzie pomocy, pokrzepienia, nadziei na lepsze jutro, potrzebują posługi kapłańskiej, posługi miłości.

To prawda, że w jaśniejszej atmosferze byłoby łatwiej pracować, ale jak ktoś powiedział: „trzeba kwitnąć tam, gdzie Bóg nas raczył posadzić.”

To prawda, kwitniemy zdrowo, dobrym humorem i usiłujemy kwitnąć miłością. To ostatnie nie zawsze jeszcze wychodzi, ale przecież jedną z ważniejszych cnót misjonarza jest cierpliwość i niesłabnąca nadzieja.

Ale dosyć. Miałem przecież zamilknąć, tym bardziej, że nie mam czasu na gawędę. Trzeba jeszcze pojechać do stolicy dla załatwienia wielu spraw, dla powitania Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus, które – radość nasza! – nareszcie przyjeżdżają i potem te 10 dni pracy nad przygotowaniem dróg Panu!

Porozmawiamy zatem po Świętach.

Łączę wiele serdeczności i wdzięczności w imieniu całej wspólnoty Karmelitów Bosych z Burundi.

br. Teofil k. b.

ROK 1974

25. Biedni stają się jeszcze biedniejsi.

Mpinga, 3 kwietnia 1974r.

Drodzy Przyjaciele!

Wczoraj wróciłem z naszych stacji misyjnych po wygłoszeniu ostatniej w tym roku serii rekolekcji wielkopostnych i zaraz siadam, by bardzo serdecznie podziękować za wszystkie Wasze listy, zapewniające o pamięci w modlitwie, w cierpieniu i w trudach codziennej pracy. Stokrotnie za wszystko Bóg zapłać!

Obiecałem sobie, że zaraz po Bożym Narodzeniu porozmawiam z Wami, że podzielę się radościami i troskami, ale misjonarz musi poskromić pragnienia serca, także te szlachetne, by zajmować się sprawą, dla której posłał go Pan w daleki busz. Choć więc była radość wielka z przyjazdu s. Zygmunty i s. Julianny, Karmelitanek Dzieciątka Jezus, choć radowaliśmy się faktem, że 6 stycznia nasz bp Joachim Ruhuna otworzył nową parafię pod wezwaniem Królowej Apostołów w Musongati, gdzie pracują o. Jan Kanty, o. Kamil i br. Marceli, choć były inne radości a także i troski, to jednak musiałem milczeć.

Zaraz po Bożym Narodzeniu podzieliliśmy sobie pracę na Wielki Post, w którym głosi się u nas rekolekcje we wszystkich stacjach misyjnych. Obejmują one poszczególne grupy, a więc dzieci szkolne i dzieci uczęszczające na katechizację, młodzież, niewiasty i mężczyzn. Wiadomo, że niełatwo głosić wielkie prawdy Boże nawet w ojczystym języku, cóż dopiero w obcym? Na każdej też stacji spotykamy odmienne problemy, a więc odmienne zapotrzebowanie na Słowo Boże. Rekolekcje wymagały zatem przygotowania wielu różnych konferencji, aby nie zmarnować okresu łaski, zwłaszcza w tym Świętym Roku. Trochę też czasu zabrało mi przygotowanie specjalnej rekolekcyjnej Drogi Krzyżowej. Trzeba tu i o tym pomyśleć, bo u nas jeszcze brakuje tekstów o treści religijnej. Wypadło także załatwić wiele bieżących spraw w stolicy. Było trochę podróżowania, było przygotowanie rekolekcji, a potem już rekolekcje i jeszcze raz rekolekcje, w czasie których nie można pisać listów, trzeba bowiem być dla ludu. Stąd moje długie milczenie.

Wiem, że mimo naszego milczenia nie osłabły w miłości serca naszych wypróbowanych Przyjaciół. Świadczy o tym stos listów, które poczta przynosi, świadczą paczki, paczuszki i przesłane książki. Bóg zapłać za każdą ofiarę, za te do nas wprost przesłane jak i te składane w Polsce na ręce naszego sekretarza misji karmelitańskich. Nie macie pojęcia, jak wdzięcznym przyjmujemy je sercem. Tak bardzo bym chciał, byście mogli zobaczyć radość obdarowanych dzięki Wam biedaków. W okresie Bożego Narodzenia rozdaliśmy wiele odzieży. Dzień w dzień już od rana, nasz plac przykościelny zalegało mrowie starców, kalek, trędowatych, sierot. Wnet wszystka zebrana odzież została rozdana. Było jej sporo, ale przecież to kropla wobec potrzeb, i tak wielu pozostało nagich.

Wiem, wiem, czasem możecie sobie pomyśleć, że przesadzamy, pisząc o nędzy naszych ludzi, że to już taki styl listów misjonarzy. Jedno trzeba zauważyć: kiedy misjonarz (nawet z naszej biednej Polski) przyjedzie do tzw. krajów Trzeciego Świata, to właśnie nędza uderza go przede wszystkim. Trudno, żeby o tym nie pisał. Potem trochę się już przyzwyczajamy.

Zważcie jednak, że ten list jest pisany z jednego z trzech najbiedniejszych krajów świata, gdzie trudno się przyzwyczaić. Nie wierzycie? Proszę zatem przeglądnąć statystyki, choćby te z „*L'Osservatore Romano*”. Właśnie 25 stycznia br. podano, że wśród krajów nędzy trzy są

najbiedniejsze: Górna Wolta, Rwanda i Burundi. Z tych trzech najbiedniejszym krajem jest Burundi.

Może od czasu obliczeń tej statystyki zmieniło się na gorsze w innych krajach, na pewno jednak nie prześcignęły w ubóstwie Burundi, bo i u nas wiele zmieniło się na gorsze, bo wciąż jeszcze niespokojna atmosfera paraliżuje życie gospodarcze kraju, bo wciąż jeszcze słyszać płacz wdów i sierot.

P. Andrzej Grzegorzczak w nr 5/74 „Tygodnika Powszechnego” przypomina, że w „krajach najbardziej potrzebujących pomocy:

300 milionów dzieci w wieku przedszkolnym głoduje,

400 milionów dzieci w wieku szkolnym nie uczy się,

11 milionów dzieci jest dotkniętych trędą,

15 milionów dzieci cierpi na gruźlicę,

400 milionów dzieci cierpi na jaglicę,

co dzień umiera na skutek głodu ok. 100 000 ludzi, a wśród nich najwięcej dzieci.”

Chociaż A. Grzegorzczak stawia pytanie: „Czy możliwy jest prawdziwy spokój sumienia poza jakimś nadludzkim wysiłkiem, szalonym poświęceniem, zatraceniem się w poświęceniu dla ratowania całej ludzkości”, to przecież tak trudno się „zatracić w poświęceniu”, bo trudno uzmysłwić sobie, co naprawdę mówią te liczby, te drukowane cyfry, dopóki się nie stoi dzień w dzień wśród umierających z głodu, zabijanych gruźlicą, zżeranych trędą, ginących z nędzy w najuboższej prowincji najbiedniejszego w świecie kraju. Przecież obok trędowatych dzieci, obok dzieci umierających na gruźlicę, widzimy serca matek, pełne głębokiego smutku oczy matek, które nie mają czym podtrzymywać umierającego dziecka. Gdy się to widzi na własne oczy, to chciałoby się koniecznie coś zrobić. Kiedy widzi się swoją bezsilność, to przestaje się człowiek wstydzić wyciągania ręki o pomoc. Na szczęście ta nasza żebranina znajduje oddźwięk w Waszych dobrych sercach, choć przyznaję szczerze, że tak po ludzku, to niepokój ogarnia moje serce, zwłaszcza kiedy patrzę na rachunki, które mi po pierwszym trymestrze bieżącego roku przysłano. Wskazują one dług, a umierających wcale nie ubyło, a zaplanowana budowa nawet do połowy nie doprowadzona. To prawda, że zakupiliśmy już dużo materiałów budowlanych, że jeszcze nie ruszyłem pieniędzy przeznaczonych na nasz ośrodek zdrowia (wciąż jeszcze za mało na rozpoczęcie), to prawda, że ufam Opatrzności, ale czasem to trzeba trochę pokręcić głową i uśmiechać się do rachunków. W następnym trymestrze będziemy spłacać długi; ufam, że Opatrzność posłuży się Wami. Cóż, taka rzeczywistość..., a tymczasem tak by się chciało przystąpić do budowy choćby bardzo skromnego ośrodka zdrowia, bo s. Zygmunt i s. Julianna wnet skończą kurs języka kirundi i będą mogły przystąpić do pracy. Tylko gdzie? Wiem, że potrafią wiele dobrego zrobić także bez przychodni, bo przecież opatrywać rany, rwać zęby, rozdawać lekarstwa można także po prostu pod drzwiami. Już pokazały, że to potrafią. Z jaką radością patrzę na zdrowie dzieci, które bez ich pomocy byłyby już dawno w grobie. Myślę, że rozumiecie, iż chciałoby się, aby i u nas były skromne, ale ludzkie warunki pomocy chorym.

Pisze A. Grzegorzczak, że „w krajach Trzeciego Świata pomoc lekarską otrzymuje tylko co 4 dziecko”. Tak to wygląda w statystyce, w rzeczywistości u nas nawet co 50 dziecko nie otrzymuje tej pomocy. Jakże bowiem nasze matki z Mpingi, oddalonej o przeszło 200 km od stolicy dostaną się do szpitala? Nie ma u nas autobusów ani pociągów. Choćby nawet je zawieźć, cóż to pomoże? Ile razy jestem w stolicy, widzę szpital obleżony przez tłumy.

Czasem 2 - 3 dni trzeba czekać, aby się dostać do lekarza, który nie ma czasu na pobieżne nawet zbadanie i często nie ma lekarstw. Jeżeli nawet ma, albo jeżeli można je kupić za drogie pieniądze w aptece, to przecież matka z buszu nie kupi, bo za co? Oblicza się, że u nas na obywatela wypada rocznie 3.300 franków (wartość naszego złotego). Ale to teoretycznie, w praktyce kobieta z buszu nie widzi nawet 500 franków na rok. Jeżeli je zdobędzie, to musi kupić motykę, która kosztuje obecnie ponad 300 fr. Nawet dosyć solidna motyka. Motyka jest jedynym narzędziem uprawy roli, ona służy przy budowie, przy naprawie dróg. Na naszych kamienistych, górskich polach zdziera się szybko. Po roku trzeba kupować nową, trzeba więc ciuć grosz do grosza. Jeżeli zdobędzie coś grosza, to kobieta musi kupić choćby odrobinę mydła, bo inaczej ją i dzieci zjadłyby takie stworzonka, jak wszy.

Tak więc, gdy przyjdzie choroba, to albo natura się obroni (co bardzo utrudnia brud), albo po prostu się umiera.

Wprawdzie, według oficjalnych danych, rozsiano po kraju maleńkie przychodnie zdrowia, czasem i szpitalem się to nazywa, brak jednak personelu, brak lekarstw, a naszym ludziom brak 10 czy 20 fr. na opłacenie wizyty i brak grosza na lekarstwa.

Taka jest rzeczywistość, na którą patrzy się codziennie. Dobrze, że można spojrzeć na nią w promieniach Mistycznego Ciała. To Chrystus ciągle cierpi i umiera w swoich członkach. Jak tamta Męka i Śmierć musiały mieć sens, tak, i ta..., ale właśnie dlatego nie można patrzeć obojętnie.

Ale już dosyć tego biadolenia, bez którego i tak dobrze naszą sytuację rozumiecie, za co Wam szczerze jesteśmy wdzięczni.

Co do nas, to Bogu dzięki czujemy się zdrowo i pracy mamy pełne ręce (...)

Z innych wieści, to należy podzielić się radością, że o. Sylwan nareszcie w styczniu odzyskał swój paszport, może zatem spokojnie proboszczować w Mpindze. Czy spokojnie?

Prawda, jest i trochę niepokoju, bo jeszcze tu i tam wrze, jako że to „gorące kraje”, choć dzisiaj pada deszcz i jest zimno. Nasza dolna część parafii, położona nad granicą Tanzanii, ciągle jeszcze pełna obaw i lęków. Wciąż jednak jest nadzieja, że zawsze tak nie będzie.

Następna nasza radość, to przyjazd s. Zenobii i s. Bogumiły, które zawitały do nas 16 marca. Patrzą na razie szeroko otwartymi oczyma na naszą czarną ziemię i nadziwić się nie mogą, że to tak jeszcze jest na świecie. Wtedy przypominają się nam nasze pierwsze chwile na Czarnym Łądzie.

Na tym kończę, Kochani, bo jeszcze przed Świętami sporo pracy czeka w samej Mpindze. Mam nadzieję, że na następny list nie będę Wam tak długo czekać. A potem, a potem, to się może nawet zobaczymy i to chyba nawet w tym roku. Nasz biskup chce po Synodzie Biskupów odwiedzić Polskę. Pragnie, aby jeden z nas mu towarzyszył. Współbracia wytypowali mnie. Jeżeli się do tego czasu nic nie zmieni, to się zobaczymy i wtedy nareszcie odpowiem Wam na wasze liczne pytania, bo widzę, że choć dużo zapisałem papieru, to przecież nic nie napisałem.

O naszej pamięci we wzajemnej modlitwie chyba nie potrzebuje zapewniać. Myślę, że to wyczuwacie sercem. Zwłaszcza teraz trwamy u stóp Krzyża i trwać będziemy u stóp Zmartwychwstałego, ufając, że i Wy to samo czynicie w naszej i naszych wiernych intencjach.

Z szczerymi uśmiechami i bardzo wielką wdzięcznością,

Wasz w Panu

br. Teofil Kapusta k. b.

26. Jak powinien działać ośrodek zdrowia.

Mpinga, 5 czerwca 1974r.

Drodzy Przyjaciele!

Jakże szybko płynie czas! Już niemal trzy lata naszego misjonarskiego posługiwania! Przez te lata towarzyszyła nam Wasza wierna pamięć i przyjaźń. Od czasu do czasu rozmawialiśmy z Wami o naszych radościach, o naszych troskach i nadziejach. To tak z potrzeby podzielenia się przeżyciami z przyjacielem. Któż nie odczuwa tej potrzeby? I chociaż słowa są bardzo nieporadne, to przecież „mówi się: trudno” i pisze się dalej z nadzieją, że przyjaciel odczyta je sercem.

Niestety, nie stać mnie na osobne listy do każdego, kreślę zatem te kilka zdań z nadzieją, że za pośrednictwem naszego Sekretariatu w Polsce, dotrą do wielu z Was i przekażą zapewnienie o naszej pamięci w modlitwie, o naszej wdzięczności, oraz przekażą garść wieści.

Co nowego u nas? Dnia 23 maja br. poświęciliśmy w Mpindze nowe tabernakulum w prezbiterium, ozdobionym przez br. Sylwestra z pomocą s. Bogumiły. Kamienna mozaika w tutejszym stylu podoba się wszystkim. Obecnie w bocznej nawie kościoła przygotowujemy ołtarz Matki Bożej Częstochowskiej.

Trwają też przygotowania do przebudowy i pokrycia nowym dachem kaplicy w Kiharo. Drewniane belkowanie domu zajęły termity, więc trzeba je zastąpić nowym, żelaznym. Zamiast dachówki położymy eternit. Poza tym praca parafialna zaplanowana do końca lipca. Czekają nas egzaminy dzieci przed uroczystą Komunią św., egzaminy katechumenów, chrzest i bierzmowanie.

A w Musongati? Dopiero w uroczystość Zesłania Ducha Świętego ukończono ostatnią serię rekolekcji wielkopostnych na stacji misyjnej, która przeszła do parafii w Musongati z sąsiedniej parafii w Bukirasazi. Stacja ta, oddalona od Bukirasazi, bardzo była zaniedbana, więc w czasie rekolekcji było wiele pracy z uporządkowaniem zaniedbań. Na zakończenie rekolekcji o. Kamil ochrzcił 60 dzieci.

Musongati żyje budową nowej misji. Nareszcie rozpoczęto budowę domu ojców wraz z biurami parafialnymi. Wciąż jeszcze grzebiemy się w fundamentach. Właśnie w ostatnim tygodniu przez trzy dni pracowałem na budowie, chciałem trochę pomóc br. Marcelemu, który kieruje budową.

Nie takie to proste z tutejszymi murarzami, dla których wybudować coś prosto, to wielki problem. Wciąż trzeba mierzyć i wykazywać, że budują krzywo, jak *inzira y'inzoka*, czyli jak ścieżka węża. Śmieją się wtedy i pojąć nie mogą, dlaczego tym misjonarzom tak bardzo zależy na prostej linii?

Kiedy tak biegam wśród rosnących fundamentów, to dziękuję Bogu i wciąż pamiętam, że to możliwe tylko dzięki Waszej pomocy. Cóż tu moglibyśmy zrobić bez tej pomocy!? Zwłaszcza teraz, kiedy ceny z dnia na dzień idą w górę i kiedy wciąż trzeba pomagać ludziom, znajdującym się w niesamowitej nędzy.

Trudno każdy grosz przeznaczyć na budowę, skoro wokół ludzie umierają z głodu, skoro tyle dzieci zapada na różne choroby wskutek niedożywienia, skoro wszystko, co żyje nosi piętno głodu. A na dodatek trąd! Nasze misje są położone w sercu odległego buszu, gdzie trąd się panoszy i wcale nie jest objęty sanitarną opieką. To prawda, że do kilku naszych stacji misyjnych dojeżdża siostra, by zanotować nowe przypadki trądu, by rozdawać lekarstwa. To już coś, ale jakże jeszcze daleko do jakiegoś rozwiązania problemu! Próbuję zebrać o pomoc, bo oni nawet rąk nie mają, by je wyciągnąć do braci, ale niełatwo pomoc uzyskać. Nie tracę jednak nadziei, a Tym wszystkim, którzy przesłali ofiarę dla naszych trędowatych, bardzo, bardzo serdecznie w ich imieniu dziękuję. Bóg zapłać!

Mimo trudności nie rezygnujemy z myśli o budowie skromnego leprozorium, tym bardziej, że nasza s. Zygmunta jest przygotowana do objęcia opieki także nad trędowatymi.

Skoro już mowa o s. Zygmuncie, to muszę powiedzieć, że spisuje się dzielnie i ma wielkie programy, choć jak słyszę, przesłała do kraju alarmujące apele z prośbą o lekarstwa.

Sprawdza się to, co napisałem w poprzednim liście: kiedy misjonarz przyjedzie do krajów Trzeciego Świata, to bywa przerażony tym, co widzi. Nic więc dziwnego, że pisze alarmujące listy. Musiałaby nie mieć serca, by obojętnie patrzeć na tutejszą rzeczywistość.

Ale, Kochani, problem jest o wiele bardziej złożony, niżby się mogło wydawać. Lekarstwa i opatrunki są bardzo potrzebne, ale w tej chwili nie umiem powiedzieć, czy opłaci się ich przesyłka z Polski, zwłaszcza w większych ilościach? Nie wiem także, jakie uprawnienia uzyska s. Zygmunta do ich odbioru bez cła? To wszystko jeszcze znak zapytania. Małe przesyłki lekarstw w paczkach z używaną odzieżą otrzymaliśmy bez cła. Udało się także uzyskać zwolnienie od cła na lekarstwa, przesłane z Anglii przez aptekę p. Grabowskiego. Nie było tego wiele, więc nie zwróciło uwagi. Ale jak będzie z większą ilością? Na razie nie wiem. Wiem jednak, że nawet wielka ilość lekarstw nie rozwiąże problemu. Cóż bowiem z tego, że podamy lekarstwo np. na robaki, kiedy tutejszy człowiek popije je wodą, w której aż roi się od różnych pasożytów? A popije, bo nie wie, skąd te robaki się biorą. Wiadomo też, że wiele z tutejszych chorób wynika z wadliwego odżywiania się, z braku białka czy witamin. Niestety, matki wcale nie wiedzą, że nie wystarczy byle czym zaspokoić głód dziecka, że potrzebne jest urozmaicenie w jadłospisie. To urozmaicenie byłoby możliwe, ale kto ich przekona o konieczności uprawy jarzyn? Oni uprawiają maniok, groch, kukurydzę i trochę bananów.

Wydaje się więc, że na pierwszym miejscu trzeba postawić zorganizowanie takiego ośrodka zdrowia, w którym wraz z leczeniem można by uczyć tutejszych ludzi, jak pielęgnować dzieci, jak je racjonalnie odżywiać, jak chronić zdrowie. Może takie dokształcenie mogłaby prowadzić szkoła, ale u nas znikomy procent dzieci uczęszcza do szkoły. Któż zresztą w szkole mógłby prowadzić takie dokształcanie? Coś takiego istnieje w programie zwłaszcza tzw. *foyer social*, ale kiedy nasze ognisko socjalne, prowadzone przez czarne siostry, wyhodowało rzodkiewkę, to ją przyniesiono w darze misjonarzom, bo „jak się to je”?

Myślą więc o takim dokształcaniu misjonarze, ale zorganizowanie dokształcania, prócz personelu, wymaga trochę grosza i bardzo dużo cierpliwości! Tak, cierpliwości! Łatwo bowiem stracić cierpliwość.

Przychodzi np. na misję dziewczyna przerażona, że musi umrzeć, tak jak zmarły już cztery osoby w jej domu. Czuje szum w głowie i gorączkę. Mierzę więc gorączkę i wypytuję, jak to było z tą śmiercią jej rodziców i rodzeństwa? Czuli się właśnie tak, jak ona, w końcu

następował krwotok z nosa i ust – i tak umierali. Ale dlaczego? – Ona nie wie! Dałem lekarstwo na obniżenie ciśnienia i gorączki. Rano odwieźliśmy ją do szpitala w Rutanie. Może siostry coś poradzą? Dopiero w szpitalu przyznała się, że byli u *umupfumu*, czyli „czarownika” albo znachora, który dał im lekarstwo. Niestety, mimo lekarstwa umarli. Okazuje się, że właśnie wskutek tego lekarstwa umierali. Dziewczyna ta jeszcze wieczorem, wraz z lekarstwami ode mnie, zażyła te od czarownika. Dopiero w szpitalu przyznała się, że dała też reszcie rodzeństwa. Odwieźliśmy więc resztę do szpitala. Udało się ich odratować, ale czy to nauczy ich rozumu? Czy inni nie pójną do *umupfumu*?

Kiedyś znowu przychodzi ojciec z małą dziewczynką, która bardzo poważnie zachorowała na oczy. Już prawie nie widzi. Jest obawa, że nawet całkowicie straci wzrok. Właśnie nazajutrz wybieraliśmy się do stolicy. Postanowiliśmy zabrać dziecko i ojca. Trzeba oczywiście opłacić okulistę, bo ojciec powiada, że nie ma grosza. Niech więc stanie na jakiś czas budowa, byle tylko nie patrzeć na ociemniałego człowieka. Ale rano przychodzi ojciec i powiada, że nie pojedą, bo „ona nie chce jechać”. Tacy oni jeszcze są. Trudno w takim wypadku o cierpliwość. Trudno o cierpliwość w wielu innych wypadkach.

Trzeba ją jednak zachować. Jesteśmy tu przecież przedstawicielami białej rasy i nie chcemy, by mówili, że biali tylko złościć się potrafią. Jesteśmy przedstawicielami Polaków i nie chcemy, by byli przekonani, że Polacy to ludzie nerwowi. A przede wszystkim jesteśmy tu przedstawicielami Kościoła, zwiastunami Dobrej Nowiny o miłującym Ojcu. Módlcie się zatem o wiele cierpliwości dla nas.

Ale już nie pamiętam, od czego zacząłem? Aha, mówiłem o konieczności doksztalcenia, przy solidnie zorganizowanym ośrodku zdrowia. To chyba jeszcze dosyć daleka przyszłość, ale przecież ufamy Opatrzności i Waszej życzliwej przyjaźni.

Jakże wiele trzeba zorganizować w naszym buszu! Trzeba dać naszym ludziom choć trochę pracy, bo obecnie nie mogą iść na zarobek do Tanzanii. Po powrocie posądzono by ich, że szukali porozumienia z emigrantami sprzed dwóch lat. Jakąż jednak pracę możemy im dać? Od czasu do czasu można kilku zatrudnić przy budowie. Kilku robi deski. Zaczyna się także rozwijać w Mpindze „fabryka” różańców. Na razie taka bez komina, ale już zatrudnia 10 osób. Jeżeli znajdziemy dobrodziejów, którzy przysła trochę drutu na różańce, to będzie można fabrykę rozbudować, bo ziarenka rosną w naszym buszu, bo rąk do pracy bez liku i otwierają się rynki zbytu. Tylko ten drut! W całym kraju nie dostaniesz kawałka drutu! To takie nasze problemy i troski.

A Wy, Kochani, prawie przede wszystkim interesujecie się, jak wygląda nasza praca apostolska, ile nawróceń, ile chrztów na miesiąc?

Owszem, owszem, nasze katechumenaty działają. Wciąż należałoby powiększać liczbę lekcji, bo wielu pogan czeka na naukę. Ale znów – skąd wziąć grosz na opłacenie katechistów? Wciąż także brak kapłanów. Wielu misjonarzy sierało już siły w trudnej pracy. Nowych nie przybywa. Tubylczego kleru bardzo mało. W wielu parafiach księża nie potrafią obsłużyć licznych wiernych. Trudno w takiej sytuacji zająć się na całego poganami. W wielu rodzinach poganie żyją wspólnie z chrześcijanami.

Bywa i tak, że córka wstępuje do zakonu, a jej matka i bracia jeszcze nie ochrzczeni. Bywa tak, że jedna osoba z rodziny ochrzczona. Jeżeli to młody chłopiec czy dziewczyna, to potrzeba im wiele bohaterstwa, żeby wytrwali w religijnych praktykach, żeby nie dać się skusić do praktyk pogańskich, które nieraz bywają bardzo żywe.

Pracy zatem dużo, bardzo, bardzo dużo i bardzo czekamy na o. Jana i o. Józefa, którzy – jak ufamy – za kilka miesięcy staną z nami do pracy. Oby znaleźli się także inni! Nie piszę, ile jeszcze potrzeba Sióstr Karmelitanek, bo sądzę, że nasze misjonarki same o tym napisały. Żniwo wielkie, robotników mało. Proście tedy Pana żniwa, by posłał robotników.

Żegnajcie w Panu! Chyba jeszcze napiszę przed planowaną w jesieni podróżą do kraju. Na razie łączę wiele uśmiechów wraz z szumem naszego lasu i ukłonami palm!

Wasz ojciec misjonarz

br. Teofil Kapusta k. b.

27. "Misjonarz to człowiek."

Mpinga, 12 lipca 1974r.

Drodzy Przyjaciele!

Znów stos listów, wzruszających listów!

Zapewnianie o pamięci, o modlitwie, o ofiarowanych za nas cierpieniach i trudach. Chcecie pomagać.

Wzruszające listy młodzieży, która chce znać prawdę o przygodzie misjonarza, znać całą prawdę.

Wzruszające listy dzieci, które chcą wiedzieć wszystko o życiu i pracy misjonarza.

Nie tylko zresztą młodzież i dzieci, wszyscy chcecie wiedzieć, „jak to tam jest?” – dlatego prosicie o odpowiedź: „aby mi misjonarz odpisywał zawsze na listy!”

Niestety, Kochani, to nie takie proste! Odpisywać „zawsze” na listy, odpowiedzieć na wszystkie pytania, opisać kraj, ludzi, obyczaje, warunki życia, choroby, trąd, opisać pracę i przygody misjonarza. To nie takie proste przekazać prawdę i to całą prawdę o misyjnej przygodzie. W naszym zagonieniu trudno to zrobić w wielu listach, dlatego kreślę ten wspólny list, by choć dobrą wolę okazać, by choć w ten sposób podziękować za to, że jesteście z nami!

Jak już komuś napisałem: prawda o misjonarzu jest bardzo różna, jak różne są zakątki świata, w których misjonarz pracuje. Wiem, chcecie znać prawdę o nas, o misjonarzach, pracujących w Burundi. Ale i tu prawda jest różna, bo inaczej wygląda praca i życie w naszej stolicy, a inaczej u nas w buszu.

Dla wielu, widząc to z listów, misjonarz jawi się jako człowiek święty, dzień i noc nauczający ludzi, utrudzony, wędrujący od wioski do wioski, wędrujący pieszo, czasem na koniu, czasem łódką, a czasem nawet samochodem. Pali go słońce, polewa tropikalny deszcz, spala pragnienie i głód, dokuczają mu pchły piaskowe, a w buszu napadają dzikie zwierzęta i węże. Najgorsze to, że wszędzie można „złapać” zaraźliwą chorobę, zwłaszcza trąd. Na dodatek, ten misjonarz mieszka w lepiankach z gliny, karmi się maniokiem, czasem kokosowymi orzechami lub bananami, które popija wodą ze skórzanych worków, wodą z trudem zdobytą i przynoszoną z daleka. Misjonarz także bywa często osamotniony, zagubiony w pustyni lub puszczy, gdzie dzikie ludy „ostrzą noże na progu jego chatki i już rozpalają ognisko, by go upiec i zjeść.” Jeżeli się jakoś uratuje, to całymi miesiącami czeka na listy od swoich najbliższych i tęskni za rodzinnym krajem.

I czegoż to jeszcze nie wymyśliła wyobraźnia!?

To prawda, coś z tego wszystkiego zdarzyło się przez wieki w życiu misjonarzy, ale przecież na co dzień, nawet w naszym buszu, jest bardzo zwyczajnie.

Misjonarz to człowiek, po prostu człowiek. Czasem już prawie święty, ale bardzo często to człowiek pełen wad i ludzkich słabości. Jak każdy chrześcijanin, musi się wspinać na górę doskonałości. Czasem udaje mu się to lepiej, czasem gorzej. Trzeba, żeby był świętym, żeby to, co głosi, potwierdzał życiem, ale sam wie, jak mu jeszcze daleko do tego, by zawsze i wszędzie być wiernym łasce, którą otrzymał.

Mówi się, że powołanie misyjne to wielka łaska. To prawda, ale nie zawsze łatwo ją dostrzec. Zawiera się ona w tej cudownej sytuacji, którą określają słowa: „Jako Mnie posłał Ojciec, tak i Ja was posyłam”, „Idźcie na cały świat, nauczajcie wszystkie narody.” Każdy chrześcijanin jest posłany, posłany bliżej lub dalej, posłany do drugiego człowieka, każdy jest świadkiem! Ale to prawda, że jakoś szczególnie jest „posłany” misjonarz. Posłany przez Pana, posłany przez Kościół do ludzi, którzy jeszcze nie znają Chrystusa, albo znają Go bardzo mało. Właśnie to posłanie sprawia, że misjonarz przeżywa „wielką przygodę”. Nie polega ona na tym, że misjonarz wędruje poprzez różne kraje, przebiega piaszczyste pustynie, odpoczywa pod niebotycznymi palmami, przedziera się przez puszcze i busz, gdzie spotkać można węże i dzikie zwierzęta, to też bywa przygoda! Ale ta prawdziwa, najgłębsza przygoda misjonarza polega na tym, że jest posłany przez Pana, że idzie i działa z tą świadomością, że jest z nim Pan, który zapewnił: „Ja jestem z wami po wszystkie dni.” To Pan jest z nim, Pan działa przez niego. To pozwala misjonarzowi przeżywać najwspanialszą przygodę, jaką może przeżywać człowiek na ziemi, przyjaźń z Chrystusem. Miłość. To jakieś szczególne włączenie w Miłość, która pragnie dobra, szczęścia, zbawienia każdego człowieka. A człowiek też bywa zagubiony, utrapiony nędzą, wyzyskiwany, uciśniony, bardzo często zżerany chorobami, umierający z głodu. A człowiek ten bywa spragniony pouczenia, spragniony sakramentów, pociechy – zawsze spragniony miłości!

Dlatego też misjonarze mogą powtarzać za wielkim Apostołem Narodów: „Miłość przynagla nas!” Jakże nie ma przynaglać? Przecież wiara każe dostrzegać w człowieku Pana, który jest „głodny, spragniony, nagi, chory, więziony, strapiony.” Tu gdzieś zaczyna się przygoda misjonarza: przynaglenie miłości, które sprawia, że misjonarz „musi” zapomnieć o sobie, o własnych wygodach, o przyjemnościach i „musi” wyjść ze skorupy egoizmu i służyć w miłości człowiekowi. A wychodzić ze skorupy. To właśnie jest rozwój. To ciągle przynaglenie miłości jest łaską rozwoju w miłości. Jest łaską, bo „o tyle ludźmi jesteśmy, ile w nas jest miłości”, co więcej: „Kto trwa w miłości, w Bogu trwa, a Bóg w nim!”

Czy każdy misjonarz to przeżywa? Czy zawsze przeżywa? Wiele tu zależy od łaski, od szerokości i głębi serca. Czasem, w ludzkim umęczeniu i misjonarz „ma dosyć wszystkiego”, czasem ta łaska się gubi, ale ona jest, ona powraca, bo wciąż „miłość przynagla nas.” Zapewne to sprawia, że w listach misjonarzy tak mało opisów przyrody, opisów krajów, przez które wędruje, bo przecież najważniejszy jest człowiek. To coś z tego, co było w listach Pawła Apostoła. Przewędrował wiele krajów, ale niemal nie widział przyrody, a przynajmniej jej nie opisywał. Przeczytajcie jego wszystkie listy, nie znajdziecie przyrody, znajdziecie natomiast człowieka w blaskach planów Bożej miłości.

Ale dosyć tego „filozofowania”, przecież i tak ludzkie słowa nie odsłonią tajemnicy misjonarza, którego tak barwnie maluje wyobraźnia.

Dla wielu, misjonarz to człowiek „utrudzony, dzień i noc zajęty nauczaniem.” po to został posłany, aby ludziom przekazać prawdę o Bogu. Jeżeli jest utrudzony nauczaniem, to przede wszystkim ze względu na język, który stale pozostaje obcym językiem i dlatego wszystkie kazania, lekcje katechizmu trzeba solidnie przygotować.

Nauczanie odbywa się w szkole i w katechumenacie. Przy misji bywa zazwyczaj 6 klas dla chłopców i 6 klas dla dziewcząt, oraz kilka grup katechumenów. Na stacjach misyjnych bywa różnie: czasem 4 klasy, czasem 2, a czasem nie ma szkoły wcale. Za to tam bywają liczniejsze grupy katechumenów. Wszystko zależy od gorliwości katechisty. Głównym bowiem nauczycielem religii jest u nas katechista, a w szkole nauczyciel lub nauczycielka. Misjonarz stara się przynajmniej raz w tygodniu przeprowadzić lekcję religii w każdej klasie i w każdej grupie katechumenów. Nie zawsze mu się to uda, bo przecież trzeba odwiedzić stacje misyjne, trzeba podjąć inne podróże, trzeba przyjąć licznych wiernych. Na stacjach misyjnych kapłan pojawia się przeważnie raz na miesiąc na jakieś 3 lub 4 dni. Ma wtedy pracy wiele, nie zawsze jest czas na długie lekcje katechizmu, ale trzeba odwiedzić dzieci szkolne i wszystkie grupy katechumenów. Reszta nauczania powierzona jest katechistom. Trzeba stwierdzić, że tutejsze dzieci zachowują się na lekcjach idealnie. Są spokojne, zasluchane. Gorzej ze zrozumieniem przekazywanej nauki. Wciąż natrafiamy na słowa, które dla europejskiego dziecka są same przez się zrozumiałe, ale nie dla dzieci z afrykańskiego buszu. To na razie tyle o nauczaniu.

A jak z tymi „wędrownkami od wioski do wioski?” Dawniej to rzeczywiście misjonarz miał czas na takie wędrownki. Miał bowiem zaledwie małe grupki wiernych, mógł zatem odwiedzić ich rodziny, mógł porozmawiać z każdym. Dzisiaj jest trochę inaczej. Poza misją są stacje misyjne, na których mamy nieraz tysiące wiernych, a w każdym razie setki. Misjonarz więc tylko bardzo rzadko wędruje pieszo. Na naszym terenie jest tylko jedna stacja, na którą nie można dojechać. Dzisiaj misjonarz posługuje się samochodem, bo do stacji daleko, od 20 do 50 km, a trzeba na stację zajechać wcześniej, aby wypowiadać wiernych, celebrować Mszę św. ze Słowem Bożym, chrzcić, odwiedzić chorych, przeprowadzić lekcje religii i pozalać wszystkie, przez miesiąc zbierające się sprawy. Nie zawsze więc starcza czasu na piesze wędrownki po wioskach. W powrotnej drodze od chorego można się z bliska przypatrzeć warunkom, w jakich żyją ludzie. Czasem można wejść do chatki.

W naszej okolicy taka chatka bywa budowana w ten sposób: wbija się w ziemię drewniane pale, wyplata chrustem i oblepia gliną. Tę okrągłą „budowlę” nazywa się trawą. Wnętrze dzieli się niskimi ściankami na kuchnię (trzy kamienie pod garnek) i coś w rodzaju sypialni. Jest oczywiście i przedsionek. Najczęściej rodzina jest liczna, bo dzieci bywa do 10 albo i więcej, więc sypia się wszędzie, na matach rozłożonych na słomie. Rzadko można spotkać łóżko, krzesło lub inne meble. Dom otacza płot, wyplatany chrustem. Dalej sad bananowy, z którego chatki zazwyczaj nie widać. Goście zatrzymują się przy wejściu do ogrodzenia. Dopiero na zaproszenie domowników mogą wejść na podwórko, gdzie załatwia się wszystko, także zaopatruje się chorych, leżących na matach. Trzeba być bardziej zaprzyjaźnionym z rodziną, by zostać zaproszonym do wnętrza chatki, albo trzeba być misjonarzem, który został wezwany do bardzo ciężko chorego, którego już nie można wynieść przed dom.

To na razie tyle o tych wędrownkach, w czasie których „pali misjonarza słońce”. Czy rzeczywiście pali? Zapewne zdarza się to w gorących krajach Afryki, ale w Burundi – pisałem już wiele razy, ale nie chcecie uwierzyć – wcale nie jest gorąco. Zwłaszcza u nas w Mpindze,

gdzie klimat jest idealny! Od dziesięciu lat wisi w Mpindze specjalny termometr, wykazujący najniższą i najwyższą temperaturę. Od dziesięciu lat nie było niżej niż 13 stopni Celsjusza i nie było wyżej niż 29 stopni! Na niższych terenach naszej parafii jest ciepło, ale tylko przez południe. To prawda, że słońce tu działa inaczej niż w Europie, ale od tego są ciemne okulary. Nie pali więc słońce i nie „zabija pragnienie i głód”. Jak wiecie, są w Afryce kraje, które dotknęła klęska suszy. Tam wodę sprowadza się z bardzo daleka i rozdziela kroplami. W Burundi wody mamy dosyć. To prawda, że przez 4 - 5 miesięcy okresu suszy nie spada u nas kropla deszczu, ale przecież i przez ten okres nie wysychają górskie strumyki i źródła. Wysycha tylko trawa, rośliny i krzewy. Zostają większe drzewa i zielone banany, ale dla ludzi i zwierząt wody wystarcza. To prawda, że ludzie muszą nosić wodę z daleka. My na stacji mamy dwa zbiorniki na wodę, więc nie spala nas pragnienie.

A głód? Powiada się, że Burundi jest krajem, który mógłby się stać kwitnącym ogrodem. Niestety, zniszczono lasy, więc nie utrzymuje się wilgoć. Brakuje też ludzi, którzy potrafiliby pokierować uprawą dolin, obfitujących w wodę. Nawet kamieniste zbocza górskie w okresie deszczowym mogłyby dać wiele pożywienia. Niestety, gospodaruje się tu „jak za dawnych lat bywało”, stąd brakuje ludziom pożywienia, a przede wszystkim urozmaicenia w jadłospisie. Jakoś nie chcą się ludzie przekonać do uprawy jarzyn i owoców. Nie umieją też hodować kur, trzody i bydła. Tutejsze krowy prawie się nie doją.

Misjonarze jednak nie cierpią głodu. Wprawdzie pożywienie jest proste, lecz w wystarczającej ilości i dobrze urozmaicone, a czasem bywa nawet „wspaniałe” – zwłaszcza, gdy nadejdzie paczka z suszoną kielbasą, co się już czasem zdarzyło. Po prostu, jak Paweł Apostoł powiadał: „Nauczyłem się obfitować i nauczyłem się niedostatek cierpieć”.

Jeszcze, choć krótko, o tych dzikich i drapieżnych zwierzętach. Opowiadają starzy misjonarze, że dawniej polowało się w Burundi na lwy, słonie, lamparty, a mniejszej zwierzyny było bez liku. A dzisiaj? Przez trzy lata pobytu w Burudni tylko raz słyszałem, że stado 15-tu słoni przewędrowało przez dolinę ku pograniczu Tanzanii, raz tylko lew przeprawił się z Tanzanii przez graniczną rzekę i porwał krowę. I to wszystko. Jest jeszcze sporo drobniejszej zwierzyny, są małpy, ale ta zwierzyna nie napada na ludzi. A hipopotamy i krokodyle? Tak, jest ich sporo, ale tylko w jeziorach i rzekach. Jakies trzy lata temu zjadły ponoć czarnego księdza, no ale „po cóż tam laźl do nich?”. A węże? Od czasu do czasu się spotyka, w dolinach nawet długie na 7 m. A w Mpindze i Musongati? Owszem, bywają te mniejsze, podobno nawet jadowite, ale jeszcze nikogo z nas nie ukąsiły. Zresztą węże nie są takie, żeby im bardzo smakowało ciało ludzkie, wolą różne żaby. Czasem widzimy ukąszonych ludzi, ale przecież udaje się ich odratować. Spotyka się także od czasu do czasu skorpion, ale też jeszcze żadnego z nas nie użądlił. A piaskowe pchły? Owszem, mają ludzie ogryzione palce u nóg, ale my nauczyliśmy się je zaraz usuwać. (tzn. pchły, nie palce) Zresztą nie za często się czepiają naszych nóg. A zwyczajne pchły i te „legiony wszy” – jak ktoś napisał? Można je spotkać, jak to zwyczajnie wśród nędzy bywa, ale przecież misjonarz potrafi utrzymać czystość, nawet na stacji misyjnej w domku, a te stworzonka nie znoszą czystości.

Nie znoszą też czystości „zaraźliwe choroby”, o które pytacie. Zapewne najbardziej zaraźliwe to gruźlica i tyfus, ale nawet wśród pracujących w szpitalach i ośrodkach zdrowia nie słyszałem o zachorowaniach. A trąd? Trąd wcale nie jest tak zaraźliwy, jak to fama niesie. Wystarczy zwyczajna ostrożność, wystarcza umycie rąk po kontaktach z chorymi. Nad

jeziorem i w dolinach można częściej „złapać” malarię, ale i na to są zabezpieczające tabletki. Trochę gorsze mogą się okazać różne pasożyty: tasiemce, robaki, ameby. Bardzo rzadko jednak słyszy się o zachorowaniu misjonarza. Jeżeli już ktoś złapie amebę, to tylko dzięki nieostrożności. Trzeba po prostu pić filtrowaną wodę.

A samotność? Nie wiem, jak to bywa w innych krajach, ale w Burundi życie misjonarzy jest tak zorganizowane, że na każdej stacji pozostaje 2, 3 albo i 4 księży. Blisko misji bywa dom siostr zakonnych. Bywa też na niektórych misjach trzech lub nawet więcej świeckich misjonarzy. W Mpindze i Musongati jeszcze nie ma, ale może ktoś z Polski przyjedzie. To prawda, że na 3 lub 4 dni w tygodniu misjonarz wyjeżdża na stacje misyjne. Zazwyczaj jednak na misji pozostaje dwóch. A ten na stacji? Przez cały dzień służy ludziom, więc nie jest sam, a wieczorem i w nocy, to nawet lepiej, że jest sam, bo może spokojnie spać. Wcale też, nawet w dalekim buszu, nie musi się bać ludzi, którzy „ostrzą noże i rozpalają ognisko,” jak to komuś podsuwa wyobraźnia. Pierwsi misjonarze w Burundi rzeczywiście zostali zamordowani, ale to dlatego, że nie znali języka i zostali potraktowani jako wysłańcy grasujących wtedy handlarzy niewolnikami. Dzisiaj już nikt misjonarzy nie zabija. Przeciwnie, są szanowani. A jeżeli narażają się władzom kraju, to czeka ich najwyższej grzeczne wypędzenie poza granice.

Zostaje jeszcze „czekanie na listy i tęsknota za krajem”. Listy przesłane lotniczo otrzymujemy po dwu tygodniach od daty wysłania, czasem wcześniej, a czasem później. Przesłane pocztą zwyczajną wędrują do nas przez 5 – 6 miesięcy. Zdarzyło się, że otrzymaliśmy listy po roku od daty wysłania, ale to wyjątek.

Na tęsknotę za krajem brakuje czasu. Może i czasem odzywa się „taka cicha tęsknota”, ale przecież Mpinga to polska misja, na której żyje czterech ojców i jeden brat zakonny. Obecnie także cztery polskie siostry. Do Musongati, gdzie pracuje dwóch ojców polskich i jeden brat, jest tylko 45 km! Na innych misjach misjonarze bywają często dobrani według narodowości, panuje zatem język rodzimy i wiele zwyczajów krajowych, wzbogaconych przez afrykańskie. Prawda, jaki długi list? To dlatego, że pytań było wiele i dlatego, że pozwolono mi ukraść chwilę czasu na stukanie na maszynie. Niestety, i tak nie odpowiedziałem na wszystkie pytania. Mam nadzieję, że resztę opowiemy sobie w następnych listach, albo jeszcze pełniej przy spotkaniu.

Na zakończenie dodam jeszcze, że budowa w Musongati postępuje. Już mury domu sięgają dachu. Do końca lipca może nawet zdążymy dach położyć! Potem zacznie się „wykończenie”, budowa zbiornika na wodę, całego zaplecza i wreszcie budowa domu dla siostr. W sierpniu myślimy przebudować kaplicę w Kiharo. Wciąż trudno się do tego zabrać, bo teraz jeszcze egzaminy katechumenów, chrzest św., bierzmowanie i uroczysta Komunia św.

Żegnam bardzo serdecznym podziękowaniem za wszelką pomoc, tę duchową i tę materialną też! Bóg zapłać także za odpowiedź na apel o lekarstwa. Już nadchodzą paczuszki. Chciałbym każdemu z osobna podziękować i wiem, że chciałaby to zrobić s. Zygmunta, ale rozumiecie, prawda? Choć starczyłoby serca, to nie starcza czasu!

Z Bogiem!

Wasz brat Teofil k. b.

LISTY

O. JANA KANTEGO STASIŃSKIEGO OCD

ROK 1971

1. Wśród nowych przyjaciół!

Mabanda, 21 września 1971r.

Najmilsi!

Przesyłając wszystkim bardzo serdeczne pozdrowienie z Afryki, z Burundi, przepraszam, że dopiero teraz się odzywam. Wprawdzie w Paryżu, w dniu 1 sierpnia zacząłem już pisać list „do Wszystkich”, i napisawszy dwie strony maszynopisu, urwany list posłałem okazją do kraju do przepisania. Jednak do dziś nie zdołałem napisać i dosłać reszty.

Zamierzałem dokładnie zdać sprawę z pobytu we Francji i we Włoszech, podzielić się ze wszystkimi moimi spostrzeżeniami i wrażeniami. Zrobię inaczej. By być na bieżąco, będę pisał o obecnych sprawach, a do wrażeń, zdarzeń i spostrzeżeń francusko-włoskich będę wracał w następnych listach. Prowadziłem i nadal prowadzę dzienniczek, więc chyba nic ważnego nie zginie. Uważam, że tak będzie lepiej, bo inaczej zawsze tkwilibyśmy w historii i nigdy byście nie wiedzieli spraw bieżących.

Otóż, jak większości wiadomo, Francję opuściliśmy 23 sierpnia. Czas, 2 miesiące, we Francji spędziliśmy na nauce francuskiego. Zwiedzaliśmy Paryż i byliśmy w Lisieux, mieście św. Teresy od Dzieciątka Jezus. We Włoszech byliśmy prawie tydzień. Byliśmy u Ojca św. na specjalnej audiencji, zwiedzaliśmy Rzym, byliśmy na Monte Cassino, byliśmy na grobie św. Marii Goretti i w jej domu. Opuściliśmy Rzym, Włochy, Europę i północną półkulę globu ziemskiego z dnia 31 sierpnia na 1 września. Jutro będą trzy tygodnie, jak przybyliśmy do Afryki, do Burundi.

Przybyliśmy na lotnisko w Bujumburze wczesnym przedpołudniem. (czas tutaj, tak jak w Rzymie, różni się o 1 godzinę od polskiego: gdy w Polsce pierwsza, to tutaj druga).

Na lotnisku czekał na nas ks. bp Martin. Bez żadnych oficjalnych ceremonii, serdecznie, po ojcowsku wszystkich przywitał i po odprawie celnej ruszyliśmy do domu Ojców Białych na obiad.

O godz. 15.00 ruszyliśmy na południe kraju, do Bururi, sto ileś kilometrów oddalonego od stolicy. Jechaliśmy samochodami osobowymi i małą bagażówką. Kierowcami byli: biskup, jeden ojciec misjonarz z drugiego końca Afryki i dwóch braci zakonnych z Burundi. Ja jechałem z tym misjonarzem, który do Burundi przyjechał na parę dni odwiedzić swoją siostrę, misjonarkę. Jechaliśmy najpierw kilkadziesiąt kilometrów nad brzegiem jeziora Tanganika, a następnie na wschód w górę i w górę. Powierzchnia jeziora znajduje się ok. 770 metrów n.p.m., a Bururi przeszło 2 tysiące. Droga nad jeziorem to jedna z głównych dróg w kraju. Co do jakości, to wygląda jak u nas nie najlepsza droga polna w terenie gliniastym. Takie są zresztą tutaj wszystkie drogi, jakie widziałem. W górach są oczywiście mniej gliniaste, bardziej kamieniste i bardziej powykręcane. I po takiej drodze jechaliśmy z

szybkością 70 – 80 km na godz., a miejscami nawet więcej. Dosłownie, niekiedy samochód skakał z kamienia na kamień po nierównościach, i to nad przepaściami. Nie mam słów podziwu dla tego ojca – kierowcy: opanowany, spokojny, ostrożny i bardzo śmiały zarazem. Ani przedtem, ani potem w życiu nie spotkałem podobnego. Tutaj inni jeżdżą na tych drogach dwudziestką, czterdziestką.

Ale jadę i jadę, i nie mogę dojechać do Bururi. Dojechaliśmy. Po obmyciu się i rozejrzeniu na miejscu, odprawiliśmy Mszę św. koncelebrowaną w kaplicy biskupa. W Bururi bowiem jest rezydencja biskupa tutejszej diecezji, Józefa Martin, tego, który w maju był u nas w Polsce. W czasie Mszy św., którą koncelebrowaliśmy razem z zastępcą biskupa, czarnym księdzem z Burundi, śpiewały siostry murzyńskie.

Parę dni zatrzymaliśmy się wszyscy w Bururi, by w niedzielę 5 września wziąć udział w uroczystościach 10-lecia tutejszej diecezji. Biskup zaraz na początku obdarzył nas gramatyką języka kirundi, wielkim słownikiem, mszałem i Pismem św. w języku kirundi. Na niedzielę polecił nauczyć się dobrze słów konsekracji do koncelebry.

W tym czasie pojechaliśmy (biskup, o. Leonard, o. Teofil i ja) do odległej o sto parę kilometrów Mpingi, placówki misyjnej, którą my, karmelici z Polski, mamy objąć po roku nauki języka i stażu.

Nie będę się tu zatrzymywał nad opisem tej placówki, domu, kościoła itp., gdyż warunki tam są niemal identyczne jak tutaj, w Mabandzie, gdzie jestem obecnie, o czym za chwilę. Po drodze do Mpingi zatrzymaliśmy się przy jednej podrzędnej, podległej Mpindze, placówce misyjnej. Nie wiem czy stajenka betlejemka była uboższa. Spotkaliśmy tam grupę dzieci, które na nasz widok najpierw rzuciły się w popłochu do ucieczki, a gdy się zorientowały, cośmy za jedni, cisnęły się jedno przez drugie, żeby każdemu *Ipadri* podać rączkę. Stopień higieny tych rączek można by sobie w ten sposób uzmysłowić: wyobraźcie sobie, że ktoś najpierw umacza ręce w jakiejś zupie, a następnie grzebie w ziemi, w starym sianie, w popiele, rozgniata w tych rękach pieczone w łupinach ziemniaki itd. itd. Bez najmniejszej przesady! Otóż przywitaliśmy się wszyscy ze wszystkimi. Porozmawialiśmy. To znaczy ks. biskup. Myśmy tylko każdemu na powitanie powiedzieli *Bwakeye* (czyt. *bgakeje*) i na pożegnanie *Nagasagaa*. Zatrzymaliśmy się też przy następnej placówce. Spotkaliśmy grupę dzieci – katechumenów przygotowujących się do chrztu św. Właśnie Murzyn katechista uczył ich na ziemi przed kaplicą. Te i jeszcze kilkanaście kaplic, gdzie ksiądz przyjeżdża tylko raz na jakiś czas i stacja misyjna w Mpindze, to miejsce naszej przyszłej pracy.

W niedzielę uczestniczyliśmy w uroczystościach jubileuszowych. Uroczystą sumę koncelebrowało około 30 księży, nasz biskup i biskup Murzyn z innej diecezji. Na Mszy św. wojsko z honorami wojskowymi, przedstawiciele rządu, kościół pełen wiernych. Do Komunii św. prawie wszyscy. Nawet na chórze jeden ksiądz rozdawał Komunię św. W czasie Mszy św. cudowny śpiew całego kościoła, tam-tamy.

W południe, na „stadionie wojewódzkim”, jakbyśmy u nas powiedzieli (klepisko i bramki, takie jak z tyczek do grochu), uroczystość zewnętrzna, defilada, tam-tamy, tańce, przemówienia przedstawicieli rządu i diecezji; nas też tam wymieniono i przywitano rześzystymi oklaskami. Niektórzy z naszych nie zorientowali się, że o nas mowa, też oklaskiwali samych siebie. Bo też jakże można się domyślić, że *Iporonia* to znaczy Polska? Ja zorientowałem się tylko z oczu wszystkich, które zwróciły się nagle w naszą stronę.

Po tej uroczystości na misji obiad dla kilkuset osób. Na stojąco, kanapki zapijane piwem i oranżadą.

W poniedziałek była jeszcze uroczystość dla wszystkich księży z diecezji, zebranie z biskupem, na którym nas przywitano i przyjęto do grona kleru, pracującego w tej diecezji. Msza św. i obiad.

Po południu w poniedziałek (6 września), o godz. 16.00, zabrawszy wszystkie moje manatki, pojechałem do Mabandy.

Już w piątek doszły mnie słuchy, że nie wszyscy pojedziemy na kurs kirundi do Muyange (na północ kraju), gdyż tylko siedem miejsc dało się dla nas zarezerwować. Czterech ma być rozrzuconych po różnych placówkach misyjnych i mają na razie sami uczyć się języka.

W sobotę przypadkiem dowiedziałem się, że ja jestem wśród czterech, a w niedzielę po południu dowiedziałem się oficjalnie od samego naszego szefa o. Leonarda, że br. Marcelli zostaje w Bururi, br. Sylwester jedzie do Martyazo, o. Teofil do Mpingi, a ja do Mabandy, najbardziej w kraju na południe wysuniętej misji. Jak wspomniałem, wyjechałem w poniedziałek po południu. Zabrał mnie ze sobą tymczasowy przełożony tej placówki, który przyjechał do Bururi na zjazd duchowieństwa, znany w całym Burundi - o. Bagein.

Pożegnałem się z resztą (nie wiadomo na jak długo) i z moim nowym przełożonym – „Czarownikiem”, jak go nazywali niektórzy z naszych (bo też w istocie swoją powierzchownością przypominał pogańskiego czarownika) – ruszyłem 70 km na południe kraju.

Po górskich drogach „Czarownik” jechał ostrożnie, ale dość pewnie volkswagenem, który na pewno jako jeden z pierwszych zszedł z taśmy produkcyjnej tej firmy. Podczas rozmowy „Czarownik” mówił bardzo wyraźnie, dość powoli i okazał bardzo wiele wyrozumiałości dla mojej francuszczyzny. Gdy oczom naszym ukazała się piękna dolina, w której leży Makamba (misja oddalona od Mabandy o około 20 km), „Czarownik” zatrzymał samochód i na chwilę wyruszyliśmy na świeże powietrze, podziwiać piękne widoki. Ruszyliśmy dalej, wstąpiliśmy na misję w Makambie. Wypiliśmy kawę, odwiedziliśmy przy misji pracujące francuskie siostry zakonne, obejrzelśmy pięknie wyposażoną „*Maternita*” (coś w rodzaju kliniki położniczej), prowadzoną przez te siostry.

Pożegnaliśmy się i już o zmroku, około godz. 19.00, dotarliśmy do Mabandy. Umieszczono mnie tymczasowo w pokoiku dla gości. Potem miałem zająć pokój jednego z ojców, który za parę dni opuszczał Mabandę.

Zastaliśmy jeszcze na miejscu dwóch innych ojców: o. Studtera – Francuza oraz o. Jimeno – Hiszpana. Wszyscy ze Zgromadzenia Ojców Białych. Nazajutrz przy ołtarzu w zakrystii odprawiłem Mszę św. Koncelebrowaliśmy razem z o. Jimeno po francusku. Ojciec ten, nieco młodszy ode mnie, był już 5 lat w Burundi, następnie 3 lata w Hiszpanii i teraz przed dwoma miesiącami znowu przyjechał do Burundi. Okazywał mi, jako nowicjuszowi, bardzo wiele życzliwości we wszystkim. Został, niestety, przeniesiony na inną placówkę, a ja mam tu być na jego miejscu. Mieszkam też teraz w pokoju, który on zajmował. Byliśmy tylko parę dni razem, ale bardzo się zaprzyjaźniliśmy.

O. Studter to człowiek gdzieś około sześćdziesiątki. Trochę schorowany (astma, serce), i może dlatego nie wykazujący zbytnej żywotności. Lubi narzekać, zwłaszcza na Murzynów, ale z drugiej strony jest im bardzo oddany. Gdy tylko jest na miejscu w Mabandzie, to robi codziennie małe wycieczki i odwiedza okoliczną ludność w ich domach. Ludzie ci bardzo

sobie cenią takie odwiedziny. Chętnie zabiera mnie na te spacery, a ja też chętnie idę, bo mam okazję zobaczyć, jak ludzie żyją i mam możliwość trochę osłuchać się języka.

Drugim moim towarzyszem w Mabandzie jest już wspomniany o. Bagein. Znam dopiero go niedawno, ale nie mam słów zachwyty dla tego człowieka. Człowiek już po siedemdziesiątce, przeszło czterdzieści lat w Burundi. Umysł ma nadzwyczaj świeży. Wszystkim się interesuje, naprawdę na wszystkim się zna. Jednym słowem, jest uważany powszechnie w Burundi za największy autorytet, a przy tym niesłychanie dobry człowiek. Uczy mnie języka kirundi; a także wielu innych rzeczy można się od niego nauczyć. Wczoraj na przykład pokazywał mi, w jaki sposób produkuje się pociski do swojej fuzji, bo chodzi na polowanie i prawie nigdy nie wraca bez jakiejś antylopy czy czegoś podobnego, my mamy pożywienie, a ludzie są mu bardzo wdzięczni, bo antylopy niszczą uprawę grochu itp.

Chcę przygotować ten list do wysyłki, dlatego nie będę się teraz zatrzymywać dłużej ani nad „Czarownikami”, ani nad innymi sprawami.

Zacznę też pisać list następny, by odrobić zaległości: o klimacie, o życiu naszym tutaj, o zajęciach, o ludności, o krajobrazie, po prostu o wszystkim będę Was informować.

Ciekaw też jestem „co słyszeć” u każdego z Was. Proszę naprawdę pisać jak najwięcej.

Kończę tak nagle ten list, bo będę miał dziś okazję go wysłać. Kurier, który nas łączy ze światem i odbiera pocztę, wędruje tylko raz na tydzień. O sobie powiem tylko krótko, że czuję się świetnie, że na potęgę uczę się języka kirundi, odpowiadając już w tym języku Mszę św.

Pamiętajcie, że na modlitwę Waszą bardzo liczę i sam naprawdę zawsze wszystkich Was polecam Panu Bogu!

Niech Pan Bóg będzie z Wami wszystkimi!

Horana Umukama! – Pan z Wami!

o. Jan Kanty – karmelita

2. Lekcja kirundi. Spotkanie z żebrakiem.

Mabanda. 31 października 1971r.

Najmilsi!

Wstyd mi, że znowu list muszę zacząć od przeproszenia wszystkich za zwłokę. Miałem po wysłaniu poprzedniego, pierwszego listu, zaraz rozpocząć list niniejszy, a tymczasem minął już przeszło miesiąc, gdy siadam znowu do maszyny, nawiasem mówiąc maszyny bardzo wstrętnej, bo nie tylko, że nie ma na niej „polskich liter”, to na dodatek litery „międzynarodowe” i to nawet te najważniejsze: „a”, „y”, „m”, znajdują się w zupełnie innych miejscach klawiatury. Strasznie niekatolicka ta maszyna, ale mam nadzieję, że niebawem zdobędę swoją, bo już nasze skrzynie są w Bururi. Czekam tylko na okazję, by tam pojechać. Ale do rzeczy! W ostatnim liście opisałem mniej więcej zdarzenia pierwszych dni naszego pobytu w Burundi. Już prawie dwa miesiące jesteśmy tutaj. Co nowego? Otóż w dalszym ciągu głównym moim zadaniem jest nauka kirundi. To zajęcie wcale nie jest nudne, bo język jest naprawdę nadzwyczaj precyzyjny, bogaty i bardzo logiczny.

Gramatyka zupełnie odrębna, różna od gramatyki języków europejskich. System przedrostków i różnych „wstawek” pozwala bardzo precyzyjnie i krótko wyrazić myśl. Dla

przykładu: prośba Modlitwy Pańskiej „I nie wódź nas na pokuszenie” brzmi: „*Ntudutererane ibitwosha* (czyt. ibitłosza) *nabi*”. Można to dosłownie, a raczej po sylabie przetłumaczyć:

Nt – nie

u – ty

du – nas

terera – zostawić bez opieki (ten rdzeń można by podzielić na takie części składowe:

te-r-er-a, ale wyjaśnienie tego byłoby dość skomplikowane, dość, że to pierwsze *te* znaczy porzucić, opuścić, zostawić)

n – kogoś (na)

e – niech (życzenie)

i – w

bi – tych rzeczy

tw – nas

osh – pobudzać, popychać do

a – „które”

abi – rzeczy, sprawy

n – złe.

I proszę sobie wyobrazić, że tak wygląda cały język. Może jeszcze jeden przykład, który mi w tej chwili „ciśnie się na maszynę” (bo przecież nie na język): *Umpe*: - *u* – ty, *m* – mnie, *p* – dać, - *e* – niech (życzenie), czyli po naszymu „Daj mi”.

Przepraszam bardzo, że popisuję się przed Wami moimi postępami w kirundi, ale to tak, by dać trochę poznać, nie strukturę, ale zapach języka, który mnie gnębi, albo raczej którego ja gnębię, bo jest on naprawdę bardzo biedny w mych ustach. A jeszcze dochodzi cała skomplikowana melodia języka. Pisałem Wam, że odprowadzam Mszę św. w języku kirundi. Otóż zdecydowanie wolę Mszę św. śpiewaną, niż „cichą”, bo wyśpiewać melodię języka trudniej niż nuty! Dziwiłem się na pierwszej i drugiej mojej Mszy św., że ludzie mieli trochę wesołe miny, gdy mówiłem „módlmy się – *dusabe*”. Zwrócił mi później uwagę katechista, że to „a” trzeba trochę wyżej wypowiedzieć, bo gdy się powie równym głosem to znaczy nie „módlmy się”, ale „rozlećmy się, rozsypmy się!” Dobrze, że mnie nie posłuchali!

Ale na dzisiaj, przynajmniej dla Was, lekcja kirundi zakończona! Dodam tylko, że tych murzyńskich spraw językowych uczy mnie katechista – Murzyn, niejaki Juvenal, dwudziestoletni chłopak, bardzo inteligentny, który zna język francuski. Chciałby korespondować z Polakami po francusku. Zachęcam! Jak wspomniałem, pomaga mi też w kirundi o. Bagein. Mszę św. w zwykłe dni odprowadzamy w zakrystii, po łacinie, na małym przenośnym ołtarzu, a w niedzielę i święta mam zawsze sumę o godz. 10.00, śpiewaną.

Od kilku niedziel czytam też Ewangelię. Kazanie mówi jeszcze jeden z pozostałych ojców. Podobnie w każdy czwartek mam Mszę św. w kirundi dla dzieci szkolnych. Oczywiście każdorazowo przygotowuję się do Mszy św. przez dokładne przestudiowanie tekstów.

Dnia 3 października chciałem nagrać Mszę św. na taśmę magnetofonu. Po raz pierwszy czytałem wówczas Ewangelię. Pokazałem Juvenalowi co i jak ma włączyć. Po Mszy św. stwierdziłem, że chłopak zrobił na opak: zamiast nagrać, przewijał taśmę cofając i to przez całą Mszę św. Otóż dla Murzynów tutaj pojęcie lewej i prawej strony nie jest wcale takie

precyzyjne i równoznaczne jak u nas. Zwykle też nie mówią” „na prawo”, „na lewo”, ale „wyżej” lub „niżej”, bardzo mnie to dziwi, ale tak jest naprawdę.

Z ważniejszych wydarzeń trzeba jeszcze odnotować to, że dnia 29 października po raz pierwszy ochrzciłem 22 dzieci murzyńskich. Ceremonie chrztu są podobne jak u nas, ale oczywiście nie po polsku i dzieci też nie w poduszkach, ale w jakieś chusty pozawijane. Chrzest dzieci odbywa się tu zawsze w ostatni piątek miesiąca przed południem, a chrzest dorosłych i dzieci szkolnych, oraz młodzieży dwa razy w roku: na Boże Narodzenie i na Wielkanoc.

Pobożnych wydarzeń więcej nie pamiętam poza tym, że się za Was zawsze modłę! Na pewno więcej niż kiedykolwiek.

Z innych wydarzeń cóż! Kąpałem się w Tanganice, trochę ze strachem przed krokodylem. Ale zapewniano mnie, że w tych miejscach nigdy ich nie ma. Jednak świadomość, że są one w obfitej ilości w tej wodzie, jest trochę swoista. Woda wspaniała, na pewno więcej niż 20 C, czyściutka! Robiłem zdjęcia cudnie wschodzącego słońca, ale nie wiem, co z tego wyjdzie.

Byłem jeden raz z Juvenalem na wycieczce na pobliski szczyt Nyakabembe. Wysokie to dosyć, ale wstyd to nazwać górą, bo jakby się dobrze uparł, to chybaby samochodem tam wyjechał. Wózkiem dziecięcym można bez żadnej trudności! Tylko, że tu wózków nie ma. (Tutaj chciałem przeprosić za głupie porównania i skojarzenia. Wielu z Was, z którymi np. razem po górach chodziłem, wie jaki jest tego kontekst, a inni, którzy nie wiedza, chyba się po głowie pukają! Trudno, nie mam czasu na wyjaśnienie wszystkiego).

Byłem też w stolicy odległej stąd prawie 220 km. Byłem okazją 3 dni. Zwiedziłem trochę miasta. Moim zdaniem bardzo ładne. Ktoś (czytałem to jeszcze w Polsce) powiedział, że Bujumbura to najsympatyczniejsze miasto w Afryce. Może to prawda; nie znam żadnego innego. W każdym razie są tam sympatyczni nawet żebracy, a przynajmniej jeden, od którego dostałem... forszę! Przyczepił się do mnie jakiś taki, który szklanką piwa nigdy nie gardzi, i mówi: *Padri umpe amafranka* (*Padri* – chyba się domyślacie, że Ojciec, *umpe* – zobacz wyżej, *amafranka* – oczywiście pieniądze). Gdy mówiłem, że nie mam nic, nie skutkowało! *Umpe i umpe!* Wreszcie zacząłem ja: *Wewe* (czyt. *lele*) *umpe apafranka* – Ty daj mi pieniądze. Zatkąło chłopą, jeszcze chyba nie widział misjonarza żebraka. Roześmiał się i mówi z kolei on, że nie ma! Nalegałem i wyciągnął jakieś bezużyteczne dla niego monety innych krajów afrykańskich. Wziąłem, podziękowałem i przez jednego z gapiów, który znał francuski wyjaśniłem, że mam takiego szwagra i jednego przyjaciela (Piotra), którzy zbierają takie pieniądze. Żebrak ucieszył się z dobrego uczynku, chyba bardziej, niż gdyby dostał coś, co dałoby się „upłynnić” i wypić.

Tu nawiasem dodam, że niestety, na piwo w niektórych okolicach mężczyźni wydają 80% swoich zarobków. Wydaje mi się, że gdyby tutaj mężczyźni chcieli pracować naprawdę i gdyby tego, co zarobią, nie marnowali, to nie byłoby chyba takiej nędzy. Pracują tu głównie kobiety. Na nich spoczywa ciężar utrzymania rodziny. Pracują tu także dzieci.

Mężczyzna pracujący, np. przy naprawie drogi, zarabia dziennie ok. 25 FB (franków burundyjskich), to jest dwie widokówki kolorowe, duża litrowa butelka piwa, albo 60 bananów. Jest to bardzo mało, ale też przeciętny Europejczyk w ciągu godziny (bez przesady) zrobiłby tyle, co tutejszy robotnik w ciągu dnia pracy. Jestem tu za krótko, by móc wnikać w powody takich faktów.

Poza tym, ci ludzie są naprawdę przedobrzy. Bardzo pogodni, serdeczni, gościnni. Kłótni się nigdy nie słyszy. Dzieci są „aż za grzeczne”. W kościele np. bardzo wiele dzieci i nigdy nie ma potrzeby jakiegoś upominania. Do szkoły czasem te maluchy idą 15 km i to często na czczo, gdyż jedzą coś dopiero w szkole. Byłem na lekcjach. Siedzą jak „trusie”. Są to jednak dzieci bardzo wesołe i pogodne. Nie widziałem jeszcze dziecka płaczącego (oczywiście poza tymi małymi w pieluszkach).

Gdy się np. taki malec „wyrznie” o kamień i przewróci, to jest to okazja do śmiechu dla niego samego! Nadzwyczajne! Myślę, że nieraz jeszcze będzie okazja, by pomówić na temat tutejszej ludności.

W wielu listach z Polski powtarza się prośba, aby opisać warunki mieszkaniowe i warunki pracy na misji. Otóż nasza misja w Mabandzie jest najmłodszą w diecezji Bururi. Budynek kościelny i inne zabudowania, jeśli się nie mylę, powstały przed dwoma laty. Przedtem był tu tylko prowizoryczny kościółek i przyjeżdżał ksiądz co jakiś czas z sąsiedniej misji.

Misja znajduje się na skrzyżowaniu dróg, bardzo blisko (200 m) małych budynków kupieckich – sklepów; poza tym naokoło same pagórki, porośnię buszem, trawą i zielskiem. W buszu, w rozproszeniu znajdują się domy ludności. Domy – to znaczy prawie wyłącznie lepianki z trzciny, bambusu i gliny. Niektórzy mają domy murowane. Cegłę robi się na miejscu z czerwonej gliny. Zagęszczenie ludności tutaj jest stosunkowo małe. W rejonie Mabandy będzie chyba z kilkadziesiąt takich „gospodarstw”.

Zabudowania misyjne zbudowane są z bloków cementowych. Światło elektryczne mamy z własnej „elektrowni”, tzn. z małego motoru na ropę naftową. Jest tylko od godz. 18.00 do 21.30. Jeżeli później się co robi, to przy lampie naftowej.

Pożywienie jest dość jednostajne, ale solidne. Na śniadanie - chleb pieczony na miejscu z kupionej mąki, margaryna, marmolada z ananasów, banany, kawa. Na obiad: zupa z grochu, fasoli, ziemniaki, smażone mięso z dziczyzny, tzn. antylopy lub gazeli, ewentualnie z dzikiego królika, banany, ananasy! W niedzielę czasem racuszki i czasem rzadki budyń. Kolacja zupełnie jak obiad tygodniowy: zupa z grochu. Niekiedy jest kapusta albo pomidory. Mnie to jedzenie bardzo odpowiada i bardzo się martwię, że „straciłem linię”, wyraźnie przytyłem. Na pewno też trochę dlatego, że na razie prowadzę zbyt zasiedziały tryb życia!

Najmilsi, będę kończył na dziś, bo nie chcę pisać przy lampie naftowej, a jutro rano o godz. 6.00 odchodzi kurier do Bururi.

Wszystkich bardzo serdecznie pozdrawiam i dziękuję za wszystkie listy i kartki. Dostałem jedną kartkę, która szła dokładnie 3 miesiące i 2 dni! Na pocztę zwyczajną, nie lotniczą, raczej nie można liczyć.

Niech Bóg będzie z Wami wszystkimi!

Wasz brat

o. Jan Kanty Stasiński, karmelita

3. Z gitarą i śpiewem po dachówki.

Mabanda, 16 listopada 1971r.

Najmilsi!

Tym razem nie muszę przeproszać, że dawno nie pisałem. Ale mamy inny kłopot. Otóż dowiedziałem się, że mój ostatni list był niedostatecznie znaczkami oklejony, gdyż mylnie mnie poinformowano, że list może ważyć 20 a nie 10 g. Obawiam się więc, że list powędrował nie samolotem, a wodą naokoło Afryki i może go otrzymacie za trzy miesiące, a może wcale. Istotnie, otrzymałem bowiem tu już kartkę, która wysłana jeszcze w czasie wakacji, dotarła do mnie po trzech miesiącach i dwóch dniach od daty widniejącej na pieczęcie. Inny list dotarł do mnie po 40 dniach, a przynajmniej trzy, o których mi pisano, że były wysłane nie dotarły wcale. Jeśli więc ten mój drugi list z Afryki nie dotarł do Was dotychczas, to cierpliwie czekajcie. Pisałem w nim o sprawach bardzo „przyziemnych, o wyżywieniu, zabudowaniach i trochę o wydarzeniach ostatniego okresu.

Dotarły już do nas nasze bagaże z kraju. Skrzynia z moimi rzeczami była nieco „nadwyrężona”, po prostu dobierano się do niej, zrobiono dziurę, chyba żeby sprawdzić, jaka jest zawartość, czy warto ukraść. Natrafili akurat na znajdujące się w tym miejscu zabawki, dar dzieci polskich dla tutejszych. Ponieważ złodzieje, należy przypuszczać – wyrosli już z wieku, w którym człowiek bawi się zabawkami, więc poza tym, że jeden woreczek plastikowy rozpruto i parę zabawek porozkręcano, nic nie zginęło. Maszyna do pisani (na której piszę niniejszy list), rzeczy zakrystyjne, m. in. kielichy itp., wszystko ocalało, może w dużej mierze dzięki dzieciom polskim i ich zabawkom.

Byłem w ostatnim czasie w Bururi zabrać potrzebniejsze przedmioty. Także w ostatnim czasie, po dokładnie dwóch miesiącach, widziałem się przez parę godzin z polskim karmelitą o. Teofilem, który parę dni przede mną był w Bururi po swoje rzeczy, a któremu biskup zrobił gratkę i przywiózł go na parę godzin do Mabandy. Nagadaliśmy się za wszystkie czasy po polsku, chociaż czasem, niechcący, wtrącaliśmy słowa francuskie. Takie mniej więcej życie jak ja tutaj, prowadzi on w Mpindze, z tym tylko, że tam jeszcze dalej „od świata” niż u nas. My tu przynajmniej mamy dwie sąsiednie misje, oddalone jedna i druga od nas o 26 km i utrzymujemy z nimi dość ożywiony kontakt.

W jednej z tych misji, w Mpindze, jest misjonarz w moim wieku, niejaki Rudy Plum, Niemiec, chłopisko ogromne, silne, że ktoś nazwał go dźwigiem, przy tym przedobry człowiek, no i ... gra na gitarze. Spiknęliśmy się od razu. Czasem ja skorzystam z jakiejś okazji (nie śmiem prosić o samochód „Czarownika” ani Studtera) i zabiorę się do Makamby, czasem on wieczorem po całym dniu pracy, przyjedzie do mnie i gramy i śpiewamy do dwunastej, do pierwszej, a nawet do drugiej w nocy. Rudy jest fantastyczny, głos ma bardzo dobry, bardzo lubi śpiewać i „wygłupiać się” w dobrym tego słowa znaczeniu, a przy tym jest „bardzo wierzący”! Jednym słowem „swój człowiek”.

Jednego razu przyjechałem do niego późnym popołudniem z gitarą, a tymczasem Rudy zaplanował jechać w nocy do odległej o jakieś 80 km misji, ażeby stamtąd przywieźć dachówki, które mu rano były potrzebne. Postanowiliśmy jechać razem, oczywiście z gitarą! W szoferce bagażówki on trzymał kierownicę a ja gitarę, i całą drogę darliśmy się wniebogłosy. Gdyśmy wyśpiewali wszystkie znane i nieznane piosenki polskie (wtedy on śpiewał: la, la, la), niemieckie (wtedy ja: la, la, la), francuskie (wtedy obydwaj – i w innych „językach” tak samo), kiedy więc wszystko żeśmy wyśpiewali, zaczęliśmy komponować i na pewno świat muzyczny dużo stracił na tym, żeśmy nie mieli ze sobą magnetofonu i nasze arcydzieła przeminęły z wiatrem i warkotem motoru. Przed północą wstąpiliśmy do znajomych Pluma, młodych Belgów – małżeństwa, którzy tutaj w Burundi przez 5 lat pracują

dla tutejszej ludności, jako coś w rodzaju agronomów czy techników rolnictwa. Bardzo „fajni” ludzie, też w domu mają gitarę, ale nie cały czas śpiewaliśmy. Bardzo myślący i wierzący katolicy, bardzo zainteresowani życiem religijnym. Gdyśmy weszli w rozmowę na temat filozofii, zdawało się, że nie będzie końca. Jednak umówiliśmy się na 6 grudnia (św. Mikołaja), pożegnaliśmy się i ze śpiewem pojechaliśmy dalej. Dobrze po północy przybyliśmy do celu naszej podróży – Rutovu.

„Po północy się pojawili jacyś dwaj cywile”, przeszli przez mur, czujne psy zaraz pouciekały. Pukamy do okna. Wreszcie wychodzi jakiś jeden brodaty hippis-misjonarz, bardzo sympatyczny, bez cienia zdziwienia (jakie ładne wyrażenie!!!) wita nas i zaprasza na wodę z cytryną. Tak jakby to była najzwyczajniejsza pora do odwiedzin. Okazało się, że dachówek nie ma i nie wiadomo dlaczego, bo przełożony (przyjaciół Rudygo – też gitarzystą) jest nieobecny, przebywa na filii. Praca bowiem misjonarzy jest tutaj tak zorganizowana, że w każdym tygodniu dwóch albo jeden zostaje na miejscu i dwóch albo jeden jedzie do jednego z podległych misji ośrodka duszpasterskiego. Zwykle bowiem na misji znajduje się trzech misjonarzy i jest kilka albo kilkanaście kaplic do obsłużenia. Otóż okazało się, że nic z naszych dachówek. Rudemu w pierwszej chwili ręce opadły: za trzy dni ma być otwarcie nowej kaplicy, a tu w ostatniej chwili zabrakło dachówek, a był pewny, że w Rutovu są dla niego zarezerwowane. Po chwili jednak powiedział do mnie: „Nic się nie martw, zaufajmy Panu Bogu, śpiewajmy dalej!” I wracając, układaliśmy słowa do melodii „Promienne niebo”. Właściwie Rudy, który francuski zna bardzo dobrze, układał. Powstał tak nasz „hymn”: „*la vie est belle* – życie jest piękne”, który teraz przy każdej okazji śpiewamy. Wróciliśmy przed czwartą do Makamby. Pomidory. Spanie.

Rano, przy śniadaniu, Plum, który wstał wcześniej niż ja, mówi do mnie: Wiesz? Dachówki są na miejscu. Rano była ciężarówka z Bururi i przywieźli do Makamby masę dachówek”. I dodał: „Ja Ci mówię, Panu Bogu trzeba zaufać. *Imana aratukunda* – w kirundi: Pan Bóg nas kocha, zrozumiałeś? I naprawdę to wielkie chłopisko miało łzy w oczach. Pojechaliśmy (już teraz bez gitar), zawieźć dachówki do tej kaplicy, oddalonej o 30 km. Wróciliśmy. Rudy spowiadał długo po południu jeszcze z jednym ojcem. Strasznie cierpiałem nad tym, że mu nie mogę pomóc. Sam wyspowiadał więcej niż 200 osób. Miał mnie jeszcze odwieźć do Mabandy, ale inny ojciec wyraził chęć i wyręczył Pluma.

Przepraszam, że zamiast opisać dokładnie warunki, opisuję takie wycieczki, ale myślę, że może w ten sposób odda się lepiej „atmosferę” tutaj panującą, niż gdybym Wam napisał np. że w moim pokoju utrzymuje się stale temperatura 21 – 23 C, że mimo, iż w południe tu jest dość ciepło, to jednak, jeśli człowiek nie znajduje się wówczas pod gołym niebem, upał nie jest wcale dokuczliwy, że w porze deszczowej (teraz jest tzw. mała pora deszczowa) deszcze są tak obfite, że gdyby postawić wiadro (nie pod rynną), to chyba za parę minut byłoby pełne (muszę kiedyś zrobić eksperyment), że pół godziny po godzinie po zachodzie słońca jest tak ciemno, jak o północy, że niebo jest tutaj bardzo roziskrzane gwiazdami, jak u nas w górach (przy Morskim Oku – wspomina się te czasy „swej młodości”!!!).

Na dziś będę kończył. Zaczynając, wcale nie powiedziałem o czym będę pisał, a tu tak „ładnie” w porządku teologicznym najpierw duchową, a potem „fizyczną” atmosferę Wam opisałem.

Polecam Wszystkich Panu Bogu.

o. Jan Kanty – karmelita

4. Katechumenat i katechizacja. Modlitwa i zabawa.

Mabanda, 6 grudnia 1971r.

Ukochani!

Sukces! Znowu mam czyste sumienie, znów nie potrzebuję przeproszać, że dawno nie pisałem! Jednym słowem, nawrócenie „niepiśmiennego misjonarza” dokonane, czyli do Afryki na darmo nie pojechałem! Mam nadzieję, że mój dobry przykład nawróci niejednego w kraju i nawet Ci, którzy mają obydwie lewe ręce do pisania listów, niebawem chwycą za pióro.

Najważniejszym wydarzeniem ostatniego okresu i ostatnich dni jest rozpoczęcie przeze mnie nauczania katechizmu. Od jakiegoś czasu już do tego się zabierałem, ale moje ubóstwo językowe w kirundi kazało mi zwlekać. Wreszcie 23 listopada nasz „Czarownik” powiedział mi, że za dwa dni należałoby rozpocząć. Wyjaśnił mi co, jak, gdzie i kiedy, umówił jednego Murzyna jako przewodnika i radź sobie sam! Całe dwa dni poświęciłem na dość dokładne przygotowanie tematu. Prawie wszystko napisałem na kartkach, oczywiście z pomocą Juvenala. Starłem się zwłaszcza przewidzieć możliwe odpowiedzi na stawiane pytania.

We czwartek, 25.11. o ósmej rano, wyruszyłem z moim przewodnikiem do odległej o jakieś 6 – 8 km „miejscowości”, zwanej Nkondo. „Miejscowości” piszę w cudzysłowie, bo wygląda to zupełnie inaczej niż u nas. Nie pamiętam już, czy pisałem o tym, że tutaj w Burundi, poza stolicą, blisko stutysięczną Bujumburą i dawną stolicą Gitegą, ludność mieszka w rozproszeniu, nie tworząc miasteczek czy wiosek.

Po prostu, każde „gospodarstwo” znajduje się osobno. Gdy np. adresuje się list do kogoś, to podaje się nazwę gminy (np. Mabanda – bo tutaj znajduje się urząd gminny, sąd „powiatowy”, więzienie), oraz nazwę wzgórza, na którym, albo przy którym adresat mieszka. A więc Nkondo jest to wielkie zbocze pasma górskiego. U podnóża tego zbocza znajduje się punkt katechizacji początkujących katechumenów. W tutejszych językach (francuskim i kirundi) nazywa się to szkołą. W rzeczywistości jest to mały domek z otworem wejściowym (bez drzwi), który także służy do oświetlenia wnętrza. W Nkondo „szkoła” jest murowana. Gdzie indziej są także lepianki z gliny, trzciny i bambusa. Otóż wybraliśmy się z moim przewodnikiem Aleksandrem do Nkondo. Musieliśmy się dosyć spieszyć, gdyż o 11.30 miałem Mszę św. dla dzieci szkolnych w Mabandzie. Po drodze, idąc górkimi ścieżkami, „rozmawialiśmy” cały czas w kirundi, bo „Czarownik” celowo wyszukał mi przewodnika, który po francusku umie tylko „dzień dobry” i „do widzenia” i może jeszcze parę słów. Ta nasza rozmowa wyglądała w ten sposób, że np. stwierdziłem banalnie, że teraz idziemy pod górę, a potem będziemy szli w dół, że stąd do Nkondo jest bliżej niż do Mabandy itd. itd. Za każdym razem pytałem Aleksandra, czy dobrze sformułowałem zdanie. Dziś, po kilku takich wycieczkach, stwierdzam, że rację miał o. Bagein, twierdząc, że przez takie usiłowanie mówienia można się dużo nauczyć.

Zasłaliśmy więc do Nkondo, w domu zastaliśmy katechistę i kilkanaścioro dzieci i młodzieży (na moje szczęście dorośli nie byli obecni. Przy dzieciach łatwiej opanować treść). Pozdrowiłem wszystkich, powiedziałem, że przyszedłem ich odwiedzić i przeprowadzić krótką naukę. Przedstawiłem się, powiedziałem, że jestem nowo przybyły z Polski, że nie umiem jeszcze dobrze mówić w kirundi, że to pierwszy raz mam prowadzić katechizm itd.

Poprosiłem wszystkich, żeby wstali; odczytałem im wyjątek z Ewangelii św. Łukasza o chrzcie Chrystusa w Jordanie i następnie zabrałem się do tłumaczenia tajemnicy Trójcy Świętej! Tak bowiem przewidywał program. Staralem się, jak umialem, przedstawić to, w co wierzymy, wierząc w tajemnicę Trójcy Świętej. Język kirundi zmusza z jednej strony do mówienia jakoś obrazowo, bardziej konkretnie, a więc stosunkowo łatwo uniknąć jakichś abstrakcyjnych spekulacji umysłowych, ale z drugiej strony niełatwo mówić w takim języku o sprawach bardzo nieprzyziemnych.

Pod koniec mojego „wykładu” mocno zaakcentowałem, że prawda o Trójcy Świętej jest dla nas tajemnicą, której nie możemy zgłębić, w którą jednak wierzymy, wierząc Chrystusowi, wierząc Ewangelii. Zakończyłem przypomnieniem, że tę prawdę wyznajemy ilekroć wymawiamy słowa *Kw'izina rya Data, n'irya Mwana, n'irys Mutima Mutagatifu*. – „W Imię Ojca...” Wszyscy powstali, wspólnie się przeżegnaliśmy, wymawiając powyższe słowa. Pożegnaliśmy się ze wszystkimi i spieszenie wracaliśmy do Mabandy na Mszę św. A więc początek miałem za sobą. Obawiałem się, że moi słuchacze, przecież dopiero od czterech miesięcy katechumeni, będą bardzo nieśmiali, bojący się odezwać. Przygotowałem specjalnie dobrze takie zwroty, jak: mów śmiało, kto mi odpowie, nie bójcie się itd. Tymczasem muszę stwierdzić, że byli nadzwyczajni! Wiedziałem, że pytania i odpowiedzi katechizmowe o Trójcy Świętej mają już, zgodnie z programem, przyswojone na pamięć. Tego bowiem (a także pisanie i czytanie), uczą katechiści. Byłem jednak mile zaskoczony, stwierdzając, że umieli korzystać z wiadomości, odpowiadając na moje pytania stawiane w czasie tej krótkiej „lekcji”. Nikt się nie bał odpowiadać, a na koniec, gdy po wszystkim jeszcze raz przeproszałem za moją nieznajomość języka, jeden malec z „ostatniej ławki” (piszę znów w cudzysłowie, bo za ławki służą gałęzie położone na ziemi, na klepisku), a więc jeden taki malec z ostatniej ławki przerwał moje usprawiedliwianie się i krzyknął: „Ojcze, dziękuję bardzo za naukę”. Uściskałem go mocno i zadowolony poszedłem. Wieczorem tego dnia w moim kalendarzu – notatniku (który jednak wytrwale dalej prowadzę), napisałem m.in.: „Z bratem Pastoriego Aleksandrem byłem w Nkondo (6-8 km) i tam miałem krótki wykład katechizmu. Pierwszy raz katechizowałem w kirundi. O Trójcy Świętej. Jakies 10-15 minut. Jako tako chyba poszło”.

Może przy okazji parę słów o tym, jak zorganizowane jest tutaj nauczanie katechumenów. Otóż, jak już pisałem kiedyś, poza misją-parafią, jakbyśmy u nas to nazwali, znajdują się w terenie filie: większe z kościołkiem, mieszkaniem dla misjonarza, ewentualnie szkołą, (taką prawdziwą z nauczycielami), i mniejsze, takie jak w Nkondo. Do tych większych co jakiś czas, przynajmniej raz na dwa miesiące (zresztą w zależności od możliwości i ilości misjonarzy), przybywa na kilka dni misjonarz, spowiada, chrzci, uczy katechizmu, oczywiście odprawia codziennie Mszę św., udziela Komunii św. itd. Pod nieobecność misjonarza zajmuje się tymi ludźmi katechista: uczy katechizmu, w niedzielę przewodniczy nabożeństwu (modlitwy, czytanie Pisma św., odczytanie kazania, śpiew). Jeżeli jest na miejscu prawdziwa szkoła z nauczycielami, to oczywiście niezależnie od wizyty misjonarza odbywa się tam nauka. W tych mniejszych punktach, jak Nkondo, katechista dwa razy w tygodniu ma zajęcia z katechumenami pierwszego roku. Uczy ich podstaw wiary św., katechizmu, a także czytać i pisać, gdyż prawie z reguły poganie są analfabetami. W zasadzie misjonarz powinien dość często tam docierać, ale ze względu na brak księży różnie to bywa.

Katechumenat, czyli okres przygotowania się do chrztu św., w całym Burundi (nie wiem jak w innych krajach Afryki) trwa cztery lata. Z wyjątkiem wakacji przychodzą katechumeni dwa do trzech razy w tygodniu. Ci najświeżsi, jak wspomniałem, z pierwszego roku, mają naukę w małych punktach katechetycznych w mniejszych grupach. Po jednym roku jest egzamin i ci, którzy go zdali, przechodzą na drugi rok. Tak samo po trzecim roku katechumenatu, katechumeni grupują się około tych większych filii, kaplic i raz na miesiąc przychodzą na całodniowe zajęcia do misji. Tak to wygląda w ogólnych zarysach. Są pewne różnice w różnych misjach, a tym bardziej w różnych diecezjach. Na przykład grupowanie katechumenów raz na miesiąc w misji jest praktykowane tylko w naszej diecezji.

Poza tym oczywiście dochodzi troska o chrześcijan i organizowanie dla nich życia religijnego i parafialnego. W zależności od miejscowych warunków jest tu też duże zainteresowanie. Na przykład w rozwiniętej już misji – parafii sąsiedniej w Makambie, znajduje się coś w rodzaju internatu, gdzie dzieci chrześcijańskie przychodzą z dalszych okolic raz na miesiąc i przez kilka dni uczą się religii, a także innych spraw, jak uprawa roli, czytanie, pisanie. Poza tym istnieją przy misjach szkoły podstawowe, których nauczyciele opłacani są przez państwo. Ale w takich okolicach jak nasza, niezbyt wielki procent dzieci uczęszcza do szkoły. W tych parafiach, gdzie są siostry zakonne, które z reguły mają opiekę nad takimi szkołami, wygląda to o wiele lepiej.

Wracam jeszcze do mojej „działalności”. Otóż, polem tego działania są na razie cztery mniej więcej równo od Mabandy (tak jak Nkondo) oddalone punkty. W ostatnich dniach częste deszcze kończącej się obecnie małej pory deszczowej często przeszkadzały mi w tych wyprawach. Raz, gdy zaszedłem do najbardziej oddalonej placówki mojego działania, zastałem tylko samego katechistę. Katechumeni nie przyszli, bo, jak wyjaśnił katechista, „dzisiaj cała okolica wybrała się na termity”. Chyba dobrze się po polsku wyrażam, bo skoro mówi się „na grzyby”, „na ryby”, to chyba też „na termity”. Otóż były to akurat dni jakiegoś wyroju termitów, wszędzie pełno ich w powietrzu, a przy każdym takim termickim mrowisku grupa ludzi z naczyniami. Pozbawia się te owady skrzydeł, żeby nie uciekały i zbiera się do garnka, jak u nas jagody. Podobno te „robaczki” są równie słodkie. Jeszcze nie próbowałem, ale mam pokusę to uczynić!

Próbowałem już natomiast rodzimego piwa, afrykańskiego z bananów i czegoś tam jeszcze. Nazywa się to tutaj *urwarwa* (czyt. urgłargła) i złośliwi Europejczycy różne bajki opowiadają na temat sposobu sporządzania tego napoju.

Otóż niedzielę 21 listopada spędziłem w Makambie. W przeddzień wieczorem z Plumem graliśmy i śpiewaliśmy, a ponieważ akurat przełożony misji z Makamby był u nas i wyręczył mnie w odprawianiu Mszy św., więc zostałem w Makambie na niedzielę i brałem udział w obchodzie uroczystości Chrystusa Króla. Święto obchodzone było bardzo uroczyście, bo to święto patronalne katolickiej organizacji młodzieżowej „CHIRO” (Kiro). Rudy Plum jest właśnie kapłanem tej organizacji w Makambie.

O godz. 10.00 koncelebrowaliśmy sumę. W czasie tej Mszy św. nadzwyczaj ładnie zostały wykonane śpiewy przez chór i przez wszystkich wiernych. Mimo, że nieraz już słyszałem ładny śpiew i mimo, że jak wiadomo, jestem „twardzizna”, to jednak, gdy wykonano śpiew na przygotowanie darów ofiarnych, śpiew, który kończy się rześzystymi oklaskami wszystkich zgromadzonych, to nawet ja, powiadam, musiałem sięgnąć po chusteczkę. Po Mszy św. wystawienie Najświętszego Sakramentu i uroczyste przyrzeczenie nowych członków i

nowych instruktorów CHIRO. Przrzeczenie formą i po części nawet treścią przypominające ceremonie ślubów zakonnych.

Po takiej ceremonii, przy akompaniamencie bębnow i gwizdka (są to instrumenty najczęściej w Burundi używane), rozpoczęto ładny, rytmiczny śpiew. Nagle jakieś poruszenie w kościele! Co to? Połowa chóru, wszystkie dziewczęta ze środka kościoła ruszają do prezbiterium tańcząc. Okalają ołtarz z wystawionym Najświętszym Sakramentem i tańczą aż do końca śpiewu.

Słyszałem już uprzednio, że w Afryce tańczy się w kościele, ale nie miałem o tym żadnego wyobrażenia. Trudno to opisać, trzeba to zobaczyć. Pierwszy raz w życiu naprawdę żałowałem, że nie posiadam kamery filmowej, żeby sfilmować i kiedyś Wam to pokazać. Mam jednak nadzieję, że uda mi się to zrobić kamerą pożyczoną. Nie tylko mnie, ale wszystkim podobało się bardzo. Nie miało to w żadnej mierze charakteru ekstrawaganckich wyczynów, których czasem, w imię nowoczesności, w kościele się dokonuje. Robiło raczej wrażenie czegoś jak najbardziej naturalnego. Wydawało się, że te tańczące panny naprawdę świata nie widzą poza Chrystusem, dla którego śpiewając, tańczą.

Ale powiecie: miała być mowa, w jakich okolicznościach piłem to tradycyjne afrykańskie piwo, może i to w kościele? Nie! To na zabawie po południu. W dużej sali tego wspaniałego internatu dla dzieci chrześcijańskich postawiono pod ścianami ławeczki (prawdziwe – nie gałęzie) i mrowie młodzieży i dzieci, a także trochę starszych je obsiadło. Gdyśmy przyszli z Plumem i z innym jeszcze ojcem z Makamby, w mig opróżniła się jedna ławka dla gości honorowych. Na całość zabawy składały się: gromki śpiew całego towarzystwa, często z oklaskami i oczywiście z bębnami. Śpiew ten zawsze bardzo rytmiczny, najczęściej polegał na powtarzaniu przez wszystkich jakiegoś paru wyrazowego refrenu i na śpiewaniu przez jednego albo dwóch krótkich wstawek, bardzo często improwizowanych. Taki jeden refren powtarza się w nieskończoność kilkadziesiąt, a może i więcej niż sto razy.

W czasie tego śpiewu przynajmniej jeden „wodzirej” skacze na środku sali i gestami, a nawet i delikatnymi szturchańcami zachęca do śpiewu. (Tutaj przypominam sobie, że i ja tę metodę szturchańców kiedyś stosowałem i to z dobrym skutkiem, prawda?!). Czasem do tego skaczącego dyrygenta dołączy się drugi, trzeci, dziesiąty, pięćdziesiąty i posuwają się w kółko, rytmicznie podskakując, tańcząc.

Czasem tańczy tylko dwóch, skacząc do siebie, jakby mieli najgorsze, mordercze zamiary. Jest to coś w rodzaju towarzyskiego pojedynku, ten, który dłużej zdzierży, ten jest zwycięzcą. Całe towarzystwo siedzi i stoi dokoła. Najpierw wszyscy śpiewają. Potem śpiew milknie i tylko dwaj tańczący gwizdkami odmierzają rytm swoich podskoków, przysiadów itd. Po zakończeniu obydwaj, zwycięzca i pokonany, serdecznie się ściskają, takim gestem jak to czynią karmelici przy uroczystościach zakonnych, jak obłóczyny, śluby zakonne... Zresztą ten sposób witania czy żegnania się jest tutaj w Burundi ogólnie przyjęty, nazywa się to „pozdrowieniem uroczystym” stosowanym nie na co dzień. Przy takim „uścisku braterskim” (jak się to w naszym zakonie nazywa) wypowiada się najpierw formułę: *sho, sho, sho* (czyt. szo, szo, szo), i następuje cała litania życzeń, jak np.: Niech twój ojciec długo żyje; Niech twoja matka długo żyje itd.

Wróćmy do naszej zabawy. W czasie śpiewu i tańca wniesiono kilka glinianych naczyń, porozstawiano na środku sali i na gwizdek gospodarza zabawy, komendanta CHIRO, zrobiło się cicho, jak makiem posiał. Komendant wręczył dwie słomki do picia tym dwóm ojcom,

k którzy byli ze mną i w milczeniu i skupieniu obścapiłi w trójkę jeden garniec. Siedząc, czy raczej klęcząc, rozpoczęli kolejno pić. Plum, który pierwszy zaczął, przeżegnał się przed piciem. Przebiegło mi przez myśl, że chłopisko się boi, że ma strach. Ale potem się okazało, że wszyscy się żegnają i jak mi mówił Juvenal, zwyczaj ten tak się zakorzenił w całym Burundi, że nawet poganie, nie bardzo zdając sobie sprawę z wymowy tego gestu, też zwykle żegnają się przed uroczystym piciem *urwarwa*. Potem przyszła kolej i na mnie, i to jakieś cztery razy do końca zabawy. Jak widzicie, jestem już prawdziwym Afrykańczykiem. Oczywiście tańczyłem też i muszę się Wam przyznać, że szło mi to o wiele lepiej niż tańce cywilizowane. Ale też uczył mnie nie byle kto. Otóż, gdy zachęcony przykładem Pluma, też włączyłem się do kółka i trochę nieporadnie rozglądałem się na boki, jak należy wywijać rękami i nogami, znalazł się obok mnie sam komendant policji w Makambie, ale nie po to, żeby mi mandat „wlepić”, że tańczyć nie umiem, ale żeby mi podpowiedzieć jak, co i kiedy. Zwykle też, gdy już jako tako opanowałem jakąś formę, to rozpoczynała się na moje utrapienie nowa. Komendant jednak był do końca niestrudzony w nauczaniu. I muszę przyznać, że robił to bardzo inteligentnie. Mam nadzieję, że po kilku latach tak opanuję taniec tutejszy, że będę mógł kiedyś w Polsce zarabiać jego nauczaniem.

Boję się tylko, że jak na gusty europejskie, tańce tutejsze są za bardzo kulturalne, za mało „dzikie”. Cóż, świat się przecież obraca! W czasie tej zabawy podziwiałem jednego wodzireja, który cały czas był gwoździem programu. Na Mszy św. w kościele on wykonywał akompaniament na bębnie. Robił to fantastycznie i byłem zdziwiony, że taki niepozorny chłopina, a taki muzykalny. Wykonywał też w kościele partie solowe śpiewu. W kościele naprawdę zwrócił moja uwagę swoim skupieniem i powagą. Tutaj na zabawie cały czas tak bawił towarzystwo, że aż podziw. Rozmawiałem z nim trochę, to katechista od „maluchów” z tutejszej misji.

Zabawa trwała ze trzy godziny. Były krótkie przemówienia Pluma, komendanta, były podziękowania w przemówieniach i w improwizowanym śpiewie. Na koniec krótka modlitwa w skupieniu.

Jako „owoc” zabawy zaproponowano mi w ubiegłym tygodniu, żebym podjął się obowiązku kapelana organizującego się w Mabandzie CHIRO.(...)

Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia. Jeszcze nie wiem, czy będę je spędzał tutaj, w Mabandzie, czy może raczej, co byłoby bardzo miłe, z resztą moich Współbraci. W każdym razie, tak czy inaczej, nie obawiajcie się, że będę osamotniony! Wiem o tym, że swą pamięcią, myślami i co najważniejsze – modlitwą - będziecie wszyscy tutaj bardzo blisko. Na modlitwę Waszą naprawdę bardzo liczę. Pasterkę w Boże Narodzenie odprawię w intencji Was wszystkich i będę bardzo gorąco Pana Boga prosił, żeby Was wszystkich trzymał mocno przy sobie! *Horana Umukama!*

Wasz brat

o. Jan Kanty

ROK 1972

5. Święta Bożego Narodzenia w Burundi.

Mabanda, 1 stycznia 1972r.

Kochani!

Najpierw wszystkim Wam życzę bardzo dużo dobrego w rozpoczynającym się roku. Proszę Pana Boga, żeby był on dla Was wszystkich radosny, spokojny, szczęśliwy, żeby był czasem, który moglibyście dobrze wykorzystać dla siebie i dla drugih.(...)

Gdy wysyłałem list poprzedni, myślałem, że jeszcze w starym roku uda mi się ten list napisać w okresie świątecznym. Myślałem też, że „uporawszy się” jako tako ze sprawami bieżącymi, będę mógł wrócić wreszcie do wspomnień zachodnioeuropejskich. Musiałem jednak ten list odłożyć na rok obecny, a wspomnienia francusko-włoskie na później.

Dostałem na Święta bardzo wiele listów i kartek z życzeniami, za które na tym miejscu jak najserdeczniej wszystkim Wam dziękuję. W bardzo wielu listach powtarza się prośba, by szczegółowo opisać, w jaki sposób spędziliśmy te Święta za granicą,(albo, jak niektórzy piszą poetycznie: „na obczyźnie”).

A więc opisuję. A ponieważ Święta miałem bardzo urozmaicone, więc obawiam się, że ten list może być dłuższy od poprzedniego. Będę się jednak skracał, ćwicząc się w miłości bliźniego, by s. Edmundy nie zmęczyć i całej reszty nie zanudzić.

Adwent minął niespostrzeżenie szybko, bez Rorat, bez przymrozków, bez całego charakterystycznego nastroju. Musiałem się dobrze wysilić, żeby sobie uświadomić, że zbliżają się Święta Bożego Narodzenia, bo też niełatwo wyobrazić sobie Święta w środku lata. A tutaj środek lata mamy przecież zawsze!

17 grudnia otrzymałem listy: od naszego przełożonego o. Leonarda i od o. Teofila. Pierwszy donosił, że wszyscy, którzy są na kursie, zostają na Święta w Muyange i że byłoby dobrze, gdybyśmy my czterej, będący w diecezji (tzn. o. Teofil, br. Marceli, br. Sylwester i ja) mogli spędzić Święta wspólnie.

W drugim liście o. Teofil pisał mi, że musi zostać na Święta w Mpindze, bo jeden z towarzyszy jest chory. Ponieważ moja obecność w Mabandzie nie była konieczna, skorzystałem więc z zaproszenia o. Teofila, wybrałem się „autostopem” do Mpingi, po drodze mobilizując br. Marcelego i Sylwestra. Trochę miałem wyrzuty sumienia, że opuszczam Mabandę na Święta, by spędzić je poza domem; ale właśnie: gdzie jest mój dom?

21 grudnia poszedłem jeszcze,(ostatni raz przed Świętami) z katechizmem do Migezi, tam, gdzie kiedyś zastałem samego katechistę, gdyż, jak Wam pisałem, katechumeni poszli polować na termyty. Od tego razu nie byłem tam nigdy, gdyż zawsze przeszkadzały mi deszcze. Bardzo się ucieszyłem, że tym razem na miejscu zastałem wszystkich katechumenów w komplecie: przeszło 30 osób. W przeciwieństwie do innych „szkół”, gdzie mówię na stojąco, tutaj katechista podsunął mi wielki bęben, na którym siadłem ze zwisającymi nogami, jak małe dziecko na wielkim krześle. Po nauce obściskali mnie wszyscy i jak umiałem opowiedziałem im o naszym kraju.

Nazajutrz rano nasz Francuz zawiódł mnie do Makamby, bo tam łatwiej o jakąś okazję do Buta koło Bururi, gdzie jest br. Marceli. Po jednym dniu czekania istotnie trafiła się bagażówka do Buta, a w Wigilię rano młody Belg, profesor Małego Seminarium w Buta, zawiózł br. Marcelego i mnie do Mpingi. Br. Sylwester, z którym się skontaktowaliśmy, miał też w Wigilię po południu pojechać do Mpingi, przywieziony przez jednego z misjonarzy z Rutovu.

Oczekując jego przybycia, wstawiliśmy drzewko świąteczne do pokoju, który w trójkę mieliśmy zajmować. Choinkę zastępowała mała tuja. Przyozdobiona była „cackami”, które brat Marceli wyprodukował ze świeżych kwiatów, których, jak w żadnej misji, w Mpindze jest zatrzesienie.

Pod choinką znalazła się jedna świeczka. Nastał wieczór, a brata Sylwestra nie było widać. Zacząłem się obawiać, że może się źle porozumieliśmy i zamiast do Mpingi pojechał do Buta. Na kilka minut przed wspólną kolacją na misji, zebraliśmy się w trójkę w naszym pokoju i łamiąc się opłatkiem złożyliśmy sobie życzenia, wspominając pozostałych: oczekiwanego br. Sylwestra, znajdujących się w Muyange „studentów”, oraz oczywiście Was wszystkich. Nastąpiła zwyczajna kolacja, z tym tylko, że zachęeni naszym przykładem, pozostali misjonarze ubrali się w świąteczne, białe habity.

Po kolacji udaliśmy się na ognisko, urządzone przez młodzież organizacji CHIRO na placu w sąsiedztwie misji. Z całego bowiem terenu rozległej misji przybyła tu młodzież na zgrupowanie CHIRO. Centralnym punktem tego zgrupowania był udział we Mszy św. – Pasterce o godzinie... piątej rano! Na program ogniska składały się śpiewy, tańce, skecze, przemówienia, wspólna modlitwa. Na prośbę kapelana CHIRO, czarnego księdza z Mpingi, zagrałem i ja na gitarze i zaśpiewałem piosenkę „Ramona”.

Towarzystwo było zadowolone, biło brawo i krzyczało *subira*, tzn. powtórz. Dalszy skutek tego mojego występu był taki, że prawie wszystkie spotkane w Mpindze dzieci domagały się: „*Padri, ongera kuvuza igitari* – Ojciec zagraj jeszcze na gitarze”, albo dosłownie: „Ojciec spraw na nowo, żeby gitara mówiła”.

Po ognisku wszyscy poszli spać; miejscowa ludność do swych zagród, młodzież zamiejscowa do sal szkolnych, siostry murzyńskie do klasztoru, misjonarze do siebie. Nam jednak ani na chwilę przez myśl nie przyszło, żeby prozaicznie przespać Noc Bożego Narodzenia. Poszliśmy do naszego pokoiku, na szczęście oddalonego od innych i tam wspólnie śpiewaliśmy kolędy, wspominali „dawne czasy” na „ojczyzny łonie”, zeszłoroczną gwiazdkę. O północy udaliśmy się do małej kaplicy, gdzie odprawiliśmy Pasterkę, koncelebrowaną po polsku. Odprawiliśmy ją w intencji naszych Rodziców, Krewnych, Przyjaciół, a więc w Waszej intencji.

Na rozpoczęcie oczywiście zaśpiewaliśmy „Wśród nocnej ciszy”. Zachęcony uprzednio przeze mnie, o. Teofil przemówił po Ewangelii, mówiąc o radości Bożego Narodzenia i o naszym szczególnym w niej udziale. Po ostatnim błogosławieństwie zaśpiewaliśmy jeszcze stojąc „Podnieś rączkę Bożę Dziecię,” a przy słowach „Ojczyznę miłą i wszystkie wioski z miastami”, niektórym zaczęły się trochę pocić oczy. Szybko się jednak opanowali.

Po Mszy św. i modlitwie jeszcze przez dobrą godzinę spacerowaliśmy przed kościołem, co chwilę biegnąc myślami i rozmową do najbliższych w kraju. Po trzech godzinach snu wstaliśmy przed piątą, by koncelebrować w kościele tę poranną Pasterkę. Dawniej w Mpindze i innych misjach odprawiano Pasterkę o właściwej godzinie, tzn. o północy, lecz od jakiegoś czasu w wielu parafiach zaniechano tego ze względu na trudności związane z dużymi odległościami od kościoła. Myślę jednak, że z powodzeniem można by o północy odprawić Pasterkę dla ludności miejscowej oraz dla zgrupowanej i nocującej na miejscu młodzieży, a swoją drogą rano dla reszty parafii. Myślę też, że na przyszły rok da się to tak urządzić.

Koncelebrowaliśmy też w kościele sumę, w czasie której dzieci przystępowały do pierwszej Komunii św. Niektóre z nich były tak małe, że naprawdę wierzyć się nie chciało, że mają

więcej niż trzy latka, a to już dzieci szkolne. Zresztą w ogóle bardzo trudno wyznać się na wieku Murzynów. Zazwyczaj człowiek po sześćdziesiątce wygląda tu już jak bardzo, bardzo zgrzybiały starzec, a z drugiej strony osiemnastoletniego chłopaka można by łatwo podejrzewać, że dopisał sobie pięć lat, gdyż nikt by mu nie dał więcej niż trzynaście. Skądinąd zaś maleńkie dzieci, niemowlęta, patrzą na człowieka (np. przy chrzcie św.) takimi byстрыm i mądrym wzrokiem, że nie zdziwiłbym się wcale, gdyby to małeństwo przemówiło i przedstawiło jakiś problem natury filozoficznej. A więc była pierwsza Komunia św. Murzyniątek. Oczywiście wszystkie bosy, prawie w zwykłym codziennym odzieniu, niektóre w podartych łachmanach.

Rzuca się w oczy, że ludzie w Mpindze chodzą o wiele gorzej ubrani niż w Mabandzie czy w Bururi. Nie ma oczywiście porównania z Bujumburą. Powód tego na pewno tkwi w niekorzystnym gospodarczo położeniu Mpingi. Mabanda znajduje się wprawdzie, podobnie jak Mpinga, na „rubieży” Burundi, ale prowadzi przez nią szlak handlowy z Bujumbury i dalej z Rwandy do odległej tylko 80 km Kigomy w Tanzanii. Z Kigomy zaś wielka linia kolejowa do Oceanu Indyjskiego. Ponieważ dla ludności czarnej granice, paszporty, wizy praktycznie nie istnieją, więc pole do popisu mają tutaj nie tylko zawodowi kupcy, lecz także rolnicy mają łatwość sprzedania swoich ziemiołódów i nabycia odzieży. W Mabandzie np. trzeba szukać sposobności do kupna ziemniaków i zdarzało się już, że sprowadzano je kilkadziesiąt kilometrów dla misji. W Mpindze natomiast ludzie przynoszą sami i proszą, żeby kupić nawet po niskiej cenie. Nie mają zbytu. Ale dlaczego ja o tym piszę? Aha! Bo w Mpindze uderzyło mnie to, że ludzie są gorzej ubrani. Co mnie jeszcze uderzyło? Zagrody ludności w okolicach Mpingi są wyraźnie lepiej i czystiej utrzymane. Podwórza pozamiatane (a o. Teofil twierdzi, że nie tylko na Święta), nawet kwiatki ładnie posadzone w szpaler koło ścieżki: tego tutaj w Mabandzie nie spotyka się wcale.

Wracam do Świąt i będę się streszczał, bo jeżeli na rano list nie będzie gotów, to znów spóźni się o tydzień jego wysyłka. A dziś jest już 11 stycznia.

Nie będę Wam pisał tego, że po południu urządziliśmy sobie porządną drzemkę. Poszliśmy też we trójkę na zbocze wielkiej doliny, gdzie znajduje się grota zwana „domem małp”, w której zawsze można te stworzenia spotkać. Jednakże nasz przewodnik, o. Teofil, zmylił kierunek i nie trafił. Może dlatego, że był niewyspany po „białej” nocy, albo raczej zaspany po smacznej drzemce popołudniowej. Gdy o. Teofil i brat Marceli szukali nadal groty ja zacząłem wywiad z dwoma chłopcami, pasącymi tamże krowy. Zapomniałem czy raczej nie wiedziałem, jak się nazywa małpa w kirundi, więc pytałem, gdzie tu są dzikie zwierzęta. Patrzyli na mnie zdumieni. Pytam: takie dzikie zwierzęta podobne do ludzi, jak się nazywają w kirundi? Odpowiadają: *abantu* (tzn. ludzie). Tłumaczę, że podobne do człowieka, takie jak człowiek, ale nie człowiek. Patrzą na mnie jak na pomyłonego. W tej chwili, gdy piszę ten list, gdy pisałem przedostatnie zdanie, spostrzegłem jeszcze jedną rzecz. Otóż chcąc napisać Wam jak to brzmi w kirundi „dzikie zwierzęta”, o które się pytałem, sprawdziłem w słowniku i spostrzegłem, że zamiast o nie, pytałem o koszyki!

Dzikie zwierzę bowiem nazywa się w kirundi *igikoko*, liczba mnoga *ibikoko*, a ja (pamiętam to, jak dziś) pytałem się o *inkoko*. I pamiętam, że przeciągałem środkową sylabę tego wyrazu. (Dzięki temu mówiłem o koszykach człekokształtnych, czy człekopodobnych. Gdybym wszystkie sylaby mówił krótko, to mówiłbym o podobnych do ludzi.- kurach. Nie wiadomo zresztą, co bardziej niedorzeczne). Biedni chłopcy patrzyli więc bezradnie na tego *ipadri*,

który o takie niestworzone rzeczy się pyta. Z daleka o. Teofil podsunął mi myśl genialną, by nie męczyć się w kirundi, tylko pokazać chłopcom o co chodzi. Rzeczywiście, jak tylko małym gestem „drapnąłem się” po pachę, chłopcy zaczęli klaskać, podskakiwać radośnie i powtarzać *inkoto, inkoto*. Sprawdziłem w tej chwili w słowniku: „wielka mała”. Wróciliśmy jednak tego dnia bez zobaczenia się z naszymi kuzynami. Na tym miejscu proszę wszelkie moje człowiecze kuzynostwo, by mi nie mieli za złe tego spoufalania się z *inkoto*. Z tego, że „wszelki misjonarz jest człowiekiem” nie wynika wcale, że „wszelki człowiek jest misjonarzem” (choć w pewnym sensie nim być powinien); wynika tylko tyle, że „kto nie jest człowiekiem, ten nie jest misjonarzem” i w żadnym wypadku być nim nie powinien! Lekcja logiki (i misjologii) na dzisiaj skończona. (Czy zakończona?)! Wracamy do Świąt.

Odwiedziliśmy jeszcze późnym popołudniem czarne siostry ze Zgromadzenia św. Teresy, które w Mpindze mają swój klasztor. Poszliśmy wszyscy w komplecie, tzn. ci z Mpingi plus goście: br. Marceli, gitara i ja. Złożyliśmy życzenia, dostaliśmy podarunki (!), śpiewaliśmy kolędy polskie oraz w kirundi. Śpiewaliśmy też inne piosenki polskie, m. in. cieszące się tutaj niebywałym powodzeniem „*Italiano*”. Siostry wszystkie umieją już dobrze śpiewać refren, śpiewają oczywiście *italiano*.

Nazajutrz drugie Święto. W Burundi jest dzień powszedni. Jednakże w tym roku, jak wiadomo, była niedziela. Rozniosła się wieść w tutejszej diecezji, że drugie Święto Bożego Narodzenia jest jakimś nadzwyczaj wielkim świętem w Polsce. Wielu się o to pytało i trzeba było tłumaczyć, że to po prostu nie jakieś nadzwyczajne święto narodowe, tylko św. Szczepana i drugi dzień Gwiazdki, też uroczysto obchodzony. W św. Szczepana oczywiście Msza św. itd.

Po południu przyjechał br. Sylwester. Przyjechał na motocyklu razem z przełożonym misji w Rutovu, Niemcem Beno Baumeistrem, przyjacielem Pluma, tym, którego kiedyś w Rutovu nie zastaliśmy. Chłop jeszcze większy od Pluma – kolos (115 kg). Nie mógł wcześniej przywieść Sylwestra, bo w Wigilię pękła oś u bagażówki (nic dziwnego!). Drugi samochód misji w Rutovu jak i motocykl (też pęknięty i związany sznurem!) były potrzebne w czasie Świąt w Rutovu, gdzie w kościele zbudował ładną szopkę, a częściowo też na filiach podległych misji, gdzie pełnił obowiązki misjonarskie, m. in. rozdając Komunię św. Gdy teraz zjawił się w Mpindze, powitaliśmy go głośno nie tylko z radości, ale i dlatego, że nasz beniaminek ma brodę. Małą na razie, dwutygodniową, ale za to trójkolorową. Jakie kolory? Tajemnica misjonarska.

Wiele radości przywiózł nam też swą osobą potężny Beno. Opowiadał o tym, jak „wypadły Święta” w Rutovu. Jak ludzie brali żywy udział w ich zorganizowaniu. Radość naprawdę patrzeć na tak zadowolonego z pracy i z ludzi misjonarza! Zawsze byłem święcie przekonany, że księdza można najlepiej poznać po tym, jak się wyraża o swoich „owieczkach”. Beno ten egzamin zdał na piątkę z plusem!

W poniedziałek przed południem poszliśmy znowu w powiększonym składzie „polować na *inkoto*” i rzeczywiście mogliśmy się do woli napatrzeć na grupę kilkunastu pawianów. Uciekając przed nami, schroniły się na szczyt wzniesienia. Dwa czy trzy bardzo duże, inne mniejsze, jedno maleństwo. Z odległości kilkudziesięciu metrów obserwowaliśmy je chyba z godzinę. Przez lornetki polowe widzieliśmy jeszcze lepiej.

28-go byłem jeszcze w Mpindze, gdyż począwszy od pierwszego Święta ciągle łudziłem się, czekając na jakąś okazję w kierunku Mabandy. Nie mogąc się doczekać, poprosiłem

przełożonego z Mpingi i podwiózł nas (br. Marcelego i mnie) do Rutovu. Chodziło mi bowiem już nie tylko o to, że po Świątach chciałem być jak najwcześniej w Mabandzie, ale także o to, że zbyt długo nadużywaliśmy już gościnności w Mpindze. 28-go upłynęło akurat 4 dni, a przecież wiadomo, że „trup, ryba i gość cuchną po dniach czterech!”

„Z Rutovu – zapewniano nas – co chwila okazja do Bururi, a może nawet do samej Mabandy”. A jednak czekaliśmy całe dwa dni.

Ponieważ w odległości 4 km od misji w Rutovu znajduje się najbardziej na południe wysunięte źródło Nilu, więc 29-go przed południem wybraliśmy się tam z br. Marcelim i br. Sylwestrem, który w międzyczasie wrócił z Benonem z Mpingi. Góra, z której wypływa Nil, nazywa się Piramidą i na jej szczycie znajduje się mini-piramida, wzniesiona przed kilkudziesięciu laty na cześć tych wszystkich podróżników i geografów, którzy w ciągu wieków szukali źródeł Nilu.

Najmils! Przerwywam, wysyłam i jutro zaczynam list następny. Niech Was Pan Bóg ma zawsze w swej opiece!

Czuję się fizycznie i duchowo wyśmienicie.

br. Jan Kanty

6. Nowy Rok w Burundi.

Mabanda, 12 stycznia 1972r.

Najmils!

Spełniłem obietnicę daną Wam w liście, który wczoraj skończyłem i dziś przed dwiema godzinami wysłałem. Oto zaczynam list następny. Jest on właściwie dalszym ciągiem poprzedniego. Pragnę w nim nie tylko opisać do końca me świąteczne wojaże, ale także zamknąć jakoś mój pierwszy etap afrykański. Za tydzień bowiem opuszczam Mabandę i...

A więc po kolei!

Skończyłem na tym, że z Rutovu zrobiliśmy wycieczkę do źródeł Nilu. Czekaliśmy z br. Marcelim na okazję i wreszcie 30-go trafia się nie byle jaka: sam biskup i to w towarzystwie o. Leonarda, który przyjechał w te strony, po Świątach spędzonych z resztą w Muyange. Teraz jechali z Bururi do Mpingi, a więc kierunek przeciwny od mojego. Ponieważ jednak wieczorem wracali do Bururi, więc zabrali mnie ze sobą. Br. Marceli czekał nadal na inną okazję. Nie spieszyło mu się zresztą, gdyż w Małym Seminarium w Buta, w którym uczy się francuskiego, wakacje trwają do Trzech Króli. Biskup zatrzymał się w Rutovu kilkanaście minut, w błyskawicznym tempie dzieliliśmy się nawzajem wiadomościami, co nowego tu i tam. Spotkanie było naprawdę nadzwyczaj radosne, ale jedna wiadomość zrobiła na mnie takie wrażenie, że do wieczora tego dnia dławiło mnie w gardle i nie pozwoliło o czym innym myśleć: w Poznaniu zmarł o. Makary, mój ostatni przeor w Polsce. Ci z Was, którzy znali go osobiście, nie zdziwią się na pewno, że tak bardzo przeżyłem jego odejście. Wieczorem tego dnia jakoś przyszedłem do siebie i wrócił mi spokój, choć i teraz łzy napływają mi do oczu, gdy o tym piszę.

Pożegnawszy braci Marcelego i Sylwestra, pojechałem z dygnitarzami do Mpingi. Z o. Leonardem i o. Teofilem rozmawialiśmy dużo, także na temat przyszłego naszego urzędnictwa się tutaj w Mpindze. Pod koniec stycznia przyjadą tu po kursie kirundi: o. Leonard, o. Kamil, o. Eliaz, a także dwaj bracia: Sylwester i Marceli. Dwaj Belgowie opuszczają

Mpingę po Wielkanocy, a zostanie jeszcze dłużej razem z karmelitami młody ksiądz Murzyn. Pozostali czterej ojcowie, będący obecnie na kursie kirundi, będą przez jakiś czas odbywać „staż” na różnych placówkach diecezji Bururi i Gitega. O. Teofil i ja od początku lutego będziemy na kursie kirundi w Muyange. Kurs ten będzie trwał około czterech miesięcy. Kiedyś biskup się wahał, czy wysłać mnie na kurs, czy może lepiej zostawić na misji przy naszym „Czarowniku”, dawnym profesorze kirundi i autorze powszechnie znanego tutaj podręcznika tego języka. Wszyscy też ojcowie w tutejszym dekanacie są zdania, że zwłaszcza teraz, gdy początki języka mam poza sobą, więcej mógłbym skorzystać pozostając na misji. Jednakże poza sprawą języka jest jeszcze inna rzecz, która skłoniła biskupa do decyzji. Otóż chodzi o to, by nie tylko posiąść dobrze ten język, ale żeby zdobyć jakieś bardziej pełne i wszechstronne rozeznanie „terenu”. Nie chodzi oczywiście o geografię (choć i to jest w programie), ale o poznanie zwyczajów, obyczajów, mentalności tutejszych ludzi, ich kultury itd. chodzi też o jakieś bardziej całościowe zorientowanie się o sytuacji Kościoła w Burundi i w ogóle w Afryce. Tutaj wprowadzić starałem się to na jakąś osobistą skalę robić „oddolnie”, starałem się też dużo dowiedzieć od doświadczonego „Czarownika”, gdyż zawsze sądziłem, że to jest konieczne, żeby móc się z ludźmi „dogadać”. Dobrze więc, że będę miał okazję poznać te sprawy bardziej wszechstronnie i solidnie. Nie ukrywam wszakże, że trochę mi nierażno – „mnie, staremu misjonarzowi” (już przecież dochodzę pod czterdziestkę, choć nie powinno mi się tyle liczyć, bo dużo lat przespałem) – a więc mnie staremu, trochę nierażno zostawić robotę i iść do szkoły, jednakże nie myślę wcale się tym martwić – przeciwnie: cieszę się, choć jeszcze nie wiem na co. Stwierdziłem bowiem już doświadczalnie, że ilekroć przyszło mi działać wbrew temu, na co „miałem chętkę”, to zawsze spotkało mnie jakieś „miłe rozczarowanie”. Mógłbym Wam wiele przykładów przytoczyć, ale nie będę tego czynił, gdyż i tak jest nawał spraw bieżących! Otóż obiecuję Wam, że jak tylko się połapię, to nie omieszkam Wam napisać, jaka to łaska spotkała mnie w Muyange.

A więc jesteśmy w Mpindze i jest 30 grudnia, po południu. Żegnamy Mpingę i o. Teofila, i z dygnitarzami (ma się rozumieć: biskupem i o. Leonardem) wracamy do Bururi. Po drodze zbaczamy do parafii leżącej niedaleko Mpingi, a należącej do diecezji Gitega. W parafii tej będzie jeden z naszych ojców, więc biskup chciał ją pokazać naszemu szefowi. Cóż, parafia jak parafia. Ładny duży kościół. Nowy. Oprowadzał nas po nim miejscowy przełożony, budowniczy. Szczerze podziwiałem. Zwrócił uwagę na krzyż. Chrystus nie przybity do krzyża, ale stojący z opuszczonymi rękami. Spojrzałem. Owszem, podobało mi się. Pomyślałem, że to symbol Zmartwychwstania. Zresztą słyszałem już, że czasem tak ujmują to artyści.

- Ale ludziom to się nie podoba – tłumaczył mi ksiądz architekt – wolą, żeby Chrystus był na krzyżu.

- A więc – odpowiadam – zrobić tak, jak się ludziom podoba!

- To nie teologiczne – mówi ksiądz – gdyż Chrystus obecnie w niebie nie jest ukrzyżowany.

- Ale nas zbawił przez śmierć na krzyżu!

- Ale teraz, teraz, ojciec rozumie, teraz Chrystus nie jest na krzyżu!

Dałem spokój. Powiedziałem tylko, że wobec takiej logiki, trzeba by zniszczyć wszystkie obrazy, rzeźby i wizerunki Chrystusa cierpiącego. Kusiły mnie już rogate aniołki, żeby mu powiedzieć, że ma „nabitego ćwieka” i nie liczy się ani z tradycją Kościoła, ani ze sposobem patrzenia „odbiorców” na tę sprawę, i że w ogóle sam jest strasznie ciasny skoro nie umie

zrozumieć, że może istnieć różne spojrzenie na tę samą rzecz. Dałem spokój, powtarzam, i to „zwycięstwo nad sobą” w dużej mierze zawdzięczam temu, że w mej znajomości francuskiego mam braki, gdyż w Paryżu „nie braliśmy” słów i zwrotów ubliżających.

Z Bukirasazi, bo tak się nazywa ta misja, wróciliśmy do Bururi, gdzie przenocowaliśmy. Nazajutrz rano udaliśmy się w takim składzie do Makamby. Biskup bowiem jechał tam udzielić sakramentu bierzmowania, a także chciał pokazać Makambę o. Leonardowi, bowiem w Makambie też będzie jeden z naszych na stażu.

W Makambie koncelebrowaliśmy: biskup, Plum i ja. Następnie jeszcze przed obiadem, biskup i o. Leonard wrócili do Bururi. Zrazu zamierzał biskup odwiedzić mnie na miejsce do Mabandy, ale obawiając się, że po deszczu może wezbrać rzeka i mogą być trudności z przeprawieniem się przez brody (niech starsi wyjaśnią dzieciom o jakie to brody chodzi, żeby nie myślały, że po ludzkich jeździ się tu samochodem), postanowił natychmiast jechać i poprosił „tych z Makamby”, by mnie odtransportowali do domu. Obiecali, a jak się tylko za biskupem drzwi zamknęły, mówią z Rudym na czele: „Teraz cię, bratku, mamy! Odwieziemy do Mabandy, ale... na drugi rok”! Prosiłem, błagałem, że przecież z tęsknoty za mną „Czarownik” może umrzeć. Niewzruszeni! Mówię, poważnie, że czeka na mnie praca w Mabandzie. Wykalkulowali, że w Sylwestra już praca skończona, a w Nowy Rok dzień wolny od pracy! A więc mając uspokojone sumienie, bardzo byłem rad z tego uwięzienia w Makambie.

Ciekawiście zapewne, jaka to praca czekała na mnie w Mabandzie. Bądźcie cierpliwi, bo jeszcze z Makambą nie koniec. Plum mi przykazał, żebym zaraz po obiedzie przespał się porządnie, a potem skończył brewiarz i inne pobożne ćwiczenia, bo o osiemnastej się zacznie. I zaczęło się. Trzy tam-tamy, wielkie jak beczki od piwa, trzy gitary (w tym jedna moja, wzmocniona elektrycznie). Do obsługi tego kilku Murzynów, głównie katechistów z Makamby, Rudy Plum i niżej podpisany. Poza tym obecni: pozostali ojcowie z Makamby, francuskie siostry zakonne, mieszkające w Makambie niedaleko misji i pracujące w tutejszym „*Maternita*”, czyli wspomnianej już kiedyś (chyba w pierwszym liście) klinice położniczej.

Poza tym było zaproszonych kilku młodych Francuzów, pracujących w Burundi i kolega szkolny Pluma, jakiś tam *leiter*, czyli urzędnik, który do Burundi przyjechał na paromiesięczne wakacje. On też był odpowiedzialny za kuchnię. Otóż zaczęło się, jak wspomniałem, o zmierzchu i trwało do godziny 4.00 rano. Co? Walenie w bębny! Gitara, nawet ta moje, pokrzepiona prądem elektrycznym, niewiele miała do gadania. Dobrze, że kiedyś w kraju trzymałem się mocnym uderzeniem, bo dzięki temu odporność na decybele mam nadzwyczajną. Ale nie cały czas trwał huk bębnow. Wyśpiewaliśmy też wszystkie możliwe piosenki. Mnie zmuszono do zaśpiewania paru kolęd, oraz oczywiście „*Italiano*” i „Szła dziewczeczka”, której refren „lalowali” wszyscy. Przed północą pół godziny poświęciliśmy na modlitwę, czytanie Pisma św. i refleksje. Było to wyśmienicie zaaranżowane przez Pluma. O północy wzajemne życzenia i ciąg dalszy, z tym, że siostry pożegnały nas krótko po niej. Francuzi też poszli nieco później. Do czwartej wytrwali wszyscy czarnoskórzy, Plum, ten urzędnik od kuchni i ja.

Rano o godz. 7.00 koncelebrowaliśmy z pozostałymi ojcami, a potem od 9.00 do 14.00 byłem na piwie, tym afrykańskim. Była to uroczystość chóru kościelnego w Makambie, a ponieważ chodziło mi o nagranie ich śpiewu, więc poszedłem razem z Plumem. Po obiedzie przełożony misji w Makambie odwiózł mnie do Mabandy. Calutki czas darliśmy się w

dwójkę w samochodzie, jakby jeszcze było mało. Obok większych grup ludzi *Padru Mukuru* (ojciec proboszcz) zwalniał biegu, a nawet przystawał, zaś ludzie, a zwłaszcza dzieci, słysząc śpiew i dźwięk gitary, klaskały z zadowolenia i czasem biegły za samochodem.

Wróciłem wreszcie do Mabandy serdecznie, przywitany przez „Czarownika” i Francuza. Swoje odespałem, zacząłem pisanie poprzedniego piątego listu do Was i w poniedziałek, 3 stycznia, zacząłem nowy rodzaj działalności misjonarskiej.

Otóż już od 28 grudnia w Mabandzie zaczęły się i trwały aż do Trzech Króli egzaminy katechumenów przed chrztem św. „Czarownik” zaproponował mi, żebym też wziął się do roboty i pomógł mi przygotować się do tego. Jednakże, jak wiecie, zacząłem dopiero po Nowym Roku. Pierwszego dnia przepytalem tylko jedenastu. Pierwszych ośmiu odpowiadało tak sobie, drudzy gorzej, ale wszyscy jako tako się orientowali. Trzech ostatnich, już starszych, nie wiedziało dosłownie nic, a byli przecież już po półrocznych początkach. Musiałem ich „zostawić” i strasznie to przeżyłem, bo czy się nie zniechęcą? Pomódlcie się za nich w szczególności! Następnymi dniami szło lepiej, byli to zresztą już bardziej zaawansowani, także ci przed samym chrztem św. Przez wszystkie te dni przepytalem około stu, może trochę więcej. Poza tymi trzema odesłałem jeszcze troje dzieci, ale już chrześcijańskie i po wczesnej Komunii św., a przed uroczystą Komunią św. Uważam, że od nich można więcej wymagać, a nie umiały dużo spraw najważniejszych.

Nie sądziłem, że ten egzamin będzie tak dobrą okazją do ćwiczenia się w kirundi; lepszą (przynajmniej dla mnie) niż katechizacja, gdyż trzeba więcej rozumieć mowę innych. To może też ośmieliło mnie, że gdy w Trzech Króli przed Mszą św. poprosiła mnie jakaś panna o spowiedź, nie odpowiedziałem jak zwykle, że nie mogę wypowiadać, ponieważ nie znam jeszcze dostatecznie kirundi. A raczej, ściśle mówiąc, odpowiedziałem tak, ale gdy zapytała, czy może prosić innego ojca i gdy sobie zdałem sprawę z tego, że inni są jeszcze bardziej zajęci egzaminami i że nikt jej nie wypowiada, a z drugiej strony zauważyłem, że mówi bardzo wyraźnie, odważyłem się i stwierdziłem, że... to wcale nie tak trudno! Oczywiście od dłuższego już czasu z Juvenalem pracowaliśmy nad kirundi właśnie pod kątem spowiedzi, ale nie sądziłem, że szybko zacznę spowiadać.

Zmobilizowała mnie też ta spowiedź do tego, że przez parę następnych dni kołkiem siedziałem „nad spowiedzią”. Przewidywałem bowiem znowu takie sytuacje, albowiem 11 stycznia pozostali ojcowie mieli wyjechać na trzy dni do Bujumbury, żeby po tym czasie wrócić razem z powracającym po 5 miesiącach z Europy ojcem, o którym kiedyś wspominałem. Musiałem więc sam zostać na misji. Rzeczywiście: pierwszego dnia wypowiadałem 2 kobiety starsze, następnego dnia około 20 dzieci szkolnych i ostatnio około 7 osób dorosłych, głównie mężczyzn. Oczywiście uważałem sobie za obowiązek zawsze powiedzieć wszystkim, zanim siadłem do konfesjonału, że „ja nie znam dobrze języka, mogę was wypowiadać, ale musicie mówić powoli i wyraźnie”. W ten sposób zabezpieczyłem się i nikt nie mógł mi powiedzieć, w razie jakichś trudności: „po co się chłopie bierzesz do spowiadania, skoro nie znasz naszej mowy”. Oczywiście spowiedzi nie będę wam opisywał, ale muszę stwierdzić, że jak dotychczas, to jestem bardzo zadowolony ze sposobu spowiadania się tutejszych ludzi. Po zadaniu pokuty, przed udzieleniem rozgrzeszenia, mówiłem każdemu: „teraz zmów akt żalu”, albo dosłownie „modlitwę żalu”. W kirundi brzmi to: *ubu* (teraz) *vuga* (mów) *igisabisho* (modlitwę – czyt. *igisabiszo*) *c’ukwigaya* (żału – czyt. *ukligaja*)”. Otóż w tym dniu, gdy spowiadałem dzieci, przeżyłem się w ostatnim słowie i

wymówiłem *uklijaga*. Nie miało to żadnego sensu, choć mogło mieć jakiś związek z rozmową, gdyż *kuyaga* znaczy: rozmawiać. Chłopiec, którego spowiadałem, oczywiście zrozumiał o co mi chodzi, ale po spowiedzi zwrócił mi bardzo grzecznie i poważnie uwagę, że nie *c'ukwiyaga* tylko *c'ukwigaya*.

Byłem mu niezmiernie wdzięczny, bo mógłbym ten błąd nie wiadomo jak długo powtarzać. Myślę, że to drobnutkie zdarzenie rzuca pewne światło na sposób spowiadania się. Modlę się i Wy też się módlcie, bym także i w przyszłości mógł być zawsze zadowolony z rzeczowego spowiadania się penitentów.

Dnia 13 stycznia, na Mszy św. dla dzieci miałem krótkie kilkuminutowe kazanie. Nie jestem jednak z niego zadowolony, mimo że prawie wszystko czytałem, to jednak nie szło, stękałem i czułem, że nie mam kontaktu ze słuchaczami. Ale cóż, nie martwię się zbytnio, bo wiem, że „nie od razu Kraków zbudowano”, albo, jak tutaj mówią: *Bukebuke bukomeza igihoyi* – czyli dosłownie – powoli formuje się banan.

Najmilsi! myślę, że nie zdziwi Was fakt, iż na początku listu widnieje data 12 stycznia, a ja piszę m. in. o trzynastym. To nie dar prorocstwa, tylko rzecz jasna: list pisany kilka dni. Dzisiaj jest już 17 stycznia!

Dziwię się sobie, że ja, taki leworęki do pisania listów, piszę teraz tak monstrualnie długie listy, no i piszę, musicie mi przyznać, często! Mam nawet trochę wyrzutów sumienia, że dużo gadulstwa jest w tym pisaniu. Myślę, że jak się tutaj bardziej „ustatkuję”, to już nie będzie tyle rzeczy nowych. Teraz z początku wszystko jest ciekawe, więc chciałbym się z Wami podzielić.

Na ten raz będę zmierzał ku końcowi, gdyż jakoś dobrałem do teraźniejszości. Tematu miałbym jeszcze bardzo wiele, o niektórych zwyczajach tutejszych, o strojach ludności, o sposobie liczenia czasu, o sposobie liczenia na palcach, o cenach, o mieszkaniach ludności, o stopie życiowej itd. To taki korespondencyjny „groch z kapustą”, którym będę Was częstował, ale już z Muyange. Za cztery dni bowiem tam się udaję.

Jeszcze jedna wiadomość z ostatniej chwili. Pisałem zdaje się, Wam (a może to w liście do Rodziny tylko?), że nasz o. Bagein udaje się w tym roku na pięciomiesięczny urlop do Belgii. Otóż wyobraźcie sobie, że mój „Czarownik” myśli o wybraniu się na parę dni do Polski! Zresztą nie tylko on, ale on najwcześniej. Ja im tutaj bowiem na temat Polski tak „czaruję” (choć wcale nie przesadzam), że niejednemu oczy się świecą na myśl zobaczenia naszego kraju. „Czarownik” też, jak usłyszał na dodatek o Międzynarodowych Targach Poznańskich – a jak Wam pisałem jest to człowiek, który interesuje się naprawdę wszystkim i na bardzo wielu sprawach dobrze się zna – a więc, gdy wspomniałem o Targach Poznańskich, tak się zapalił, że myślę, że będziecie mieli możliwość oglądać go w Polsce. Zostały tylko jeszcze do omówienia szczegóły tego przedsięwzięcia.

W chwili, gdy pisałem przedostatnie zdanie, to o Targach, przyszedł do mnie właśnie „Czarownik”. Nie pukał do drzwi, bo są szeroko otwarte, tylko chrząknął i gdy się do niego odwróciłem wręczył mi podarunek – pamiątkę, gramatykę kirundi przez siebie napisaną, ten egzemplarz, który dostał jako autor od Wydawnictwa. A więc jest podwójna dedykacja

Au R. P. Bagein, Hommage des Presses Lavigerie, Bujumbura 16/11/51

oraz: *Au Rev. Pere J. K. Stasiński – Bagein, Mabanda 10/1/72.*

Cieszę się bardzo. To bardzo miła pamiątka, a także pożyteczna, bo miałem taką gramatykę, ale pożyczoną od jednego z ojców.

To już prawie koniec na dziś i chyba na styczeń. Chciałem tylko jeszcze raz niezmiernie podziękować wszystkim za listy, kartki, życzenia, opłatki. Strasznie mi przykro, że nie mogę każdemu osobiście zaraz odpisać. Będę się starał jednak dołączyć małe dopiski do poszczególnych osób.

Mam nadzieję, że w Muyange nie będzie gorzej z czasem niż tutaj.

Dziękuję też przede wszystkim Wam za pamięć przed Panem Bogiem, zwłaszcza na Boże Narodzenie. Wyznaję uczciwie, że gdybym nawet nie dostał ani jednej literki od Was napisanej, to i tak byłbym zupełnie pewien Waszej pamięci!

Niech Bóg będzie Waszą radością!

Wasz (i Murzynów też) brat

Jan Kanty

7. Nędza rzuca się w oczy.

Muyange, 29 lutego 1972r.

Najmilsi.

Przesyłam na wstępie wszystkim serdeczne pozdrowienia i jak najlepsze życzenia na nadchodzące Święta Wielkanocne. Modłę się za Was zawsze, ale z okazji Świąt Zmartwychwstania Chrystusa obiecuję więcej i solidniej modlić się o to, byście zawsze mieli jak najdoskonalsze uczestnictwo w Zmartwychwstaniu i Życiu Chrystusa!

O tym, że na Waszą modlitwę liczę, to nie trzeba wspominać, bo „to się wie”!

Dziękuję wszystkim, od których dostałem ostatnio korespondencję! Rekord pobił kurier w dniu 15 stycznia: przyniósł mi (jeszcze do Mabandy) dwadzieścia sześć listów. Było w tym kilka listów z października, które powoli wędrowały sobie morzem i po powierzchni ziemi. Ostatnimi dniami „popsuliście się” i bardzo niewiele dociera na mój adres do Muyange. Czasem kurier dla Kantego... nie ma nic! Ale może to normalny porządek rzeczy: w karnawale Wy nie mieliście czasu pisać, a w Wielkim Poście ja mam okazję do umartwienia? Tak czy inaczej: teraz się poprawcie!

Jeśli się nie mylę, to ostatni (szósty) list wysłałem 20 stycznia, a więc już minęło blisko dwa miesiące od tego czasu. Jest bowiem już połowa marca, przeszło dwa tygodnie od napisania pierwszych słów. A więc przepraszam już teraz, że powyższe życzenia wielkanocne dotrą do Was chyba dopiero na Zielone Świątki.

Jakie u mnie nowiny? Półtora miesiąca jestem w Muyange na kursie kirundi, który będzie trwał do połowy czerwca.

Jest nas 27 z ośmiu narodowości: Włosi, Francuzi, Kanadyjczycy, Hiszpanie, Jugosłowianie itd. Z Polaków dwóch: o. Teofil i ja. Są księża zakonni i diecezjalni, siostry zakonne i misjonarki świeckie.(nie wiem, czy to dobre wyrażenie?)

Języka kirundi uczy nas Belg. Człowiek nadzwyczaj dobry, zna kilka języków i teraz uczy się polskiego. Jeśli chodzi jednak o nauczanie, to języka kirundi uczy dopiero pierwszy rok i sam dopiero uczy się uczyć. Poza tym, spraw związanych z tutejszą kulturą, obyczajami itp. uczy nas (jedna godzina dziennie) drugi Belg. I wreszcie gospodarzem całego Instytutu jest trzeci, bardzo dzielny Belg, brat ze Zgromadzenia Ojców Białych.

Jesteśmy dość mocno zajęci nauką, więc prowadzimy tryb życia spokojny, z tym tylko, że każdego dnia robimy krótkie przechadzki, by mieć okazję do mówienia z ludźmi, ćwicząc się tym sposobem w kirundi. W niedzielę też odprawiamy (o. Teofil i ja, i jeszcze paru innych) Msze św. w sąsiednich parafiach i kaplicach (oczywiście w kirundi).

Mieszkamy w dość dużym i dość dobrze urządzonym budynku. Mamy do dyspozycji ładną kaplicę, salę wykładową, „światlicę” ze stołem pingpongowym.

Moja gitara raczej odpoczywa i tylko od czasu do czasu, gdy wszyscy śpiewamy wspólnie różne piosenki (m. in. polskie), wówczas z jednym Hiszpanem akompaniujemy.

Na pewno zapytacie, czy Muyange jest miastem czy też wioską? Otóż, ściśle mówiąc, Muyange, to jest nasz dom na wzgórzu, pośród plantacji bananów i kawy. W przeciwieństwie bowiem do południa kraju, tutaj nie ma prawie buszu i nieużytków, lecz wszędzie widzi się ziemię uprawną, a także więcej lasów.

Wiosek zaś i miast nie ma tu ani tam. Tutaj też „w naszym województwie” jest największe zagęszczenie ludności. Może, a raczej na pewno dlatego, że ziemia jest tu bardziej urodzajna niż gdzie indziej. Nie wiem też dlaczego, ale faktem jest, że nędza rzuca się tu w oczy o wiele bardziej, niż na południu kraju. Także w przeciwieństwie do południa, ludzie tutaj są bardzo brudni. Dzieci robią czasem wrażenie niemytych przez parę przynajmniej tygodni. Poza tym jednak – nie wiem, czy to jest cecha wszystkich Afrykańczyków, ale na pewno wszystkich mieszkańców Burundi – także tutaj ludzie są pogodni, radośni, do drugiego człowieka nastawieni bardzo życzliwie. W tych okolicach jest bardzo mało protestantów, prawie wcale nie ma pogan. Parafie są też w mniejszych odległościach od siebie, a więc ludzie mają bliżej do kościoła. Jednakże parafie są liczebnie bardzo wielkie: po kilkadziesiąt tysięcy. Brak księży może tutaj jest najbardziej dokuczliwy, niż gdzie indziej.

Najmilsi! będę zmierzał ku końcowi tego listu, bo jeżeli dziś go nie skończę, to znowu parę dni odwlece się jego wysyłka. Chciałem napisać dużo i ciekawie, lecz jeszcze nigdy nie pisało mi się tak trudno, jak te parę zdań. Co chwila skreślałem i całe szczęście, że nie będziecie czytać bezpośrednio oryginału tylko odpis, bo naprawdę wygląda okropnie.

Zaraz po Świętach, które spędzimy w diecezji: o. Teofil w Mpindze, a ja w Mabandzie, zabiorę się do pisania następnego, uczciwego listu.

Chcę Was zapewnić, że naprawdę czuję się bardzo dobrze i fizycznie i psychicznie. Trochę więcej niż w Mabandzie dokucza mi tutaj brak czasu. Z drugiej strony dość duża grupa ludzi i trzeba przyznać bardzo „fajnych”, więc też więcej okazji do „zmarnowania” czasu w rozmowie.

Jeszcze raz przesyłam wszystkim bardzo serdeczne pozdrowienia i wszystkich Was polecam Panu Bogu.

o. Jan Kanty

8. Kłopoty z korespondencją. Spotkania z Afryką.

Muyange, 22 kwietnia 1972r.

Ukochani!

Bardzo, serdeczne pozdrowienia przesyłam wszystkim i to nie tylko tak ogólnie wszystkim, ale każdemu z osobna! Zaraz też na wstępie pragnę podziękować wszystkim, od których w

poprzednim okresie otrzymałem bądź to listy, bądź to...paczki! A jeżeli już o dziękowaniu mowa, to wszystkim Wam (i tym, którzy pisali ostatnio i tym, którzy nie pisali), bardzo szczerze i serdecznie dziękuję za pamięć i modlitwę, którą naprawdę jakoś tak bardzo czuję, że czasem nie mogę pojąć, jak może misjonarz być osamotniony! Ja naprawdę, jak dotychczas (jutro mija dziesiąty miesiąc od pożegnania na dworcu poznańskim), czuję się bardzo otoczony Wami!

Trochę się zastanawiam, czy mam Was przeproszać, że dawno nie pisałem, ale myślę, że chyba nie, choć pamiętam, że postanowiłem i obiecałem napisać zaraz po Świątach, a dzisiaj już trzy tygodnie po nich. A więc na wszelki wypadek, gdyby ktoś z Was chciał mi „mieć za złe” – przepraszam!

A *propos* wszakże mojej korespondencji i tych „listów pisanych do wielu” mam ostatnio pewne opory, czy raczej trudności, z których nie wiem, jak mam wybrnąć? Otóż zdarza się od czasu do czasu, a ostatnio z okazji Świąt częściej, że ktoś z Was pisze w taki mniej więcej sposób: „Już bardzo dawno nie otrzymałem listu od ciebie; otrzymujemy w prawdzie kopie listów ogólnych, ale ostatni list pisany do nas...”

Pomyślcie na pewno, że piszę o tym, by zwrócić uwagę, że tak nie należy rozumować. A tymczasem, to właśnie ja się przekonuję, że dużo racji jest po stronie tych, co chcieliby otrzymać list osobiście; bo sam wiem po sobie, że to nie zupełnie to samo otrzymać list pisany do mnie i wprost do mnie adresowany, i w oddzielnej kopercie, lub otrzymać tylko namiastkę tego w postaci kopii listu, w postaci dołączonej kartki w liście do kogoś innego, czy wreszcie w formie pozdrowień w liście do „bliźniego.”

Powiecie więc: no na reszcie „zaskoczyło ci” i zrozumiałeś „istotę zjawiska”! Tak!

Ale jakie praktyczne znaleźć rozwiązanie? Myślę, że idealne byłoby takie: pisać nadal „encykliki” z wiadomościami o sobie, spostrzeżeniami, wrażeniami i refleksjami, a na każdy list odpowiedzieć krótko, choćby w postaci dwóch, trzech zdań na kartce, czy widokówce, a od czasu do czasu zdobyć się na list porządniejszy. Oczywiście ta kartka, widokówka, czy „list porządniejszy” byłyby pisane bezpośrednio. Wydaje mi się, że taki byłby ideał. Jeśli chodzi o czas, to myślę, że powinien się znaleźć (może się łudzić?). Na napisanie krótkiej kartki mogłoby wystarczyć nawet trzy minuty. Jest jednak pewna trudność, która stoi na przeszkodzie do zrealizowania takiego „ideału”: poczta jest tu bardzo droga. List kosztuje niemal tyle, co dniówka robotnika! I mówię Wam ucziwie, że gdybyście nawet przysłali w jakiś sposób pieniądze na ten cel (można podobno w Polsce kupić i tu przesłać „Międzynarodowy kupon na odpowiedź”), to miałbym skrupuły wydawać zbyt dużo na pocztę. Widokówka ze znaczkiem do Europy kosztuje 33 franki, a za tyle można kupić używaną koszulę dla dzieciaka, który chodzi nago, albo prawie nago!

W czasie pisania powyższych zdań przyszło mi do głowy rozwiązanie kompromisowe: w miarę otrzymywania Waszej korespondencji, będę zaraz każdemu odpisywał na małym, cienkim skrawku papieru; te listy będą u mnie czekały, aż zostaną wysłane wraz z kolejnym listem ogólnym. Zróbmy próbę, zobaczymy!

Ponieważ jednak mam dość dużo zaległych listów, więc zacznę tę metodę dopiero od teraz. Za listy (nieodpisane), które otrzymałem dotychczas, podziękuję „poszkodowanym” tylko w jednym zdaniu w *post scriptum* do tego listu.

Ale dość już tych rozważań na temat korespondencji!

Mija już trzeci miesiąc naszego pobytu w Muyange. Tryb życia prowadzimy tutaj oczywiście bardzo jednostajny ze względu na regularną „szkolną” naukę kirundi. Ta jednostajność jednak nie jest absolutna, gdyż w każdą niemal niedzielę z o. Teofilem chodzimy, albo jakąś okazją jedziemy odprawić Mszę św. w mniej albo bardziej oddalonej od Muyange misji czy kaplicy, gdzie z braku księdza byłoby tylko nabożeństwo odprawione przez katechistę: bez Mszy św., bez Komunii św. Poza tym byłem parę razy w tym czasie w Bujumburze u dentysty, gdyż złamałem plombę założoną w kraju. I wreszcie z okazji Świąt Wielkanocnych odbyliśmy podróż do diecezji Bururi. O. Teofil spędził Święta w Mpindze a ja w Mabandzie.

Dla ułatwienia sobie „roboty” zgrupuję to co będę pisał wokół czterech tematów: 1) Muyange, 2) niedzielne „wycieczki” misjonarskie, 3) Bujumbura, oraz 4) Wielkanoc.

1. W Muyange czas w zasadzie upływa nam na przyswajaniu sobie języka kirundi. O języku samym już kiedyś pisałem. Im więcej go poznaję, tym więcej mi się podoba: naprawdę piękny, bardzo logiczny, bardzo precyzyjny i bogaty język. Nie pisałem chyba jeszcze o tym, że język Rwandy (*kinyarwanda*), język dość dużej części Tanzanii (*giha*), są tak bardzo zbliżone do kirundi, że praktycznie stanowią jeden i ten sam język z małymi tylko różnicami wymowy, czy pisowni. Jest to szczególne, gdy się zważy, że są w Afryce parafie, gdzie ludzie mówią trzema i czterema nawet różnymi językami i są języki, którymi mówi zaledwie kilkaset osób. A więc kirundi naprawdę „da się lubić!” A profesor którego tutaj mamy? Człowiek kochany, naprawdę przedobry! Język też zna, zwłaszcza teorię języka. Ale moim i nie tylko moim zdaniem, lecz chyba większości, albo raczej wszystkich studiujących tutaj (i także tych, którzy studiowali przedtem) uczyć pocziwe chłopisko nie umie! Jestem święcie przekonany, że aby się nauczyć śpiewać, to trzeba, i to dużo, śpiewać, żeby się nauczyć pływać, trzeba wejść do wody i próbować pływać itd. I chyba jasne, że nie można nauczyć kogoś mówić, wyjaśniając mu tylko teorię. Proszę sobie wyobrazić, że przez trzy miesiące nie mieliśmy nigdy nic zadane, ani pisemnie ani ustnie! (Tutaj na pewno niejednen z Was, będący w wieku szkolnym, westchnie z zazdrości). Oczywiście, każdy uczy się sam, ale przecież chyba po to jest profesor, żeby się każdy sam nie musiał uczyć! Może pewnym usprawiedliwieniem tej sytuacji jest fakt, że do praktyki języka, do konwersacji jest tu w zasadzie jeden Murzyn, imieniem Lazar. Dla profesora zostałaby tylko teoria, gramatyka i trzeba przyznać, że wyklada ją nie najgorzej, choć o wiele, wiele lepiej wykładano nam gramatykę francuskiego w Paryżu. Jednak nieszczęście w tym, że nie wiem, czy jest w Burundi Murzyn, który by się mniej nadawał do konwersacji niż Lazar. Zwykle Barundi (Barundi to liczba mnoga od Murundi, a Murundi to obywatele Burundi), a więc zwykle Barundi są niesłychanie rozmowni, mają naprawdę jakiś wrodzony talent do nauczania innych swej mowy, mają usposobienie bardzo radosne, wręcz wesołe, lubią mówić i z takimi, którzy niewiele znają język, potrafią rozmawiać, ucząc ich tym sposobem.

Tymczasem Lazar, to człowiek dobry, ale jak to mówią, „mruk”. Przez dwa tygodnie próbowaliśmy z nim tej konwersacji, a później wszyscy dali spokój, bo szkoda czasu. O wiele więcej można skorzystać, usiłując zamienić parę słów ze spotkanymi na drodze ludźmi. Z okolicznych domostw przychodzą też zwykle tutaj młodzi chłopcy, którzy chcą (a niektórzy nawet dobrze potrafią) uczyć przez rozmowę. Z o. Teofilem, każdego dnia przez dwadzieścia minut sami „przerabiamy spowiedź”, gdyż na braki językowe w tej dziedzinie najczęściej narzekają ci, którzy ukończyli tutaj przed nami kurs kirundi. Tyle na temat kirundi!

Jeśli chodzi jeszcze o języki obce, to wykorzystując tutaj obecność Francuzów, a ściślej mówiąc jednego, który kiedyś w Paryżu był profesorem francuskiego, każdego dnia poświęcam trochę czasu na poprawę mojej francuszczyzny. Prowadzę też trochę korespondencji we francuskim, z Japonią, Włochami, Hiszpanią i Francją. Jest to dobra okazja do nauki francuskiego, choć przychodzi dość trudno. Co innego dawać sobie radę w potocznym mówieniu, a co innego pisać poprawnie! Ci, z którymi koresponduję, to koledzy i koleżanki z paryskich „studiów”, a także profesory, którzy mnie uczyli w Paryżu.

Cóż więcej w Muyange? Towarzystwo – jak już kiedyś pisałem – bardzo „różne”, zwłaszcza dla nas Polaków bardzo życzliwe. Może dlatego – tego jeszcze chyba Wam nie pisałem, a chcę się pochwalić – wybrali mnie „szefem” całego kursu. Szefem, tzn. „przynieś, wynieś, pozamiataj!” Wyobraźcie sobie, że „słucha mnie” osiem narodowości!

Ale przepraszam za pisanie głupot; jest jeszcze dużo innych spraw! Przed kilku dniami mieliśmy tutaj odwiedziny karmelitów z Konga, albo jak się to teraz nazywa: z Zairu. Paręset kilometrów stąd, niedaleko granicy Rwandy, z Zairze jest dziewięciu karmelitów z Hiszpanii, siedmiu ojców i dwóch braci. Są chyba od roku 1966. Gdy dowiedzieli się, że jesteśmy w Burundi, przyjechało trzech z nich nas odwiedzić. Byli w diecezji Bururi i widzieli się ze wszystkimi prawie naszymi. Wstąpili też do Muyange, by zobaczyć się z Teofilem i ze mną. Ucieszyła nas bardzo ta wizyta, bo naprawdę bardzo porządne i „fajne” chłopcy, bardzo serdeczni, naprawdę... Bracia. Zapraszają nas do siebie. Może kiedyś jakaś okazja i możliwość będzie, by z tego zaproszenia skorzystać.

A więc tyle w Muyange, gdyż nie będę Wam przecież pisał o tym, że w dniu 1 lutego (zapisane w „pamiętniku”) po raz pierwszy od czasu przybycia do Afryki widziałem samolot, przelatujący nad Muyange; że któreś tam niedzieli w samo południe (dla ścisłości: 13 lutego o godz.12.05), siedząc w pokoju zdziwiłem się, że ktoś niewidzialny porusza krzesłem, na którym siedzę: było to małe, parę sekund trwające trzęsienie ziemi; nie piszę też o tym, że przed paru dniami w lasu, w pobliżu naszego domu było jakieś „zgrupowanie” wielkich nietoperzy: na pewno kilka albo kilkanaście tysięcy!

2. W niedzielę z o. Teofilem obsługujemy kaplice, kościółki filialne w pobliżu Muyange, albo jeżeli mamy jakąś okazję komunikacji, pomagamy także w nieco dalej położonych parafiach. Te niedzielne wycieczki są nie tylko okazją do wspominania „harcerskich czasów” (wędrujemy bowiem z plecakiem, w którym znajduje się wszystko potrzebne do Mszy św. – „Jak to miło z plecakiem wędrować.”), ale także bardziej bezpośredniego zetknięcia się z ludnością, do lepszego poznania ludzi. Ludzie ci mają do kościoła parafialnego, do misji kilkanaście czy więcej kilometrów, chodzą tam tylko od czasu do czasu, na zmianę to ten, to tamten z rodziny, zwykle w niedzielę chodzą do wspomnianych kaplic, gdzie w każdą niedzielę jest przynajmniej jedno, a najczęściej dwa nabożeństwa, odprawiane przez katechistę. Nabożeństwa te składają się ze śpiewu, czytania Pisma św. (te same wyjątki, co we Mszy św. danej niedzieli), kazania katechisty, modlitwy, są ułożone na wzór Mszy św., tylko bez istoty Mszy św., bez Eucharystii! Jak już wspomniałem chyba nieraz, tylko od czasu do czasu przybywa tam ksiądz z misji i jest wszystko po katolicku. Te ostatnie słowa napisałem bez cudzysłowu, gdyż wydaje mi się, że nie ma w tym powiedzenie żadnej przerośni. Naprawdę wydaje mi się, że to jest wielka szkoda, że z konieczności przyzwyczajają się ludzie do obywatelstwa bez Mszy św., ludzi, którzy, trzeba to mocno podkreślić, bardzo sobie ją cenią.

Gdy jeden raz (chyba w Niedzielę Palmową), bez uprzedzenia ludzi o tym, przyszliśmy odprawić Mszę św. w kaplicy w miejscowości Karuninya, to wyobraźcie sobie, że rozdaliśmy bez mała tysiąc Komunii św., czyli chyba około 50% obecnych Ją przyjęło, gdyż na dwóch Mszach św. łącznie było obecnych około 2000 osób.

Rzecz dziwna, słyszałem dość często jeszcze w Europie, także czytałem, że Afrykańczycy w swoim stosunku do Pana Boga kierują się przede wszystkim strachem. Boga pojmują jako kogoś, kogo trzeba się przede wszystkim bać. Na pewno jeszcze zbyt mało znam sytuację, żeby móc takie wypowiedzi oceniać, ale jedno jest pewne: jeśli chodzi o Burundi, to przynajmniej jak na razie, jestem pod tym względem mile rozczarowany. Zupełnie tego niezdrowego lęku się nie spotyka!

Inna rzecz, którą na temat Afrykańczyków słyszałem jeszcze w Polsce, to to, że są bardzo skłonni do bałwochwalstwa. Gdy o tym jeszcze w Mabandzie rozmawiałem kiedyś z „Czarownikiem” (z o. Bagein) i gdy mówiłem, że jakoś się to w oczy nie rzuca, to wówczas on, który od czterdziestu lat jest w Burundi, bardzo żywo zareagował, twierdząc, że Burundi na pewno nie są skłonni do bałwochwalstwa. Nie sądzę, żeby nie miał racji, albo żeby nie mieli jej ci, od których przeciwne opinie się słyszy. Myślę, że sedno sprawy tkwi w tym, że mimo iż w teorii wiemy, że Afryka to wielki kontynent, kilka razy większy od naszej Europy, a Afrykańczycy, to wiele różnych narodów i różnych plemion, to jednak w praktyce przyzwyczajiliśmy się całą Afrykę i wszystkich Afrykańczyków „pisać na jednej kresce ułamkowej”, gdzie wspólnym mianownikiem jest: gorąco, pustynia, Murzyn, dzikie zwierzęta. I jeżeli czasem dowiemy się czegoś więcej, to zaraz to do tego wspólnego mianownika sprowadzamy i czasem się dziwimy, że nie wszystko się zgadza.

Kiedyś w rozmowie z jednym dość przecież wykształconym człowiekiem Murundi, ubawiłem się, gdy on okazał zdziwienie, że nie wszyscy Europejczycy mieszkają w miastach i że są tacy, „którzy nie byli we wszystkich krajach Europy”. Dla nich Europa (w kirundi: *Ubulaya*) to jak wioska, gdzie wszyscy są podobni, gdzie wszyscy się powinni znać..., tak samo jak dla nas Afryka. Ale po co te rozważania o sprawach oczywistych?

Miałem pisać o tych sprawach, które kojarzą mi się z niedzielnymi wycieczkami. Pisałem już kiedyś, że zwłaszcza tutaj na północy kraju uderza brak higieny ludności. Wycieczki więc, podczas których spotyka się człowiek z wielką ilością ludzi, gdy zwłaszcza dzieci cisną się jedno przez drugie, by być bliżej *Padri*, kojarzą się z pchłami, wszami i to pięknymi, dużymi, okazałymi! Wszy trochę mniej przyjemne, na szczęście nie skaczą. Gdy się chce dziecko po główce pogłaskać, to lepiej się tej główce nie przypatrywać z bliska. Naprawdę! Do tych *agakoko* (małych dzikich zwierząt) są ludzie przyzwyczajeni, zupełnie jak my do much czy komarów, które chociaż dokuczają nam, to jednak nikt nie podnosi wrzasku z tego powodu, że mucha mu na czole usiadła.

Myślę, że jeszcze bardzo wiele wody w Nilu upłynie, nim się to zmieni, nim ludzie zrozumieją, że higiena się „opłaca”. Ci, którzy pracują w służbie zdrowia twierdzą, że przytłaczająca większość zachorowań pochodzi „z brudu”. Jednej rzeczy nie rozumiem i bardzo mnie to ciekawi, dlaczego na południu kraju jest pod tym względem o wiele, wiele lepiej?

Najmilsi! Miałem jeszcze pod tym drugim punktem parę spraw poruszyć, a potem trzeci i czwarty. Ponieważ jednak jutro (tn. 2 kwietnia!) rano trafia się okazja, więc przygotuję ten list do wysyłki i najpóźniej za tydzień zacznę pisać ciąg dalszy. Zgoda? Jeszcze tylko dodam,

że gdy w jedną niedzielę byłem ze Mszą św. w misji Busiga, to po południu nauczyłem tam dzieci śpiewać krakowiaka. Nagrałem na taśmie, którą (z innymi śpiewami w kirundi) otrzymacie.

Kończę. Jak się czuję? Naprawdę wyśmienicie. Przed wyjazdem mówiono nam i ja w to uwierzyłem, że życie misjonarza jest nudne i prozaiczne. Dziś już wiem na pewno, że to nieprawda! Wierzcie mi gdyby Wam kiedyś ktoś tak pisał, to wiedźcie, że on ma nudną i prozaiczną duszę! „Jarzmo moje jest...”

Zostańcie z Bogiem! Ściskam Was mocno

o. Jan Kanty

9. Bezsilni wobec cierpienia.

Muyange, 3 maja 1972r.

Najdrożsi!

Nie ze zwyczaju tylko, ale z potrzeby serca najpierw bardzo serdecznie Was pozdrawiam! Dzisiaj, w uroczystość Matki Boskiej Królowej Polski chciałbym, żeby te pozdrowienia były bardziej ważne, i bardziej skuteczne niż kiedykolwiek, niż zwykle. Wyobraźcie sobie, że dzisiaj właśnie śniło mi się, iż byłem w Polsce na nabożeństwie majowym. Naprawdę! A więc jestem z Wami nie tylko myślami, ale i we śnie!

Wracam jednak prędko do rzeczywistości, żebyście mi nie wyrzucali, że poważny misjonarz afrykański, zamiast pisać poważnie i do rzeczy, opisuje swoje sny!

Muszę się Wam pochwalić, że mój dzienniczek, „kalendarz”, jak go nazywam, dalej jest uczciwie prowadzony. Poza tym w bloczku notuję to, co zamierzam pisać w tych listach do Was. Zauważam, że ciągle mam „długi”, ciągle zaległości i że są sprawy, które z listu na list odkładam, mimo że wielu o nie pyta. Z drugiej strony spostrzegam, że jest tutaj wiele spraw, z którymi człowiek tak się „oswaja”, że nawet nie przyjdzie na myśl o nich pisać.

List niniejszy piszę trochę „w próżnię”, gdyż od jakiegoś czasu poczta w Burundi nie funkcjonuje, w związku z rozruchami politycznymi. Coś bardziej konkretnego na temat sytuacji tutaj trudno pisać, gdyż do nas w środku kraju docierają bardzo skąpe wiadomości i to często wiadomości sprzeczne. U nas jest spokojnie. Dochodzą wieści, że były król, który przebywał od kilku lat w Europie, zorganizował najemników w sąsiednich krajach i zamierzał wziąć władzę w swoje ręce. Król podobno zginął i nawet radio Bujumbura podało wiadomość o dość dużej liczbie zabitych, nawołując do spokoju. Jak wspomniałem, trudno się wyznaczyć w sytuacji. Uniemożliwiona jest komunikacja ze stolicą i w ogóle podróżowanie po kraju. Jedno jest pewne, że chodzi tu tylko o przechwycenie władzy, a nie o dobro obywateli. Szkoda ludzi i szkoda kraju, już i tak biednego!

Nam tutaj naprawdę nic nie grozi. Gdybyśmy byli w jakimś niebezpieczeństwie, to bym Wam o tych sprawach nie wspomniał, nie chcąc Was niepokoić. Ale za ludność tutejszą i za całe Burundi módlcie się teraz więcej niż zwykle!

A więc wracam do tematu, przerwane go w ostatnim liście. Przeglądałem go w tej chwili i z zażenowaniem stwierdziłem, że całą tę ostatnią część listu poświęciłem pchłom, wszom i brudowi. Poprawię się i będę na przyszłość pisał o rzeczach bardziej wzniosłych. Na dowód jednak, że tak jest, jak Wam pisałem, że ludzie są bardzo spoufaleńi z tym *agakoko*, przytoczę

powiedzenie, które przypomniałem sobie już po wysłaniu poprzedniego listu. Otóż istnieje wiele zwrotów na wyrażenie naszego „dobranoc”. Między innymi taki, powszechnie znany i używany: „*Rara aharyana*”. Czyta się to: „rara ahargjana”, a znaczy dosłownie: „spędź noc tam, gdzie kąsają pchły”, czyli po europejsku wyrazilibyśmy to: „niech cię w nocy pchły gryzą!”. To nie jest wcale nieuprzejme lub złośliwe. W wielkim słowniku kirundi jest takie wyjaśnienie tego dobrego życzenia: Pchły gryzą tylko ludzi żywych, a więc życzy się w ten sposób szczęśliwego przeżycia nocy. Teraz już Wam obiecuję, że słowa: „pchła” i „wesz” nie pojawią się przynajmniej przez parę miesięcy w moich listach! Śpijcie zawsze zdrowi i niech Was nic nie gryzie!

Wspomniałem już o radosnym usposobieniu tutejszej ludności. Do duchowieństwa odnoszą się z szacunkiem, ale bez jakiegoś lęku czy niewłaściwego dystansu. Spotkawszy na drodze misjonarza sami wszczynają rozmowę, lubią żartować i trzeba przyznać, że umieją to robić bez złośliwości, bez grubiaństwa. Istnieje w kirundi niezliczona ilość przysłów i dowcipnych powiedzeń, których ludzie często używają, reagują też z zadowoleniem, gdy w kazaniu takie przysłowie się użyje. W ogóle w czasie kazania, jeżeli nie jest ono bezdusznym odczytywaniem jakiegoś tekstu, ludzie często i żywo reagują.

Muyange, 13 maja 1972r.

Już dziesięć dni minęło od chwili, kiedy wyjąłem papier z maszyny. Tak strasznie prędko ten czas minął. Najwyższy czas, by list przygotować do wysyłki. Być może będzie okazja do wysłania go. Liczę się z tym, że prasa w Polsce podaje wiadomości o zajściach tutaj i martwię się, że Wy może niepokoiacie się o nas. Dlatego kończę ten list jak najwcześniej. Wiercie mi, że nam naprawdę nic nie grozi. W całych tych zajściach w całej Burundi nie zginął ani jeden biały człowiek, mimo że wielu było w samym ognisku zamieszek. Po prostu nie jest to wymierzone przeciwko białym, znajdującym się w kraju. My więc jesteśmy bezpieczni i spokojni o siebie; jednakże wieści o strasznej ilości zabitych i mordowanych ludzi, o mordowaniu bezbronnych są tak okropne, że naprawdę wierzyć się nie chce. Przyznam się Wam, że gdy wczoraj wieczorem dotarły do nas po raz pierwszy wiadomości bardziej konkretne, to naprawdę wieczorem w pokoju płakałem jak dziecko. Jest się świadkiem rzezi i nic nie można poradzić. I są w to wmieszani ludzie, którzy – zdawać by się mogło – są chrześcijanami. Niestety, wielu z nich to tylko ochrzczeni poganie. Jedno słowo przywódcy – czarownika, zawieszenie na szyi amuletu i zapewnienie, że kule ich się nie imają, zamienia ich w dzicz, która morduje, nie wiedząc zupełnie dlaczego, w jakim celu – i to morduje swoich rodaków, sąsiadów.

Przepraszam Was bardzo, że o tym Wam piszę i Was martwię, ale mnie to strasznie gnębi i smuci. Miałem złudzenie, że jestem w kraju już bardzo chrześcijańskim, gdzie tylko resztki pogaństwa istnieją. Teraz wiem, że jesteśmy tu o wiele bardziej potrzebni niż myślałem dotychczas. Ludzi naprawdę nie potępiam, bo naprawdę nie wiedzą co czynią, ale mi ich strasznie żal, i tym mordowanych i tych mordujących. Szkoda mi strasznie tych przedobrych dzieci, które w takiej szkole są wychowane! Cóż, nie ma co narzekać, tylko trzeba się wziąć w garść. Módlcie się naprawdę dużo i za ludzi tutejszych i za misjonarzy, gdyż podobno jest wielu takich, których ogarnia zniechęcenie, wobec nagłego zniszczenia długoletniej ich pracy nad ludzkimi sumieniami i duszami.

Jeszcze raz bardzo serdecznie przepraszam Was za smutek, który w tym liście jest zawarty. Mam nawet wyrzuty sumienia i straszną pokusę zniszczyć ten list. W ogóle jest on (ten list) beznadziejną płataniną. Pierwsza część zupełnie nie pasuje do drugiej, ale nie będę tego „na czysto” przeredagowywał.

Nie bójcie się: naprawdę nie mam najmniejszej ochoty się załamywać czy zniechęcać. Wiecie przecież, że jestem „twardzizna”. Prawda? Mimo, że to bolesne i smutne, to przecież „wiem, Komu zaufałem”. Tutaj świętego Pawła proszę o wybaczenie mi śmiałości, że sobie pozwalam używać jego słów, a Was wszystkich też proszę o wybaczenie, że z zawodowego nawyku nawet w listach piszę pobożne kazania! Ale to nie tylko z nawyku!

Pozdrawiam Was bardzo serdecznie i mocno ściskam. Może mi nie uwierzycie, ale po wczorajszym przygnębieniu, po tym podzieleniu się moim smutkiem z Wami, jest mi o wiele lżej na sercu i gdybym Wam nie obiecał, to na deser napisałbym Wam coś bardzo miłego o małych „owadzikach”, ale słowo afrykańskiego misjonarza, że przez kilka miesięcy ani mru-mru!

Niech Pan Bóg będzie wszystkich Was pokojem i radością!

Wasz Jan Kanty

10. Skutki wojny domowej.

Martyazo, 16 lipca 1972r.

Najmilsi!

Wysyłając ostatni, dziesiąty list z Muyange, zamierzałem niebawem napisać następny i jeszcze z Muyange wysłać. To „niebawem” się przedłużyło. Przepraszam Was za to naprawdę bardzo serdecznie! Nie mogłem znaleźć wolnej chwili w Muyange, potem parę dni straciłem na podróż (tak, parę dni, gdyż w związku z zamieszkami potrzebne były wszędzie przepustki, na które czasem trzeba czekać kilka godzin i to często bez skutku), a wreszcie, przybywszy przed miesiącem tutaj do Martyazo, natychmiast zostałem „skutecznie unieszkodliwiony” i w najbliższym przynajmniej czasie nie zanosi się na to, bym miał więcej czasu wolnego, niż kiedykolwiek w moim życiu.

W przeddzień wyjazdu z Muyange dowiedziałem się (nieoficjalnie), że jestem „uprzątnięty” do Martyazo, misji, o której już kiedyś chyba wspominałem w mej korespondencji, gdyż sąsiaduje ona z Mabandą i Makambą. Kiedyś wyrysuję Wam dokładne szkice naszej diecezji, na teraz niech wystarczy tyle, że Martyazo jest to niewątpliwie najbardziej odizolowana misja od reszty diecezji. Świat się tu kończy w górach na wysokości dwóch tysięcy metrów. Żadna droga nie prowadzi „przez Martyazo”, aby się tu znaleźć, trzeba odbić od drogi Makamba - Mabanda i półtorej godziny jechać specjalnie do nas. Nie mamy więc żadnych odwiedzin gości przejeżdżających, ale za to, gdy raz na kilka albo kilkanaście dni zobaczymy samochód, to wiemy, że jest to ktoś do nas, albo administrator tutejszej gminy, który spędza dzień w niebieskim volkswagenie i czasem zagląda w nasze strony. Ale przepraszam: już obmawiam administratora, a jeszcze nic nie wiecie o misji, poza jej położeniem! Otóż jest to jedna z tych misji w Burundi, na terenie której ludność najbardziej ucierpiała w czasie minionych zająć. Dotychczas na misji było czterech misjonarzy: przełożony – Francuz, Alzatzczyk, który tydzień po moim tu przybyciu pojechał

na sześciomiesięczny urlop do Francji; następnie Belg, Walończyk, który w tym samym czasie pojechał na miesiąc do Kongo i Rwandy; trzeci Hiszpan, a raczej Bask, który przed moim przyjazdem pojechał na stałe do Europy (wyczerpany zupełnie nerwowo i psychicznie, mimo, że z urlopu wrócił około Bożego Narodzenia); czwarty – brat zakonny ze Zgromadzenia Ojców Białych, Francuz, budowniczy, przerwał on tutaj budowę kościoła i pojechał na jakiś czas na urlop do Europy, urlop nadzwyczajny, ze względu na ogólne wyczerpanie, spowodowane przeżyciami ostatnich miesięcy. Za tydzień wróci z Rwandy Belg, a teraz gospodarzem tutaj jestem ja. Plum z Makamby (bo on w tej chwili zastępuje nieobecnego przełożonego) pożyczył mi innego Belga na czas nieobecności naszego. A więc jesteśmy w dwójkę i potem też będziemy w dwójkę, przynajmniej do Bożego Narodzenia.

Napiszę od razu jakie imiona czy nazwiska noszą poszczególni bohaterowie, żebyście na przyszłość od razu wiedzieli, o kim mowa. Otóż, jak temu Hiszpanowi było, nawet nie wiem, gdyż tylko raz w przelocie widziałem go w Mabandzie, właśnie wówczas, gdy około Bożego Narodzenia udawał się do Martyazo. Mógłbym wprawdzie w jakichś papierach znaleźć jego nazwisko, albo iść do tego pożyczanego Belga i dowiedzieć się, ale po co?

Przełożony nazywa się Albert Engel; nieobecny chwilowo Belg: Maks Boudah; a brat budowniczy: Jan Lenain (...)

Przed blisko miesiącem biskup zawiózł mnie osobiście z Bururi do Martyazo. Wiedziałem już przedtem, że te tereny, a zwłaszcza Martyazo ucierpiały najbardziej, ale co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć osobiście. Strasznie przygnębiające wrażenie zrobił na mnie widok zniszczonych, spalonych i opuszczonych domów. Po drodze z Mabandy do Martyazo spotkaliśmy chyba z pięciu ludzi. Dawniej spotykało się tam setki ludzi na drodze. Biskup zatrzymał samochód obok jednej kobiety z maleńkim dzieckiem na plecach i zamieniając parę zdań zapytał, gdzie jest jej mąż. Odpowiedziała: „*uarapfuye n'abandi*”, tzn. dosłownie „umarł razem z innymi”. To było moje pierwsze zetknięcie się z tą rzeczywistością, z którą teraz spotykam się bez przerwy.

Wyobraźcie sobie, że z osiemdziesięciu katechistów tutejszej misji zostało przy życiu ośmiu. Zdecydowana większość rodzin pozbawiona jest ojców i mężów. Bardzo, bardzo wiele domów spalonych, rzeczy sierot i wdów rozkradzione. Przy naszej kapliczce na misji mieszka chwilowo żona katechisty z sześciorgiem drobnych dzieci. Męża i dwóch synów zabili rebelianci. Dom spalony i wszystko co w domu. Są takie rodziny (mamy zapisanych przynajmniej pięć takich, a jest na pewno o wiele, wiele więcej), gdzie ojciec i matka nie żyją, dom nie istnieje, jest sześcioro czy siedmioro dzieci, gdzie najstarsze ma siedemnaście, osiemnaście lat. W jednym wypadku najstarszą jest dziewczynka, chyba piętnastoletnia (i pięcioro młodszych). Piszę „chyba”, gdyż sama nie wie, ile ma lat.

Najmilsi! Nie będę opisywał więcej takich smutnych spraw. Kiedyś do tego wrócę, gdy nie będzie to takie bliskie i nie będzie takie bolesne. Myślę, że z perspektywy czasu łatwiej będzie oceniać ogrom zła i zniszczenia oraz łatwiej rozeznaczyć się w przyczynach i sprzężnach nieszczęścia i zbrodni.

Przyznam się Wam szczerze, że jadąc tutaj, bałem się bardzo o to, żebym na skutek kontaktu ze smutną rzeczywistością nie stał się smutnym człowiekiem i żebym widząc taki ogrom zbrodni nie stracił zaufania do ludzi. Bałem się naprawdę o to i prosiłem Pana Boga, by za Waszymi modlitwami, których byłem bardzo i jestem pewien, uchronił mnie od tego podwójnego nieszczęścia. Dziś jestem już naprawdę o to spokojny jak najzupełniej! Gdyby

mi ktoś przed miesiącem kazał samemu wybrać misję w naszej diecezji, to na pewno Martyazo byłoby ostatnie, chyba żebym chciał się poświęcić, bo ktoś tam iść musi. Dziś na pewno Martyazo wybrałbym przed każdą inną misją i to wcale nie z poświęcenia, tylko dlatego, że tyle radości znajduję tutaj w pracy z ludźmi. Mam nadzieję, że uwierzycie mi na słowo i nie posadzicie mnie o kłamstwo. Z następnych listów sami się o tym najbardziej przekonacie!

Teraz będę kończył, bo jest już godzina strasznie późna, a jeszcze dziś przed udaniem się spać muszę wszystko spakować i przygotować do wysyłki, gdyż po dziesięciodziennej przerwie, jutro przed świtem po raz pierwszy kurier weźmie na głowę skrzynkę i powędruje przez góry do Bururi. W tamtą stronę będzie mu lekko, ale z powrotem będzie się ugiął pod Waszymi listami, których spodziewam się bardzo wiele! Dotychczas tylko raz w Martyazo otrzymałem pocztę, przywiezioną przez kogoś z Bururi. Było dość dużo listów. Poprawiliście się!

Dziękuję wszystkim! Ja zaś z kolei nie dotrzymuję mojego dobrego postanowienia i mam wielkie, wielkie zaległości. Nie wiem, jak będzie w najbliższej przyszłości, ale naprawdę w miarę możliwości będę się starał poprawić.

Dokładniej o tym, jak tu żyję, napiszę Wam w następnym liście. Tymczasem wiedźcie, że robię wszystko, co na misji się robi, choć na pewno wiele spraw byście się nie domyślili.

Wszystkich Was bardzo mocno pozdrawiam i polecam Bogu!

Wasz brat Jan Kanty

11. Wędrowni i prace misjonarza.

Martyazo, 11 września 1972r.

Ukochani!

Wielu ludzi skarży się na to, że do napisania listu trudno się im „zabrać” i to jest głównym powodem zaniedbań w korespondencji. Jednakże powód, dla którego na ten list czekaliście tak długo, jest inny. „Zabrać mi się” nie było trudno i czyniłem to dość często. Dzisiaj po raz piąty zaczynam pisać list dwunasty! Wkrótce po wysłaniu poprzedniego listu zacząłem pierwszy raz, napisałem dość dużo i przechwalałem się wobec Was tym, że tak wcześnie piszę. Było to dokładnie 23 lipca. Nie udało mi się jednak skończyć i ponieważ treść straciła na aktualności – zwłaszcza te przechwałki – więc zacząłem na nowo 22 sierpnia. Tym razem jednak utknąłem po kilku zdaniach. Nie szło! Następnie 1 września, w rocznicę przyjazdu do Burundi zacząłem znowu po raz trzeci. Bardzo usilnie pragnąłem skończyć i wysłać, bo i data nie byle jaka – rocznica, i miejsce pisania też: nie jakieś Martyazo, tylko egzotyczna Kigaraagata. Jednakże i tym razem skończyło się na kilku zdaniach. Potem, jeszcze będąc w Bururi, zaczynałem po raz czwarty, ale skończyło się na dacie i na uroczystej zapowiedzi, że to list dwunasty.

Dziś zaczynam po raz piąty i przyznam się Wam, że mniej więcej tak się czuję, jak skoczek, który cztery razy zrzucił poprzeczkę i po raz piąty próbuje tej samej wysokości. Mam jednak nadzieję, że tym razem „wyrobię!”

Jaki powód tych trudności? Aż wstyd pisać, bo powód jest banalny, „oklepany” i przez wszystkich zawsze podawany na usprawiedliwienie zaległości: brak czasu! Jeżeli jednak uda

mi się dobrnąć tym razem do końca, to udowodnię Wam niezbiecie, że to nie pozór tylko, ale naprawdę trudność zmieszczenia się w czasie.

W ostatnim liście obiecywałem, że na przyszłość postaram się opisać życie na misji, konkretnie, nasze życie tutaj w Martyazo.

W miesiącach lipcu i sierpniu program naszych zajęć był odmienny od zwyczajnego, nie tylko za względu na wakacje w szkole i katechumenacie, ale także ze względu na to, że w lipcu Maks był nieobecny parę tygodni, a w sierpniu przez dwa tygodnie ja byłem w Buta koło Bururi, gdzie w Niższym Seminarium miało miejsce zgrupowanie całej naszej polskiej jednostki. Odprawialiśmy też wówczas swoje roczne rekolekcje.

Teraz, we wrześniu rozpoczął już funkcjonowanie katechumenat i za tydzień rozpocznie się szkoła, a także my dwaj jesteśmy na miejscu. Oczywiście tego, że jesteśmy „na miejscu” nie należy rozumieć zbyt dosłownie, bo np. w ciągu całego września był dotychczas jeden dzień, gdy byliśmy razem w Martyazo i do końca miesiąca dni takich będzie najwyżej dziesięć, a może tylko osiem.

Najpierw ja byłem „w terenie”. Ostatniego sierpnia rano wziąłem plecak i kij i razem z kucharzem udaliśmy się pieszo przez górskie ścieżki do odległej o kilkanaście kilometrów Kigaragaty. Po południu przyszło też dwóch tragarzy, którzy na głowach przynieśli żywność na cztery dni, rzeczy do Mszy św., trochę książek itd. Przez cały czas mego pobytu przy tym filialnym kościółku miałem oczywiście codziennie rano Mszę św. z krótkim kazaniem, spowiadałem rano i po południu, przyjmowałem różnych interesantów, zapisywałem dzieci do chrztu itp. w niedzielę na zakończenie miałem dwie Msze św. i ochrzciłem dziesięcioro dzieci. Były jeszcze wakacje, więc nie miałem zajęć w katechumenacie ani w szkole. Zwykle bowiem przyjeżdżający na filię misjonarz wizytuje codziennie katechumenat i szkołę, przeprowadzając osobiście lekcje religii w szkole i mając nauki dla katechumenów. Pod nieobecność misjonarza wszystko to czynią katechiści, którzy także w niedzielę przewodniczą wspólnym modlitwom wiernych. Tutaj dodam, że Kigaragata jest jedną z tych szczęśliwych filii naszej misji, gdzie zostało przy życiu dwóch katechistów. W większości filii nie został ani jeden katechista.

Są jeszcze katechiści w Kasongati, jednej filii, do której można dotrzeć samochodem; ale gdy Maks był tam niedawno, to zastał zaledwie kilkunastu ludzi, gdyż prawie wszyscy, którzy zostali przy życiu, puciekali wraz z rodzinami do pobliskiej Tanzanii.

W Kigaragacie, przeciwnie, tylko bardzo nieliczni uciekli, choć wymordowano wielu. Wyobraźcie sobie, że z dziesięciorga niemowląt, które tam chrzciłem, siedmioro straciło ojca. Poza Kigaragatą i Kasongati jest tylko jeszcze jedna filia, gdyż aktualnie znajduje się katechista. Pozostałych kilka filii jest bez katechistów i trzeba myśleć o jakimś przygotowaniu nowych i zorganizowaniu na nowo katechumenatu.

Właśnie będąc w Kigaragacie, zacząłem po raz trzeci pisać list. Zwykle o zmierzchu, czyli około godz. 18.00 kończyło się spowiadanie i martwa cisza zalegała wokoło. Wtedy to planowałem wykorzystać czas na pisanie, ale też codziennie przeszkadzało mi kazanie dnia następnego, które domagało się przygotowania i nie pozwalało o czym innym myśleć.

W niedzielę, po drugiej Mszy św., wyruszałem z powrotem i po dwóch godzinach spiesznego marszu wróciłem do Martyazo na obiad, by zaraz potem pojechać z Maksem do Makamby, pożegnać wyjeżdżającego na urlop do Europy Pluma. Maks wrócił wieczorem, a ja nazajutrz udałem się okazją do Bururi, by od ekonoma generalnego diecezji wyprosić rzeczy dla

pomocy pogorzelcom i obrabowanym. Powiodło mi się bardzo dobrze, ale rzeczy jeszcze nie są na miejscu, gdyż są wielkie trudności z transportem. Ja też nie mogłem się doczekać z Bururi na okazję w kierunku południowym, wybrałem się wreszcie pieszo, przez góry do Martyazo. Oczywiście nie myślicie, że szedłem pieszo przeszło sto kilometrów. Na krótsze przez góry jest o wiele bliżej, choć i tak szedłem około siedmiu godzin. Pierwszy raz szedłem tą drogą. Przed wejściem w skały spotkałem grupę kobiet, które dziwiły się, że sam wybieram się w *amabuye*, czyli skały.

Gdy się potem tam znalazłem i prze dwie do trzech godzin szedłem w zupełnie „nieziemskim” otoczeniu, to zrozumiałem ich zdziwienie. Widok „księżycowego cmentarzyska”. Ścieżka mało uczęszczana (najlepszy dowód, że przez parę godzin nie spotkałem ani jednego człowieka), czasami gubi się zupełnie w terenie, by potem ukazać się bardziej wyraźnie na pocięgę, że się jest na właściwej drodze. Prowadzi ona wśród skał i skałek o najdziwniejszych kształtach. Stwarza to wrażenie, że jest się na jakimś nieograniczenie wielkim cmentarzu, gdzie nagromadzono dziesiątki tysięcy najrozmaitszych nagrobków. To wrażenie potęguje jeszcze iście grobowa cisza i brak wszelkiego znaku życia. Gdy po tych paru godzinach dość stromym, ale łatwym zejściem zszedłem do doliny Kiyazi, już na terenie naszej misji, i gdy spotkałem pierwszych ludzi, to poczułem się jak kosmonauta po powrocie na ziemię.

Powiecie jednak, moi drodzy, dlaczego ty opisujesz wycieczki, zamiast opisywać program twoich zajęć misjonarskich. Otóż myślę, że mam prawo o tym pisać, gdyż stanowi to też część tego programu. Wiecie, że zawsze lubiłem wędrować i teraz cieszę się, że mogę przyjemne z pożytecznym łączyć. Taka wyprawa na filię jest dla mnie naprawdę fantastycznym biwakiem. Cieszę się też, że nie mając samochodu, zmuszony jestem od czasu do czasu do dalszych wycieczek; choć z drugiej strony przydałby się bardzo samochód, zwłaszcza bagażówka, gdyż rozwiązałoby to wiele problemów z transportem, choćby na przykład rzeczy i żywności dla bezdomnych. Zaczynam nawet ostatnio łamać sobie głowę w jaki sposób wejść w posiadanie jakiegoś „grata”. Gdybym jednak miał do dyspozycji samochód, to i tak zostanie konieczność (przyjemna konieczność!) wędrowania pieszo. Takie wędrowanie pieszo jest nie tylko okazją do kontynuowania harcerskich przyzwyczajeń, ale także do nawiązania kontaktu z ludnością.

Jest powszechnie przyjęte, że po drodze wstępuje się do zagród, by zamienić parę słów, zapytać o zdrowie itd. Ludzie bardzo cenią sobie takie odwiedziny. Można się też przy okazji dużo nauczyć. Ze spotkanymi ludźmi też obowiązkowo należy się przywitać, zapytać o zdrowie, zapytać o nowiny. To wszystko odpada, gdy się podróżuje samochodem. Przechodniów pozdrawia się wówczas tylko gestem ręki.

Bywają czasem turyści, którzy przybywają tu na parę tygodni i przez cały ten czas nie wychodzą z samochodu. Po takiej podróży mają oni tylko pojęcie o kiepskich tutejszych drogach i nic więcej.

Opowiadano mi, że bywają ludzie, którzy się dziwią, że w niektórych okolicach i to na dodatek w niektóre dni ludzie uciekają w popłochu przed jadącym samochodem, a innym razem nawet biegną w kierunku samochodu, by pozdrowić przejeżdżających. Mógłby ktoś pomyśleć i rzeczywiście niektórzy tak sądzą, że w jednych okolicach ludzie są bardziej „dzicy” i uciekają, w innych bardziej „oswojeni”. Można by nawet mniemać – choć nie wiem,

czy komuś takie tłumaczenie przyszło do głowy – że jakieś zabobony każą ludziom bać się w jedne dni i nie bać w inne.

Otóż, jeżeli ktoś szedł pieszo drogą jezdnią i mijał jadące samochody, to bardzo rozumie to dziwne zachowanie się ludzi i sam się też do niego stosował. Za samochodem ciągnie się gęsty warkocz czerwonego pyłu i byłoby śmiesznym heroizmem nie uciekać i nie zakrywać sobie twarzy, czym kto może, dlatego tylko, by nie wywoływać u przybyszów uśmiechu politowania nad „ciemnotą dzikich tubylców”. Oczywiście, po deszczu nie ma pyłu, więc każdy śmiało pozdrawia jadących. Ojej! Gdzie ja zajechałem? Pieszo wracam natychmiast do Martyazo i zgodnie z programem na wrzesień zostanę tu do końca miesiąca.

W drugiej połowie miesiąca Maks przebywa poza domem. Teraz jest w Bujumburze, a w następnym tygodniu idzie na dwie filie. Wróci w ostatnią niedzielę miesiąca i ostatni tydzień spędzimy wspólnie na misji, z tym, że ja tylko jeszcze na jeden dzień mam pójść do średnio oddalonej filii Kiderege, by tam na miejscu zorientować się w sytuacji i zbadać teren. Nie mam też żadnego katechisty, nie wiadomo ilu ludzi zostało i nie wiadomo w jakim stanie jest kościółek i reszta.

Na pewno mi współczujecie, że zostawszy tak zupełnie sam na misji, nudzę się. Ale niestety, nie mam czasu na nudzenie się.

Wstaję zwykle rano po szóstej, i o siódmej odprawiam Mszę św. w kościele. W czasie Mszy św. należy powiedzieć krótkie kazanie, czy raczej homilię, którą trzeba w przeddzień wieczorem przygotować. Czasem, gdy jest niewielu ludzi w kościele, „ratuję się” tym sposobem: po przeczytaniu Ewangelii zapowiadam, że „teraz w milczeniu przez chwilę, sami zastanówmy się nad treścią odczytanego Słowa Bożego”.

Po Mszy św. spowiadam. Zwykle jest kilkunastu penitentów, czasem tylko paru, a czasem trzydziestka i więcej. Po śniadaniu do obiadu zostaję u siebie i przyjmuję interesantów. Trzeba będzie też w tym czasie mieć lekcje w katechumenacie i w szkole, ale na razie tutaj jeszcze tego nie rozpocząłem. Dopiero parę dni, jak po tych wypadkach politycznych na nowo rozpoczął funkcjonować katechumenat w Martyazo.

Jeśli chodzi o interesantów, którzy przychodzą także po obiedzie, aż do zmierzchu, są bardzo rozmaici, w różnych sprawach, ale najczęściej są to ludzie proszący o jakieś lekarstwo. Prawie wszyscy ludzie chorują tu na pasożyty przewodu pokarmowego, bardzo, bardzo wielu, zwłaszcza dzieci, chorują na różnego rodzaju owrzodzenia po całym ciele, wiele też jest przypadków zranień i oparzeń.

Rzecz ciekawa, że Murzyni nie są tak jak biali wrażliwi na gorąco i zimno. Chwycić na przykład w rękę garnek z wrzątkiem i to nie jakoś tam ostrożnie za brzeg, tylko za dno, które stało co dopiero na ogniu, nie przedstawia żadnej trudności, tak samo wszyscy zakrystianie, a także siostry zakonne (czarne) w ten sposób gaszą świece, że po prostu spokojnie i bez pośpiechu zaduszają płomień w palcach. Śmieją się też powszechnie Murzyni z białych, gdy ci ostatni „skaczą jak oparzeni”, gdy się czasem oparzają. Skutek tej wrażliwości jest jednak często taki, że dziecko poparzy się do tego stopnia, iż skóra jest zupełnie spalona i dopiero wówczas zaczyna płakać, albo nawet jeszcze nie! Ponieważ tutaj w Martyazo do najbliższego lekarza w Bururi jest przecież daleko, a i do różnych pielęgniarek i felczerów też niezbyt blisko, dlatego też ludzie często przychodzą na misję prosić o pierwszą pomoc. Szkoda naprawdę, że mam tak mało pojęcia o tych sprawach.

Pytało się kilku z Was jak wygląda służba zdrowia w Burundi. Według statystyki z roku 1968 sprawa wygląda następująco: Ludność liczy około 3 i pół miliona. Jest 21 szpitali i 98 przychodni, 61 lekarzy, 4 dentystów, 3 farmaceutów, 22 położne, 591 pielęgniarek wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych.

Trzeba jednak wiedzieć, że ta służba zdrowia funkcjonuje dość dobrze w stolicy, gdzie znajduje się przynajmniej jedna trzecia albo może nawet połowa całej liczby lekarzy. Ludzie w buszu zwłaszcza tutaj na południu kraju, są praktycznie pozbawieni wszelkiej opieki lekarskiej; żeby zaś chorego poważnie dostarczyć do przychodni w celu uzyskania pomocy felczera czy pielęgniarki, są zmuszeni nieść go na plecach czasem dziesiątki kilometrów. (...)

Polecam Was wszystkich Bogu.

Bardzo mocno pozdrawiam i ściskam wszystkich.

Wasz brat Jan Kanty

ROK 1973

12. Otwarcie nowej misji w Musongati.

Mureke, 3 listopada 1973r.

Najmilsi!

Ponieważ już żadną miarą nie mogę dłużej zwlekać z listem do Was i ponieważ jeszcze nie mam odpowiednich warunków do napisania „uczciwego” listu, dlatego podam Wam „streszczenie ważniejszych wiadomości” albo „przegląd ważniejszych wiadomości w skrócie”, jak przed dziennikiem czynić zwykły wszystkie radiostacje. Będę się starał, żebyście na ten dziennik nie czekali zbyt długo.

Z góry przepraszam, że w takim układzie o sobie tylko i o naszym podwórku będę pisał. Ale otrzymuję listy z pytaniami, a niektórzy z Was „daliby sobie głowę uciąć, że widzieli mnie w Poznaniu na ulicy”. Żebyście więc wiedzieli, że nadal jesteśmy w Burundi, i że nam się tutaj bardzo dobrze powodzi, podzielę się wiadomościami z mojego kalendarza.

Ostatni mój list zakończyłem wiadomością, że na miejsce o. Sylwana do Bukirasazi miał przyjechać o. Kamil, ale nie przyjechał!

Dnia 3 czerwca spotkaliśmy się wszyscy w Mpindze z biskupem Martinem i nowym biskupem Joachimem w Ruhuną, który zarządza nowo utworzoną diecezją Ruyigi, do której to diecezji została przyłączona Mpinga. (W obecnej chwili biskup Martin nie zarządza już diecezją Bururi; zrzekł się, został mianowany jego następca, a on będzie pracował duszpastersko jako wikary misji innej diecezji).

W ową niedzielę 3 czerwca zdecydowano w Mpindze, że trzeba na terytorium Mpingi otworzyć nową misję w Musongati i za radą obydwóch biskupów zdecydowaliśmy się wycofać z Bukirasazi i zająć się utworzeniem misji w Musongati. Biskup Ruhuna więc „kupił nas” u arcybiskupa Makarakizy za całą, sześciuosobową ekipę misjonarzy hiszpańskich, którzy zostali posłani na nasze miejsce do Bukirasazi.

27 sierpnia jako ostatni (po o. Kasjanie, który miesiąc wcześniej pojechał do Mpingi) opuściłem Bukirasazi i udałem się do Mpingi, gdzie chwilowo zgromadziliśmy się wszyscy, z wyjątkiem o. Kamila, który nadal pozostawał na misji w Rutanie, w diecezji Bururi.

13 września, po kilkunastu dniach dość intensywnych przygotowań, zakupów itd. udaliśmy się do Musongati: br. Sylwester i ja. Ja zamieszkałem tam już na dobre, a br. Sylwester po paru dniach wrócił do Mpingi. Należy on bowiem do tamtejszej „ekipy”, a do nas przyjechał wówczas i nadal przyjeżdża czasem, by nam oddać nie ocenione usługi stolarskie, dekarские, murarskie, malarskie, artystyczne wszelkiego rodzaju.

Stałą naszą ekipę w Musongati, poza mną stanowi, przybyły do Musongati w dniu 17 września br. Marceli i przybyły tu 8 października o. Kamil. Wszyscy pozostali karmelici są obecnie w Mpindze.

Formalne otwarcie nowej autonomicznej misji nastąpi 6 stycznia, czyli za dwa miesiące.

Wiele czasu zajmie nam „urządzanie się”. Zbudowaliśmy mały, trzy izbowy domek, w którym już mieszkamy wszyscy trzej. Pierwsze dni mieszkaliśmy z br. Marcelim w jeszcze mniejszym starym domku stacji misyjnej. Obecnie mamy tam jadalnię oraz pokój gościnny. Szczegółowo nasze życie zamierzam opisać następnym razem.

Codziennie głosimy krótkie kazania – homilie na Mszy św., spowiadamy, obsługujemy 5 stacji misyjnych. Obecnie właśnie znajduję się w Mureke, najbardziej od Musongati oddalonej stacji. W ubiegłą środę rano wyjechałem z Musongati w chwili, gdy o. Kamil podczas Mszy św. błogosławił związek małżeński. Pojechałem do stacji misyjnej Shange, by przygotować ludzi na święto Wszystkich Świętych. Tamże „odprawiłem” Wszystkich Świętych i w Dzień Zaduszny, po Mszy św., przyjechałem tutaj. Dwa dni (wczoraj i dziś) spowiadałem, byłem u paru chorych (dzisiaj nawet bardzo daleko w górach, wróciłem w deszczu).

Jutro odprawię dwie Msze św. i wrócę w południe do Musongati, by zaraz po obiedzie jechać do Bujumbury. Jest bowiem nadzieja, że tam, w Ambasadzie Amerykańskiej, (ściślej w „Catholic Relief Services” przy ambasadzie) da się uzyskać pomoc finansową na budowę nowej misji. Przy okazji z Bujumbury wyślę jutro niniejszy list.

Dnia 6 grudnia, a więc za miesiąc, przybędą do Burundi dwie pierwsze Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus z Polski, które również – po stażu i nauce kirundi – pracować będą w Musongati. Dwie następne siostry są już we Francji dla nauki francuskiego i innych rzeczy, przydatnych na misjach i niebawem też tutaj przybędą.

Cóż więcej w skrócie?

Jesteśmy wszyscy zdrowi. Nic nam nie grozi. „Dzikie zwierzęta” nas nie atakują, choć na terenie misji Musongati (właśnie tutaj niedaleko) są nawet lwy! Pracy mam dosyć, jesteśmy zadowoleni. Módlcie się jeszcze, żeby Pan Bóg był też z nas zadowolony.

Ja zawsze modlę się za Was i polecam Was Bogu.

Yohani wa Kenty

ROK 1974

13. Rekolekcje Wielkopostne.

Shanga, 7 marca 1974r.

Kochani!

Już nie będę więcej w mych listach, przynajmniej na razie, zapowiadał, że „napiszę niebawem”, bo nikt z Was mi w to nie uwierzy i nie przepraszam już, że dawno nie pisałem, gdyż to już bardzo nudne i zupełnie nieciekawe.

Zaczynam więc inaczej: donoszę Wam, że żyję i że mam się naprawdę bardzo dobrze! (...) Wbrew wszelkim pogłoskom, nie byłem od 1971 roku w Polsce ani w ogóle w Europie, czy na jakimkolwiek innym kontynencie poza Afryką. Poza Burundi byłem tylko 3 dni w Kenii, w styczniu ubiegłego roku, o czym kiedyś wspominałem. Wbrew też niektórym przypuszczeniom, nie przejadł mi się jeszcze chleb misjonarski (mam go tyle, że nie mogę nadążyć jeść!) i nie zamierzam pakować manatków. Zamierzam Was odwiedzić i przyjechać na kilkumiesięczny urlop, ale jeszcze nie w tym roku.

W liście z listopada ubiegłego roku pisałem Wam, że na początku stycznia roku bieżącego miało nastąpić otwarcie naszej nowej misji w Musongati. Tak się też stało. Od 6 stycznia nie stanowimy już stacji misyjnej Mpingi, lecz sami stanowimy misję z podległymi nam stacjami. Stacji tych jest sześć. Pięć należało przedtem do Mpingi, a jedna, do sąsiadującej z nami, znanej Wam Bukirasazi. Najbardziej oddalona stacja znajduje się w odległości 33 km od Musongati. Teren misji obejmuje grzbiet górki z przyległościami o długości około 50 km i szerokości 15 – 20 km. W dużej części tenże grzbiet górki jest działem Wód Oceanu Atlantyckiego i Morza Śródziemnego.

Ciekawostka: gdy w Musongati pada deszcz, to z zachodniej części dachu naszego kościoła woda spływa do Morza Śródziemnego, a ze wschodniej jego części do Atlantyku! (Ci z Mpingi zazdroszczą nam tego, gdyż od nich – Mpinga znajduje się na wschód od Musongati – wszystka woda płynie do Atlantyku!) Ma to dużo uroku i tak na serio nie zazdrościmy tym z Mpingi. Mieszkamy w maleńkim domku z małą zagrodą, opłotowanym na sposób murzyński. Kościół mamy bardzo prymitywny, w większej części z gliny, choć dość solidnie pokryty. Był to nie najgorszy kościół jak na stację misyjną, ale nie może to być kościół centralny misji. Z konieczności będzie musiał jeszcze parę lat służyć. Przez braci Marcelego i Sylwestra został on przyprowadzony do porządku, ale glina została gliną, klepisko – klepiskiem itd. Biskup skrobie się po głowie, skąd wziąć pieniądze na budowę nowego kościoła, a my mu w tym skrobaniu się pomagamy.

Obecnie przygotowujemy się do budowy solidniejszego domu samej misji z mieszkaniem dla nas, z biurkami, salami, kaplicą itd. W obecnych warunkach, ze względu na brak pomieszczenia, musimy sami z o. Kamilem prowadzić wszelkie sprawy biurowe naszej misji, gdyż sekretarz nie miałby gdzie się podziać. Jest to dość uciążliwe, gdy się zważy, że na terenie misji mieszka około 25 tysięcy ludzi, z czego około 10 tysięcy chrześcijan jest zarejestrowanych nie tylko w księgach chrztów, bierzmowania i ewentualnie małżeństw, ale także w szczegółowej kartotece wszystkich rodzin. Każdy chrześcijanin ma swoją legitymację, którą często gubi i przychodzi na misję po nową. Czasem bardzo dużo zajmuje takie wypisywanie nowych legitymacji, gdy np. petent zmienił miejsce zamieszkania, a nie powie tego wyraźnie, bo przecież *Padri* powinien sam to wiedzieć! Inny zmienił sobie imię – jest to dość pospolite – i dziwi się, jak to możliwe, że wszyscy wołają go już po nowemu, a on jeszcze pod starym imieniem figuruje w księgach misyjnych.

Wszystkich tych ksiąg i kartotek nie musimy tworzyć od nowa, gdyż otrzymaliśmy je w spadku z Mpingi i Bukirasazi, ale ciągle trzeba poprawiać, ciągle wpisywać nowe dane, a także nowe osoby po chrzcie katechumenów.

Pierwszy chrzest katechumenów odbył się w naszej nowej misji dnia 12 stycznia, ale o tym za chwilę.

W najbliższej przyszłości mamy też wybudować dom dla naszych sióstr, z których dwie od trzech miesięcy są już w Burundi i na kursie w Muyange zdobywają znajomość języka kirundi, dwie następne są już we Francji i niebawem spodziewamy się ich w Burundi, następne zaś dwie siostry w Polsce jeszcze przygotowują się do pracy na misji w MUSONGATI!

Następnie, trzeba koniecznie wybudować szkoły, gdyż „budynki” sześciu klas tutejszej szkoły podstawowej misyjnej są takie, jakich naprawdę na żadnej misji w Burundi nie widziałem. Trzeba też wybudować przychodnię lekarską, w której będą pracowały siostry. „Szkółkę gospodarstwa domowego” dla sióstr (oczywiście nie siostry będą się uczyły, lecz nauczały młode „tubylczynie”), pomieszczenie dla katechumenatu itd. itd.

Zapytacie: skąd my na to weźmiemy pieniądze? Ja też nie wiem! Jeśli macie „bogatyh wujków w Ameryce”, to piszcie do nich, że mają okazję do dobrych uczynków!

Jeśli chodzi o wydarzenia ostatniego okresu, wspominałem już, że w niespełna tydzień po otwarciu naszej misji, ochrzciliśmy pierwszych katechumenów. Było ich wszystkich 37. Ten chrzest poprzedziły trzydniowe rekolekcje. Wszyscy katechumeni zdali egzamin po przynajmniej czterech latach nauki w katechumenacie (2 razy tygodniowo po dwie do trzech godzin). Inni, którzy nie zdali egzaminu, będą pytani znowu za pół roku. – Chociaż chrzcilem już dorosłych w Mabandzie i w Bukirasazi, to jednak ten chrzest tutaj, pierwszy na nowej misji, przeżyłem dość mocno. Módlcie się za tych naszych pierwszych chrześcijan!

Tydzień później, 20 stycznia, przystąpiło do uroczystej Komunii św. czterdzieści dzieci. One też przygotowywały się do tego przez trzydniowe rekolekcje.

W styczniu musieliśmy w dwójkę z o. Kamilem przepytac wszystkich katechumenów, także tych z niższych klas. Tylko ci, którzy zdali, przechodzą na wyższy rok. Inni za pół roku będą powtarzali egzamin. Jeśli wówczas zdadzą, to wtenczas pójdą na rok wyższy i po całorocznej nauce na tymże poziomie, będą mogli zdawać następny egzamin i tak dalej, aż do chrztu.

Podobnie też w styczniu egzaminowaliśmy dzieci rodziców chrześcijańskich. Dzieci te zdają egzaminy z nauki wiary na podobnej zasadzie jak katechumeni. Czasem nawet, gdy jest ich niewiele przy stacji misyjnej, uczą się one wspólnie z katechumenami.

Jak więc widzicie, w styczniu nie cierpieliśmy na bezrobocie! To pytanie zresztą przeciągnęło się trochę i na luty, a w drugiej połowie lutego zaczęliśmy już rekolekcje na stacjach misyjnych i w Musongati, rekolekcje „wielkopostne”, choć zaczęte wcześniej, gdyż inaczej nie zmieścilibyśmy się w czasie. I tak po Świątach zostanie nam jedna stacja misyjna, ta, którą w ostatnim czasie przekazano nam z Bukirasazi. To przekazanie miało się dokonać dopiero po Wielkanocy i dlatego w naszych planach wielkopostnych nie wzięliśmy tejże misji pod uwagę, a teraz już czasu ani chwilki do Wielkanocy nie znajdziemy.

Od poniedziałku 4 marca jestem na stacji misyjnej w Shanga. Odległej od Musangati o 23 km. Zostanę tutaj do niedzieli 10 marca. Nazajutrz rano, w poniedziałek 11 marca, o. Kamil pojedzie do tej najbardziej odległej stacji i zostanie tam też cały tydzień do niedzieli 17 marca. 18 marca ja z kolei pojadę do Nyanzy, tej stacji, o której wspominałem kiedyś w

pierwszym liście z Afryki. Jest to pierwsza stacja misyjna, jaką widziałem w Burundi. Obecnie znajduje się ona na terytorium naszej misji. Zostanę tam też do niedzieli 24 marca. Potem od 25 do 28 marca przewidujemy małą przerwę w głoszeniu rekolekcji i krótki odpoczynek. Od 29 zaś do 31 marca rekolekcje w Musongati dla młodzieży. „Ciąg dalszy nastąpi” w kwietniu: od pierwszego do Wielkiego Czwartku włącznie. Po Wielkanocy odpoczniemy sobie porządnie!

Może jesteście ciekawi, w jaki sposób przeprowadza się takie rekolekcje? Nie ma oczywiście ściśle określonych norm, ale wszyscy mniej więcej podobnie to robią. Napiszę Wam, jak ja to robię i to konkretnie tutaj w Shandze.

Zapowiedziałem już na ostatnim zebraniu wszystkich naszych katechistów (25 lutego), że w Shandze rekolekcje odbędą się od 4 do 10 marca. Wszyscy też katechiści otrzymali wypisany na maszynie program całej naszej działalności w miesiącu marcu. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy w poniedziałek rano w Shandze nie zastałem nikogo. Kościół był zamknięty, ani wiernych, ani katechistów! W miejscowej, pięcioklasowej szkole misyjnej najspokojniej uczyły się dzieci, mimo że to one właśnie, wraz ze wszystkimi poza szkolnymi dziećmi, winny były przyjść na rekolekcje.

Po chwili zjawił się jakiś dziadek mieszkający w pobliżu. Zapytałem, czy jest chrześcijaninem i czy był poprzedniego dnia na nabożeństwie niedzielnym, odprawianym przez katechistów.

- Tak.

- Czy katechista zapowiadał, że dzisiaj zaczynają się tutaj rekolekcje?

- Zapowiadał, że zaczną się w poniedziałek za tydzień.

Zwątpilem. Czyżbym pomylił się, kopiując program wszystkich rekolekcji?

- Czy katechista czytał z papieru czy mówił z pamięci?

- Mówił z pamięci.

Tymczasem z pobliskiej zagrody przyniesiono klucze od kościoła. W kościele przy ołtarzu znalazłem przeze mnie pisaną kartkę z programem. Napisane poprawnie i jasno: od 4 do 10 marca - rekolekcje w Shandze, w poniedziałek i we wtorek – dzieci.

Cóż, złośczenie się na niesolidność na nic by się nie przydało. Taka skłonność do braku porządku jest tutaj cechą ogólnonarodową, albo raczej ogólnokontynentalną. Gra to dosyć na nerwach, zwłaszcza wówczas, gdy „psuje robotę”. Przypominam sobie, że kiedyś w Bukirasazi pojechaliśmy do odległej stacji misyjnej na spowiedź, bodajże w Adwencie i na miejscu dowiedzieliśmy się, że ludzie nic o niczym nie wiedzą. Potem dziadek Cyprian stwierdził, jakby nigdy nic, że zapomniał zawiadomić katechistów.

I to nie jest wypadek odosobniony, ale „normalny” sposób podchodzenia do sprawy. Ze wszystkich Burundczyków, których znam, łącznie z księżmi i biskupami, chyba jedyny nasz obecny biskup jest pod tym względem nadzwyczajnym wyjątkiem! To nas naprawdę cieszy!

Jeszcze inny przykład już z Musongati. W ministerstwie rolnictwa w Bujumburze przyznano nam 5 hektarów terenu na misję w Musongati. Polecono władzom prowincjonalnym wyznaczyć granice terenu. Przyjechał urzędnik, odpowiadający rangą naszemu przewodniczącemu wojewódzkiej rady narodowej, tylko obdarzony o wiele większą odpowiedzialnością, bo nie przewodniczy na „radzie”, ale sam osobiście decyduje. Pomierzono teren i określono granice. Obecnemu na tej „imprezie” mierniczemu tenże „wojewoda” poleca zrobić dokładne plany terenu. Zwracam uwagę, że w ministerstwie radca

prawni wyjaśnił mi, że takie plany nie są wymagane, że wystarczy bardziej staranny szkic, wykonany przez kogokolwiek. Wówczas nasz „wojewoda” odpowiada, że to nic nie szkodzi, że takie plany zawsze się mogą przydać, a więc niech mierniczy je robi, a on (czy raczej jego urząd) pokryje wszystkie koszty. Powiedział to publicznie wobec kilkunastu innych „osób urzędowych”. Mierniczy zrobił plany i zażądał 50 dolarów za jeden dzień pracy! „Wojewoda” poczuł się nieswojo i po kilku dniach przysłał do mnie uprzejmy list, żebym zapłacił rachunek, że cena ta nie jest wygórowana. Nie odpowiedziałem na list, nie wziąłem planów od mierniczego i oczywiście nie płaciłem. Gdy widziałem się później z ekonomem generalnym naszej diecezji i opowiedziałem mu tę historię, tenże odpowiedział mi bez odrobiny zdziwienia: „niech się ojciec nie dziwi, tacy są tutejsi urzędnicy i to nie tylko państwowi, to jest zwyczajny sposób załatwiania sprawy.” Uradziliśmy, że mierniczemu proponujemy kupno planów za znacznie niższą cenę. Chyba się zgodzi!

Ale po co ja to wszystko piszę? – Może dlatego, żebyście nie myśleli, że mamy takich „lewych” katechistów. To są ludzie prości, więc trzeba im więcej wybaczyć! Choć prawdę mówiąc, „ludzie prości” są tutaj (a chyba nie tylko tutaj) o wiele bardziej solidni, a w każdym razie o wiele bardziej uczciwi!

A więc w poniedziałek rano w Shandze, zamiast się pieklić, uśmiechnąłem się pięknie (!?) i powiedziałem słodko: „*n’uko bigenda*”, co odpowiada mniej więcej naszemu „no cóż, trudno się mówi”. Przeprosiłem nauczycieli w szkole i zabrałem dzieci do kościoła. Przedtem jeszcze wniosłem przywiezione rzeczy do pokoiku. Nie był on tym razem pięknie wysprzątnięty, gdyż spodziewano mnie się dopiero za tydzień. Zająłem się dziećmi, oczywiście tylko tymi szkolnymi, a przez nie zawiadomiłem resztę wiernych, że rekolekcje odbywają się teraz: we wtorek jeszcze dzieci szkolne i pozostałe, w środę i czwartek – mężczyźni i starsi chłopcy, w piątek i sobotę kobiety i starsze dziewczęta.

Rekolekcje te odbywają się w ten sposób – i to jest tu powszechnie praktykowane, że odbywający je przez całe przedpołudnie zostają na misji, czy przy stacji misyjnej. W program dnia wchodzi dwie do trzech nauk rekolekcyjnych, różaniec, droga krzyżowa, spowiedź, załatwianie spraw „biurowych”, jak wypisywanie nowych legitymacji, wpisanie każdemu do legitymacji, że odprawił tegoroczne rekolekcje, przyjmowanie ofiar wiernych. Nie wiem, czy wiecie o tym, że z zasady nie zbiera się tutaj składki podczas Mszy św., lecz każdy dorosły chrześcijanin raz w roku składa ofiarę. Przewidziana wysokość tej ofiary: mężczyzna – 50 franków burundyjskich, czyli tyle, ile w ciągu dwu dni zarabia najgorzej płacony robotnik. Kobiety, panny i chłopcy płacą po 30 franków na rok. Te ofiary najczęściej ludzie przynoszą podczas rocznych rekolekcji. Nie mają one większego znaczenia dla budżetu misji, nie wystarczają nawet na zapłacenie katechisty, ale mają uwrażliwić ludzi i wychowywać do odpowiedzialności za wspólną sprawę Kościoła.

Program dnia podczas rekolekcji różni różnie rozkładają. Ja w tym roku robię tak, że zaczyna się dzień od różańca, następnie pierwsza nauka. Potem jem śniadanie, spowiadam i przyjmuję interesantów. Około południa - druga nauka, Msza św. z krótką homilią i Droga Krzyżowa. Po południu ludzie wracają do domów, ale co chwilę ktoś przychodzi do spowiedzi, czy z innymi sprawami. Wtedy też, jeśli czasu starczy, wspólnie z katechistami przegląda się kartoteki chrześcijan.

Z zachodem słońca o godzinie 18.00 zapada grobowa cisza i człowiek ma czas dla siebie. Jednakże, jeżeli się zważy, że często jest jeszcze dużo spraw biurowych do zrobienia, że na „głowie leżą” jutrzejsze rekolekcje, to tego wolnego czasu nie ma zbyt wiele.

W ubiegłym roku, wieczorami, w czasie rekolekcji na stacjach misyjnych przeczytałem na nowo połowę Trylogii Sienkiewicza. Miałem wówczas o wiele więcej czasu. Na rekolekcje szło się albo jechało z sekretarzem misji i on załatwiał wszystkie sprawy biurowe. Tutaj, jak Wam wspomniałem, nie mamy jeszcze sekretarza misji. Zresztą chcemy skorzystać też z okazji, by osobiście lepiej wniknąć w te sprawy.

W tym roku na obecnych rekolekcjach jeszcze nic z „literatury lekkiej” nie wziąłem do ręki, a na poprzednich, pierwszych w tym roku rekolekcjach, przez dwa wieczory poczytałem tylko trochę Józefa Nyki „Przewodnik po Tatrach Polskich”! Obawiam się, że pomyślicie, iż zaszkodziło mi słońce afrykańskie. Być może, ale będąc daleko od naszych gór, nie chcę ich zapomnieć, tak, jak nie chcę zapomnieć tych wszystkich, z którymi w górach spędziłem wzniosłe chwile i jak nie chcę zapomnieć w ogóle Was wszystkich!

Zwykle na rekolekcje i w ogóle na *safari* (tym słowem z języka kiswahili określa się tutaj wszelkie podróże) misjonarze wybierają się w towarzystwie kucharza. O. Kamil i ja gotujemy sobie sami. Z początku była to konieczność, gdyż po prostu nie było kucharza. Teraz kontynuujemy ten sposób z dobrej i nieprzymuszonej woli. Gotuje sobie człowiek co chce (i co umie), kucharz nie siedzi „na karku”, a poza tym mamy pewną ideę: zaoszczędzony w ten sposób fundusz, przewidziany w budżecie misji przez diecezję, myślimy wykorzystać w czasie dwutygodniowych wakacji, np. na zorganizowanie wyprawy na Kilimandżaro! Czy nie warto?

Gotowanie na stacji misyjnej nie jest wcale uciążliwe. Ja na przykład robię tak, że zaraz po wstaniu rano gotuję kawę czy herbatę na całe przedpołudnie – pełny termos. Lekarze polecają dużo pić w tutejszym klimacie. Obiad gotowany to np. ziemniaki, makaron, zupy w proszku, groch, jajka gotowane, sadzone, jajecznica i na deser tutejsze owoce. Na kolację, jak i na śniadanie, chleb przywieziony z misji. Przy obiedzie gotuję też herbatę na całe popołudnie i wieczór.(...)

Zawsze na *safari*, ale szczególnie w czasie rekolekcji, jest wspaniała okazja do intensywnego wprawiania się w kirundi. Gdy przez cały tydzień człowiek nie może ani razu otworzyć buzi „na białło” ani po polsku, ani po francusku, a z kolei musi ją bez przerwy otwierać „po murzyńsku”, to nieraz można się przyłapać, że zaczyna się myśli, nawet całkiem nie czarne, formułować w kirundi.

Kończę na ten raz, bo mi już Was żal, a wszystkiego co mam do napisania i tak ani w tym liście, ani w żadnym następnym nie zdołam zawrzeć.

Nie sądzę, żebym przed Wielkanocą następny list napisał, więc już teraz przesyłam Wam wszystkim moje bardzo, bardzo serdeczne życzenia i zapewnienia o ciągłej o Was pamięci. Szczególnie będę pamiętał podczas Wielkoczwartkowej Mszy św., którą w Waszej intencji odprawię. Wierzę, że Wy także nie zapominacie modlić się za mnie i za nas!

Padri Yohani

LISTY I RELACJA

O. ELIASZA TRYBAŁY OCD

ROK 1971

1. Pierwsze zetknięcie się z ludem.

Muyange, 23 listopada 1971r.

Drogi Bracie Józefie!

Dziękuję serdecznie za list, za wiadomości z Ojczyzny. Każdą wiadomością z Polski dzielimy się wspólnie.

Co u nas słyhać? Mogę napisać, jak Ty: nic nowego. Uczymy się kirundi, odprawiamy Mszę św. w tym języku, i to wszystko. Raz wybrałem się ze Mszą św. na placówkę misyjną, odległą o 8 kilometrów. Szedłem na nogach całą godzinę. To było moje pierwsze zetknięcie się z ludem. Koncelebrowałem z innym księdzem o godz. 7.00 rano. Ludzi było dużo, najwięcej dzieci. Kaplica, w której odprawialiśmy, wygląda dość ciekawie. Składa się z jednej ściany i dachu, który chroni przed deszczem. Na środku stoi murowany ołtarz – to wszystko. Wielu starszych przychodzi na Mszę św. z małymi krzeselkami. Pieśni i części stałe Mszy św. śpiewał cały kościół, a najgłośniej dzieci.

W drodze powrotnej towarzyszyły nam dzieci. Szkoda, że nie mogłem z nimi rozmawiać, bo jeszcze za mało znam kirundi. Mamy teraz porę deszczową. Cały kraj jest zielony. Deszcze padają po południu. Jeżeli słońce świeci (teraz niebo jest często zachmurzone), to bardzo mocno, prosto na głowę. Noce w zasadzie są bezksiężycowe i spokojne. Słyszysz się tylko monotonne śpiewanie jakichś świerszczy. Od czasu do czasu spotykamy nowe rodzaje robaków, motyli, ptaków. Jaszczurek jest tu bardzo dużo, można je spotkać również w pokoju. Już nieco oswoiliśmy się z tymi zwierzątkami. Kiedyś zastaliśmy w mieszkaniu małego robaczka, który świecił w ciemności jak robaczek świętojański, tylko nieco silniej.

Szkoda, że nie mogę wysłać Ci zdjęć. Z tym mamy kłopot, ponieważ trudno przesłać kliszę. (...)

Serdecznie pozdrawiam i modlitwie się polecam.

Twój br. Eliaz k. b.

ROK 1972

2. Okres próby.

Rutana, 30 stycznia 1972r.

Kochany Bracie!

Piszę, nie czekając na odpowiedź od Ciebie, bo zaszły tu pewne zmiany. Twój list pewnie się gdzieś błąka, ja jestem teraz w Rutanie, a nie w Mpindze, jak to planowano na początku. Biskup radził, żeby każdy przez rok był na jakiejś misji całkiem sam, aby mógł poznać dobrze

języki i pracę. Gdy będziemy razem, to zawsze będziemy mówić po polsku i nigdy nie nauczymy się francuskiego. Dlatego więc ja i o. Leonard jesteśmy w Rutanie, oddalonej o 50 km od Mpingi. Widoki tu są wspaniałe i misjonarze, z którymi pracujemy, mili. O. Edmund pojechał do Butwe. O. Kamil został sam w Mpindze. Nie znam jeszcze języka, a przełożony już zapowiada, że od Środy Popielcowej musimy zacząć spowiadać wszystkich ludzi. Robię więc co mogę, żeby się przygotować do spowiadania, żeby jako tak porozumieć się z ludźmi. Codziennie wychodzę na drogę, aby rozmawiać z ludźmi. Na drodze można zawsze spotkać wielu ludzi. Ludzie są bardzo życzliwi, chętnie uczą języka, wytłumaczają trudne zwroty. Na razie niewiele z tego rozumiem. Tylko niektóre poszczególne słowa rozumiem.

Teraz nadszedł najtrudniejszy okres próby dla nas. Do tego czasu byliśmy razem. W tłumie można się ukryć, wymigać. Teraz każdy zdany jest na własne siły. Teraz trzeba pokazać, co się umie, nie da się powiedzieć: „idź za mnie, bo ty znasz lepiej francuski, bo ty masz większą odwagę, bo, bo...” O. Jan Kanty i o. Teofil pojechali do Muyange na kurs języka. Mój ziomek, o. Klaudiusz jest w Bukirasazi, małej misji w diecezji Gitega, około 50 km od Rutany. O. Sylwan jest w Makambie, o. Kasjan w Rumezie.

Jestem w miejscu nieco uprzywilejowanym, bo mamy tu pocztę, listy przychodzą dwa razy w tygodniu. Listy zaś z misji do misji przynosi Murzyn na głowie raz w tygodniu. Raz w tygodniu idzie z Mpingi do Bururi piechotą około 100 km. Ludzie tu są przyzwyczajeni do odbywania dalekich podróży. Wczoraj jeden z Ojców Białych mówił, że jakiś mężczyzna przyszedł do Rutany z Rutovu (40 km) kupić 1 litr benzyny, bo dowiedział się, że tu benzyna jest tańsza o 1 frank (tj. o około 1 zł).

Wczoraj o. Leonard odprawił Mszę św. i wygłosił (czytał) krótkie kazanie dla dzieci. Wprowadzono tu Mszę sobotnią dla dzieci jako obowiązek niedzielny. Okazało się bowiem, że w niedzielę przychodzi bardzo mało dzieci do kościoła. W niedzielę bowiem rodzice idą do kościoła, a dzieci muszą pilnować domu, czy paść kozy (rzadko krowy, bo w tym rejonie krów nie ma).

Niedawno odwiedził nas br. Sylwester. Bracia Szkolni z Rutovu są zadowoleni z niego. Wszędzie chwalą się, że br. Sylwester zrobił piękne szopki: w kościele parafialnym jedną, a drugą w kościele filialnym. (...)

Serdecznie pozdrawiam Ciebie i wszystkich Braci Kleryków.

Polecamy się Waszym modlitwom.

Twój br. Eliaz k. b.

3. Odpust w Rutanie.

Rutana, 19 marca 1972r.

Drogi Ojciec!

Dziękuję za list i za życzenia świąteczne. Wiem, że ojciec jest mocno zajęty swoją pracą, dlatego tym bardziej dziękuję za tę chwilę czasu, którą Ojciec dla mnie poświęcił, pisząc do mnie list. W modlitwie będę pamiętał, a szczególnie w Wielką Sobotę, gdy będę uczestniczył w świętych ceremoniach chrztu św. dorosłych, w tę „Świątą Noc”, gdy Chrystus zwyciężył i nadał naszemu cierpieniu i życiu wartość nadprzyrodzoną. Życzę więc Drogiemu Ojcu wielu

łask Bożych i zawsze młodzieńczego zapału w służbie Chrystusowi. Życzę także dobrego odpoczynku w czasie ferii świątecznych i dużo radości.

Jestem dziś w dobrym nastroju, dlatego i ten list jest w pogodniejszej barwie. Co u mnie słychać? Dobrze się czuję. Jak już pisałem Ojcu, powoli wciągam się w pracę misyjną, choć idzie to opornie. Nieznajomość języka mnie prześladowe. Uczę się jak mogę, ale jeszcze niewiele rozumiem z mowy w kirundi. Przy spowiedzi, jeżeli penitent nie komplikuje sprawy, daję sobie radę. Znam grzechy Rutany. Mimo to nie zawsze wszystko rozumiem, ale co robić. Ludzie są na ogół bardzo szczerzy i prości, chętnie uczą języka. Mam nadzieję, że w końcu się czegoś nauczę.

Dziś mamy święto odpustowe parafii: św. Józefa. Już wczoraj wieczorem przyszła młodzież z okolic, aby uczcić św. Józefa. Przyszli pieszo z daleka (40 km!). Jest ich około stu. O. Leonard, ich opiekun (jest to CHIRO, organizacja młodzieżowa) rozmawiał i śpiewał z nimi aż do północy. Spali w sali wprost na ziemi, a dziś już o godz. 6.00 śpiewali swoje pieśni. Są zadowoleni i uśmiechnięci, choć spędzą dziś cały dzień bez jedzenia. Czekają ich jeszcze powrotna droga: 40 km piechotą. Takie marsze dla nich są rzeczą zwyczajną. Np. raz w tygodniu idzie pieszo stąd do Bururi (65 km) chłopiec z listami, wraca w sobotę z pocztą. Do Mpingi chodzi inny, też raz w tygodniu, przeszło 100 km. Poczta niesie na głowie w blaszanej skrzyni.

Oprócz spowiedzi (jest tego dużo: rekolekcje wielkopostne), głoszę kazania i uczę się wciąż języka. Teraz postanowiłem przygotować krótką katechezę dla dzieci. Nie wiem, jak to wypadnie. O tyle mam dobrze, że mogę sobie pomóc trochę francuskim, bo dzieci znają francuski. Muszę także przejrzeć rytuał chrztu, bo już kilka razy pytał mnie przełożony, czy nie zechciałbym ochrzcić Murzyniaka. Czekają mnie jeszcze sakrament chorych, tzn. udzielanie sakramentu. Ale powoli.(...)

Od Niedzieli Palmowej br. Sylwester będzie w Mpindze razem z o. Kamilem. Teraz maluje kaplice pomocnicze. Ojcowie Biali są z niego zadowoleni. Nie wiedziałem, że ma takie talenty. O innych ojcach niewiele wiem. Spotkałem się tylko z o. Sylwanem, z o. Klaudiuszem i br. Sylwestrem. Te same problemy ich dręczą: języki. Trzeba jeszcze rok przecierpieć, a potem będzie można zacząć samodzielną pracę i życie zakonne. W sierpniu o. Leonard myśli przenieść się do Mpingi.(...)

Kończę i polecam się wzajemnym modlitwom. Pozdrawiam w Chrystusie.

o. Elias k. b.

4. "Pierwsza wyprawa misyjna."

Rutana, 30 kwietnia 1972r.

Kochani!

Właśnie wróciłem z „pierwszej wyprawy misyjnej”. Chcę się więc z Wami podzielić wrażeniami.

O. Przełożony wyznaczył mi na dzień 26 kwietnia wyjazd na kilka dni na placówkę pomocniczą. We środę więc, po śniadaniu, wszystkie potrzebne rzeczy do życia i pracy załadowałem do samochodu o. Dubois, który mnie zawiózł na miejsce. Jechałem z lękiem, bo wiedziałem, że z moją znajomością kirundi będę miał kłopoty. Spowiadać w kirundi,

powiedzieć kazanie, powiedzieć parę słów do dzieci i do katechumenów – to jeszcze niewielki problem (bo z kartką w ręce). Gorzej, gdy przyjdą do mnie z problemami, lub gdy trzeba będzie spisać dane do chrztu. Gdy o. Dubois odjechał, a ja z mym boyem zostałem sam, miałem uczucie, jakby mnie wysadzili na samotnej wyspie. Nie wiedziałem, za co się zabrać najpierw. Na szczęście mój boy zaraz wziął się do przygotowania mieszkania i powiedział, od czego mam zacząć. Rozglądałem się po okolicy: przede mną rozciąga się niewielka dolina z domkami parafian, na horyzoncie wysokie góry. Słyszę katechistę, który za ścianą w kościele uczy katechizmu, z dala dochodzą inne głosy: to dzieci z pierwszej klasy głośno recytują alfabet: aaa, bbb, ccc.

Powoli rozpakowuję rzeczy, bo dzieci już zmiotły mój niewielki pokoik. Zaraz jednak przychodzi katechista, żeby się przywitać. Równocześnie prosi mnie, żebym powiedział parę słów do dzieci, które właśnie są w kościele na katechizmie. Biorę więc mój zeszyt i zaczynam mówić o Zmartwychwstaniu, jako że mamy teraz okres wielkanocny. Jakoś poszło. Teraz znów ktoś przychodzi i przedstawia mi się jako nauczyciel. Spotykam pierwszego i jedyne go człowieka, który mówi nieco po francusku. Umawiam się więc, kiedy mogę przyjść do szkoły i zobaczyć się z dziećmi. Na szczęście czy nieszczęście jest tu tylko pierwsza klasa. Nie mam więc wiele roboty. Jeszcze nie odetchnąłem z pierwszych wrażeń, gdy katechista przyprowadza dzieci, przygotowujące się do uroczystej Komunii św. Prosi, żebym je wypowiadał. Tak więc zasiadam i spowiadam około 20 dzieci. I tak zeszło do południa.

W południe boy przynosi mi obiad, który przygotował w swoim pokoju na zwykłym ognisku. Muszę się przyznać, że dostałem dobrego boya. Jest już starszy, doświadczony, bo pracuje na misji od wielu lat. Wkrótce polubiliśmy się bardzo. Wieczorem przychodzi do mnie, żeby porozmawiać. Nie zrażał się tym, że ciągle mu przerywałem, mówiąc: *sindavyunva* (nie rozumiem). Gdy ludzie przychodzili do mnie, żeby kupić katechizm czy różaniec, aby zapłacić roczną ofiarę na kościół, mój boy zawsze przychodził, żeby mi pomóc.

Nie zna on francuskiego, ale umie wytłumaczyć w kirundi i umie załatwić wiele spraw, jak stary misjonarz. Bardzo był raz zaskoczony, gdy podzieliłem się bananem i poczęstowałem go kawą. Mówił mi, że misjonarze tego nie robią. Pytam więc: dlaczego nie możesz zjeść razem ze mną tego samego, co ja? Powiedział mi: *Uri bukuru* (ty jesteś kimś wyższym). Bardzo mi było wtedy przykro. Od tego czasu boy polubił mnie bardzo. Chętnie przychodził, żeby porozmawiać, żeby podzielić się swoimi troskami i spostrzeżeniami. Zwykle tylko wieczorem przy lampie naftowej mogliśmy porozmawiać, bo w ciągu dnia byłem zajęty spowiedzią i katechizacją. Po obiedzie urządziliśmy krótki spacer po okolicy.

Ponieważ w piątek odbywa się targ, boy zaproponował mi „niewielką” przechadzkę. Powiedział, że targ odbywa się niedaleko stąd, jakieś 3 km. W rzeczywistości szliśmy dosyć szybko całą godzinę w jedną stronę. Dla Barundi to wcale nie jest daleko. A ja byłem cały w potach. Nadszedł wieczór, boy przygotował dobrą kolację. Była więc zupa, ziemniaki, kawałek mięsa, marchew. A było to w piątek. Proszę się nie gorszyć, w Burundi nie ma postu w piątki. Po kolacji boy znów przyszedł porozmawiać. A że Barundi lubią śpiewać, więc zaczął mi śpiewać pieśni kościelne. W pewnym momencie zaczyna śpiewać „*Adoro Te devote*” w kirundi; poznałem po melodii gregoriańskiej. Pokazuję mu więc w brewiarzu tekst po łacinie. Zaproponował mi, żebym śpiewał po łacinie, a on będzie śpiewał w kirundi. Tak więc wspólnie śpiewaliśmy jedną pieśń w dwóch językach. Śmiesznie to wyglądało, ale obaj

byliśmy zadowoleni. Trzeba przyznać, że pieśni kościelne są piękne (nie te z melodią gregoriańską), dlatego słyszy się śpiew religijny często, nie tylko w kościele.

Pierwszą noc spędziłem dobrze i spokojnie. Druga była mniej spokojna. Dokuczały mi jakieś komary, które wciąż brzęczały mi nad głową. Szczególnie jeden komar nie dawał mi spokoju, poznałem go po wysokim głosie. Właśnie te komary przenoszą malarię. Trzeba więc brać proszki przeciw tej chorobie. W tę noc coś mnie straszło. Jakieś stworzenie Boskie szperało po suficie z bambusów. Pewnie była to jaszczurka albo mysz. Uciszyło się wtedy, gdy coś spadło na ziemię. Pewnie spadła ta „bestia”, o której wyżej wspomniałem. Wreszcie zmęczony nadsluchiwaniami szmerów z zewnątrz i wewnątrz, zasnąłem. A była prawie godzina druga w nocy.

Wreszcie nadeszła sobota i chrzest dzieci, czego się najwięcej bałem. Nie samego chrztu, ale „protokołu”, jaki poprzedza chrzest. Po Mszy św. wypowiadałem około 50 osób, następnie zasiadłem za stołem w pokoju i czekam. Katechista przyprowadza rodziców z dziećmi do chrztu i rodziców chrzestnych. Zaczynam więc pierwsze pytanie: jakie chcecie nadać imię temu dziecku? Słyszę dziwną odpowiedź: Elias. Czy dobrze zrozumiałem? – Tak, pierwsze dziecko, które będę chrzcił, będzie miało na imię Elias. Nie koniec na tym. Okazuje się, że drugie dziecko (Symeon – szkoda, że nie Józef) i pierwsze, są bliźniakami. Ciekawe! Tak więc pierwsze dzieci, które chrzcilem, są bliźniakami.

Sobotę miałem wypełnioną spowiedzią. Cały dzień przychodzili ludzie do spowiedzi, zwłaszcza po południu, mimo że padał deszcz. Wdzięczna to praca. Ludzie spowiadają się prosto i szczerze. Do misjonarza odnoszą się z wielką życzliwością, lubią rozmawiać. Cieszę się z każdego zdania, które sklecę.

Spotkałem wielu ludzi i dzieci z otwartymi ranami na nogach. Chciałem im pomóc, ale jak? Miałem kawałek plastra i spirytus salicylowy. Opatrzyłem, jak umiałem ranę jednemu dziecku. Zaraz przyszli inni i pokazują swoje rany. Inni znów skarżą się na *inyoko*, tzn. malarię i proszą o lekarstwo. Dałem więc resztę tabletek, które wziąłem ze sobą przeciw malarii. Za najmniejszą rzecz są bardzo wdzięczni. Dzieciom pokazałem zdjęcia, które zrobiłem. Oj, było uciechy, było! Kilka z tych zdjęć przesyłałam o sekretarzowi misji.

W niedzielę, ostatni dzień pobytu, odprawiłem dwie Msze św. Kościółek był pełniejszy, zabrakło Komunii św. Nie przewidywałem, że tyle przystąpi do Stołu Pańskiego. Powtarzam: praca misjonarza jest piękna i wdzięczna. Ludzie oczekują kapłana i garną się do sakramentów św.

Naprawdę, z żalem odjeżdżałem na główną misję do Rutany. Nie znam dobrze kirundi, ale odczuwam wielkie przywiązanie tego ludu do religii i Kościoła. Przez te cztery dni pobytu, od środy do niedzieli, nauczyłem się wiele. Zawarłem znajomość z parafianami, zwłaszcza z dziećmi, które chętnie plątały się koło mojego pokoju. Zdobyłem wiele odwagi w mówieniu w kirundi. Zaczynam rozumieć ludzi mówiących w kirundi. Zapomniałem trochę francuskiego. Gdy przyjechał o. Dubois, żeby mnie zabrać, mówiłem do niego po francusku, ale z początku nie mogłem się opędzić od słów kirundi, które plątały mi się w głowie. Często więc wsadzałem słówka kirundi w zdania francuskie. Przez te cztery dni mówiłem tylko w kirundi.

Przy odjeździe ludzie szczerze mnie żegnali, bo kapłan przyjedzie do nich po dwóch, może trzech miesiącach. Przyjeżdżałem na tę placówkę ze strachem, a odjeżdżałem z żalem. Było mi jakoś głupio. (...)

o. Eliaz k. b.

5. Zajęcia stażysty.

Mpinga, 11 września 1972r.

Drogi Bracie!

Właśnie wczoraj otworzyłem paczkę, którą mi przysłałeś. Wczoraj, tj. w niedzielę, wróciłem z kaplicy pomocniczej w Maganahe. To była moja pierwsza podróż na placówkę pomocniczą. Byłem tam 4 dni. Spowiadałem, głosiłem kazania i powiedziałem parę słów do dzieci, przygotowujących się do Komunii św. Ochrzciłem czworo dzieci. Czas minął szybko. Ponieważ nie ma tam drogi, szedłem tam i z powrotem na nogach (2 godziny). Podróż była trochę męcząca, bo daleko i teren górzysty. Ale to dobrze dla zdrowia. Myślę nawet poprosić przełożonego, żeby mi pozwolił robić takie wycieczki częściej. Pójdę sobie od czasu do czasu z br. Sylwestrem w niedzielę, odprowadzę Mszę św. i wrócę na obiad. Może będę zdrowszy. Myślę, że lekarstwa, które mi przysłałeś, pomogą mi. Dziękuję Ci za wszystkie lekarstwa. Bandaże bardzo się przydadzą na rany. Spotykam wielu ludzi z otwartymi ranami na nogach. Czasem wystarczy tylko dobrze oczyścić ranę i owinać bandażem, żeby zabezpieczyć przed brudem. Napisałem w tej sprawie do Grażyny. Może przyśle mi lekarstwa.

Mam zająć się młodzieżą w Mpindze. Mam już w głowie różne projekty, jak: gazetka ścienna, zdobywanie odznaczenia „Dobrego Członka CHIRO” lub coś podobnego, kontakt z młodzieżą w Polsce. Zobaczymy. Czarny ksiądz, który tu pracował, został przeniesiony do Bururi, a ja prawdopodobnie zajmę jego miejsce. Listu od Kornelii jeszcze nie dostałem; myśli pewnie, że jestem w Rutanie.

Byłem parę razy na polowaniu na kaczki. Byłem „psem myśliwskim”, bo co przełożony ustrzelił, to ja szukałem w stawie. Musiałem przedzierać się przez obfite trawy i bagna. Bałem się, że w wodach afrykańskich jest pełno robactwa i niebezpiecznych gadów. Nic mi się nie stało. Pogryzły mnie tylko jakieś pijawki i dopiero teraz, po dwóch tygodniach widzę skutki. Powstają rany, które bardzo swędzą. Powoli jednak zanikają. (...)

Serdecznie pozdrawiam i o pamięć w modlitwie proszę.

Twój brat Eliaz

6. Organizacje młodzieżowe.

Mpinga, 5 października 1972r.

Drogi Bracie Bronisławie!

Dziękuję Ci serdecznie za list, za pamięć i za dobre słowa. Cieszę się, że pomagasz wielu misjonarzom i jesteś sercem z nami. Praca na misji jest ciekawa i warto się poświęcić. Ludzie są prości i przyjmują chętnie każde dobre słowo.

Trudności powoli ustępują. Zostaje jeszcze sprawa języka kirundi. Rozmawiam z ludźmi. Idzie to ciężko, ale właśnie w ten sposób trzeba się uczyć języka. Studium jest potrzebne, ale rozmowa jeszcze bardziej. Przełożony zlecił mi opiekę nad organizacjami młodzieżowymi:

CHIRO, UGA itp. Przez głowę przesuwają mi się różne projekty. Chcę ożywić te organizacje, przez wprowadzenie „zdobywania” odznaki „wzorowego członka” CHIRO czy UGA. Prosiłem o jakieś odznaki o. Michała. Zobaczymy, co mi przyśle. Myślę zorganizować biblioteczkę dla nauczycieli i dla tych, co znają język francuski. Chciałbym im dać lekturę religijną, chcę prowadzić pogadanki na tematy religijne.

Nie wiem, jak mi to pójdzie i czy starczy mi czasu na wszystko. Chcę zebrać trochę książek religijnych i innych w języku francuskim. Nie wiem jednak, gdzie się zwrócić z prośbą. We Francji nie mam znajomych. Napisałem do jednego księdza Francuza w Paryżu. Czekam na odpowiedź. W Krakowie jest księgarnia z książkami francuskimi, może by tam coś wartościowego się znalazło? Jakies encyklopedie, książki popularno-naukowe...

Zacząłem naukę religii w katechumenacie. Codziennie jedna lekcja, to wystarczy, bo i to wiele mnie kosztuje: przygotowanie, szukanie materiałów i układanie w kirundi. Często też wysyłają mnie z posługą duszpasterską na kilka dni na filie.

Brat Sylwester był wczoraj pierwszy raz na polowaniu na antylopy i gazele. Pojechał z przełożonym jednej misji, o. Van Dyck. Wyjechali o szóstej wieczorem (już noc). Polowali przy pomocy reflektora. Upolowali tylko jedną gazelę, wielkości kozy. Wrócili o drugiej w nocy. Dziś cały dzień br. Sylwester jest pod wrażeniem polowania. Opowiadał mi, ile to różnych zwierząt widział, jak się wystraszył, gdy coś koło niego przeleciało, ciężko dysząc, jakie krzyki wydają różne zwierzęta. (...)

Rozpoczął się październik. Mówimy więc co dzień różaniec pod kościołem, przy grocie Matki Bożej. W tym samym czasie w różnych punktach parafii, również gromadzą się wierni, żeby wspólnie odmawiać różaniec. Właśnie wróciłem z o. Hauzeurem na motorze z jednego takiego punktu. Zmówiliśmy wraz z wiernymi część różańca i Litanię do Matki Bożej. Modliliśmy się tak na polu, przy drodze.

Serdeczne pozdrowienia z Mpingi

br. Elias k. b.

7. Termity.

Mpinga, 20 listopada 1972r.

Kochani Rodzice!

(...) Pracy mam dużo, więc i czas szybko leci. Często wyjeżdżam na placówki pomocnicze naszej parafii. Jest ich chyba trzynaście. Właśnie wczoraj (niedziela, 19 XI), wróciłem z Kiharo, małej placówki położonej w dolinie. Klimat jest tam inny niż w Mpindze. Poczułem, że jestem w Afryce. Jest tam o wiele cieplej niż w Mpindze, więc i większe niebezpieczeństwo malarii. Noce są ciepłe. Na łóżko założyłem „firankę” przeciw wszelkiemu robactwu, a szczególnie przeciw komarom, roznoszącym malarię.

W pierwszą noc nie mogłem zasnąć, bo nie mogłem się przyzwyczaić do „hałasu termitów”, które dzień i noc wędrują po ścianach i belkach i powoli zjadają, co się da, zwłaszcza drzewo. Miałem wrażenie, że deszcz pada. Od czasu do czasu spadnie na głowę trochę gliny ze sufitu. Pracy nie miałem dużo, bo chrześcijan jest niewielu. Obok kościoła szkoła, w której znajduje się w tym roku tylko pierwsza klasa. (Wielu nauczycieli zginęło, część zaś uciekła do Tanzanii). Zawsze jednak było pełno dzieci koło mego domu. Prosiły mnie, żebym je

przewiózł trochę samochodem, albo przynajmniej pozwolił im wejść do środka samochodu. W piątek po południu, gdy zostało tylko kilku chłopców, przewiozłem ich trochę samochodem. Wielką mieli z tego uciechę, ale inni, gdy się dowiedzieli, jeszcze natarczywiej mnie prosili. Byłem jednak twardy. Nie mogłem dla zabawy niszczyć benzyny i samochodu. Wy tłumaczyłem im, jak mogłem, więc dali mi spokój.

W każdy wieczór widziałem dzieci, które szły w jednym kierunku z dzbanami na głowach. Dzieci w zasadzie po zachodzie słońca nie wychodzą z domu. Pytam więc, gdzie idą, gdy już noc. Szły, aby na kolację nazbierać trochę termitów, dużych skrzydlatych mrówek. Noc, to najlepsza pora na polowanie. Kiedy wracali z dzbanami pełnymi termitów, zatrzymałem ich i zobaczyłem te zwierzątka, nawet przyjemne, ale nie do jedzenia. Gdy wyszedłem wieczorem na pole, miałem wrażenie, że jestem na ulicy w Poznaniu. Zobaczyłem wiele migocących świateł, jak reklamy w wielkich miastach. To robaczki świętojańskie. Jest ich pełno. Nocą słyszy się tu śpiewy różnych gatunków świerszczy, koników polnych i nocnych ptaków.

W niedzielę odprawiłem trzy Msze św. Najpierw odprawiłem jedną w Kiharo o godz. 7.30 rano, potem prędko samochodem pojechałem do innej kaplicy, odległej stąd o trzynaście kilometrów, gdy zaczął padać deszcz. Podczas deszczu nie można mówić, gdyż szum deszczu, uderzającego o eternit nie pozwala słyszeć ani słowa.

Po Mszy św. znów z pośpiechem wróciłem do Kiharo, aby odprawić trzecią Mszę św. Po tym wszystkim byłem trochę zmęczony, a głos mam niezbyt silny. Po Mszy św. znowu deszcz. Bałem się, czy dojadę do Mpingi, ponieważ z powodu deszczu droga stała się śliska i błotnista. Załadowałem samochód rzeczami, które zabrałem na pięć dni. Doszło jeszcze około 8 kg owoców, które ofiarowali nam dobrzy chrześcijanie (banany, orzeszki ziemne, pomarańcze) i boy, który przygotowywał posiłki. Dzięki Bogu zajechałem do Mpingi szczęśliwie i zadowolony z pracy dla chwały Bożej.

O mnie się nie bójcie, samochodem jeżdżę ostrożnie, sypiam dobrze (chyba, że mysz mnie obudzi), w jedzeniu też nie przebieram; zjem co dają. U nas wiosna w pełni, wszędzie zielono, pełno kwiatów. Może Wam posłać świeżych kwitów na odpust św. Klemensa?

Trochę się rozgadałem, jak nasi ludzie w Burundi. Oni zawsze mają czas na gadanie godzinami. O czym mówią? Jeszcze nie wszystko rozumiem, ale domyślam się, że o krowach, o fasoli, o piwie. (...)

Polecam się modlitwom

I serdecznie pozdrawiam. Kochający syn

o. Eliaz OCD

ROK 1973

8. Wrażenia belgijskiego misjonarza z Polski.

Mpinga, 7 stycznia 1973r.

Kochany Bracie!

Nie pamiętam już, kiedy do Ciebie pisałem. Na Święta do nikogo nie pisałem. Za późno się spostrzegłem, że Święta już tak blisko! Poza tym byłem mocno zajęty przygotowaniem

rekolekcji dla dzieci. Wiesz jednak, że zawsze Ci jak najlepiej życzę i w modlitwie pamiętam. Paczkę z lekarstwami otrzymałem i potem chyba list, za co Ci serdecznie dziękuję. Lekarstwa bardzo się przydadzą, a pudełko żelazne nadaje się w sam raz na komunikanty. (...)

Nie przysyłaj więcej lekarstw drogą lotniczą, bo widzę, że to bardzo dużo kosztuje. Przydałaby się nam radiostacja. Gdy przyjedziesz, to zainstalujesz. Między Mpingą a Bukirasazi w linii prostej jest około 25 km, drogą – 55 km. (...)

Święta spędziliśmy wesoło w gronie współbraci. W trzeci dzień Świąt przyjechał o. Carnellisen, który wyświetlił nam przeźrocza zrobione w Polsce. Jest bardzo zadowolony z podróży po Polsce. Robi dobrą propagandę dla Polski. Wszystkie diapozytywy są wspaniałe, kolory naturalne i dobre ujęcia. Kilka Ci prześlę. Widziałem więc Ciebie i całą naszą rodzinę. Wszyscy byli zadowoleni z wieczoru z o. Carnellisem. Byliśmy na małym *conge* w Polsce. O. Kanty pojechał do Nairobi, stolicy Kenii, na zjazd delegatów, którzy mają wybrać przedstawiciela na Kapitułę Generalną. Br. Sylwester pojechał na dwa tygodnie do Bukirasazi, żeby tam pomóc przy misji o. Sylwanowi. 14 stycznia, wracając z kaplicy pomocniczej w Musongati, pojedę do niego. 1 stycznia ja i o. Hauzeur zrobiliśmy sobie małą przechadzkę do sąsiedniej parafii (35 km). Droga była paskudna: błoto i dziury. (...)

Serdecznie pozdrawiam w Chrystusie

br. Elias

9. Codzienne troski i zajęcia misjonarza.

Mpinga, 10 marca 1973r.

Kochany Bracie Józefie!

(...) Już trzeci tydzień brat Sylwester i ja jesteśmy sami na misji. Księża głoszą rekolekcje na stacjach misyjnych. Przyjeżdżają tylko na niedzielę, ale już we wtorek w drogę. Teraz na mnie kolej. W poniedziałek 12 marca pojedę głosić rekolekcje. Zacznę je w Mutaha, a we środę rozpocznę następne w Kiharo – i tak, aż do niedzieli. W następnym tygodniu mam jechać do Shembe (czyt. Szembe). Brat Sylwester szyje dla młodzieży stroje narodowe na Święta Wielkanocne. Ma z tym dużo pracy. Zrobił mi ostatnio małe, przenośne tabernakulum. Nie na każdej stacji jest tabernakulum, więc bardzo mi się przyda.

Obecnie mamy porę deszczową, ale ludzie skarżą się, że mało pada deszczu. To wielka klęska, bo w tym okresie sieje się dużo fasoli, sorgo i innych roślin. Wszystko zaczyna rosnąć, ale jeżeli deszczu nie będzie, słońce spali rośliny.

Słyszałeś już zapewne, że wkrótce Mpinga należeć będzie do nowej diecezji Ruyigi. Zbudowano tam kościół, który będzie katedrą biskupa. (...)

Ksiądz biskup Józef Martin złożył w Rzymie prośbę o dymisję. Zrzeczenie zostało przyjęte, a oficjalnie zostanie ogłoszone wraz z nominacją nowego biskupa dla diecezji Bururi. Najpierw jednak ogłoszą nowego biskupa dla Ruyigi. Czekamy w napięciu na te wielkie zmiany. Tak więc ojcowie karmelici nie będą już pracowali w diecezji Bururi, choć tu postawili swe pierwsze kroki i tu rozpoczęli pracę.

Zaraz po Świętach ma tu dojechać o. Teofil i ktoś jeszcze z naszych, aby objąć parafię w Mpindze. Czekam na tę chwilę. Czas leci mi dwa razy szybciej, niż w Krakowie. Nie wiem dlaczego? Słońce jest to samo, tylko księżyc jest przewrócony do góry. W pisaniu listów

jestem bardzo niesystematyczny. Zwykle tłumaczę się pracą i nauką, a korespondenci naiwnie w to wierzą. Wieczorami biorę lekturę do poduszki – „Sól ziemi” o. Władysława. Podoba mi się ta książka. A ty, co sądzisz? – Książka o samochodach nie jest ciekawa, ale za to praktyczna, bo ostatnio nasz stary samochód narzeka na „zdrowie”. (...)

Czekamy na pomoc od Was. Nas jest stanowczo za mało, żeby dobrze pracować na dwóch olbrzymich placówkach, a jednocześnie prowadzić minimum życia zakonnego. Spodziewamy się, że bracia przyjadą.

Brat Sylwester prosi o nasiona łubinu. Tu nie ma nawozu, a ziemia jałowa.

Serdecznie pozdrawiam i o pamięć proszę

br. Elias

10. Wrastanie w miejscową glebę.

Mpinga, 25 marca 1973r.

Drogi Ojciec Franciszku!

Jak zauważyłeś, już na samym początku pomyliłem się i „sz” napisałem przez „sh”, jak w kirundi. Za dużo piszę i myślę w kirundi. Rzeczywiście. Dużo piszę w kirundi, więcej niż po polsku, bo przygotowuję kazania i nauki rekolekcyjne. Na każdą niedzielę muszę przygotować kazanie, a i w ciągu tygodnia też coś powiedzieć, gdy jest trochę ludzi, taki tu zwyczaj. Piszę więc bez końca. Nabrałem już nieco wprawy. Stąd znam bardziej słownik teologiczny w kirundi, niż ten z życia na co dzień.

Nie odważam się jeszcze mówić kazań z pamięci. Nawet lekcje katechizmu przygotowuję na piśmie, choć już nie trzymam się tak ściśle napisanego tekstu. Niedawno błogosławiłem pierwszą parę małżeńską w moim życiu. Raz nawet miałem naukę przedmałżeńską. Nie piszę tego, żeby się chwalić, ale żeby innych zachęcić do misji. Jeżeli ja zdołałem się nauczyć jako tako języka, to tym bardziej każdy inny. Mówiono mi w Polsce, że jadę na misje bez żadnej praktyki duszpasterskiej, prosto po święceniach. Przekonałem się, że tak było dobrze. Jeszcze nie odwykłem od nauki, jeszcze dobrze pamiętam egzaminy z teologii, dlatego nie było mi trudno zabrać się do nauki kirundi. Praktyka duszpasterska w Polsce też nie była mi potrzebna, bo tu i tak każdy musi uczyć się od nowa. Inne są tu warunki pracy, inny rytuał chrztu czy sakramentu chorych. Wraz z językiem uczymy się i wyrażeń używanych w liturgii i innych ceremoniach. Ogólna wiedza teologiczna z naszych studiów wystarczy. Radzę więc stawiać na młodych i pełnych zapału. Dla chcącego – wszystko możliwe.

Dziękuję za farby. Br. Sylwester obiecał mi namalować kilkanaście obrazków, jako pomoce do katechizacji. Gdyby to było możliwe, bardzo bym prosił o kalendarzyk – terminarz dla jednego z naszych nauczycieli, który mnie o to prosił. Nie zna on polskiego, ale to nie szkodzi. Kalendarzem-notatnikiem może się posługiwać. Nie wiem, czy są takie jeszcze w sprzedaży? Dostałem taki kalendarzyk (Wyd. „Sport i Turystyka”) od p. Kitkiewicza. Notuję sobie wydarzenia z każdego dnia.

Czekam na o. Teofila i o. Sylwana, którzy mają przyjechać na stałe do Mpingi po Świątach Wielkanocnych. Zawsze to inaczej, jak się jest w polskiej gromadzie. Wtedy to urządzimy sobie życie według naszego „gustu”. Oj! Będzie to życie! I praca będzie, i wszystko jak należy! W ostatnich dniach dokucza nam trochę burundzkie słońce, piecze nie najgorzej.

Czekamy na deszcz, bo nieco za dużo słońca. Choć nie tak dawno, dwa tygodnie temu, była tu potężna burza. Piorun zabił 14 krów na raz, a w kilka dni potem spadł grad; jeden człowiek zginął od pioruna.

Widziałem się niedawno z braćmi: o. Teofilem, o. Klaudiuszem, o. Kasjanem i o. Kantym na zjeździe księży w Bururi. Pytaliśmy się nawzajem o wiadomości z Polski, z Rzymu.

Serdecznie pozdrawiam i o modlitwę proszę
oddany br. Eliaz

11. Polscy misjonarze zbierają się w Mpindze.

Mpinga, 9 maja 1973r.

Drogi Bracie Bronisławie!

Serdecznie dziękuję za przeżroczą i filmy, a także za wiadomości. Nie odpisywałem Ci zaraz, bo czekałem na ciekawsze wydarzenia, które by Was zainteresowały. Na ogół nic specjalnego się nie dzieje, dzięki Bogu! Zajęci jesteśmy prawie zawsze tą samą pracą: spowiadanie, kazania, wyjazdy na stacje misyjne, zebrania itd.

Czekaliśmy na nowego biskupa dla nowej diecezji Ruyigi. Otóż w sobotę dowiedzieliśmy się, że nowym biskupem został mianowany ks. rektor Wyższego Seminarium w Bujumburze. Znamy go ze spotkania w Muyange, gdzie wygłosił konferencję na temat powołań i sytuacji księży w Burundi. Na imię ma Joachim (w kirundi Joahimu). Tak więc mamy nowego biskupa i należymy do nowej diecezji. O. Sylwan zrobił mu już zdjęcie zaraz po nominacji, bo był wtedy w Gitedze.

Dziś ma przyjechać do nas o. Klaudiusz z Makamby, gdzie dotąd przebywał. O. Teofil również w tych dniach ma do nas dojechać. Będzie nas zatem pięciu, tj. o. Hauser, br. Sylwester, ja, o. Klaudiusz, o. Teofil, a potem jeszcze o. Sylwan. O. Kamil, który był przewidziany do Bukirasazi, musi zostać w Rutanie jeszcze trzy miesiące, do czasu, gdy proboszcz z Rutany wróci z Bururi. Br. Marceli także zastępuje innego brata w Bururi.

Dziękuję za piłkę dla ministrantów. Wybacz, że jeszcze zatrzymałem piłkę u siebie. Najpierw chcę zorganizować „solidną” grupę ministrantów i nauczyć ich, jak mają służyć do Mszy św. Zresztą przekonałem się, że dawanie rzeczy za darmo nie jest wychowawcze w tutejszych warunkach. Murzyni nie doceniają rzeczy, którą otrzymali za darmo. Potrafią ją zniszczyć w krótkim czasie, jak dzieci, a potem znów prosić: „*dutabare padri*” (pomóż nam ojciec). Muszą najpierw zarobić sobie na tę piłkę uczciwą pracą, tj. uczciwym wypełnieniem obowiązków.

W czasie tego pisania słyszę ciągle motor, który porusza młyn. Dziś jest dzień targowy, więc wielu przychodzi do młyna, żeby br. Sylwester zmeł im ziarna kukurydzy, amasaka i uburu (nie wiem, jak się to nazywa po polsku czy po francusku, są to rośliny afrykańskie). W Wielką Sobotę br. Sylwester pracował we młynie do późnych godzin wieczornych, bo żał mu było odmówić usługi biednym ludziom, którzy chcieli coś upiec na Święta, a przyszli z daleka (7 km) na nogach, z workiem zboża na głowie. Teraz br. Sylwester przygotowuje stroje regionalne na uroczystość, która się szykuje: przybycie nowego biskupa i objęcie parafii przez karmelitów. Na przełożonego domu w Mpindze planowany jest o. Sylwester. (...)

Jeżeliby się ktoś pytał, jak może nam pomóc, to skierujcie go do o. sekretarza misji lub niech zwróci się do nas o intencje na Msze św., które by księża w Polsce mogli odprawić. Mamy

zawsze trochę zbywających intencji mszalnych, które możemy odstąpić Wam w Polsce, a honorarium, które tu zostaje, jest dla nas wielką pomocą.

Czekamy na przyjazd Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus. Liczymy też na naszych braci, którzy nas zasilą. Rozumiemy, że w prowincji są wielkie potrzeby i luki, ale myślcie też o nas w Burudni. Niektórzy radzą nam zakładać nowicjat. Myślimy o tym, ale nie tak prędko. Żeby dobrze poznać ducha i mentalność Barundi, trzeba jeszcze poczekać, a są także inne trudności, jak: przygotowanie i dostosowanie domu, musi być też odpowiedni klimat i regularne życie zakonne, a tego nie da się improwizować. Jeżeli już zakładać nowicjat, to niech to będzie prawdziwy, a nie tylko z nazwy, plus dyspensy z powodu „nadzwyczajnych warunków”. Chodzi tu przecież o przyszłość Zakonu i Misji. Jaki nowicjat, takie potem życie. Wiele jest zgłoszeń, ale które z nich są powołaniem? Życie zakonne czy kapłańskie jest tu awansem społecznym. Wielu zgłasza się, żeby polepszyć sobie dolę, inni zgłaszają się, bo nie znaleźli gdzie indziej pracy, inni dla awansu. Nie o wszystkich to mówię. Ale istnieje takie niebezpieczeństwo.

Jakie wieści u Was? Egzaminu już blisko i święcenia.

Życzę Ci Bracie dużo łask na dzień Twoich Święceń. Obyś był świętym kapłanem!

Serdecznie pozdrawiam Ciebie, br. Józefa i Współbraci. Szczególne pozdrowienia dla W. O. Magistra.

br. Elias

12. Inicjatywy duszpasterskie.

Mpinaga, 27 października 1973r.

Kochana Siostro!

(...) Dnia 24 września nowy biskup otrzymał sakrę biskupią. Kilku z nas było na tej uroczystości. Teraz ksiądz biskup wizytuje parafie. 22 października przyjechał do nas, do Mpingi. Wieczorem omawialiśmy wspólnie sprawy duszpasterskie naszej parafii. Bardzo jest z nas zadowolony i liczy bardzo na nas.

Spodziewa się, że inni nasi współbracia przyjadą, by zakładać nowe parafie w jego diecezji. Wybiera się do Polski. Może za rok. Spodziewa się, że znajdzie nowych misjonarzy. My tymczasem czekamy na przyjazd Staszka i o. Jana z Krakowa.

Rozpoczęliśmy budowę nowych zabudowań parafialnych, ale idzie to opornie, trzeba wielu dokumentów i pozwoleń od władz miejscowych. Chcieliśmy jak najszybciej zbudować dom dla ojców i dla Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus, które są już w drodze do Burundi. Dwie wyjechały z Polski 10 października, drugie dwie są już w Rzymie i z początkiem grudnia wylądują w Bujumburze. (...)

Poza pracą w kościele mam lekcje religii w szkole, właściwie w dwóch szkołach – dla dorosłych i dziewcząt. Za wyjątkiem czwartku, mam codziennie dwie lekcje religii. W poniedziałek i w czwartek jest w tym czasie Msza św. dla dzieci. W zasadzie religii uczą nauczyciele, ale ksiądz ma dopilnować i sprawdzić, co dzieci wiedzą. Staram się zainteresować nauczycieli sprawami religii i problemami, z którymi spotykamy się na co dzień. Zaprenumerowałem dla nich czasopismo religijne i popularno-naukowe. Tu nie ma telewizji ani kina, więc mają czasu wiele i nie wiedzą, co z nim zrobić. Przygotowuję dla nich

zgaduj-zgadulę na Święta. Może to ich pobudzi do czytania pożytecznych książek i innej wartościowej pracy. Na gwiazdkę chciałbym im rozdać kalendarze lub inne małe agendy na 1974 rok. Wszystkich nauczycieli jest 13.

Przed Bożym Narodzeniem chcę urządzić nowennę do Dzieciątka Jezus, jak to robią w Polsce w naszych klasztorach. Dzieci jest tu dużo, to chyba chętnie przyjdą. Nie wiem tylko, czy zdążę przygotować parę nauk, bo to już blisko. (...)

Pozdrawiam serdecznie wszystkich i proszę o modlitwę

br. Eliaszk. b.

13. Jak zostać misjonarzem?

Mpinga, 12 listopada 1973r.

Drogi Józku!

Bardzo jestem Ci wdzięczny za list. Cieszę się, że interesują Cię sprawy misji i Kościoła. Postaram się odpowiedzieć na Twoje pytania, na ile potrafię. Ty z kolei zainteresuj kolegów i naszych parafian misjami.

Prymicie już dawno minęły, więc nie bardzo sobie przypominam Ciebie, ale mam nagrany Twój wiersz na prymicie, bo o. Anstazy nagrał na taśmę magnetofonową uroczystości prymicyjne w Zawoi. Od czasu do czasu słucham tych nagrań.

Do kapłaństwa masz jeszcze daleką drogę, ale właśnie teraz, będąc jeszcze w seminarium, przygotuj się do kapłaństwa i do życia misyjnego. Jak w każdym stanie i zawodzie, tak i w pracy misyjnej trzeba oddać się na całego, nie szukać wygod dla siebie, ale z całym zapalem poświęcić się pracy nad zbawieniem dusz dla Boga. Gdy w ten sposób podejdziesz do misji, to każda praca na misjach będzie Cię pasjonować i poczujesz się zadowolony i pożyteczny dla Kościoła i Zakonu. Wielu z tych, którzy wybierali się na misje jedynie dla egzotyki, z ciekawości – szybko się zniechęcili i wracali do kraju niezadowoleni, rozczarowani. Po dwóch miesiącach pobytu w Afryce wszystko powszednie, nic już nie ciekawe; do Murzynów można się tak samo przyzwyczaić, jak do białych. Nie robią już wrażenia. Pozostaje codzienna praca i modlitwa. Praca tu jest o tyle trudniejsza, że długi czas trzeba męczyć się z językiem tutejszym, który nie jest łatwy, dochodzą trudności klimatyczne i inne. Praca ta jest mimo wszystko interesująca, ludzie prości i oddani. Trzeba mieć minimum zdolności do języków i zdrowie, a przede wszystkim zapal – a wszystko pójdzie dobrze.

Będąc w seminarium w Wadowicach, nie myślałem o misjach. Wydawało mi się, że to przekracza moje zdolności i możliwości. Dopiero będąc na filozofii w Poznaniu, uczestniczyłem w spotkaniu z dr Błęską, która opowiadała o swojej pracy na misjach w Afryce. Wtedy zacząłem bardziej interesować się misjami. Pisałem listy do jednego misjonarza Polaka, brałem udział w zjazdach misyjnych i należałem do Między Seminaryjnego Koła Misyjnego w Krakowie. W ten sposób dowiadywałem się o misjach i coraz bardziej pragnąłem wyjechać do pracy na misje. Na ostatnim roku teologii, gdy o. Prowincjał rozpoczął starania o przyjęcie misji, zgłosiłem się do niego z wyraźną prośbą o wysłanie mnie na misje. I tak dwa lata temu spełniło się moje pragnienie i znalazłem się w Burundi.

Jeżeli poważnie myślisz o misjach, to przede wszystkim przygotuj się dobrze do życia zakonnego i kapłańskiego. Na misjach trzeba ludzi z mocnym charakterem i wzorowych zakonników, żeby nie zrażali się byle jaką trudnością, umieli znieść niewygody z pogodnym sercem. Wszędzie trzeba świętych kapłanów – to rzecz najważniejsza.

Dobrze jest mieć jaki fach w rękach – umieć zrobić sobie prosty stół, czy naprawić silnik elektryczny, znać się na ogrodnictwie. Nie jest to konieczne, ale bardzo pomaga w życiu codziennym. Ten, co umie grać na jakimś instrumencie, może często uprzyjemniać wspólne spotkanie z dziećmi czy współbraćmi, np. w Wieczór Wigilijny. Głównym jednak zajęciem misjonarza jest praca parafialna, uczenie katechizmu, udzielanie sakramentów, kazania, często budowa czy reperacja stacji misyjnych i kaplic.

Dużą pomocą dla misji są Bracia Zakonni, którzy zajmują się budową, warsztatem, ogrodem. Kapłani wtedy mogą oddać się pracy duszpasterskiej. Wielką pociechą dla misjonarza jest moment chrztu katechumenów. Ilość nowo ochrzczonych jest w pewnym stopniu oznaką gorliwości misjonarza.

Z drugiej strony, zdarzają się i chwile smutne, gdy na przykład słyszy się, że chrześcijanie wracają do praktyk pogańskich, gdy nie chodzą na Mszę św. niedzielą.

Oto kilka słów o misjach. Pisz do nas często. Wyszedłem z seminarium z Wadowic, więc ciekawy jestem ilu Was jest, jak wygląda teraz życie w seminarium.

Serdecznie Ciebie i kolegów pozdrawiam. Z Bogiem

o. Eliaz k. b.

ROK 1974

14. Droga katechumena do chrztu.

Mpinga, 12 stycznia 1974r.

Drodzy Bracia Klerycy!

(...) Mając trochę wolnego czasu, chcę Wam opisać, w jaki sposób katechumeni przygotowują się do chrztu.

Jeżeli poganin chce przyjąć chrzest, zgłasza się najpierw do katechisty, który uczy katechizmu na misji lub na jednej ze stacji misyjnych. Katechista zapisuje go do pierwszej grupy, tzn. *Abanyarwandike* czyli Postulanci. Tak więc kandydat chodzi na naukę religii i czytania dwa razy w tygodniu, od godz. 8.00 do 12.00. Jeżeli nie opuszcza lekcji, może być dopuszczony do egzaminu po pół roku. Dwa razy w roku urządza się egzaminy w parafii. Jeżeli zda, przechodzi do następnej grupy, tzn. *Abanyamedali*. W pierwszej grupie Postulanci uczą się podstawowych prawd wiary i zasadniczych modlitw, jak „Ojcze nasz”, „Zdrowaś Maryjo”, aktu żalu, krótkiej modlitwy porannej i wieczornej i oczywiście znaku krzyża świętego.

W drugiej grupie, przez cały rok, będą się uczyć Przykazań Bożych. Postulant w drugiej grupie powinien już umieć czytać poszczególne wyrazy i zdania. Idzie to zwykle bardzo słabo. Po roku znów egzamin z katechizmu i czytania. Kto nie umie czytać, nie może przejść do następnej grupy; powtarza przez pół roku, a potem jeszcze raz próbuje szczęścia. Powinien także złożyć składkę na Kościół w wysokości 10 franków na rok. To może Was gorszy. Może

powiecie: skąd mają wziąć te 10 franków, gdy są biedni? Biedni są, to prawda, ale powinni się starać o utrzymanie Kościoła, powinni poczuwać się do odpowiedzialności za Kościół, którego są członkami. Całe utrzymanie parafii, wszystkie wydatki związane z budową misji i utrzymaniem misjonarzy, oparte jest na pomocy z zewnątrz, a to nie jest sytuacja normalna. Kościół w Burundi powinien sam się utrzymać. Tu nie ma składek na tacę, dlatego chrześcijanie powinni składać ofiarę, według ustalonej normy.

W trzecim roku nauki (jeżeli zdał wszystkie egzaminy w każdym roku) katechumenat znajduje się w grupie *Abanyasakramentu* i uczy się o sakramentach. Zostaje ostatni rok: *Abanyabatisimu*. Tak więc po czterech latach nauki (jeżeli nie zostawał w którejś grupie dwa lub trzy, a nawet cztery lata) otrzyma chrzest. Tyle samo lat nauki trwa katechizacja dzieci chrześcijańskich.

Dziś właśnie ochrzcziliśmy 50 katechumenów w naszej parafii. Była to wzruszająca uroczystość. Najwięcej było młodzieży do chrztu, ale byli i małżonkowie. Tak więc niektórzy otrzymali w jednym dniu: Pierwszą Komunię św. (wszyscy), sakrament małżeństwa i oczywiście chrzest (nie w tej kolejności, co napisałem!) (...)

Złączony z Wami w modlitwie i sercem

br. Eliaszk. b.

ROK 1975

15. Siedem dni misjonarza.

Poniedziałek, 2 czerwca 1975r.

W zasadzie, poniedziałek jest dniem odpoczynku dla misjonarza po pracy w tygodniu, a zwłaszcza w niedzielę. W praktyce zawsze jest coś do roboty. Dzisiaj czeka mnie zebranie katechistów.

O. Teofil odprawił Mszę św. u Sióstr Bene Tereziya o 6.45. O. Klaudiusz odprawił Mszę św. w kościele dla wiernych o godzinie 7.00. Na tej Mszy św. nie było dużo ludzi (byli przecież wczoraj). Widziałem jednak kilka dziewcząt, które przyszły na Mszę św., bo będą sprzątały kościół. Czekając na katechistów, przygotowuję sobie na kartce punkty, które mam omówić na zebraniu. Pierwszy katechista już się zjawił, jest godzina 8.00. Zapraszam go do biura parafialnego, wypytuję o katechizację, ile dzieci przychodzi na religię i czy nasz chory katechista, Michał, wyzdrowiał. Katechista, z którym rozmawiam, nazywa się Jan, uczy religii na stacji misyjnej w Kiguhu oddalonej o 35 km. Żeby zdążyć na zebranie, musiał nocować w Mpindze, do domu wróci późnym wieczorem. Zapytałem go też, czy przyniósł ziarenka na różańce. On nie przyniósł, ale zapewnił mnie, że jego kolega Andrzej przyniósł około 10 kg. Wyplaciłem Janowi miesięczną pensję i wyszedł. Za chwilę przyjąłem następnego katechistę i znowu pytania o naukę religii, o kaplicę itd. W ten sposób przyjmuję każdego osobno. Jeden prosi o lekarstwo na rany, drugi prosi, żeby mu pożyczyć pieniędzy, bo żona chora i musi iść do szpitala, inny znów przedstawia mi chłopca, który skończył szkołę u protestantów, a teraz chce się uczyć religii i pragnie być ochrzczony. Spotkania z katechistami zabrały mi około 3 godziny. Jest ich dwudziestu (nie wszyscy przyszedli). O godz. 11.00 rozpoczynam Mszę św. dla katechistów. Po Ewangelii mówię im o czci Najświętszego

Sakramentu, nawiązując do święta Bożego Ciała, które obchodziliśmy wczoraj. W Burundi i Rwandzie święto Bożego Ciała obchodzi się w niedzielę. Prosiłem ich bardzo, żeby uczyli ludzi i dzieci nawiedzać Najświętszy Sakrament. Wspomniałem im, że w Polsce zawsze można kogoś spotkać w kościele, o każdej porze dnia (może trochę przesadziłem?)

Po Mszy św. zebranie katechistów. Omawiamy program na cały miesiąc. A było dużo do mówienia, bo wkrótce rozpoczną się egzaminy dzieci przed pierwszą Komunią św. i starszych przed chrztem. Następnie wybraliśmy czterech kandydatów na katechistów, którzy w czasie wakacji przejdą specjalny kurs. Przypomniałem im także, czego wymagamy od dziecka przed pierwszą Komunią św., i kto może przystąpić do Komunii św. Na końcu zaproponowałem, żeby chrześcijanie urządzili składki raz czy dwa razy w roku na potrzeby danej stacji misyjnej. Wszyscy uznali, że trzeba przyuczyć chrześcijan do współpracy z parafią. Każdy chrześcijanin jest odpowiedzialny za swoją parafię i powinien przyczyniać się do jej rozwoju, na ile może. Wśród naszych wiernych istnieje fałszywe mniemanie, że misjonarz powinien się starać o wszystko: o budowę kościoła, o katechistów i naprawę szkoły. Oni nic nie mogą, bo są biedni, a misjonarz bogaty. Musimy z tą opinią walczyć, bo inaczej Kościół w Burundi zawsze będzie uzależniony od pomocy z Europy. Jak tylko misjonarzy braknie, Kościół przestanie istnieć, bo wierni nie czują się odpowiedzialni i wciąż oczekują pomocy z zewnątrz.

Zebranie skończyło się o godzinie 12.00, ale znowu przychodzi jakiś katechista, który chce kupić książki do nauki czytania. Za nim drugi też z jakąś sprawą. Wreszcie o godzinie 12.30 mogę zasiąść z braćmi do obiadu. Na brewiarz i rachunek sumienia o 12.15 dziś nie zdążyłem.

Po obiedzie i chwili odpoczynku, zacząłem przeglądać listy i ankiety, na które trzeba odpisać. Już z diecezji przysłano kwestionariusz do statystyki kościelnej za rok 1974/75. Przy liczeniu ochrzczonych w tym roku, zdajemy sobie sprawę, jak wiele jeszcze do zrobienia. Prosiłem katechistów, żeby przygotowali listę chrześcijan, którzy mają dwie lub trzy żony. Gdy zobaczyłem listę z Mpingi, to się przeraziłem: tych, którzy mają po dwie żony, jest 26! Inni katechiści ze stacji misyjnych jeszcze nie przynieśli listy. Jeżeli w samej Mpindze jest tyle, to ile ich jest w całej parafii? Poligamia znów jest w „modzie”. Oficjalnie jest zakazana przez rząd, ale w praktyce sami urzędnicy mają po dwie żony. Chrześcijanie ulegają wpływowi pogan, którzy ciągle stanowią większość w naszej parafii.

Po południu, o godz. 16.30, o. Kamil przyjechał z dwoma naszymi ojcami, którzy wrócili z kursu języka kirundi z Muyange. Chodzi o o. Józefa i o. Ryszarda Wołka. O. Józef zostanie w Musongati, naszej sąsiedniej parafii, a o. Ryszard będzie pracował w Mpindze. Wypytywaliśmy o nowiny z Muyange, próbowaliśmy ich przekonać (wystraszyć), że po kursie powinni już płynnie mówić w kirundi, że już o. Przeor wyznaczył dla nich kazania i wyjazdy na stacje misyjne. Wkrótce zrozumieli, że to tylko żarty. Sami dobrze wiemy, jak niewiele się wie po kursie. Na kursie uczą gramatyki i wielu nazw gramatycznych, ale dopiero na praktyce zdobywa się umiejętność posługiwania się językiem. My „starzy” misjonarze nie pamiętamy już, jak nazywa się dana forma gramatyczna, ale z praktyki wiemy, jak jej użyć. Cały wieczór zeszedł na rozmowie z braćmi na różne poważne i mniej poważne tematy. Wieczory należą do nas, bo praca w parafii kończy się z zachodem słońca. Na razie nie ma potrzeby odprawiać Mszy wieczornych. Ludzie mają dość czasu, żeby przyjść na

parafię w ciągu dnia, zresztą ich stary zwyczaj nie pozwala na załatwianie jakichkolwiek spraw wieczorem po godz. 18.00.

Wtorek, 3 czerwca

Po modlitwach, Mszy św. i śniadaniu każdy poszedł do swojej pracy: ja poszedłem uczyć dzieci religii w drugiej i trzeciej klasie. O. Klaudiusz poszedł przypilnować robotników, którzy wczoraj rozpoczęli robić cegły. O. Kamil i o. Józef pojechali do Kiharo po dachówki, które potrzebne są na stacji misyjnej, odległej stąd o 54 km. O. Teofil zajęty jest urzędowymi listami. Koło południa znów spotykamy się razem. Po południu wziąłem się do przygotowania kazania dla dzieci na czwartek. Będę mówił o pierwszym i najważniejszym przykazaniu: „Będiesz miłował Pana Boga twego, ze wszystkiego serca swego i z całej duszy swojej, a bliźniego swego, jak siebie samego”. Będę im mówił, co to znaczy kochać Pana Boga z całego serca. Będzie to rodzaj homilii do Ewangelii św. Marka 12, 28-34. Choć znam już nieźle kirundi, to jednak wolę mieć przygotowany tekst kazania na piśmie. W Polsce kazań nie głosiłem, bo zaraz po święceniach wyjechałem do Burundi. Tu rozpocząłem praktykę duszpasterską i kaznodziejską. Za sobą mam dopiero 4 lata pracy, to niewiele, żeby swobodnie władać językiem kirundi.

Wieczorem o godz. 18.15 odprawiliśmy koncelebrowaną Mszę św. Głównym celebransem był o. Kamil. Było nas wszystkich pięciu, ponieważ o. Klaudiusz pojechał do Bururi do garażu, bo zepsuł się nasz motor w młynie. W każdym tygodniu we wtorek odprawiamy wspólną Mszę św. po polsku. Ta Msza św. umacnia naszą wspólnotę i łączy nas duchowo z Rodakami, których wspominamy w modlitwach.

Środa, 4 czerwca

Dziś czeka mnie zebranie w Ruyigi u księdza biskupa. Wyjeżdżam więc z Mpingi o godz. 7.30, w towarzystwie dyrektora szkoły, który też jest zaproszony na to zebranie. Zabieram też siostrę zakonną z naszej parafii, która ma jakieś sprawy do załatwienia. W Ruyigi jesteśmy na godz. 9.00. Zebranie było zapowiedziane na dziewiątą, a właściwie zaczęło się o 9.45. Zebranie dotyczyło szkół, dlatego zaproszeni byli dyrektorzy szkół i księża, którzy mają zleconą opiekę nad szkołami (kapelani). Szkoły podstawowe są pod opieką Kościoła, ale program nauczania jest opracowany przez państwo. Nauczycieli również opłaca państwo. W praktyce księża nie mają wielkiego wpływu w szkole. Mogą uczyć religii albo raczej czuwać, żeby nauczyciele nie zaniedbywali nauki religii. Państwo oczekuje od Kościoła czego innego: chce, żeby księża budowali i naprawiali szkoły, a nie wtrącali się do programu szkolnego.

Na zebraniu ksiądz biskup zachęcał księży, żeby otoczyli opieką młodzież szkolną, mówili o powołaniu do kapłaństwa i czuwali, żeby nauczyciele poważnie traktowali naukę religii w szkole. Są nauczyciele, którzy uczą religii, ponieważ im płacą. W życiu zaś są kiepskimi chrześcijanami. Stąd i dzieci podchodzą do religii, jak do każdego innego przedmiotu. Nie zawsze tak jest, ale często się z tym spotykam. W szkole brak podręczników do religii. Najnowsze podręczniki są niezbyt udane, bo oparte na wzorach francuskich, wcale nie pasujących do mentalności Afrykańczyków.

Inny wielki problem, to higiena w szkole. W szkole nie ma wody, dzieci uczą się uprawy, francuskiego; mówią im o konieczności przestrzegania higieny, o racjonalnym odżywianiu się, a dzieci przychodzą do szkoły nie umyte i wracają brudne. Właśnie szkoła ma uczyć dziecko, jak zachować czystość. Jeżeli dziecko nie myje się, trudno wymagać, żeby myło się potem, gdy podrośnie.

Zebranie skończyło się o 12.30. Po obiedzie u sióstr, które odstąpiły jedną salę na zebranie, wróciłem na biskupstwo, żeby coś kupić do domu. U ekonoma generalnego kupiłem baterie i zabrałem hostie. Była już godzina trzecia po południu, kiedy wyjechaliśmy z Ruyigi. W Mpindze byliśmy na godzinę 16.50. Zebranie w Ruyigi i podróż wymęczyły mnie, nie miałem już ochoty do żadnej pracy.

Czwartek, 5 czerwca

Dziś rano na Mszy św. o. Teofil błogosławił parę małżeńską. Na Mszy św. było trochę ludzi, bo młodą panią była prezeska Legionu Maryi. Jej koleżanki przyszły śpiewać na Mszy św., żeby ślub wypadł uroczystej. Młoda pani, Joanna, była ładnie ubrana, ale boso.

Ja poszedłem do *Foyer Social* (Szkoła Gospodarcza), żeby uczennicom powiedzieć o obowiązkach chrześcijanina. Dyrektorką szkoły jest siostra zakonna, która uczy szycia i gotowania. W programie nie ma lekcji religii, ale proszą księdza, żeby od czasu do czasu dał lekcję religii. Powiedziałem im dziś o obowiązkach, wpływających ze chrztu św.

Potem poszedłem do dzieci, które uczą się religii przy naszej parafii. Przypomniałem im o egzaminie, który je czeka. Zapowiedziałem, czego szczególnie będziemy wymagać na egzaminie. Zachęciłem je do pilnego uczęszczania na religię.

Gdy wróciłem do domu, czekał na mnie jakiś mężczyzna. Przyszedł do mnie porozmawiać w sprawie dziecka, które ma otrzymać pierwszą Komunię św., ponieważ on, jako ojciec, zaniedbał niektóre obowiązki: ma jedno dziecko jeszcze nie ochrzczone. Tu w Mpindze jest wiele takich wypadków. Często nowo ochrzczone nie starcza zapału na wiele lat. Po chrzcie św. mają dużo gorliwości: chodzą na Mszę św., przystępują do sakramentów, ale z czasem oddalają się od Kościoła. Kłopoty zaczynają się, gdy chcą ochrzcić dziecko, albo gdy chcą, żeby dziecko otrzymało pierwszą Komunię św. czy bierzmowanie. Ksiądz stara się uświadomić im, jak bardzo zaniedbali swoje obowiązki, wtedy usiłują wszystko „naprawić”.

O godz. 11.20 rozpocząłem Mszę św. dla dzieci. W każdy czwartek jest specjalna Msza św. dla dzieci szkolnych. Dziś piąta klasa przygotowała śpiewy do Mszy św. Ci z piątej rozpoczynają pieśni, a potem inni się włączają. Maluchy z I klasy wiercą się trochę, bo niewiele rozumieją ze Mszy św. i wydaje im się, że za długo trwa. Inne jednak dzieci zachowują się grzecznie, choć jest tylko trzech nauczycieli z nimi. Trzeba pilnować dzieci przy wchodzeniu i wychodzeniu z kościoła, bo pchają się jedno przez drugie, żeby zająć lepsze miejsce lub żeby być pierwszym przy drzwiach, gdy wychodzą. Wystarczy, że ministrant pomylił się w dzwonieniu na Podniesienie, wszyscy buchają śmiechem, nawet w tej poważnej chwili, jak Przeistoczenie. Msza św. kończy się w samo południe, dzieci wracają dziś do domu. W inne dni zostają w szkole aż do godz. 16.30. Od niedawna wprowadzono pewne zróżnicowanie: młodsze klasy kończą w południe, starsze zaś, to znaczy IV, V i VI klasy zostają do 16.30; tak jest w każdy wtorek i środę. We czwartki i w sobotę wszystkie dzieci wracają do domu w południe.

Po Mszy św. prawie już czas na rachunek sumienia i na brewiarz. Spotykamy się więc wspólnie w naszej małej kaplicy na modlitwy, a potem jemy obiad. Po obiedzie krótka rekreacja.

Popołudnie spędziłem na przygotowaniu krótkiej nauki dla dzieci i kazania na jutro.

Piątek, 6 czerwca

Z okazji pierwszego piątku miesiąca przyszła gromadka ludzi na Mszę św. o godz. 7.00.

Po Mszy św. było trochę spowiedzi. O godz. 9.15 zebrałem dzieci, żeby odprawić Drogę Krzyżową i wygłosić im krótką naukę o czci Najświętszego Sakramentu. Dzieci, które skończyły naukę katechizmu, zobowiązane są przychodzić na naukę i Mszę św. przez 9 pierwszych piątków miesiąca. Do nich właśnie mam dziś naukę. Niektóre dzieci przychodzą z daleka, ze wszystkich stacji misyjnych, które należą do naszej misji. A stacje misyjne odległe są od parafii o 14, 20, a nawet 35 km. Dziś było na Mszy św. około 70 dzieci.

Po nauce dzieci wyszły przed kościół odpocząć trochę. Ale za parę minut zaczęła się spowiedź i w końcu Msza św. z litanią do Serca Pana Jezusa i błogosławieństwem Najśw. Sakramentu. Po Mszy św. sprawdziłem obecność i rozdałem obrazki, ale tylko tym, którzy przyszlizli 9 razy na Mszę św. w pierwsze piątki miesiąca.

Staramy się zachęcić naszych chrześcijan do nabożeństwa do Najświętszego Serca Pana Jezusa. W Roku Świętym postanowiliśmy szerzyć nabożeństwo do Serca Pana Jezusa. Wydaje się, że w każdy pierwszy piątek jest coraz więcej ludzi. Przekonujemy ludzi o konieczności wynagradzania za tak liczne grzechy w naszej parafii, zwłaszcza po tych smutnych wydarzeniach z lat 1972 – 73, gdy tylu niewinnych ginęło z powodu nienawiści.

Dzisiejsze popołudnie zeszło mi na dokształcaniu się w kirundi i teologii. Przeglądałem parę książek i gazet religijnych. Potem zaglądałem do „fabryki” różańców i odebrałem gotowe już różańce. Dziś nasze pracownice zrobiły 50 różańców. „Fabryka” wkrótce stanie, bo brak ziarenek i krzyżyków. Muszę pisać do Polski po medaliki i krzyżyki do różańców, a tu na miejscu będę prosił dzieci, żeby mi przyniosły ziarenka.

Sobota, 7 czerwca

Dziś miałem Mszę koncelebrowaną z o. Teofilem u Sióstr św. Teresy. W tym czasie o. Klaudiusz miał śpiewaną Mszę św. w kościele dla młodzieży katolickiej. W naszej parafii jest kilka organizacji młodzieżowych. W każdą sobotę przychodzą gromadnie na Mszę św. Cała nasza nadzieja to młodzież, która szuka prawdy i stara się żyć w duchu chrześcijańskim. Na dorosłych nie możemy wiele liczyć. Urodzili się w pogaństwie, długi czas żyli jako poganie, a potem, jako dorośli, przyjęli chrzest. Choć przyjęli chrzest św., to jednak nie tak łatwo pozbywają się praktyk i zwyczajów pogańskich, w których żyli całe lata. Trudno im jest nagiąć się do wszystkich wymagań życia chrześcijańskiego. Młodzi są bardziej dynamiczni i chcą pełnego chrześcijaństwa. Jeżeli zniechęcają się, to często przez rodziców, którzy zmuszają ich do praktyk pogańskich, lub zmuszają do małżeństwa z poganami. Rodzice mają wielki autorytet i szacunek u dzieci, dlatego one łatwo ulegają naciskowi rodziców, jak w złym, tak i w dobrym.

Po Mszy św. spowiadamy niewielką grupę młodzieży, bo niedawno byli do spowiedzi przed uroczystością Bożego Ciała. Przed kościołem gromadzą się młodzi i coś radzą. Potem część wraca do domu, inni gromadzą się w sali parafialnej, żeby przygotować pieśni na niedzielę. Za chwilę słychać śpiewy. W tym czasie członkowie Legionu Maryi odmawiają różaniec przed Grotą Matki Bożej. W ten sposób zaczynają swoje zebranie tygodniowe. Już dochodzi godzina 10.00, gdy wracam do siebie i zabieram się do swojej pracy. Przygotowuję obrazki Serca Pana Jezusa, które jutro wręczone członkom organizacji zwanej *Inatamuheba* czyli czcicielom Serca Pana Jezusa. Jutro, z okazji uroczystości Serca Jezusowego, niektórzy członkowie tej organizacji dostaną duże obrazki Serca Jezusowego, które mają zawiesić w domu. Dostaną tylko ci, którzy wykazali maksimum gotowości i pilnie przychodzili na Mszę św. w pierwsze piątki miesiąca. Te obrazki w formie pocztówki przyklejam na karton i ozdabiam, jak umiem. Zabiera mi to sporo czasu, bo muszę przygotować 17 obrazków. I tak czas zleciał do południa.

Po południu musiałem przygotować zebranie *Caritas*. Chodzi o organizację dobroczynną. Tu wszyscy są biedni, ale wśród nich są tacy, którzy naprawdę nie mają co do ust włożyć i czym się przyodziać. Na zebraniach staram się przekonać chrześcijan, że sami między sobą mają się wspomagać. Większość uważa, że misjonarze mają pomagać biednym, a oni tylko przynoszą listy biednych w parafii.

O godz. 16.30 poszedłem na zebranie młodzieży katolickiej. Rozważaliśmy wspólnie Ewangelię na jutrzejsze święto Serca Pana Jezusa. Był już wieczór (18.00), gdy wyszedłem z zebrania. Resztę dnia wypełniły nasze wspólne akty: modlitwa, brewiarz, kolacja i rekreacja.

Niedziela, 8 czerwca

Pierwszą Mszę św. odprawia o. Klaudiusz, a kazanie głosi o. Teofil. Pod koniec Mszy św. w ogłoszeniach parafialnych zapowiedziałem zebranie rady parafialnej, które odbędzie się zaraz po Mszy św. Potem będzie zebranie członków *Caritas*. W piątek ojciec pojedzie na stację misyjną w Shembe. Ostatnie ogłoszenie: dziewczęta z obejścia Mpinga przyjdą zamiatać kościół w poniedziałek, a następna grupa w sobotę.

Jak wynika z powyższego, w naszej parafii odbywa się wiele zebrań na różnym szczeblu. W tym tygodniu szczególnie było tego dużo, a to z racji początku miesiąca. Trzeba mieć dużo cierpliwości, żeby wysiedzieć godzinę lub dwie na zebraniu. Afrykańczycy lubią dużo mówić, układają wielkie programy, ale do pracy trudno im się zabrać.

Po Mszy św. musiałem brać udział w każdym zebraniu i jeszcze powiedzieć Słowo Boże do czcicieli Serca Jezusowego oraz rozdać obrazki. Wszystko to trwało do godziny 10.30, więc prawie zdążyłem na czas rozpocząć drugą Mszę św. o godz. 10.30. Była to Msza św. koncelebrowana przez trzech: o. Teofil, o. Ryszard i ja. Po Mszy św. sprawdziłem obecność dzieci szkolnych. Chcemy wiedzieć, jak dzieci chodzą na Mszę św., dlatego od czasu do czasu sprawdzamy obecność. Opuszczenie niedzielnej Mszy św. przez dzieci i starszych jest tu częstym zjawiskiem. W rodzinach katolickich nie ma jeszcze wyrobionego poczucia obowiązku, nie ma tradycji chrześcijańskiej, bo często rodzice ochrzczeni byli nie dawniej, jak 6 lat temu, a niekiedy w rodzinie jest ktoś jeszcze nie ochrzczony. W takiej atmosferze wzrastają dzieci i trudno się dziwić, że tyle jeszcze braków w życiu chrześcijańskim.

Ponieważ w Mpindze jest 12 klas (sześcioklasowa szkoła dla chłopców i druga dla dziewcząt), sprawdzanie obecności przeciągnęło się do godz. 12.00. Nie poszedłem już, by odwiedzić poszczególne grupy młodzieży katolickiej, które po Mszy św. zbierają się, żeby omówić program na cały tydzień i wspólnie się bawić. O godzinie 2.00 po południu odprawiłem krótkie nabożeństwo dla naszej młodzieży. W czasie nabożeństwa modlimy się za Ojca św., śpiewamy pieśni do Matki Bożej, a na koniec błogosławimy Najświętszym Sakramentem. Całe nabożeństwo nie trwało dłużej niż 20 minut. Po nabożeństwie zbieramy się przed kościołem i ustawieni w koło, śpiewamy pieśń na pożegnanie. Po tej ceremonii wszyscy wracają do domu. Jest godz. 3.00 po południu. My też idziemy trochę odpocząć. Nierzadko ktoś przeszkodzi nam w tym odpoczynku. Czasem chłopcy proszą o piłkę, bo chcą sobie zagrać, czasem jakaś kobieta prosi o lekarstwo na oczy dziecka.

Niedzielne popołudnie to najlepszy czas na lekturę czasopism i książek. Trzeba wciąż czytać, żeby pogłębiać swoją wiedzę i orientować się w życiu całego Kościoła. Tak łatwo zasklepić się w swojej parafii i nie widzieć potrzeb całego Kościoła Bożego. Dziś zrezygnowałem z przechadzki, choć na polu tak ładnie: spokój i słońce nie przypieka już tak mocno. Wolę coś poczytać, bo tyle się już zapomniało...

I tak przeszedł ten tydzień, podobny do innych, choć nie całkiem. Są prace, które powtarzają się co miesiąc, jak zebrania katechistów, pierwsze piątki miesiąca; są takie, które powtarzają się w każdym tygodniu i takie, które powtarzają się każdego niemal dnia.

br. Eliaszk. b.

LISTY

SIÓSTR KARMELITANEK DZIECIĄTKA JEZUS

ROK 1974

1. Chorzy czekają na lekarstwa.

Bujumbura, 29 stycznia 1974r.

(...) Czujemy się dobrze. Z językiem mamy dużo pracy, by jak najprędzej zrozumieć ludzi. Z Mpingi wyjechałyśmy 28 XII 1973r. Robimy praktykę w szpitalu w Kirembie. Jest tutaj szpital, ośrodek zdrowia i ośrodek szkolenia sanitarnego. Od 28 stycznia do 2 lutego 1974r. jestem na zjeździe pracowników ośrodka szkolenia sanitarnego. Tutaj się dowiedziałam, że do tego, by być zatwierdzoną do prowadzenia ośrodka zdrowia, trzeba koniecznie mieć dyplom pielęgniarki i ukończenia 6-miesięcznego kursu medycyny tropikalnej w Belgii. Mamy dostać adres organizacji w Belgii, która daje stypendia. Już pisałam o tym do o. Michała i do o. Teofila. W związku z tym koniecznie potrzeba, aby s. Leokadia i druga z dyplomem pielęgniarskim pojechały do Belgii przed przyjazdem do Burundi. Pracy przy chorych jest tyle, że we trzy będziemy zajęte i jeszcze kilkanaście dziewcząt trzeba będzie zatrudnić. Kursy w Belgii są dwa razy w roku: w styczniu i we wrześniu. Prosimy pokornie, by można było już zacząć starania w Belgii. Ja najprawdopodobniej nie będę zatwierdzona, ze względu

na brak kursu, uznanego przez tutejsze władze. Biskup Ruhuna (nasz biskup) jeszcze ma się o to starać, ale nie wiemy, czy co z tego wyjdzie. Niechby choć jedna z nas miała wszystko w porządku, by nie mieli powodu usunąć nas od rozpoczętej pracy lub utrudniać na każdym kroku.

Niech s. Leokadia wykorzysta dobrze czas na przygotowanie, bo tu człowiek zdany jest na własne siły. Jakże by się przydało, żeby siostra nauczyła się leczyć zęby. Jest wprawdzie dentysta w Bujumburze, ale tam nawet dla misjonarzy i dostojników nie ma miejsca, a cóż dopiero mówić o prostym ludzie. Przykro się robi, gdy trzeba wyrywać zęby, które można by wyleczyć. Ja już prosiłam s. Anzelmę – odpisała mi, że to jest możliwe. Taka nauka jest w Polsce niedopuszczalna, ale tutaj przydałaby się na wagę złota. Jakże by było dobrze, gdyby s. Leokadia przyjechała z małym gabinetem dentystycznym.

Dziś spotkałam w Bujumburze o. Teofila, o. Kantego i o. Klaudiusza, którzy przyjechali robić zakupy materiału na budowę. W Musongati jeszcze wszystko w prosku. Br. Marcelli przygotowuje pustaki, ale kiedy się rozpocznie budowa, nie wiadomo, bo jeszcze państwo nie zatwierdziło planu, a podobno długo się czeka. Br. Marcelli przysłał nam list, w którym wyszczególnia rzeczy, które by się przydały do budowy domu i ośrodka zdrowia. Załączam ten list. Również napisałam do s. Liliozy coś w rodzaju SOS, prosząc o lekarstwa. Skrzynie jeszcze nie doszły. Ojcowie mówią, że trzeba ich spodziewać się około marca. Będziemy je mogły zobaczyć na Wielkanoc, bo od 11 lutego jedziemy na kurs języka kirundi; wtedy będziemy mogły zobaczyć, w jakim stanie rzeczy doszły.

Nasza aklimatyzacja przebiega spokojnie. Wprawdzie klimat jest męczący, szczególnie w dzień jest gorąco, ale za to w nocy chłodno – to można odpocząć. Na razie jesteśmy w brązowych habitach, bo białe jeszcze nie przyszły. Biały habit konieczny jest ze względu na robactwo, którego na brązowym nie widać. Włosy stają jeża na widok całych legionów europejskich „przyjaciółek”, które spacerują po chorych, przychodzących lub przyniesionych do szpitala, często z tyfusem. Z drugiej strony, ziemia i pył są koloru czerwonego i żeby być jako tako czystym, trzeba codziennie lub co drugi dzień zmieniać habit. Po godzinie jest się brudnym jak prosiątko.

Piszę o rzeczach, które mogą odstraszyć, ale to nie wszystko, co chcę powiedzieć. Wprost nie do uwierzenia ilu chorych, a jakie rany. A jednak największą plagą są robaki. Trzeba zobaczyć te dzieci z rozdętymi brzuskami i powiększonymi wątrobami, z anemią złośliwą z powodu robaków. Wszyscy mają glistę ludzką i antylostom⁴⁸, który powoduje złośliwą anemię. Mamy mikroskop do badania masowego, ale najczęściej nie jest potrzebny mikroskop, bo dzieci wymiotują po kilkadziesiąt glist na raz i często umierają z zatrucia lub uduszenia, ale w całym Burundi nie można dostać ani deka piperazyny. Do przeprowadzenia kuracji dla 60 tys. ludzi w naszej parafii (Musongati i Mpinga) potrzeba co najmniej 100 kg piperazyny. Jak ją zdobyć. Na naszym terenie nikt się tym jeszcze nie zajął. Inne misje sprowadzają ze swoich krajów, a tutaj dzieci pokazują brzuszki i mówią *inzoka*, tj. robaki – i nie mają możliwości ich zabić.

(...) Do ośrodka zdrowia w Kirembie przychodzi dziennie około 300 ludzi, by prosić o leki, zrobienie opatrunków, o radę. I trzeba tych ludzi zaopatrzyć. Ale jak i czym? U nas to samo

⁴⁸

Ankylostome (fr.), tęgoryjec dwunastniczy powodujący niedokrwistość.

będzie. Jeszcze nie ma ni naszego domu, ni szpitalika, a już na drugi dzień po naszym przybyciu cała gromada przybyła, prosząc o pomoc. Idą pieszo całe dziesiątki kilometrów, a ciężko chorych niosą na plecach na noszach (coś w rodzaju plecionej opalki, przymocowanej do dwóch długich kijów). Ale idą i niosą, bo nie ma innego wyjścia.

Często im chorzy w drodze umierają – to go natychmiast zakopią, bo bardzo się boją umarłych.

Siostry Kochane – jeśli zdołamy tu coś zrobić, to jedynie dzięki Wam, bo na cóż się przyda nasza diagnoza, jeśli nie będzie leku? Bóg zapłać za wszystko już teraz.

Ludzie tu są bardzo przyjemni i biedni. Już dużo razy przyłapałam się na tym, że wcale nie spostrzegłam, że oni mają inną skórę, niż my. Różnica rasowa zupełnie zanika w obcowaniu. Co nas dzieli, to to, że się nie rozumiemy, że nie możemy sobie pogadać, bo język ich jest trudny i trzeba całych lat konwersacji, żeby można było rozmawiać swobodnie. Jest bardzo dużo chorych i potrzeba nam wielkiej współpracy wszystkich Drogich Sióstr. Jedynie razem możemy coś zrobić.

Robimy zdjęcia ciekawych scen. S. Bellarina będzie się dzielić z siostrami. Prześlemy je przez ojca, który ma pojechać do Polski na urlop około Wielkanocy. Można zrobić więcej zdjęć, np. przyrodniczych, czy też przedstawiających tradycje lub zwyczaje, ale proszę o filmy, bo tutaj są bardzo drogie. Kosztują co najmniej 8 razy więcej niż w Polsce.

Co do nas, to musimy już myśleć o materiale na urządzenie porodówki i ośrodka zdrowia sanitarnego, tzn. opieki nad dziećmi niedożywionymi i pouczenia matek, jak mają przygotowywać pożywienie oraz leczyć dzieci.

(...) Złączone w modlitwie i wspólnej służbie idźmy z Dzieciątkiem, by nieść Je braciom.

s. M. Zygmunta

2. „Nędza wygląda z każdego kąta.”

24 lutego 1974r.

Ukochane Siostry, Kochani Przyjaciele misji!

(...) W Mpindze przebywałyśmy do Bożego Narodzenia. Dnia 27 grudnia 1973 roku wyjechałyśmy na praktykę do szpitala, odległego około 180 km od Musongati, by tutaj zobaczyć sposób leczenia i zetknąć się bliżej z chorymi. Szpital ten jest ufundowany i utrzymywany przez jedną z diecezji włoskich (Brescia – diecezja, w której urodził się Paweł VI). Chorych tu nie brak. Nędza wygląda z każdego kąta. Już w Musongati, zaraz po naszym przyjeździe, grupy chorych, poczynawszy od małych dzieci, a skończywszy na starcach, przychodziły po pomoc. Serce się ścisza na widok tych ran olbrzymich, często aż do kości – spowodowanych niedożywieniem. Przeciętna rodzina ma mięso raz na rok około Bożego Narodzenia lub Wielkanocy, większość z nich nie zna wcale mleka. Są wprowadzić krowy, ale aby być jej posiadaczem, trzeba być bogatym. Zresztą te krowy o wielkich rogach dają na dzień przeciętnie 1 litr mleka. Rasa europejska nie wytrzymuje tutejszych warunków, dlatego do tej pory misjonarze nie mogli jej przeszczepić.

Jednostronne odżywianie (słodkie ziemniaki, banany, groch, maniok) powodują kwashiorhor⁴⁹ u dzieci, który objawia się apatią, obrzękami, ranami olbrzymimi i śmiercią. A do tego wszystkiego robak przewodu pokarmowego i pasożyty skóry.

Dzieci pokazują swoje rozdęte brzuszki i mówią: *inkoza*, co znaczy robaki, a raczej węże w brzuchu. Tak określają glistę ludzką, która tutaj jest plagą. Dla przykładu podam. Jednemu małemu dziecku podałyśmy piperazynę i jaki skutek? Wyszło z niego 136 długich glist, no i brzusek, który robił wrażenie, że skóra popęka lada chwila, opadł do rozmiarów normalnych. Takich przykładów jest tysiące.

Całe nieszczęście, że w Burundi nie można dostać tej piperazyny, a ileż jej potrzeba na 60 tysięcy parafian, którzy należą do naszych placówek?

Widok tylu chorych, tylu trędowatych, tylu biednych ludzi, którzy z powodu nieświadomości, nie umieją się ustrzec ani wykorzystać darów przyrody – powoduje ból w sercu. Trzeba coś zrobić, aby przez czyny zbliżyć ich do Chrystusa.

(...) Poprzez modlitwę i umartwienie Wielkiego Postu pomyśl choć czasem, Kochany Przyjacielu, o braciach o czarnym kolorze skóry. Dla nich także umarł Chrystus.

s. M. Zygmunta

3. Na targu i w chacie Pigmejów.

Mpinga, 29 marca 1974r.

Droga Siostró Damiano!

Trudno mi uwierzyć, że ja jestem w Afryce. Dzieci są raczej nieśmiałe. Nie znamy języka, by móc z nimi porozmawiać. Starsi podają rękę, mówiąc *bwakeje*, tzn. „dzień dobry”. Śmiejemy się, gdy ojcowie mówią do nas w języku kirundi, a potem tłumaczą na polski. Tego nie da się opisać, trzeba słyszeć akcentowanie.

Z bratem Sylwestrem poszliśmy zobaczyć jak wygląda targ w Mpindze. Na ziemi w koszykach fasola, groch, kukurydza, trochę cebuli, trzcina cukrowa, maty do spania, tytoń i oczywiście piwo z bananów i z jakiegoś ziarna, które rośnie podobno jak kukurydza. Żeby Droga Siostra wiedziała, jakie było to piwo, w takim dużym, glinianym garnku. Prawie każdy podchodził, przez słomkę próbował i odchodził. Dobrze, że im nie przyszło na myśl, by nas częstować.

Potem poszliśmy do malutkiej osady murzyńskiej. Ci Murzyni są najgorzej traktowani. Nigdy nie pozostają długo w jednym miejscu. Przeważnie zajmują się lepieniem garnków. Nigdy bym nie uwierzyła, że można tak mieszkać. Pozwolili zaglądnąć do ich chaty. Wejście było niziutkie, na środku symboliczne trzy kamienie, na których gotują trochę grochu. Wokoło nieco trawy, która służy za posłanie. Poza tym nic. Na sobie mają brudne strzępy, które dostali od ojców. (...)

s. M. Zenobia

4. Na stacji misyjnej.

⁴⁹

Choroba tropikalna spowodowana brakiem białka w spożywanych pokarmach.

Mpinga, 9 kwietnia 1974r.

Droga Siostrzo Damiano!

(...) Misja naszych ojców w Mpindze jest dobrze urządzona, ponieważ Ojcowie Biali (Belgowie) zostawili ją w dobrym stanie; zostawili nawet wyposażenie i umeblowanie. Brat Sylwester jest nieoceniony, na wszystkim się zna i co weźmie do ręki – wszystko robi.

Mieszkamy w osobnym budynku z Panem Jezusem razem, albo ściślej mówiąc: obok kaplicy. Wszędzie jest posadzka cementowa – to jest luksus. Łóżka mamy żelazne i sienniki z gąbki – są wygodne i praktyczne. Ojcowie mają motor, a zatem mamy światło elektryczne od godz. 6.00 do 9.00 wieczorem. W tym czasie modlimy się, mamy kolację i rekreację.

Natomiast ojcowie w Musongati żyją w warunkach prawdziwie misyjnych. Humor jednak mają wyjątkowy. Nie wiem, kiedy się będzie budował dla nas domek, bo jeszcze ojcowie dla siebie nie rozpoczęli. Modlimy się, aby Pan Bóg wszystkim pokierował na swoją chwałę i na pożytek tych biednych ludzi.

S. Bogumiła zajęła się zakrystią, a ja naprawiam ojcom habity i inną bieliznę, szyję alby dla katechistów, którzy odprawiają nabożeństwa w niedzielę, bo tylko raz w miesiącu mogą ojcowie jechać ze Mszą św. do małych stacji misyjnych.

W Niedzielę Palmową miałam okazję zobaczyć dwie takie stacje misyjne. O. Sylwan i o. Klaudiusz jechali święcić palmy, a jedno miejsce w samochodzie było wolne, więc z radością skorzystałam z okazji. O. Sylwan wysiadł wcześniej, może po 10 km jazdy, a my pojechalismy jeszcze dalej. W Polsce są lepsze stodoły, jak tutaj kościoły: puste mury, bez drzwi i bez okien, wewnątrz „posadzka” z gliny – jak pada deszcz, to pełno błota.

Jak wspomniałam wyżej – pojechalismy dalej – lecz po kilkudziesięciu metrach utknęliśmy w błocie i ani rusz. Nie ma innego wyjścia, trzeba wysiąść i coś radzić. Zbieramy kamienie, podkładamy pod koła – nic nie skutkuje. Szło dwoje ludzi. Ojciec prosi o pomoc. Po chwili trudu i wysiłku samochód rusza dalej, a my jesteśmy niesamowicie wysmarowani, ale jedziemy. W niektórych miejscach, drogi zupełnie nie widać, bo trawa jest większa od samochodu. Jeszcze kilka niebezpiecznych przejazdów, ponieważ w nocy była ogromna ulewa. Ojciec jest w gumowych butach, więc wychodzi i sprawdza jaki jest spód, czy da się przejechać.

Prawie z godzinnym opóźnieniem dobijamy do celu. Ludzie przed kościołem czekają; ciekawe oczy zwrócone w moim kierunku. Katechista, widząc mnie taką ubrudzoną, postarał się o trochę wody, obmyłam ręce, szkaplerz odwróciłam z przodu do tyłu i już w porządku. Ojciec Klaudiusz odprawia dwie Msze św. Druga, uroczysta, z poświęceniem palm, ale co za wspaniałe palmy! Ja też dostałam duży liść. Ta wieś gdzie jesteśmy, nazywa się Kiharo. Jeszcze w niej bardzo dużo pogan. Jesteśmy od Tanzanii około 10 km. Ojcowie myślą o utworzeniu tutaj parafii.

Po Mszy św. zbieramy się szybko, bo nadciąga chmura, a musimy się wdrapać około 800 m w górę. Tutaj prawdziwy tropik – gorąco! Wracamy wzdychając, by szczęśliwie przejechać niebezpieczny odcinek. Niestety, ugrzęźliśmy w tym samym miejscu. Znowu wysiadka i znowu naprawa drogi. Przychodzą nam z pomocą dzieci, wracające po Mszy św. Powoli wyjeżdżamy i w dali widzimy o. Sylwana, który odprawił już wszystkie ceremonie i czeka na nas. Wita nas z uśmiechem, gdyż wie już o naszej przygodzie. Z deszczem wracamy do domu.

Kościół w Mpindze, w porównaniu z tamtymi dwoma, które widziałam jest wspaniałą katedrą. Po południu idziemy na drogę krzyżową.

Po drodze pytam ojca, gdzie tu mieszkają ludzie; nie widziałam żadnej chaty, a spotkaliśmy dużo osób starszych i dzieci w strzępach, które wychodziły tajemniczo spod bananowych krzewów. Ojciec mi wytłumaczył, że tam są chatki, gdzie rosną drzewa bananowe, tylko są tak nieduże, że ich nie widać. Aż litość bierze patrzeć na dzieci z rozdętymi brzuskami, chodzące nago.

Muszę się streszczać, bo świeczka mi gaśnie, a jeszcze trzeba coś wspomnieć o paczkach. Do tej pory przyszło 6 skrzyń, ale ich jeszcze nie widziałam. O. Teofil mówił, że przyszły w takim stanie, jak były wysłane z Katowic, tzn. z plombami.

Jeśli chodzi o ojców w Mpindze, to naprawdę krucho z garnkami. (...)

Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia, złączona w Pan
s. M. Zenobia

5. Wielkanoc i pielgrzymka jubileuszowa.

Mpinga, 28 kwietnia 1974r.

Najpierw napiszę, jak spędziłyśmy pierwsze Święta Wielkanocne na afrykańskiej ziemi.

Ojcowie zrobili eksperyment i po raz pierwszy urządzili Ciemnicę i Grób Pana Jezusa.

Przez 3 dni Wielkiego Tygodnia ceremonie rozpoczynały się o godz. 15.00. Po ceremoniach miałyśmy po pół godziny adoracji, na zmianę, do godz. 21.00, bo dotąd mamy światło. Oczywiście, w kościele nie ma zupełnie, ale brat Sylwester doprowadził. Od godz. 20.00 do 21.00 adorowaliśmy wspólnie Pana Jezusa, śpiewając Gorzkie Żale i pieśni postne po polsku. Ceremonie odbywały się tylko w kościele parafialnym w Mpindze. Dużo ludzi, zwłaszcza młodzieży i dzieci szło nawet kilkadziesiąt kilometrów, by wziąć udział w ceremoniach, niosąc ze sobą w węzélku żywność na 4 dni.

W Wielką Sobotę, po ceremoniach w kościele, oni dopiero rozpoczęli swoje Święta przez śpiewy i tańce. Poszliśmy z s. Bogumiłą zobaczyć ich wyczyny. Około godz. 20.00 na dużym placu rozpalono ogromne ognisko i rozpoczęły się tańce, krzyki i wrzaski. Mężczyźni tańczą osobno, a niewiasty osobno. Niektóre tańce były ładne, ale w większości te ich ruchy są bardzo dzikie. W ich uroczystościach jest jeszcze dużo elementu pogańskiego – tylko przy ogniu i nocą. Byłyśmy do godz. 22.00, a oni bawili się dłużej. Proszę sobie wyobrazić, że wielu z nich nie jadło jeszcze nic w tym dniu. Zaczynali jeść po zakończeniu imprezy.

Jak my przygotowujemy na Święta lepsze jedzenie, tak oni przygotowują tańce. Dla nich zmiana pożywienia, czy jego urozmaicenie nie jest do pomyślenia – wystarczy maniok i groch. Chowają kury, a więc mają jajka, lecz ich nie jedzą. Przynoszą i sprzedają misjonarzom. Jest takie przekonanie, że niewiasty, jak będą jeść jajka, to nie będą miały dzieci.

Tutejsze czarne siostry otrzymały od naszych ojców trochę nasion kapusty, marchewki, ale gdy jarzyna urosła, wszystko przyniosły na misje ojcom. Bardzo trudno je przekonać, że w tym są witaminy, które są potrzebne dla organizmu. Ale odbiegam od tematu.

W Wielkanoc ubrałyśmy białe habity i poszliśmy na sumę. Uroczysta Msza św. koncelebrowana – ludzi pełny kościół. Po Mszy św. dziewczynki tańczyły przed ołtarzem, przy akompaniamencie bębna. Taniec był bardzo ładny. Szczególnie zwróciło moją uwagę

małe dziecko, siedzące na kolanach swojej siostrzyczki. W rytm bębna klaskało w dłonie, a miało może 2 – 3 lata; było rozkoszne.

Po sumie obiad, a potem poszliśmy na zakończenie imprezy. Niestety, nadeszła burza i musieliśmy co sił uciekać do domu. Nasze białe habity nadawały się tylko do prania.

W Burundi jest tylko jeden dzień Wielkanocy, my jednak świętowaliśmy także drugi dzień.

(...) Komuś przyszło na myśl, że może poszlibyśmy pieszo przez góry do Musongati. Zrobiliśmy tajne głosowanie: 4 głosy „za”, a 3 „przeciw”, a więc idziemy.

Ruszyliśmy o godz. 10.00. Do Musongati przez góry jest około 15 km. Droga jest różna – raczej ścieżka po skałach, kamieniach, między trawami, które są wyższe od nas. Dzień pogodny, słońce przypieka. Zbliżamy się do rzeki, którą musimy przejść – woda sięga tylko do kolan.

Później jeszcze jedna rzeczka, na niej most, ale jaki? Dwa cienkie drzewa położone w poprzek rzeki. Trzeba iść pojedynczo, bo grozi załamaniem. Co zgrabniejsi poszli pierwsi i ustawiają aparaty, by zrobić zdjęcia tym, którzy się „gramolą”. Ludzie i dzieci przyglądają się nam z ciekawością.

Jakiś mężczyzna odprowadza nas kawałek i wskazuje drogę. Jesteśmy już na terenie Musongati, ale od misji dzielą nas jeszcze dwie góry. Na godz. 12.00 dobijamy do małego kościółka misyjnego. Kilka minut odpoczynku, bo zaczynamy opadać z sił. Mimo, że głosowanie było tajne, można wyczuć kto był „za”, a kto „przeciw”. Z niektórych pot płynie strugami, bo to przecież Afryka i samo południe. Jeśli pójdziemy dobrze, to mamy przed sobą jeszcze półtorej godziny drogi. Po drodze gubimy się, bo ścieżki prowadzą w różne strony. Siły nas coraz bardziej opadają i znów odpoczywamy chwilę. Drogi nam nie ubywa, a nie mamy przy sobie ani kropli wody. Na dodatek buty mam niewygodne, ale tego nie mogę pokazać, bo przecież dałam głos „za”. Po chwili idzie się już łatwiej, bo po równym i już widać drzewa na misji w Musongati. Godzina 14.15 – jesteśmy na miejscu, najpierw wstępujemy do kościoła. Zapomniałam zaznaczyć, że była to pielgrzymka „jubileuszowa” w Roku Świętym, a w Musongati w kościele jest Matka Boża Częstochowska.

Tutaj spotyka nas niespodzianka – o. Kanty i o. Kamil pojechali rano do Mpingi, by pożegnać m. Zygmunta i s. Julianę, bo miały wyjeżdżać do Muyange na kurs.

Po posiłku myślimy o powrocie. Teraz znowu głosowanie, czy idziemy pieszo do Mpingi. 5 głosów „za”, 1 „przeciw”, ale to tylko żarty, bo jednak wracamy samochodem toyota – (samochód ciężarowy bez plandeki). Około godziny 18.00 jesteśmy z powrotem w Mpindze. Wielkie zdziwienie, gdy nas ojcowie z Musongati witają w Mpindze, zajeżdżających ich samochodem. (...)

s. M. Zenobia

6. Uśmiech dziecka.

Musongati, 2 maja 1974r.

Ukochane Siostry, Ukochani Przyjaciele Misji!

Oto po kilku tygodniach przerwy znów kilka słów. Najpierw pragniemy podziękować Wam za wszystko dobro, które czynicie dla afrykańskich braci. Jakże jesteśmy wdzięczni za każdy gest. A nasi podopieczni też potrafią być wdzięczni. Dla przykładu opiszę jeden obrazek.

W czasie ferii świątecznych spotkałyśmy się wszystkie cztery w komplecie w Mpindze, bo w Musongati jeszcze nie ma gdzie się zatrzymać. Dopiero trzeba organizować wszystko od podstaw. Dużo chorych przychodziło po pomoc. Zauważyłam z daleka wlokące się przy pomocy kija dziecko w wieku około 10-ciu lat. Robiło wrażenie nienormalnego. Gdy się przybliżyło, oczom naszym ukazała się jego twarz skrzywiona, oczy tak zaropiałe, że prawie nic nie widziało, a na policzkach strugi zaschniętej ropy, która spływała z oczu. A jego nogi i ręce! Palce u nóg i rąk, to baloniki spuchnięte i zaropiałe. Bez trudu było można rozpoznać infekcję, spowodowaną pewnym rodzajem pchły, która jak kleszcz wgryza się w skórę pod paznokciami, powodując stan zapalny. Zabrałyśmy się do niego z s. Julianną. Ja oczy, a s. Juliana nogi i ręce. Wyciągała całe gniazda jajeczek przez około 3 godziny, a chłopak siedział cicho, nie wydając ani jednego jęku. Po skończonym zabiegu pod paznokciami i podeszwami ukazały się głębokie szczeliny wydrążone przez te miniaturowe stworzonka. Po założeniu opatrunków wyprowadziłyśmy chłopca do domu. Obserwując go odchodzącego myślałam: „na pewno będzie spał tej nocy, bo mu ulżyło”.

Myślałam tak, mając we wspomnieniu ostatnie dwie noce, nie przespane z powodu tego małego przyjaciela pod paznokciem w nodze, którego nie mogłam wydostać. Ale pomyliłam się. Rano, ledwo świt się zrobił, chłopak stał już pod misją. Był uśmiechnięty od ucha do ucha. Trzeba było zobaczyć ten uśmiech, te rzędy białych, lśniących zębów. Okazało się, że nie spał. Ale dlaczego? Jeśli tak się mogę wyrazić, to powiem, że nie spał ze szczęścia, z radości, że się nim zajęto: bo czuł się właścicielem dużej nowej agrafki, którą dostał do wyciągania nowych pcheł, gdyby go atakowały.

Ten szczerzy uśmiech był więcej niż zapłatą za te godziny spędzone przy nim. A takich wypadków dużo, na porządku dziennym. (...)

s. M. Zygmunta

7. Dzień dzieci w Burundi.

Musongati, 2 maja 1974r.

Ukochane Dzieci!

Od waszej Siostry dowiedziałyśmy się o wielkiej ofiarności i dobroci Was wszystkich dla afrykańskich dzieci. Dziękujemy Wam za to z całego serca. Dziękujemy Wam za każdą rzecz, którą się dzielicie, a najwięcej dziękujemy za modlitwę o to, by jak największa ilość Murzynów poznała Pana Jezusa. Opowiadałyśmy tutaj dzieciom o Was, o tym jak uczycie się w szkole i co robicie po zajęciach szkolnych. Słuchały z otwartą buzią i szeroko rozwartymi oczętami. I mówiły – powiedz *bwakeye* – tzn. „dzień dobry” dzieciom z Polski. A wiecie, co robią dzieci tutaj? Wstają przeważnie o szóstej rano, bo o tej porze punktualnie robi się dzień i idą szukać drzewa i wody. Idą często bardzo daleko, bo Burundi to kraj górzysty, a woda jest tylko w dole. Niosą wodę na głowie, w naczyniach zrobionych z pewnego rodzaju owocu, podobnego do dyni, tylko wysuszonego i wydrążonego w środku. Po powrocie do domu zjadają, jeśli coś zostało z wieczora i idą w pole. Tam, razem z rodzicami, uprawiają motyką groch lub słodkie ziemniaki. Nie ma tu pługa ani koni, ani traktora, dlatego uprawa pola zabiera dużo czasu. Przychodzą do domu przed wieczorem i zabierają się do gotowania: grochu, bananów lub manioku (korzenie o smaku ziemniaków).

O zmroku cała rodzina schodzi się do domu, zbudowanego w kształcie beczki z wysuszonego błota i pokrytego długą trawą. W środku tego domu pali się ognisko. Cała rodzina zasiada na ziemi wkoło ognia i spożywa przygotowany przez mamę posiłek. Następnie idą spać. Największym nieszczęściem dla nich jest iść spać na głodnego, to znaczy nie mieć co jeść, bo jedzą przeważnie raz na dzień do syta (wieczorem), a rano jedzą, jeśli coś z wieczora zostanie. Oto dzień dziecka w Burundi. Nie chodzą do szkoły, bo nie ma szkół. Na 100 dzieci, tylko 4 może się uczyć, a dla innych nie ma miejsca. Są skazane na to, że nie będą umiały czytać i pisać.

A wiecie, jakie jest ich największe pragnienie? Posiadać zeszyt i agrafkę. Zeszyt, by uczyć się pisać, bo nawet te, co chodzą do szkoły, nie mają zeszytów. Piszą na deseczkach węgielkiem, a później ścierają paluszkiem. A wiecie, po co agrafka? Jest im potrzebna do wydłubywania kolek, które wbijają się im w bosc nóżki, a przede wszystkim, do wydłubania takich skaczących kleszczyków, które są mniejsze od główki szpilki, a które wgryzają się pod paznokcie.

Dzieci tutejsze bardzo lubią się bawić. Często ich widać goniących za piłką. Ale jaką piłką? Jest to coś okrągłego, zrobionego z liści bananów, owiązanych trawą. Gonią i podbijają tę „piłkę”, która im się wcale nie chce odbijać, tylko opada jak kamień. Często chorują, bo mają przeważnie tylko jedno okrycie, a nierzadko tylko strzepy, które w porze deszczowej mokną i suszą się na nich. Przy tym wszystkim są bardzo wesołe i lubią śpiewać, jakby zupełnie nie zdawały sobie sprawy z tego, że może być inne życie. Zresztą o innym życiu słyszą dopiero od nas, ale czy je rozumieją? Czy to, że nasze polskie dzieci, że Wy, kochane dzieci, chodzicie czyste i ubrane do szkoły, mieści się w głowach Waszych kolegów i koleżanek z Afryki? Nie wiem. Ale może i dla nich kiedyś przyjdzie dzień inny.

Oto obrazek z życia Waszych kolegów. Jakże inny od waszego, codziennego życia. Dziękujemy Wam, Kochane Dzieci, dziękujemy Waszym Rodzicom i pozdrawiamy Was serdecznie.

s. M. Zygmunta od Jezusa

8. Plany s. Bogumiły.

Mpinaga, 18 maja 1974r.

(...) Z wyjątkiem magła, wszystkie skrzynie już doszły. Cieszę się z warsztatu tkackiego, gdyż bardzo się tutaj przyda. Będzie można posiać bawełnę; również w kaktusach olbrzymiej wielkości są mocne nici, odpowiednie do tkania. Gdyby była możliwość, bardzo proszę o farby do materiałów i kawałek gumoleum, bo mam zamiar zrobić pieczętki na materiał z afrykańskimi wzorami. Na razie nie mogę jeszcze zabrać się do tego, bo trzeba się uczyć tutejszego języka, a to pochłania dużo czasu. Resztę czasu poświęcam na pomoc bratu Sylwestrowi w ozdabianiu kościoła, to znaczy: zrobiliśmy główną ścianę, gdzie ma być przeniesiony Najświętszy Sakrament, gdyż dotąd jest w bocznej nawie, a na tym miejscu mamy robić ołtarz i ozdoby do obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, który tam zostanie umieszczony. Ojcowie mają jeszcze zamiar, dla uczczenia Roku Świętego, aby na terenie ich olbrzymiej parafii, we wszystkich kościołach zrobić podobne „nawiedzenie”, jakie było w Polsce, ale przedtem muszą duchowo przygotować ludzi. (...)

s. Bogumiła

9. Co robią polskie misjonarki w Burundi?

Bujumbura, 26 lipca 1974r.

Kochane Siostry!

(...) S. Julianna i s. Zygmunta ukończyły kurs języka kirundi i zaczynają pływać „na ślepo”, bo na razie w głowie samo siano ubitych dźwięków, które ani głowy, ani nóg się nie trzymają. Ale nie ma się co martwić, bo bardziej doświadczeni mówią, że po 20 latach będzie to samo.

S. Bogumiła z br. Sylwestrem sporządziła w kościele w Mpindze wspaniałą mozaikę z kamienia miejscowego jako tło do tabernakulum z Najświętszym Sakramentem oraz drugą mozaikę, z ramkami wyłożonymi szlifowanym kamieniem w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej, której obraz ks. Prymas ofiarował naszej misji. Kaplica ta została uroczystie poświęcona przez ks. biskupa 21 lipca, w czasie bierzmowania dzieci w naszej parafii.

S. Zenobia uczy dziewczęta wyszywania wzorów trawą na materiale, przygotowanym z fikusa. Jest to kora drzewna fikusowego ubijana młotkiem i suszona. Materiał taki służył dawniej jako jedyny rodzaj ubioru. O. Teofil przywiezie próbkę do pokazania.

S. Bogumiła zmontowała już warsztat tkacki. O. Sylwan, br. Sylwester i s. Bogumiła przechodzą oczekiwania wszystkich, wymyślając coraz to nowe modele przyrządu do zwijania bawełny oraz do przedzenia. Nawet już został zrobiony pierwszy model gręplarki, mały jak dłoń. Może coś z tego wyjdzie i nasz warsztat będzie pierwszym w historii tkactwa w Burundi. Ale powoli. Na razie całe „zgromadzenie” w czasie rekreacji wieczornej zajęte jest skubaniem bawełny, czyli odłączaniem ziarenek od włókna.

S. Zygmunta otrzymała oficjalne pozwolenie na opiekę nad chorymi i jak tylko będzie możliwość zamieszkania w Musongati, rozpocznie pracę w małym punkcie sanitarnym, który już istnieje.

Plany naszego szpitalika już gotowe, ale od planu do realizacji jeszcze daleko. Rozpoczęliśmy starania, by ten nasz „ośrodek zdrowia” (szpitalik), był zarazem ośrodkiem dla trędowatych, których w naszej diecezji i parafii jest dużo.

Dla dopełnienia oficjalnych formalności s. Zygmunta wkrótce wyjedzie na 30 dni roboczych do Bujumbury, by tam odbyć praktykę w różnych oddziałach szpitala. Pozostanie tam do 2 września.

I jeszcze coś: w ostatnim tygodniu dzieci upolowały 2 żmije przy ogrodzie misyjnym. Br. Sylwester zachował skórę jednej z nich. Być może, że o. Teofil przywiezie ją w połowie września. (...)

s. M. Zygmunta

10. Pożar buszu.

Mpinga, 1 sierpnia 1974r.

(...) Po rekolekcjach, o. Sylwan zabrał nas do Kiharo, gdzie prowadził przebudowę kościoła. W pierwszych dniach byliśmy świadkami palącego się buszu. Pożar taki wygląda pięknie, ale

z daleka. Z chwilą, gdy się pali tuż obok misji, to napęnia trwogą. Trawy są czasem dwa razy wyższe od człowieka, wysuszone jak pieprz. Ogień miejscami sięga 5 m wysokości i posuwa się bardzo szybko, niszcząc wszystko po drodze. Drzew w Burundi prawie nie ma, a jeśli się spotyka, to niskie i karłowate, ponieważ w każdym roku są opalane.

Po przyjeździe na miejsce do Kiharo, wzięliśmy się zaraz do pracy, gdy nagle słyszymy głos bębna, który daje znać o grożącym niebezpieczeństwie.

Biegniemy wszyscy, kto żyw, biorąc ze sobą łopaty, siekierki, by wyciąć trawę i w ten sposób zatrzymać ogień. Tutejsi ludzie robią to z nadzwyczajną zręcznością. Ogień posuwa się bardzo szybko w naszym kierunku. Jeszcze kilkanaście metrów do ogromnej sterty suchych bambusów i drzewa z rozebranego kościoła. Wielkie mnóstwo ptaków różnej wielkości i gatunku krąży w płomieniach, szukając zdobyczy, tj. jakiegoś zwierzątka, które nie zdążyło uciec przed spalaniem. Kilkunastu Murzynów podpaliło busz od naszej strony, aby nie pozwolić, by ten żywioł zbliżył się w naszą stronę zbyt blisko. Jediną naszą obroną były zielone gałęzie krzewów, którymi gasiliśmy ogień.

Gdy niebezpieczeństwo minęło, odetchnęłam z ulgą. W tym dniu spłonęło *urugo*, tj. domek z całym zabudowaniem i ogrodzeniem. Codziennie wieczorem widzieliśmy płonące góry.

A jak mieszkaliśmy?

Obok kościoła jest dość duży budynek szkoły. Mieści się w nim 6 klas. Jedna sala jest przeznaczona dla księdza i boya, w drugiej mieszkał o. Sylwan, w trzeciej my – tzn. s. Julianna, s. Bogumiła i ja. Czwarta przeznaczona była na kuchnię i refektarz, piąta na kaplicę, a w szóstej spali murarze, którzy też byli z Mpingi i do domu wracali tylko na niedzielę.

W całym budynku nie ma sufitu, nie ma okien. Są tylko ogromne otwory, które trochę zasłoniłyśmy kamieniami, by nam ludzie nie zaglądali do wnętrza. Drzwi o wiele gorsze niż w Polsce do zabudowań gospodarczych – na noc od wewnątrz podpierałyśmy patykiem. Zamiast podłogi czy posadzki jest glina. To bardzo wygodne, bo po myciu, wodę wylewałyśmy na ziemię, by kurz się nie unosił. Gdy trzeba było kogoś poprosić na posiłek, wystarczyło powiedzieć w kuchni, a słysząc było w kaplicy i w celi. Proszę mi wierzyć, że przyzwyczailiśmy się bardzo szybko do takich warunków. W kuchni nie było pieca, tylko na środku paliło się ognisko, a na kamieniach leżał kawałek blachy i tak się gotowało.

W ciągu dnia jest bardzo gorąco, natomiast noce są zimne.

Z rzeczy praktycznych przy budowie nauczyłam się posługiwać kleszczami, młotkiem, siekierą, piłką do drzewa i żelaza. Robiliśmy zbrojenie z drutu, zalewając je zaprawą murarską.

Kiedys o. Sylwan zawiózł nas nad największą rzekę w Burundi, graniczącą z Tanzanią. Pierwszy raz w życiu widziałam tak dziką rzekę, nad którą pochylały się olbrzymie drzewa, a wokół rozciągała się dżungla. Na ziemi widać było świeże ślady wielkich łap krokodyli i hipopotamów, a dalej kości olbrzymich zwierząt, lecz żadnego nie widzieliśmy. Może przstraszyły się białych ludzi i pochowały się głęboko w wodę.

Nie widziałam jeszcze żadnego dzikiego zwierza ani węża, chociaż wieczorem na rozmyślanie chodziłam w busz.

Od 19 września rozpoczynamy z s. Bogumiłą kurs języka kirundi w Cela Muyange, a zatem do szkoły. Będzie na pewno nam trochę smętno, bo w Mpindze czujemy się jak w Polsce. (...)

s. Zenobia

11. Mieszkanie misjonarki.

Musongati, 23 listopada 1974r.

Kochane Siostry!

Jak najchętniej przyjmimy każdą siostrę do Burundi. Miejsce i praca znajdzie się. A tu niewiele potrzeba, bo w dzień jest ciepło, tylko na noc trzeba coś cieplejszego, bo jest chłodno.

Mieszkam w pokoju, zajmowanym poprzednio przez br. Marcelego. Piszę ten list na stoliku zbitym z desek, bo ten składany, co nam przyszedł – zamieniliśmy na ołtarz.

Za plecami stoi łóżko i skrzynie, z których zrobiliśmy wspaniałe szafy z półkami.

Z prawej strony jest okno ciągle zasłonięte, bo dzieci szkolne bez przerwy zaglądają i drapią po ścianie tak, że nie sposób skupić się. No cóż, siostry to dla nich nadzwyczajna atrakcja.

Szkolne budy stoją kilka metrów dalej. Z lewej strony są drzwi z okienkiem, zrobione przez braci. Stamtąd dochodzi głos radia. Może zdziwicie się, że w Afryce jest radio. To kucharz ojców dostał od jednego z wyjeżdżających misjonarzy i jest z niego tak zadowolony, że gra od rana do wieczora. Nad głową mam sufit z maty, a z przodu ścianę z obrazkiem Matki Bożej od s. Gracji.

Ludzie ciągle pukają do drzwi, bo co chwila coś potrzebują. Przyjmujemy ich na dworze, ponieważ w pokojach jest klauzura. Wszystko w domku przypomina nam Polskę, a więc szczotki, siekiery, ołówki.

W naszym ogrodzie na razie nic nie chce urosnąć, bo termity zjadają wszystko z korzeniami. Nie mogą znieść, że ktoś wszedł do ich królestwa. Poprzednio, w dzikim buszu budowały swe kopce, a tu naraz znaleźli się biali ludzie i karczują krzaki i trawy, by coś zasiać. My siejemy, a one zjadają. Zobaczymy, dokąd będzie trwała walka. Termity – to są takie białe, skrzydlate mrówki, którym w pewnym momencie w czasie lotu odpadają skrzydła i żyją w ziemi, budując wspólne kopce i korytarze. Dzieci zbierają je chętnie i jedzą. Podobno są smaczne, ale jeszcze nie miałyśmy odwagi spróbować. Na targu można dostać garstkę za 5 franków.

To tyle na razie. Złączona w modlitwie.

s. M. Zygmunta od Jezusa

12. Woda.

Musongati, Boże Narodzenie 1974r.

Ukochane Siostry, Ukochani Przyjaciele Misji!

(...) W ostatnich czasach sporo zmieniło się w naszym misyjnym życiu. Do 11 października byliśmy zajęte przeglądaniem stanu zdrowia dzieci z katechumenatu. Dzięki Waszym paczuszkom z lekami, walka z pasożytami została wydana na całego. Setki dzieci, bo nie śmiem liczyć na tysiące, skorzystało z kuracji. Ostatnie dni w Mpindze były bardzo gorące, bardzo wypełnione. Przychodzili chorzy i przychodzili, a my nie byliśmy w stanie obsłużyć tych tłumów.

11 października, w samo południe, zajechałyśmy z o. Sylwanem do Musongati, by pozostać tu już na stałe. Nasze przybycie wywołało prawdziwą sensację. Wszędzie czarno od ludzi, wszędzie głowy i oczy skierowane na nas: w oknach, przy bramach, w szparach płotu (tj. ogrodzeniach z chrustu). Co ciekawsi powchodzili na drzewa. Nawet można było zobaczyć dziecięce głowy w szparach pod prowizoryczną bramą. Położyły się na ziemi, byle tylko nie stracić niecodziennego widoku. Następnie rozpoczęły się powitania. Co chwilę ktoś przyszedł z tzw. *kuramutsa*, przynosząc w koszyku owiniętym szmatą banany czy pomidory – te ostatnie od niedawna zaczęli uprawiać.

Wiadomo jednak, że za takim *kuramutsa* kryje się jakaś prośba. Tylko, że wypowiadają ją pod koniec wizyty, przy odejściu. To należy według tutejszych zwyczajów do dobrego tonu.

Nazajutrz wybrałam się na zwiedzanie terenu i zbadanie źródła. Schodząc z góry, zauważyłam grupę około 30 dzieci oraz niewiasty, uprawiające słodkie ziemniaki z małymi dziećmi na plecach. Kiedy się zbliżyłam, spostrzegłam, że dzieci myją się. Podchodzą w kolejce do rurki zainstalowanej w ziemi, z której cienką stróżką spływa woda do wycembrowanego korytka. Czerpią wodę do małych zbiorniczków (naczyń zrobionych z owoców tutejszej dyni). Jedno drugiemu polewało głowę, a inne podstawiały brzuszki czy nogi, by wykorzystać to, co spływało z kolegi. Inne znowu myły się w korytku, mocząc nogi w wodzie, która raczej do błota była podobna, bo nogi miały oblepione gliniastą ziemią.

Naraz oczy moje uderzył widok chłopca, przepychającego się między dziećmi. Miał około 13 lat. Na głowie trzymał wiadro. Rozpoznałam bez trudu nasze cynkowe wiadro przysłane z Polski. Dlaczego był taki dumny? Może z wiadra, a może dlatego, że miał pracę. Ponieważ spieszyło mu się, zaczerpnął do połowy wiadra wody z koryta i dopełnił czystą wodą z rurki. Patrzyła przerażona – toż to była woda dla ojców misjonarzy!

Zwróciłam chłopcu uwagę. Popatrzył na mnie zdziwiony, ale cierpliwie czekał, aż mu się czysta woda od nowa naleje. Czułam na sobie oczy wszystkich śledzące mnie uważnie. Może wielu nie zrozumiało, dlaczego kazałam chłopcu wylać wodę. Przecież oni myli się w korytku i nikt nie pomyślał, że ta woda mogłaby być niedobra.

Wróciwszy do domu, opowiedziałam naszym doświadczonej misjonarzom o tym zdarzeniu, ale oni wcale nie okazali zdziwienia. O. Kanty powiedział: „My już nieraz piliśmy wodę, którą było czuć. Znamy to nie tylko z widoku, ale i ze smaku, i z zapachu”. Nie trwało to długo, a sama się o tym przekonałam, gdy za dwa dni zajrzałam do beczki przeznaczonej na wodę do gotowania. Gdy się ją zamieszało, to można sobie wyobrazić, co tam pływało: błoto, robaki, glisty. Zastanawiałam się, co robić. Trzeba działać powoli, przekonywać. Ale jak? Starałam się wytłumaczyć, jak mogłam, doświadczonemu kucharzowi ojców, że ta woda jest niedobra do spożycia. Zaklinał się, że takiej nie bierze. Nie wiem co brał do gotowania, bo innej wody nie było.

Gdy poprosiłam chętne do pomocy dzieci, by tę wodę przeniosły na budowę, biedny kucharz okazał takie zdziwienie, jakbym co najmniej była nienormalna. Widocznie nie rozumiał całego mojego wykładu. Jednak konsekwentnie przelałam całą wodę do końca.

Oto mały obrazek z tutejszego życia. Nie sposób być wszędzie i wszystko zrobić samemu. Trzeba przyzwyczaić się do warunków i sytuacji, a Opatrzność resztę uzupełni.

Nie myślcie, Kochani, że jesteśmy z tego czy innego powodu nieszczęśliwi. Czujemy się bardzo dobrze, jesteśmy zdrowi i nie brak nam humoru. Chciałam tylko pokazać, jak bardzo odmienne jest środowisko, w którym żyjemy, od tego, w którym wyrosliśmy.

Jeszcze raz pozdrawiamy Was z całego serca!
s. M. Zygmunta od Jezusa

ROK 1975

13. Z posługą religijną.

Musongati, Zesłanie Ducha Świętego 1975r.

Ukochane Siostry! Ukochani Przyjaciele Misji!

Dziś uroczystość Zesłania Ducha Świętego. W tej chwili znajdujemy się z s. Zenobią w Katakazi, tj. w jednym z naszych punktów misyjnych, odległym od centrum o 15 km.

Przybyliśmy tutaj o świcie, by przynieść ludziom Najświętszy Sakrament, gdyż kapłan nie zdąży dotrzeć wszędzie. Po drodze spotkałyśmy śpieszących do kaplicy ludzi, którzy podpierali się dzidami na długich kijach. Dzidy te służą im do podpierania się i do polowania, a zarazem są dla nich wyrazem honoru i godności.

Kaplica zbudowana jest z suszonej cegły. Wewnątrz na kamieniu deska – to ołtarz. Na lewo tabernakulum, roboty brata Sylwestra, a na prawo konfesjonał, zrobiony ze skrzyni, przysłanej z Polski. Jeszcze widać napisy: „ostrożnie”. W tej skrzyni przysły lekarstwa od Was, Kochani!

Gdy weszliśmy do kościółka – ptactwo spłoszone z nocnego spoczynku uciekło z hałasem. Ludzie zbierali się tłumnie na głos bębna, ogłaszającego nasze przybycie. Gromadzili się w grupach: osobno mężczyźni, osobno kobiety z dziećmi. Oni tu nigdy nie stoją razem, nawet w dniu ślubu. Gdy się ich obserwuje przed i po Mszy św., to nie wie się kto z kim miał ślub. Chłopcy włączają się w grupę chłopców, a młode panie – w grupę dziewcząt. Tylko po smutnej minie można poznać, kto z kim miał ślub, bo należy do dobrego tonu udawać w tym dniu smutnego.

Ale do rzeczy. Katechiści przewodniczyli modlitwom liturgicznym, śpiewali i czytali. Wszystko odbywa się, jak podczas Mszy św., tylko bez konsekracji. Dzisiaj rozdawałyśmy Komunię św. Zwyczajem zachodnim już od wielu lat ludzie przyjmują Pana Jezusa na rękę. Chciało się wołać: Przyjdź Duchu Święty do tych skołatanych serc! daj im światło, przyjdź do serc, które Cię jeszcze nie znają.

Po modlitwie wszyscy wyszli z kościoła i zaczęli opowiadać swoje biedy. Jedni pokazywali dzieci, o zaropiałych oczach, inni prosili o ubranie itp. Niewidomy starzec prosił o uleczenie, bo tutaj w Burundi, nikt nie umie zoperować katarakty.

Uczestniczyliśmy także w zebraniu „Dzieci Maryi”, a także byliśmy na lekcji katechizmu.
(...)

Złączona z Wami w Bogu
s. Zygmunta od Jezusa